Czasem warto uciec sprzed ołtarza...

LORETTA CHASE

Książę w lśniącej zbroi

LORETTA
CHASE

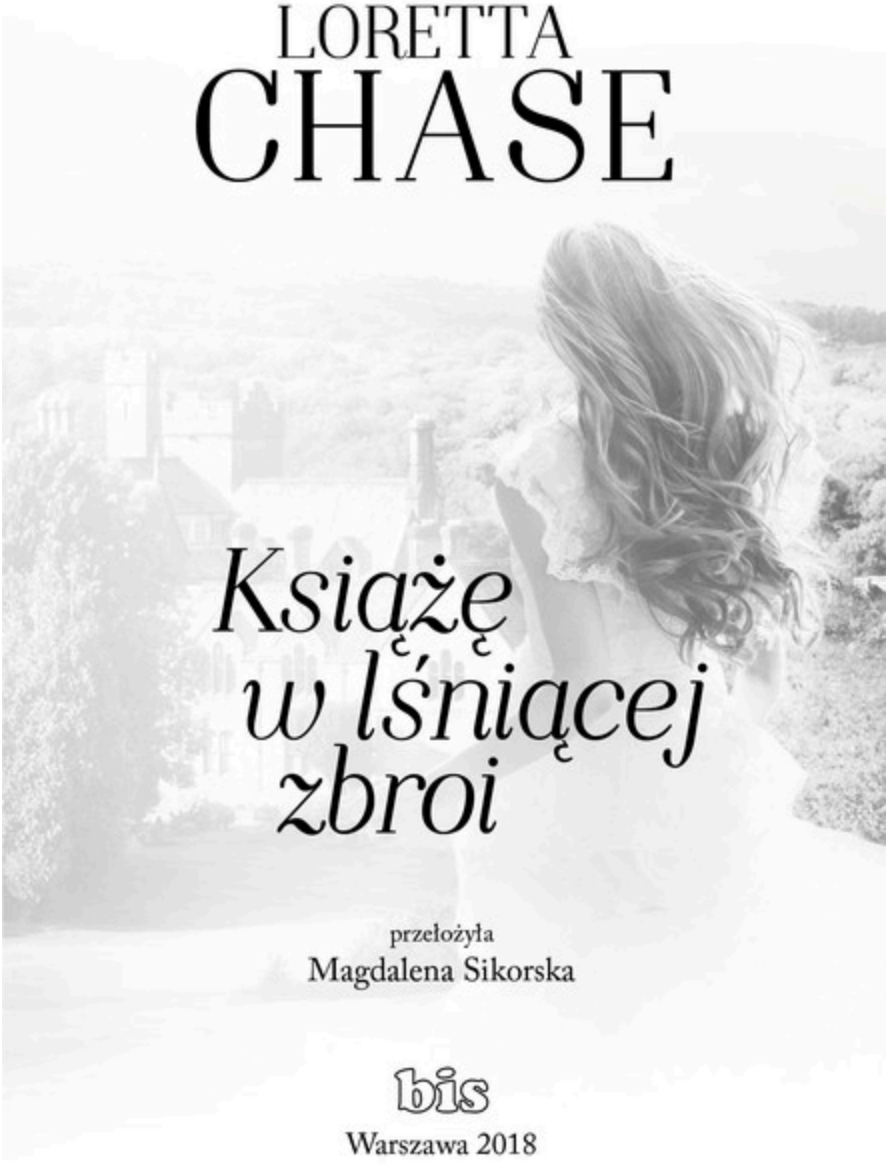

Książę w lśniącej zbroi

przełożyła
Magdalena Sikorska

bis
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *A Duke in Shining Armor*

Projekt okładki: Karandasz

Copyright © 2017 by Loretta Chekani
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2018

ISBN 978-83-7551-594-7

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22-877-27-05, 22-877-40-33

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej: Kamil Raczyński
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Od Autorki

Mojej kuzynce Valerie Kerxhalli, która stawiła czoło własnemu życiowemu wyzwaniu z całą odwagą, pomysłowością, wdziękiem i dobrym humorem, jakie cechują prawdziwą bohaterkę.

Dziękuję:

May Chen, mojej redaktorce, która czyta mi w myślach, gdy mnie samą to przerasta, podnosi mnie na duchu i przyczynia się do tego, że piszę lepszą książkę, niż się spodziewam;

Nancy Yost, mojej agentce, która zajmuje się interesami, zarazem inspirując mnie, wspierając i podsuwając niesamowite pomysły, natychmiast przeze mnie zawłaszczane;

Susan Holloway Scott, tej drugiej dziewczynie od historii dla dziwaków, literackiej powiernicy i pokrewnej duszy, która dzieli ze mną moje udręki i radości;

dr. Bruce’owi Hubbardowi, który raz jeszcze pomógł mi nawigować między światami medycyny dziewiętnastego i dwudziestego pierwszego wieku;

Larry’emu Abramoffowi, który zbudował podnóżek i ocalił mi życie (jak również przypuszczalnie moją pisarską karierę);

Glorii Abramoff, która zadeklarowała, że mogę przechowywać rzeczony podnóżek u nich w domu (i przypuszczalnie ocaliła moje małżeństwo);

Cynthii, Vivian i Kathy, moim siostrom, które wspierały mnie od samego początku, zarówno w sprawach związanych, jak i niezwiązanych z pisaniem, i dotąd tego nie zarzuciły – z ekstrapodziękowaniem dla Cynthii, która podczas spacerów pomogła mi rozwiązać niejeden fabularny problem, tkwi przy mnie na spotkaniach autorskich i zawsze chętnie wybierze się na zakupy;

Walterowi, mojemu mężowi, który cierpliwie przeprowadza ze mną burze mózgów – nawet jeśli poprzednim razem nie słuchałam – zabiera mnie w cudowne miejsca i używa innych męskich sztuczek, bylebym tylko nie uciekła od książki.

Za wszystkie błędy i nietrafne sądy, jakie zostały tutaj zaprezentowane, odpowiadam, co przykre, wyłącznie ja sama.

Prolog

Londyn
Wczesny ranek, 11 czerwca 1833 roku

Książę Ashmont nie był najlepszym księciem – tak po prawdzie, był raczej koszmarnym. Dlatego też nikogo w najmniejszym stopniu nie zaskoczyłby widok księcia pijanego jak bydlę – czyli dziesięć razy bardziej pijanego niż świnia – schodzącego chwiejnie po schodach klubu Crockforda w asyście jednego z dwóch swoich najlepszych przyjaciół.

Tym przyjacielem był Hugh Philemon Ancaster, siódmy książę Ripley. Na tle jasnowłosego, niebieskookiego, przystojnego jak anioł Ashmonta Ripley był po prostu ciemny. Bynajmniej nie wyglądał niczym utkany z marzeń i pajęczej nici, a kobiety nie śledziły jego ruchów z owym wyrazem rozmarzenia, na który mógł liczyć Jego Anielska Twarz.

Jeśli chodzi o twarz Ripleya, jak ktoś to kiedyś ujął, w dobry dzień przywodziła na myśl wilka, który stoczył zbyt wiele walk.

Co więcej, choć nieznacznie starszy tytuł stawiał go o oczko lub dwa ponad Ashmontem, Ripley upił się zaledwie jak świnia. Nadal odróżniał górę od dołu. Dlatego też kiedy Jego Książęca Wysokość książę Ashmont zdradził zamiar ruszenia chwiejnie w dół pochyłości, ku Pałacowi Świętego Jakuba, Ripley pociągnął go w przeciwnym kierunku.

– Tędy – powiedział. – Postój dorożek jest tam.

– No tak – mruknął Ashmont. – Nie mogę się spóźnić na ślub. Nie na ten. Sam go biorę. Z Olympią. Muszę tam być. Obiecałem.

– Będziesz – zapewnił Ripley, prowadząc przyjaciela na drugą stronę ulicy.

Wieść o ślubie spadła nań niespodziewanie, a wybór panny młodej przyprawił o szok: lady Olympia Hightower, właśnie ona. Sądziłby, że jest ostatnią dziewczyną na świecie gotową poślubić Ashmonta – czy w ogóle któregokolwiek z ich trójki, skoro o tym mowa.

Nie żeby Ripley dobrze ją znał. Lub przynajmniej choć trochę. Zostali sobie przedstawieni, owszem, lata temu. Działo się to w czasach, gdy szanujące się osoby nadal przedstawiały Ripleya i jego dwóch przyjaciół niewinnym dziewczętom. Ale książęce trio nie takiego rodzaju dziewcząt pragnęło. Szlachetnie wychowane panny stanowiły materiał na żonę, a książęcych kompanów dzieliły od małżeństwa długie lata, majaczyło gdzieś w zamglonej, odległej przyszłości.

Owa przyszłość nadeszła, zanim Ripley się obejrzał.

Najpierw książę Blackwood, drugi z jego wesołych kompanów, ponad rok temu, na kilka dni przed wyjazdem Ripleya na kontynent, poślubił jego siostrę. A teraz ślub brał Ashmont. Ripley usłyszał szczęśliwe wieści ledwie parę godzin po swym wczorajszym powrocie do Londynu.

Poprawka, wrócił przedwczoraj, gdyż dzisiaj stało się już wczoraj. Przyszedł do Crockforda, gdyż miał chęć na przyzwoity posiłek, a tutejszy Ude tylko minimalnie ustępował osobistemu kucharzowi Ripleya, Chardotowi, którego podczas przeprawy przez kanał zmogło paskudne przeziębienie.

Chardot towarzyszył mu wszędzie, gdyż otrzymywał za to sowite wynagrodzenie, a Ripley lubił komfort. W dzieciństwie zmuszany, bez żadnego rozsądnego powodu, żyć jak nędzarz, teraz żył jak król.

Ripley rozważał właśnie, czy – biorąc pod uwagę całokształt – nie zrobiłby lepiej, zostając za granicą, kiedy wąski dziedziniec wypluł czterech mężczyzn, z których jeden wpadł na Ashmonta z siłą na tyle dużą, by wyszarpnąć go z lekkiego uchwytu Ripleya i pchnąć na witrynę sklepu.

Ashmont odbił się od niej z zaskakującą energią.

– Ty niezdarny, cholerny półgłówku! Muszę się ożenić, przeklęty dupku!

Po czym grzmotnął typa pięścią w twarz.

Jeden z kompanów mężczyzny usiłował ingerować. Ripley z westchnieniem złapał go od tyłu za kołnierz. Tamten zamachnął się na niego, toteż Ripley poczuł się zobowiązany wrzucić go do rynsztoka.

Dalszy rozwój wydarzeń można uznać za typowy w przypadku Ashmonta: dużo przekleństw i brudnej walki, wypadający z klubów mężczyźni, którzy głośno robili zakłady, kobiecy krzyk niedaleko.

A potem było po wszystkim. Wrogowie leżeli rozciągnięci na trotuarze. Ripley nie trwonił czasu na ich liczenie lub identyfikację. Zgarnął Ashmonta z ogrodzenia, na które ten się osunął, i powlekli się razem na róg.

Na znak Ripleya w ich kierunku potoczyła się niemrawo pierwsza dorożka z kolejki. Wrzucił Ashmonta do rozklekotanego pojazdu i podał woźnicy adres Ashmont House.

Służący nie spali, czekając na Ashmonta, do czego już nawykli. Zanieśli księcia po schodach na górę do sypialni, bez ceregieli rozebrali go i umyli. Drobne słabostki pana nie były dla nich nowością.

Kiedy już Ripley zyskał pewność, że Jego Książęca Wysokość znalazł się bezpiecznie w łóżku, wyszedł.

Musiał się wykąpać, zdrzemnąć i zmienić ubranie.

Za kilka godzin miał uczestniczyć w ślubie.

Rozdział 1

Newland House, Kensington
Późne przedpołudnie, 11 czerwca 1833 roku

Gdyby panna młoda była pijana – ale nie była – znaczyłoby to jedynie, że świętuje.

Już za momencik lady Olympia Hightower spełni wszystkie marzenia swojej rodziny. Własne także, no cóż… w większości.

Zostanie księżną Ashmont.

Jako że balansowała u progu dwudziestego szóstego roku życia, powinna dziękować swej szczęśliwej gwieździe, że zdobyła serce… podziw… cokolwiek… mężczyzny zaliczanego do grona najbardziej niepoprawnych rozpustników jak Anglia długa i szeroka, książęcego tria znanego jako Ich Łajdackie Mości.

Zwężonymi oczami popatrzyła w lustro.

Skryte za okularami w złotych oprawkach oczy, które jakoś nie potrafiły się zdecydować, czy są szare, zielone czy niebieskie, na moment skoncentrowały się na majestatycznym odbiciu, które było nią. Czy może ją odzwierciedlało. Nieważne.

Twarz w kształcie serca okalały wymyślnie ukręcone pejsy barwy pospolitego brązu. Głowę wieńczyła korona z kunsztownie ułożonych warkoczy, nakrytych obfitością marszczonej koronki, przyozdobionej kwiatami pomarańczy. Welon z blondy spływał kaskadami na obnażone ramiona i dalej po obszernych, obszytych koronką rękawach, sięgając poniżej talii.

Zmierzyła wzrokiem swoją postać.

Cztery kokardy maszerowały w dół, aż do ostrego zakończenia gorseciku. Poniżej wzdymały się marszczone spódnice z tłoczonego jedwabiu.

Ogromna strata pieniędzy, które lepiej byłoby spożytkować na Eton dla Clarence’a lub stopień oficerski dla Andrew, lub cokolwiek innego dla

jednego z chłopców. Poza swoim dziedzicem – Stephenem, lordem Ludfordem – hrabia Gonerby musiał łożyć na jeszcze pięciu synów, któremu to zagadnieniu nie poświęcał ani jednej myśli. W przeciwieństwie do swej córki nie był człowiekiem praktycznym.

Stąd też jej aktualne nieprzyjemne położenie, w którym nie sposób doszukać się czegokolwiek nieprzyjemnego. Tak twierdzili wszyscy wkoło. Nie ma nic nieprzyjemnego w byciu księżną.

Tak czy owak, praktyczność nijak się miała do tej tutaj ślubnej ekstrawagancji. Należało wyrzucić pieniądze na Olympię, na jedną tylko suknię dla niej, ponieważ, według ciotki Lavinii, była to inwestycja w przyszłość.

Przyszła księżna nie może wystąpić na własnym ślubie w jakimś starym łachu. Garderoba panny młodej powinna być kosztowna i modna, acz nie nazbyt krzykliwa, ponieważ wypada, by przyszła księżna wyglądała kosztownie i modnie, acz nie nazbyt wyzywająco.

Po ślubie to już całkiem inna sprawa. Księżna może wysypać na siebie całą zawartość szkatułki z biżuterią, a nigdy nie będzie przesadnie wystrojona.

Po naniesieniu kilku poprawek, z inną kompozycją na głowie i większą ilością diamentów lub pereł, lub jednych i drugich, Olympia założy tę suknię na kolejny Salon, kiedy to jej matka albo może ciotka Lavinia, markiza Newland, przedstawi nową księżną Ashmont królowej.

Nie tylko to wydarzy się po ślubie.

Olympię czekała jeszcze noc poślubna, która według mamy nie będzie nieprzyjemna, choć rodzicielka cokolwiek mętnie opisała szczegóły. Jednakże po nocy poślubnej nastąpi małżeństwo, całe długie lata tegoż. Z Ashmontem.

Przyszła księżna Ashmont podniosła filiżankę z zaprawioną brandy herbatą, którą lady Newland przyniosła jej dla ukojenia przedślubnych nerwów. Filiżanka była pusta.

– Nawet nie myśl o ucieczce – przestrzegła ją ciotka, gdy dostarczała herbatę z wkładką.

Wykluczone. Na to było już za późno, nawet gdyby Olympia należała do tego rodzaju dziewcząt, które wycofują się lub uciekają, nie mówiąc o ucieczce przed życiową szansą. Miała sześciu braci. Dla chłopców fakt, że

jest się drugą pod względem starszeństwa, ani trochę się nie liczy. Trzeba dominować albo zostaje się zdominowaną.

Niektórzy twierdzili, że Olympia, jak na dziewczynę, jest nieco zbyt dominująca. Ale ten aspekt straci znaczenie, kiedy zostanie księżną.

Nachyliwszy się, wydobyła spod toaletki butelkę brandy, którą podkradła Stephenowi. Odkorkowała ją i wlała do ust, wedle własnej oceny, ledwie naparstek płynu. Na powrót zamknęła butelkę, odstawiła ją na toaletkę i powiedziała sobie, że postępuje słusznie.

Jaką miała alternatywę? Upokorzyć pana młodego, który nie zrobił nic – przynajmniej Olympii – żeby na to zasłużyć? Skompromitować rodzinę? Trwale zrujnować się w oczach towarzystwa? I wszystko to dlaczego? Z powodu mdlącej sensacji w brzuchu, która z pewnością nie była niczym więcej niż zwykłymi przedślubnymi nerwami.

Tylko kobieta szalona uciekałaby przed małżeństwem z jednym z najprzystojniejszych, najbogatszych i najpotężniejszych mężczyzn w królestwie. To znaczy Ashmont mógłby być potężny, gdyby chciało mu się zawracać tym sobie głowę, on jednak…

Straciła wątek, ponieważ zapukano do drzwi.

– Błagam – jęknęła. – Modlę się.

Nalegała na kilka chwil w samotności. Musiała się pozbierać i przygotować na tę gigantyczną zmianę w swoim życiu, jak wyjaśniła matce i ciotce. Wymieniły spojrzenia i wyszły. Niedługo potem ciotka Lavinia przyniosła herbatę z wkładką.

– Dziesięć minut, kochanie – dobiegł z korytarza głos matki.

Już tylko dziesięć minut?

Olympia ponownie odkorkowała butelkę i pociągnęła kolejny łyk.

Prawie dwadzieścia sześć lat na karku, napomniała się. Nigdy więcej nie otrzyma propozycji takiej jak ta, przenigdy. Zakrawało na cud, że dostała tę. I wiedziała, co robi, kiedy mówiła „tak”.

To prawda, że Lucius Wilmot Beckingham, szósty książę Ashmont, był poniekąd dupkiem, w dodatku tak niedojrzałym, że dziewięcioletni Clarence w zestawieniu z nim wydawał się królem Salomonem. I tak, było najzupełniej oczywiste, że Jego Książęca Wysokość nie dochowa Olympii wierności.

Niemniej Ashmont był przystojny i jeśli się przyłożył, potrafił oczarować dziewczynę do utraty zmysłów, a do tego, by oczarować Olympię, wyraźnie

się przyłożył. Chyba ją lubił. No i nie czyhały na nią żadne szokujące odkrycia. Charakter księcia był doskonale znany każdemu, kto czytywał plotkarskie rubryki modnych periodyków.

Liczyło się, że ją poprosił. A Olympię ogarniała już desperacja.

– Księżna – powiedziała do lustra. – Z taką pozycją możesz zmienić świat, albo chociaż jego część. Kobieta nie zdoła bardziej zbliżyć się do bycia mężczyzną, chyba że zostając królową, i to nie zaledwie żoną króla, ale samodzielną władczynią. Nawet wówczas… Och, nieważne. Tobie to nie grozi, moja mała.

Gdzieś w głowie Olympii, a może w jej sercu lub brzuchu, złośliwy głosik, szalenie podobny do głosu kuzynki Edwiny, skomentował: *Miłość życia również ci nie grozi. Nie przybędzie po ciebie żaden piękny książę na białym koniu. Ani nawet namiętny lord. Czy choćby prosty subiekt, skoro o tym mowa.*

Zdusiła ten głos, jak wielekroć chciała udusić kuzynkę Edwinę.

Ta Olympia, która pielęgnowała fantazje o książętach i namiętnych dżentelmenach, była naiwnym stworzeniem, rozpoczynającym swój pierwszy sezon w Londynie z głową pełną karmionych powieściami romantycznych wyobrażeń.

Przez siedem lat z rzędu ogłaszano ją Najnudniejszą Dziewczyną Sezonu. Przez siedem lat nie otrzymała ani jednej propozycji małżeństwa. Czy też, ściśle mówiąc, nie otrzymała żadnej propozycji, którą młoda dama przy zdrowych zmysłach, nieważne jak zdesperowana, byłaby skłonna zaakceptować lub – jak to się stało w przypadku pewnego starszego wiekiem adoratora – którą pozwolono by jej zaakceptować.

Kiedy zatem Ashmont poprosił ją o rękę, co mogła odpowiedzieć?

Mogła odpowiedzieć „nie” i zmierzyć się z przyszłością zaawansowanej w latach starej panny, zdanej na łaskę braci, ledwie zdolnych utrzymać siebie i swoje rodziny. Lub mogła powiedzieć „tak” i za jednym zamachem rozwiązać mnóstwo problemów. Wybór był tak prosty. Nie ma sensu tego komplikować.

Pociągnęła kolejny łyk brandy. I jeszcze jeden.

Znów rozległo się pukanie do drzwi, głośniejsze i bardziej niecierpliwe.

– Tak należy postąpić i zrobię to – szepnęła do swojego odbicia w lustrze – ponieważ ktoś musi.

Napiła się ponownie.

***

– Co ją zatrzymuje, u diabła? – irytował się Ashmont.

Goście pracowicie szeptali. Na każdy dobiegający spoza salonu dźwięk głowy odwracały się ku drzwiom, przez które miała wejść panna młoda.

Jak dotąd żadna panna młoda się nie pokazała. Musiało być już ponad pół godziny po wyznaczonym czasie.

Ripley chwilę wcześniej poszedł zapytać matkę panny młodej, czy lady Olympia źle się czuje. Lady Gonerby popatrzyła na niego w oszołomieniu i jedynie pokręciła głową. Wyjaśnienia udzieliła mu jej siostra, lady Newland.

– Coś z suknią – odparł teraz Ripley. – Ciotka poszła na górę z pokojówką i przybornikiem do szycia.

– Z przybornikiem?!

– Domyślam się, że coś się oberwało.

– A co mnie to, do cholery, obchodzi? – burknął Ashmont. – I tak to potem rozerwę.

– Wiesz, jakie są kobiety – łagodził Ripley.

– Robienie zamieszania wokół błahostek nie pasuje do Olympii.

– Suknia ślubna to nie błahostka – zaoponował Ripley. – Wiem coś o tym. Suknia mojej siostry kosztowała mnie więcej niż klaczka od Pershore’a.

Jego siostra nie uczestniczyła w wydarzeniu. Jak doniósł mu Blackwood, Alice udała się do Camberley Place, jednej z posiadłości Ripleya, by doglądać ich ulubionej cioci.

– Co za nudy – skomentował Ashmont. – Nie znoszę tych cholernych rytuałów.

Lord Gonerby opuścił salon. Wrócił moment później.

– Przepraszam za zwłokę – rzekł jowialnie. – Jakiś kłopot z rąbkiem sukni albo falbaną, jeśli dobrze zrozumiałem. Posłałem po szampana. Jaki sens cierpieć pragnienie, gdy igły są w ruchu.

Moment później weszli kamerdyner i dwaj lokaje, każdy z tacą pełną kieliszków.

Ashmont wychylił jeden, potem kolejny i następny, szybko po sobie.

Ripley również pił, ale niewiele. Po części wynikało to z faktu, że do tej pory nie wydobrzał po aktywnościach minionej nocy. Najwidoczniej się

starzał, nie wzgardziłby bowiem jeszcze godziną lub dwiema snu po wydłużonej rundzie hazardu i picia, zwieńczonej uliczną burdą, po której przyszło mu wykonać aż nazbyt dobrze znaną ciężką pracę – wydostać Ashmonta z zamieszania i odstawić do domu, do łóżka.

Drugim powodem jego abstynencji było zadanie, którego się podjął.

Minionej nocy w klubie Crockforda Ashmont poprosił – czy raczej nalegał – żeby jeden z dwóch jego przyjaciół nadzorował przebieg wielkiego dnia.

– Jeden z was musi dopilnować, żebym stawił się na czas, z obrączką – argumentował. – No i licencją i całą resztą. Wszyscy sądzą, że spartaczę sprawę. Nie spartaczę.

– Ja już przerabiałem ślub – oznajmił Blackwood. – Mój własny. Tym razem chciałbym ograniczyć się do roli obserwatora.

Zepchnąwszy zadanie na Ripleya, Blackwood uśmiechnął się i przegonił ich machnięciem ręki, sugerując, że powinni obaj udać się do domu i zażyć nieco snu.

Jeżeli Blackwood wiedział cokolwiek więcej na temat nagłej skłonności Ashmonta do nałożenia sobie okowów, nic o tym nie wspomniał. Choć niespecjalnie miałby kiedy. Minionej nocy mówił wyłącznie Ashmont, a jego opowieść dokumentnie zbiła Ripleya z pantałyku.

Po pierwsze, Ashmont zdobył narzeczoną w pełni uczciwie, tradycyjną metodą zalotów i proszenia o rękę. Innymi słowy, panna młoda nie była w ciąży. Po drugie, co równie zadziwiające, Ashmont nakłonił atrakcyjną, uchodzącą za dobrą partię i pozostającą przy zdrowych zmysłach dziewczynę, żeby go przyjęła. Tymczasem Ripley do niedawna gotów byłby założyć się o dużą sumę, że w całej Anglii nie znajdzie się szlachetnie urodzona panna na tyle zdesperowana, żeby przyjąć Ashmonta – albo której rodzina by na to pozwoliła, gdyby książęca prezencja i wdzięk jednak pokonały panieński rozsądek.

W swych nieczęstych listach Ashmont chwalił się, że patronki Almacka zakazały mu wstępu na tamtejsze zgromadzenia, król powiadomił, iż Jego Książęca Wysokość nie jest mile widziany na królewskich porannych przyjęciach, a większość dostojnych pań domu w Londynie skreśliła go z listy zapraszanych gości. Od przystojnego, wypłacalnego księcia osiągnięcia tej miary wymagały nieco zachodu.

Najwyraźniej jednak ścieżki Ashmonta i lady Olympii przecięły się kilka tygodni temu niedaleko hotelu Clarendon. Czyjś wredny piesek, zapaławszy momentalną niechęcią do Jego Książęcej Wysokości, usiłował zedrzeć mu z nogi but. Ashmont, jak zwykle w stanie znacznego upojenia, przy próbie strząśnięcia psa potknął się i byłby upadł na ulicę – prosto pod rozpędzoną otwartą dorożkę, jako że te tradycyjnie poruszają się z dużą prędkością.

– Ale oto pojawiła się rączka parasolki – wyjawił Ripleyowi. – Zaczepiła o moje ramię, odciągając mnie do tyłu. I po chwili chwiałem się na chodniku, próbując odzyskać równowagę. Tymczasem pies ujadał na całego. A ona powiedziała: „Szsz” albo coś w tym rodzaju i stuknęła o chodnik czubkiem parasolki. I wyobraź sobie, że pies umilkł i czmychnął! – Ashmont roześmiał się na to wspomnienie. – A ona spytała: „Wszystko w porządku, książę?”. Jej pokojówka coś tam mamrotała, ani chybi usiłując odciągnąć swoją panią ode mnie. Sądziłem, że nic mi nie jest, ale lady Olympia spojrzała w dół i oznajmiła, że mam paskudnie rozdarty but. Popatrzyłem. Faktycznie był rozdarty. Zawyrokowała, że nie mogę tak chodzić po Londynie: Bóg jeden wie, co mogłoby mi wpaść do buta i przywrzeć do stopy, powiedziała. No i wtedy, wyobraź sobie, zaproponowała: „Mój powóz za chwilę tu będzie. Zabierzemy pana do domu”. Co też zrobiła, chociaż jej pokojówce było to bardzo nie w smak. Tak jak stangretowi i lokajowi, ale cóż mogli począć. Lady Olympia Hightower! Uwierzysz? Ja nie mogłem. Ile to razy widywaliśmy ją przy różnych okazjach?

Mnóstwo, pomyślał Ripley. Dosyć wysoka dziewczyna, w okularach, ale niebrzydka. Niezła figura. Nie, świetna figura. Była jednak wychowaną pod kloszem panną z bardzo dobrej rodziny, ponoć molem książkowym. Prawie jakby miała na tym wspaniałym biuście nalepkę TRUCIZNA, z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

– Była miła – powiedział Ashmont. – Absolutnie nie w tym mizdrzącym się stylu sentymentalnych dziewczyn, ale rzeczowa i spokojna, trochę jak mężczyzna. Wyznam, że mnie ujęła. I na nic się zdało gadanie stryja Freda, gdy później mu o niej wspomniałem, jak to nie jestem jej wart, że nie dorównuję jej intelektualnie i inne argumenty przeciw. „To zależy od niej, czyż nie?”, powiedziałem mu. A później przystąpiłem do zalotów. Potworna harówka, mówię ci. No, ale w końcu się zgodziła, prawda? A lord Fred jak

się zdumiał, kiedy mu powiedziałem. Nawet poklepał mnie po ramieniu i stwierdził: „Jednak cię nie doceniłem”.

Ashmont wpadł w euforię, że choć raz pokonał stryja-manipulatora. Niemniej według Ripleya lord Frederick Beckingham dostrzegł sposobność i wykorzystał ją jak najlepiej. Powiedzenie Ashmontowi, że nie może czegoś mieć albo zrobić, stanowiło pewny sposób, by nakłonić go do działania.

Nie żeby w ostatecznym rozrachunku grało to rolę, skoro Ashmont był zadowolony, a dziewczyna wiedziała, w co się pakuje. A musiała wiedzieć, jeśli opinie o jej inteligencji odpowiadały prawdzie.

Problem w tym, że ślub ewidentnie nie przebiegał tak gładko, jak powinien. Ashmonta znudziło czekanie, a znudzony Ashmont stawał się niebezpieczny.

Ripley zerknął na szwagra. Blackwood – ciemnowłosy jak Ripley, ale bardziej wymuskany i zdecydowanie przystojniejszy – pytająco uniósł ciemną brew. Ripley wzruszył ramionami.

Blackwood podszedł do nich niespiesznie.

– Nie pojmuję tego zamieszania o rąbek sukni – skomentował Ashmont. – Jest u dołu, zgadza się? No właśnie.

– Jeśli potknie się na nim i runie na twarz…

– Złapię ją – oznajmił Ashmont.

Ripley spojrzał na Blackwooda.

Popatrzyli obaj na Ashmonta. Znajdował się wyraźnie pod wpływem. Ledwie utrzymywał się w pionie.

Jeżeli panna młoda wkrótce się nie pojawi, zdarzy się jedno z dwojga: w najlepszym wypadku pan młody straci świadomość i niewdzięcznie osunie się na podłogę. W najgorszym zainicjuje bójkę.

– Dosyć tego – wybełkotał Ashmont. – Idę po nią.

Ruszył ku drzwiom, ale się potknął. Blackwood złapał go za ramię.

– Dobry pomysł – stwierdził. – Nie ma sensu tu tkwić.

Pochwycił spojrzenie Ripleya. Ripley zajął miejsce po drugiej stronie i wspólnie wyprowadzili przyjaciela z salonu.

Jako że gości przyciągnęły tace z szampanem, w korytarzu napotkali jedynie służbę.

– Dokąd? – zapytał Blackwood.

– Na dół – odparł Ripley.

– Nie dół – zaprotestował Ashmont. – Ona jest na górze. Tam. – Wskazał w górę, kreśląc palcem w powietrzu chwiejne zawijasy.

– Pech – rzekł Ripley. – Przynosi pecha, gdy zobaczy się pannę młodą przed ślubem.

– No cóż, spodziewałem się zobaczyć ją na ślubie – skomentował Ashmont.

Poprowadzili go ku schodom, a następnie, z pewnymi trudnościami, na dół.

– Tędy – rzekł Ripley.

Wprawdzie był już kiedyś w Newland House, ale wieki temu. Nie pamiętał rozkładu pokojów na parterze. W tego typu starym domu spodziewałby się pokoju śniadaniowego lub jadalni oraz, przypuszczalnie, biblioteki. Niemniej charakter pokoju nie miał znaczenia.

Musieli odizolować Ashmonta od alkoholu, a także osób, z którymi potencjalnie zechciałby się pokłócić, czyli mniej więcej wszystkich obecnych.

Ripley i Blackwood poprowadzili przyjaciela ku drzwiom zlokalizowanym w bezpiecznej odległości od głównych schodów. Ripley je otworzył.

Pierwszym, co zobaczył, była biel, całe połacie bieli, jakby chmura wślizgnęła się do pomieszczenia pełniącego funkcję – co zarejestrował jak przez mgłę – biblioteki. Chmury nie noszą jednak białych satynowych pantofelków i pończoch ze szlaczkiem, no i zwykle nie stoją na schodkach bibliotecznych.

– Ups – powiedział Blackwood.

– Do diabła, Olympio – odezwał się Ashmont. – Co tu robisz, do cholery?

Usiłował wyrwać się przyjaciołom.

– Zabierz go stąd – polecił Ripley.

– Nie, żadne zabierz, szlag by was – sprzeciwił się Ashmont. – Muszę z nią pomówić. Nie spartolę tego.

W swym obecnym stanie dokładnie tyle by zdziałał.

Ripley posłał Blackwoodowi ich wyćwiczone spojrzenie: „To co robimy?”.

– To pech – przypomniał Ashmontowi Blackwood. – Zobaczenie panny młodej przed ślubem przynosi pecha.

Kiedy ciągnął protestującego Ashmonta z powrotem na korytarz, rzucił przez ramię do Ripleya:

– Odpowiadasz za szczegóły związane ze ślubem. Zrób coś.

– Obrączka – odrzekł Ripley. – Licencja. Gotówka. O tym była mowa. Nie o pannie młodej.

– Zrób coś – powtórzył Blackwood.

***

Ripley ponownie otworzył drzwi.

Na pobliskich schodkach bibliotecznych nikogo nie zastał. Jakiś dźwięk przyciągnął jego spojrzenie do okien. Ujrzał roztrzepotaną biel. Wybranka Ashmonta siłowała się z okienną zasuwką.

Ripley swobodnym krokiem przeciął pokój.

– Zabawne – skomentował. – Czy nie powinna pani być na ślubie?

– Tak, wiem – odparła. – Wspomógłby pan spłonioną pannę młodą. Zasuwka się zacięła.

Wychwycił woń brandy zmieszaną z kwiatowym zapachem.

Choć jego mózg nie był aktualnie w szczytowej formie, Ripley stosunkowo łatwo podsumował sytuację: pijana panna młoda przy oknie podejmuje próbę wydostania się na zewnątrz.

Rysował się tu pewien problem.

– Dlaczego? – zapytał Ripley.

– Skąd mam wiedzieć, czemu się zacięła? – odpowiedziała pytaniem. – Czy wyglądam na hydraulika? Czy jak tam się zwie. Szklarza. – Pokiwała głową. – Człowieka od okien.

– Nie będąc człowiekiem od okien, mogę nie mieć dostatecznych kwalifikacji, żeby służyć pani pomocą w takiej sprawie.

– Niech pan zaskoczy sam siebie. Jestem damą w opałach. A pan…

Odwróciła głowę, by nań popatrzeć. Zagapiła się na węzeł jego halsztuka, mniej więcej na wysokości jej wzroku. Potem zmrużyła oczy i przesunęła spojrzenie wyżej.

Wokół skrytych za okularami szarych oczu odcinały się czerwone obwódki.

Niedawno płakała.

Oczywiste, że Ashmont powiedział lub zrobił coś, co ją zdenerwowało. Żadna nowość. Jego język często wyrywał się daleko przed mózg. Choć nie tylko jego, takt nie zaliczał się do mocnych stron żadnego z ich tria.

– Niech to szlag – powiedziała. – Pan. Wrócił pan.

– Ach, zauważyła pani.

Odczuwał dziwne zadowolenie. Ale też szampan zwykle wywierał taki efekt, również spożywany w małych dawkach.

– Ma pan ponad metr osiemdziesiąt wzrostu – stwierdziła, odchylając w tył głowę. – Stoi pan przede mną. Może słabo widzę, ale nie jestem ślepa. Rozpoznałabym pana nawet bez okularów i z bardziej odległej… z większej odległości. I wolałabym, żeby pan się tam znalazł. Daleko. – Przegoniła go gestem. – Niech pan sobie idzie. Chcę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. W… eee… Ogrodach Kensington.

– W sukni ślubnej – uzupełnił.

– Przecież jej nie zdejmę i nie założę z powrotem jak peleryny – wyjaśniła z bezgraniczną cierpliwością, z jaką ludzie zwracają się przeważnie do niezbyt lotnych dzieci. – To skomplikowane zadanie.

– Pada deszcz – odparł z taką samą cierpliwością.

Spojrzała na okno. Krople deszczu spływały w dół po szkle, rysując kręte ścieżki.

Odprawiła go majestatycznym gestem.

– Mniejsza z tym, skoro zamierza się pan rozwodzić nad każdą drobnostką.

Powróciła do walki z zasuwką. Która tym razem ustąpiła.

Otworzyła okno.

– *Adieu* – powiedziała.

Po czym z furkotem satyny i koronki wygramoliła się na zewnątrz.

***

Ripley przez chwilę stał i dumał.

Chciała iść, on zaś uważał przetrzymywanie kobiet wbrew ich woli za niehonorowe.

Mógł się cofnąć i poinformować Ashmonta, że narzeczona mu ucieka.

Mógł się cofnąć i powiedzieć o tym jakiemuś mężczyźnie z jej rodziny.

Nie była problemem Ripleya.

Była problemem Ashmonta.

Tak, Ashmont wyznaczył Ripleya, by czuwał nad przebiegiem ślubu. Tak, wydawało się, że Ashmontowi nietypowo zależy na tym, by ślub się udał. I, tak, Ripley obiecał zająć się wszystkim: pilnować obrączki, w miarę potrzeby dostarczać monety, upewnić się, że Ashmont robi to, co powinien.

Odzyskiwanie panny młodej nie wchodziło w zakres umowy.

Nie powinno być takiej potrzeby.

Tylko dlatego, że była pijana i płakała…

– Do diabła! – mruknął.

Wyszedł przez okno.

***

Ripley spostrzegł chmurę białej satyny i koronki na moment przed tym, jak zniknęła między wysokimi krzewami i drzewami.

Przyspieszył kroku, zerkając zarazem w okna domu. Nic nie wskazywało na to, by akurat ktoś przez nie wyglądał. Goście weselni zebrali się po przeciwnej stronie rezydencji. Doskonale. Jeśli Ripley prędko sprowadzi ją z powrotem, załatwią sprawę tak, że nikt się nie zorientuje.

Rozejrzał się, ale nie dostrzegł ogrodników. Widocznie bawili się z kompanami lub chronili przed deszczem.

Ripley miał świadomość, że pada, ale rejestrował ów fakt niejako na drugim planie. Choć docierało do niego bębnienie kropli po liściach, trawie i ścieżkach, koncentrował się na pannie młodej, która przemieszczała się w żwawym tempie, jeśli się wzięło pod uwagę warstwy satyny i koronki, baloniaste rękawy i wszystkie pozostałe czynniki.

Nie krzyczał, gdyż na razie nie biegła, przynajmniej nie pełnym pędem, a nie chciał jej do tego sprowokować lub przestraszyć na tyle, żeby zrobiła coś jeszcze bardziej niedorzecznego, aczkolwiek w tej chwili nie miał pomysłu, co by to mogło być.

Jej strój nie sprzyjał sportowym wyczynom – co skądinąd odnosiło się do kobiecych ubrań w ogólności – a miejsce przypominało tor przeszkód. Ogrody Newland House, gęsto obsadzone roślinnością, były wiekowe. Niektóre z tutejszych drzew powiewały gałęziami nad głową królowej Anny. Na śliskim gruncie, ubrana w tę kieckę i bardziej niż trochę

wstawiona, panna młoda miała wielkie szanse zaplątać się w krzaki bądź potknąć o własne spódnice lub stopy.

W każdym razie doganiał ją w miarowym tempie.

Znajdował się już na tyle blisko, by zobaczyć, jak stopy wyślizgują się spod niej i kręci młynka ramionami, walcząc o odzyskanie równowagi. Minimalnie się spóźnił, żeby ją złapać, nim przegrała bitwę i klapnęła w błoto.

Chwycił ją pod ramiona i dźwignął do pionu.

Wykręcała mu się. Przez kilka tysięcy warstw sukni i bielizny poczuł, jak jej pupa wchodzi w kontakt z jego pachwiną, co na moment go rozkojarzyło.

Był mężczyzną. Jego pierwsza myśl brzmiała: *Wyjątkowy tyłeczek.*

Nieważne, powiedział sobie. *Rób, co do ciebie należy, i odprowadź ją z powrotem.*

– Bardzo przepraszam – rzekł. – Czyżbym się pomylił? Życzyła pani sobie, żebym pozostawił ją leżącą w błocie?

– Niszczy mi pan rękawy!

Deszcz lał mu się na głowę.

Jego kapelusz został w domu. Bez niego Ripley czuł się nagi. Bardziej nagi, niż gdyby faktycznie stał tutaj nago.

Czuł się też mokry.

Puścił ją.

– Suknię i tak już pani zniszczyła – stwierdził. – Smugi błota i plamy z trawy na plecach. Można by pomyśleć, że oddawała się pani miłosnym figlom w krzakach. Na pewno dostarczy to wszystkim powodów do ekscytacji. Ashmont podekscytuje się bez wątpienia. A ponieważ jestem jedynym osobnikiem płci męskiej w pobliżu, to mnie wyzwie na pojedynek. I będę musiał kurować go z ran. Ponownie.

– Niech go pan trzaśnie w twarz – poradziła. – On panu odda. Wówczas nie będzie mógł pana wyzwać, nie będąc stroną poszkodowaną.

Długi welon lepił się do jej włosów i ramion. Loki po bokach rozprostowywały się stopniowo, a stroik na głowie się przekrzywił.

Przez jej twarz przemknął spazm i Ripley spodziewał się wodospadów łez, ona wszakże zacisnęła zęby i wysunęła brodę.

– Może pan już iść – oznajmiła. – Absolutnie nic mi nie dolega. Potrzebuję tylko chwili, żeby… eee… pomodlić się… w związku z tą

uroczystą okazją, która odmieni moje życie na zawsze i na lepsze. Zatem… *au revoir.*

Popatrzył znów w stronę domu.

Co takiego zrobił Ashmont? Jak bardzo źle lub głupio postąpił? Czy należało pozwolić jej iść, dokądkolwiek zmierzała?

Nie, umowa tego nie obejmowała. Myślenie nie wchodziło w zakres obowiązków Ripleya. Jego zadaniem było zadbać o to, żeby ślub przyjaciela przebiegł gładko. Co oznaczało, że musiał odzyskać pannę młodą.

Ripley odwrócił się znów ku niej, akurat w porę, by zobaczyć, jak oddala się biegiem i wpada na ścieżkę pomiędzy gęsto nasadzonymi rododendronami. W mgnieniu oka ją przesłoniły, jeśli nie liczyć mignięć bieli tu i ówdzie.

Poczekała, aż Ripley odwróci się do niej plecami – no dobrze, aż odwróci głowę – i uciekła.

Całkiem… pomysłowe.

Tak czy owak, nie wchodziło w grę, by radośnie podążyła swoją drogą.

Jeśli nie chciała Ashmonta, będzie musiała wyjaśnić to sobie z nim osobiście.

To znaczy, kiedy oboje wytrzeźwieją.

Ripley ruszył za nią.

***

Choć weselnicy istotnie zebrali się w pobliżu szampana, w zachodniej, frontowej części domu, najstarszy brat panny młodej, lord Ludford, szukał siostry.

Newland House wzniesiono na początku siedemnastego wieku i od tamtej pory wielokrotnie rozbudowywano i modernizowano. Budynek, rozparty na sporej części przynależnego do niego terenu, przywodził na myśl labirynt zaprojektowany przez szaleńca. Ponieważ lady Newland i lady Gonerby były siostrami, rodziny żyły ze sobą blisko. Liczne potomstwo obu dam dokazywało swobodnie w domu jednej lub drugiej, przez co w tej rezydencji każdy czuł się jak u siebie. Jako że Ashmontowi pilno było się pobrać, a w Gonerby House trwał akurat remont, damy uzgodniły, że ślub odbędzie się tutaj.

Ludford przypuszczał, że obawiały się, iż jeśli każą Ashmontowi czekać zbyt długo, gotów się rozmyślić. Jeżeli chodzi o Ludforda, odpowiadałoby mu takie rozwiązanie. Uważał, że Ashmont nie zasługuje na Olympię. Jeśli przypadkiem uciekła, Ludford jej nie winił. Przeciwnie, byłaby to mądra decyzja. Aczkolwiek także niepokojąca. Przyzwoite dziewczyny, takie jak Olympia, nie powinny wypuszczać się z domu same. Mogły im się przydarzyć potworne rzeczy.

Dlatego miał nadzieję, że siostra ukrywa się gdzieś na terenie rezydencji.

Olympia, która nieraz spędzała tutaj całe tygodnie w towarzystwie kuzynek, miała liczne sekretne miejsca, gdzie chroniła się, żeby studiować takie czy inne starożytne tomiszcze lub uczyć się na pamięć katalogu książek na sprzedaż. Zakładał, że tak właśnie postąpiła dzisiaj, choć nie miał pojęcia dlaczego.

Podobnie jak jego ojciec, Ludford nie zwykł myśleć w sposób skomplikowany. Kiedy spostrzegł, że zniknęła jego butelka, natychmiast wziął pod lupę młodszych braci.

Zwykle wystarczyło solidnie nimi potrząsnąć, żeby uzyskać wyznanie. Tym razem wydawali się autentycznie zdumieni. Mały Clarence chyba coś wiedział lub podejrzewał, lecz o cokolwiek chodziło, nie chciał tego wyjawić, a był równie uparty jak Olympia.

Ludford odszukał teraz Clarence’a w pokoju dziecięcym, dokąd chłopca zesłano w następstwie jakiejś zabawy, która doprowadziła do zbicia kieliszków z szampanem. Andrew, współsprawca przestępstwa, został z nim rozdzielony i gnił obecnie w sali lekcyjnej.

Ludford gwałtownie otworzył drzwi pokoju dziecięcego.

– Ty coś wiesz, pętaku – oznajmił. – I lepiej się przyznaj albo…

Urwał, gdyż Clarence, czerwony na twarzy, odwrócił się od okna, przez które właśnie wyglądał.

Tak, powinien się przestraszyć, gdy Ludford napadł na niego w ten sposób. O to przecież chodziło. Tyle że Clarence odskoczył od okna jak oparzony.

– Nie wiem! – krzyknął. – Nic nie wiem! I nie zmusisz mnie!

Ludford dopadł do okna akurat w porę, by zobaczyć błysk bieli w zaroślach i księcia Ripleya zmierzającego w tamtym kierunku, nie biegiem wprawdzie, ale też nie w charakterystycznym dlań leniwym tempie.

Ludford pędem opuścił pokój dziecięcy.

***

W księżycową noc Ripley z nie lada przyjemnością ścigałby wesołą wdówkę po krętych ogrodowych ścieżkach, w gąszczu wysokich zarośli, które rzucały dodatkowe wyzwanie.

Tyle że to nie była księżycowa noc, a lady Olympia Hightower nie była wesołą wdówką.

Mignięcia bieli parły naprzód miarowo i z zaskakującą szybkością, znacznie go wyprzedzając.

Kiedy dał nura w którąś z kolei ścieżkę, białe przebłyski zniknęły całkowicie. Później przez szum padającego deszczu przebiły się ciche brzęki. Podążał dalej, aż wreszcie gęstwina krzewów ustąpiła miejsca niewielkiej otwartej przestrzeni przed żelazną furtką w wysokim murze.

Furtką, z którą lady Olympia właśnie się siłowała.

Przeszedł kilka kroków po rozmiękłej od deszczu ziemi i znalazł się przy niej.

Na moment zaprzestała wysiłków i obejrzała się przez ramię.

– O – powiedziała. – Pan. – Zdyszała się wskutek niedawnych trudów, pierś jej falowała. – To draństwo jest zamknięte.

– Oczywiście, że jest zamknięte – stwierdził. – Nie można przecież dopuścić, żeby plebs szwendał się po ogrodzie i tratował rododendrony.

– Pal sześć rododendrony! Jak się stąd wydostać?

– Może się nie da? – zasugerował.

Pokręciła głową.

– Musimy poszukać innej drogi na zewnątrz.

– My? – podchwycił. – Nie. Pani i ja to nie „my”.

Zesztywniała nagle, oczy jej się rozszerzyły.

Także to usłyszał.

Głosy zbliżające się, jak zgadywał, tą samą trasą, którą i on niedawno pokonał.

– Mniejsza z tym – oznajmiła. – Za późno. Musi mi pan pomóc przejść przez mur.

– Nie. Nie mogę.

– Owszem, może pan. Stoi pan tutaj i co innego ma do roboty? Niechże choć raz w życiu przyda się pan na coś i pomoże mi przejść przez mur. I to tak w miarę szybko. – Tupnęła nogą. – Teraz!

Fragmenty jej koafiury się rozsypały, kosmyki mokrych brązowych włosów kleiły się jej do twarzy. Konstrukcja na czubku głowy przesunęła się jeszcze bardziej w bok, a między kwiaty pomarańczy zabłąkały się liście i opadłe płatki rododendronów. Welon oplatał jej szyję. Czubek wąskiego nosa miała upaćkany błotem.

– Przez mur – rzekł, grając na czas.

– Tak, tak. Nie dam rady wpiąć się po bluszczu w tej sukni… a już na pewno nie w tych butach. Szybciej! Nie słyszy ich pan?

Próbował obmyślić taktykę opóźniającą, ale jego mózg nie palił się do pomocy. Potem dotarły doń bezładne krzyki i nawoływania, przywodzące na myśl ujadanie ogarów i wściekłą tłuszczę. Wtedy w jego głowie coś się przestawiło.

Od czasów Eton Ripley i jego dwaj kompani umykali przed przedstawicielami władzy, jak również zagniewanymi rolnikami, pastorami, kupcami i, ogólnie, wszelkiego rodzaju godnymi szacunku osobami, nie wspominając o stręczycielach, kieszonkowcach, szulerach tudzież innych już nie tak poważanych personach.

– Szybciej! – ponagliła.

Splótł dłonie i się nachylił. Postawiła na nich ubłocony pantofel, brudną ręką podparła się o mur dla równowagi, po czym wybiła się w górę. Następnie z łatwością, która zaskoczyłaby Ripleya, gdyby na tym etapie cokolwiek było jeszcze w stanie go zaskoczyć, wspięła mu się na ramiona i sięgnęła do muru.

W każdym razie zakładał, że tak zrobiła.

Widok, jaki przypadł mu w udziale – przedni, acz krótkotrwały – ograniczał się do nogi w pończosze i podwiązki. Następnie świat nad jego głową wypełniły biała satyna i półhalki, i zapach kobiety. Z ledwością wystarczyło mu trzeźwości umysłu, żeby przytrzymać ją za kostki i ustabilizować.

– Wyżej – powiedziała. – Nadal nie sięgam. Wyżej! Szybko!

Głosy się zbliżały.

Chwycił jej stopy i wypchnął ją w górę, sobie nad głowę. Ciężar rozpłynął się, kiedy znalazła punkt oparcia na szczycie muru. Ripley zobaczył tylne partie jej nóg, kiedy gramoliła się na mur i siadała na nim. Moment później zniknęła mu z oczu.

Głosy były już bardzo blisko.

Przed chwilą postąpił bez namysłu i teraz również się nie zastanawiał. Kiedy dziewczyna zniknęła za murem, uczepił się gęstego bluszczu i wspiął po nim na szczyt, a następnie opuścił po drugiej stronie.

Spojrzał w prawo, potem w lewo.

Chmura białej satyny i koronek sunęła szybko w dół Horton Street.

Pobiegł za nią.

Rozdział 2

Ripley dogonił pannę młodą na głównej ulicy Kensington. Zwolniła, ale się nie zatrzymała.

– Dorożka – powiedziała, skinieniem głowy wskazując pobliski postój. – Ma pan pieniądze?

– Najpierw pomoc w pokonaniu muru – utyskiwał. – Teraz pieniądze.

– A jednak pan tu jest. Nadal. Znowu.

– Tak. Ponieważ…

– Potrzebuję. Pieniędzy. Na. Dorożkę. – Zamachała w kierunku pojazdów, wołając: – Tutaj!

Woźnica pierwszej z ustawionych w kolejce dorożek przyjrzał się jej z zainteresowaniem, nic jednak nie wskazywało na to, by zamierzał się ruszyć.

Dlaczego miałby to robić? Wyglądała jak uciekinierka z domu dla obłąkanych.

Sam Ripley również prezentował się więcej niż odrobinę ekscentrycznie, bez kapelusza, rękawiczek czy laski.

Nadal wszakże był księciem, jednym z najbardziej niesławnych i rozpoznawalnych arystokratów w Anglii.

No i, jak powiedziała, znajdował się na miejscu. To Ashmont powinien tu być, ale go zabrakło, a ktoś musiał się nią zaopiekować. Po prostu nie puszcza się samopas chowanej pod kloszem młodej kobiety, zwłaszcza zaś młodej kobiety należącej do głupiego przyjaciela, który nie potrafił jej upilnować.

Świetnie jest szaleć i dokazywać, nie przejmując się wytwornym towarzystwem. Kiedy jednak człowiek prosi dziewczynę o rękę, nie powinien dawać jej najmniejszego powodu do tego, żeby nie pojawiła się na ślubie.

Szczyt niedbalstwa, ot co. Ashmont był zepsuty, na tym polegał problem. Nigdy nie musiał się wysilać w relacjach z kobietami.

Najwyższa pora, żeby zaczął.

Ripley położył ciężko dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Przystańmy na chwilę, żeby się zastanowić.

– Cały czas się zastanawiam – odparła. – Zastanawiam się, gdzie ta przeklęta dorożka? Dlaczego nie podjeżdżają?

– Rozważmy, jak pani wygląda – zasugerował. – No, wie pani. Suknia ślubna. Welon i tak dalej. Robią dziwne wrażenie, nie sądzi pani?

– Mało mnie to obchodzi.

– Domyślam się. Spróbujmy jednak sprawiać wrażenie bardziej spokojnych i rozsądnych.

– Jestem rozsądna. – Zacisnęła pięści. – I absolutnie spokojna.

– Dobrze. Doskonale. A teraz podejdźmy do tematu krok po kroku. Dokąd proponuje pani się udać?

Wykonała zamaszysty gest.

– Daleko.

– Daleko – powtórzył.

Przytaknęła, a kopiec włosów, koronek i czego tam jeszcze przesunął się bardziej na bok jej głowy.

– Dobrze – powiedział. – Zawsze to jakiś początek.

Po prostu będzie musiał myśleć za nich oboje, zniechęcająca perspektywa. Nie lubił myśleć nawet za samego siebie.

Uniósł rękę i skinął.

Pierwsza w kolejce kryta dorożka ruszyła ku nim niemrawo, podczas gdy Olympia prawie że podskakiwała z niecierpliwości.

Kiedy pojazd zatrzymał się przy nich, Ripley otworzył drzwi.

Wspinając się na stopień, straciła równowagę i zaczęła przechylać się w tył.

Pchnął ją lekko do przodu, w rezultacie czego runęła na słomę na podłodze dorożki. Przyglądał się jej, gdy się podnosiła – przez emocjonującą chwilę wypinając pupę – i opadała na siedzenie. Wygładziła spódnice, poprawiła okulary i spiorunowała Ripleya wzrokiem.

Z jakiegoś powodu nastrój mu się poprawił.

– Dokąd waszmość każą? – zapytał woźnica.

– Wasza Książęca Wysokość – skorygowała. – Nie rozpoznaje pan tej ponadprzeciętnej arogancji? Czy nie jest oczywiste, że to książę?

Nastrój Ripleya poprawił się jeszcze odrobinę.

Jeśli woźnica ją usłyszał, nijak tego nie okazał.

– Battersea Bridge – polecił Ripley.

Wspiął się do pojazdu.

Most znajdował się kawałek na południe stąd. Dzięki temu Ripley zyska trochę czasu. Żeby postanowić, co chce zrobić. Zarazem odległość nie była na tyle znaczna, by uniemożliwić mu odstawienie panny młodej z powrotem w rozsądnym czasie, gdyby zdecydował się na takie właśnie rozwiązanie.

Zaletę Battersea Bridge stanowił fakt, że nie będzie to pierwsze miejsce, które przyjaciołom Ripleya przyjdzie do głowy sprawdzić.

– Czy może chodzi pani o jakieś konkretne „daleko”? – zagadnął.

– Cicho – odparła. – Myślę.

Powóz ruszył z hałasem.

– Dziwne – skomentował Ripley. – Wprawdzie nie komunikowaliśmy się szczególnie intensywnie, na ile jednak zaobserwowałem, myślenie i pani jesteście jak dwa obce kraje. W stanie wojny.

Pokręciła głową i pogroziła mu palcem w sposób charakterystyczny dla osób pod wpływem.

– Tym mnie pani nie uciszy – stwierdził. – Ale skoro już pani myśli, może będzie łaskawa pomyśleć o udzieleniu wyjaśnień.

– Na temat czego?

Wskazał jej brudną suknię ślubną i brudne wnętrze dorożki.

– Tego. Ucieczki. Ponieważ nadal czuję się odrobinę zdezorientowany i bynajmniej nie taki pewien, że to najlepszy pomysł. Rozważam, czy nie polecić woźnicy, żeby zabrał nas z powrotem.

– Nie – powiedziała.

– Ale na pewno doskonale pani rozumie, jaki to kuszący koncept.

– Nie.

– Proszę posłuchać. Miałem dosyć ciężki poranek.

– Pan!

– Tak. Przebiega zupełnie inaczej, niż powinien.

– Witam w klubie.

– Widzi pani, nie spodziewałem się, że będę się wlókł w ślimaczym tempie rozpadającą się dorożką na Battersea Bridge – wyjaśnił. – Czy dowolny inny most. Żywię mocne przekonanie, że nie powinienem pomagać pijanej pannie młodej, która w ostatniej chwili postanawia uciec z własnego ślubu.

– Nie jestem pijana – obruszyła się. – I nie pan jeden miał ciężki poranek. Jeśli nie chce mi pan pomagać, nic pana tutaj nie trzyma, niech pan każe woźnicy stanąć i wysiada.

– Nie tak całkiem nic mnie nie trzyma. Jestem… tym, no… Specjalnym wysłannikiem pana młodego. Albo pani stróżem. Niech będzie, że druhną. Rzecz w tym, że powierzył mi to zadanie i zapewne powinien pogodzić się z ryzykiem, że je sknocę. Niemniej wiem tyle, że nie można pani pozwolić szwendać się samej. W przeciwnym razie cofnąłbym się po kapelusz. Albo nie. Mógłbym po prostu wrócić, a panią zostawić komu innemu. Ale to nie wchodziło w rachubę, jak właśnie wyjaśniłem, ze względu na wspomniane zadanie. Co za sens przynosić obrączkę, licencję, pieniądze i tak dalej, kiedy panna młoda wybywa nie wiadomo dokąd.

Podniosła wzrok na jego głowę.

– Ma pan mokre włosy.

Spłynęło to po nim. Przywykł do rzucanych bez związku pijackich komentarzy.

– Wszystko jest mokre – stwierdził.

– Tak.

– Proszę się nie martwić. Nie rozpuszczę się.

– Akurat o to bym się nie martwiła. Rzecz w tym… – Na chwilę zamknęła oczy, najwyraźniej jednak podążanie za biegiem myśli ją przerosło, otworzyła je bowiem na powrót i powiedziała: – Kiedy wyrzuci mnie pan przy tym moście…

– Inny mężczyzna, taki, któremu marzyła się spokojna ceremonia ślubna, dobry szampan i wyśmienite weselne śniadanie… bo Newlandowie mają doskonałego kucharza, wie pani.

Patrzyła na niego lodowato.

– Taki typ – ciągnął Ripley – kiedy ominąłby go ów jakże wyczekiwany posiłek, do czego należy dodać jeszcze lekkie niewyspanie, otóż taki typ mógłby odczuć pokusę, żeby zrzucić panią z tego mostu. Do rzeki, gwoli ścisłości. Ja wszakże…

– Tak, pan jest druhną.

– Ja nie mam w zwyczaju topić kobiet, to zamierzałem powiedzieć.

– Popłynę łodzią – oznajmiła tonem, jakim zwykle obwieszcza się dekrety lub wyroki śmierci. – Do cioci Delii. Do Twickenham.

Zamrugał.

– Nadzwyczajne. Ma pani plan.

– Tak. Potrzebowałam tylko umysłowej stymulacji w postaci pańskiego stymulującego towarzystwa.

– Istnieje jakaś szansa, by panią zastymulować do tego, by mi pani powiedziała, przed czym konkretnie ucieka? – zagadnął. – Albo lepiej, jakaś szansa, że zmieni pani zdanie, jak przystało na dobrą dziewczynę, i zawróci? Jakaś szansa na coś, och, wie pani, graniczącego ze zdrowym rozsądkiem?

– Kości zostały rzucone – oznajmiła owym tonem od dekretów i wyroków śmierci. – Proszę być tak dobrym i zdjąć mi z głowy to szkaradzieństwo.

Ponieważ nie był w dostatecznym stopniu pijany – czy też wcale, znienacka bowiem jakby skrajnie wytrzeźwiał – zajęło mu chwilę zinterpretowanie jej prośby. Rozkazu.

– Pani włosy? – zapytał. – Nie są umocowane na stałe?

– Czy to dzieło architektury wygląda na umocowane na stałe? Ześlizguje się i ciągnie te włosy, które faktycznie są moje. Jest szalenie niewygodne i zupełnie do mnie nie pasuje. Z piasku loków nie ukręcisz. Usiłowałam im to wyjaśnić, ale nikt mnie nie s-słuchał.

– Chciała pani chyba powiedzieć „bicza”…

Wybuchnęła płaczem.

Oj!

***

Niektórych mężczyzn łzy wpędzają w panikę.

Ripley się do nich nie zaliczał.

Gdyby ta tutaj rozszlochana niewiasta była jego siostrą, dałby się jej wypłakać na swoim ramieniu, zniszczyć mu surdut i halsztuk tudzież usmarować różem chusteczkę. Później wręczyłby jej pieniądze i powiedział, żeby coś sobie kupiła.

Gdyby była jego kochanką, obiecałby jej rubinowy lub diamentowy naszyjnik, w zależności od tego, jak wiele łez by się polało i w jakim tempie.

Niemniej tej tutaj rozszlochanej niewiasty nie mógł porównać z siostrą lub którąkolwiek z kochanek, ani nawet z własną matką. Przynależała do

całkiem odmiennego gatunku. Między innymi była narzeczoną Ashmonta. Ashmont nigdy wcześniej takowej nie posiadał. A ponieważ chodziło o zupełnie nową kategorię Sytuacji z Rozszlochaną Niewiastą, Ripley potrzebował chwili, żeby określić kierunek działań.

Zdecydował się na podejście energiczne.

– Uszy do góry – rzekł. – Wystarczyło pani determinacji, żeby przejść przez mur. Zachowuje się pani, jakby uciekała po raz pierwszy w życiu. To nie koniec świata.

– Owszem, koniec – chlipnęła. – Wszystko zniszczyłam. Clarence nigdy nie pójdzie do Eton, Andrew nie zostanie oficerem, nikomu nie zdołam pomóc, a w dodatku nie będę nawet miała tej biblioteki!

Ripley nie miał pojęcia, o czym ona mówi, i nie widział potrzeby męczenia mózgu, by takie pojęcie zyskać. Jak często kobiety mówią z sensem? Jak kształtowały się szanse, że to akurat taki przypadek?

– Kości nie zostały rzucone – powiedział owym dodającym animuszu tonem, jakim przemawia się do dżokeja przed wyścigiem. – Może pani zawrócić. Ashmont jest tak pijany, że uwierzy we wszystko, co mu powiemy. A jutro będzie pamiętał wydarzenia jedynie w ogólnym zarysie. Powiem mu, że przez przypadek się pani upiła i…

– Nie jestem p-pijana.

– Proszę mi wierzyć, rozpoznaję ten stan. Jest pani więcej niż wstawiona. Przegrała pani walkę ze stopniem dorożki. Oto, co mu powiemy. Powiemy, że przez przypadek napiła się pani brandy, biorąc ją za… hm… z czym, u diaska, można pomylić brandy?

– Z h-herbatą – chlipnęła. – Była w herbacie. Na początku.

– Na początku – powtórzył.

Przytaknęła. Z gigantycznego rękawa wydobyła misterny kwadracik koronki, zdjęła okulary i przetarła rzeczonym skrawkiem oczy i nos. Na powrót nałożyła okulary i szturchnęła mostek małym palcem, żeby przesunąć je na właściwe miejsce.

– Ale wypiłam tamto. Resztkę z butelki Stephena. – Zmięła w dłoni domniemaną chusteczkę. – Wykradłam ją wczoraj wieczorem. Po tym, jak mama opowiedziała mi o nocy poślubnej. To znaczy mniej więcej opowiedziała. Niektóre aspekty pozostają dla mnie niejasne. Pomyślałam jednak, że brandy wzmocni moją determinację. W obliczu Nieuniknionego.

– Szkoda, że mama bardziej się nie przyłożyła do tych wyjaśnień – skomentował Ripley. – To Ashmont, wie pani, nie jakiś niedoświadczony dureń.

– Tak, jest doświadczonym durniem.

– W każdym razie nie ma się czego obawiać – zapewnił. – Ludzie robią to nieustannie. Konsekwencje nader rzadko bywają śmiertelne.

– Konsekwencjami są dzieci – odparła ponuro. – Powinnam była sama zbadać temat, zamiast polegać na mamie. Nie jestem pewna, czy mama pojmuje związek. Między aktem małżeńskim a dziećmi. Miała ich aż nadto. Na jej miejscu zatrzymałabym się po trzech. Albo po trzech chłopcach. To dobra, bezpieczna liczba, zgodzi się pan?

Nie uważał za dobry, bezpieczny pomysł, by oddawać się rozmyślaniom nad aktem małżeńskim. Upłynęło nietypowo dużo czasu, odkąd miał kobietę, aktualnie zaś nic nie zdziała w tej kwestii. Tymczasem jego umysł, tak podatny na wpływy swego mniejszego odpowiednika poniżej pasa, aż nazbyt ochoczo snuł wyobrażenia, jak błyskawicznie naprawić to niedopatrzenie.

Ripley zmusił się do koncentracji na jej słowach. Na szczęście zmieniła temat.

– Nie mogłam pojąć, czemu poprosił o rękę akurat mnie – mówiła właśnie. – Wątpię, by czuł się zdesperowany. Zdziwiłby się pan, jak wiele dziewcząt z chęcią przymknie oko na słabostki mężczyzny, kiedy jest on księciem. Lub może by się pan nie zdziwił.

Pewnie znalazłoby się mnóstwo takich dziewcząt, żadna wszakże nie byłaby odpowiednią księżną dla Ashmonta. Przy wszystkich brakach Ashmont miał swoją dumę – prawdę mówiąc, miał jej wręcz za dużo, żeby wychodziło mu to na dobre. Nawet w pijackim zamroczeniu nie poślubiłby dziewczyny, która nie byłaby atrakcyjna, dobrze urodzona i całkowicie sprawna umysłowo. Nie wybrałby głupiej, nudnej lub swarliwej. Mówiąc krótko, chciał perfekcji. Nie grało roli, czy na nią zasługuje.

– Powiedziałam sobie, żeby nie zaglądać w zęby darowanemu koniowi – dodała.

– Jakiemu darowanemu koniowi? – zdumiał się Ripley. – Podoba mu się pani. Czy to nie wystarczy?

Pokręciła głową.

– Nie widzę w tym sensu.

Najwidoczniej jej wada wzroku była drastyczna. Gdyby nie nalepka TRUCIZNA, Ripley dobrałby się do niej lata temu.

– Jak najbardziej ma to sens – odparł. – Gdyby była pani mężczyzną, rozumiałaby pani. A tak…

– No a dzisiaj poszłam do biblioteki, żeby zbadać temat…

– Czekała pani do dnia ślubu – odkrył. – Nie, nie po prostu do dnia, ale dokładnie do momentu, kiedy powinna była pani wypowiadać słowa przysięgi małżeńskiej.

Poczekała do chwili, gdy kompletnie się wstawiła, do którego to stanu, co oczywiste, nie nawykła.

– Starałam się o tym nie myśleć, ale ta kwestia mnie dręczyła – wyjaśniła. – Czy kiedykolwiek starał się pan o czymś nie myśleć?

– Rzadko muszę się starać.

– Po prostu zażyczy pan sobie i to znika?

– Tak.

– Dobrze być księciem – podsumowała.

– Istotnie.

Znacznie, znacznie lepiej, niż być synem księcia, jak pokazywało doświadczenie Ripleya i jego przyjaciół. Nie miał pewności, czy ich ojcowie byli najgorszymi pośród brytyjskiej arystokracji, ale zdecydowanie plasowali się w czołówce wyścigu po ten tytuł.

– Ja tak nie potrafię – stwierdziła. – To jak próby powstrzymania komara brzęczącego koło ucha. A rzeczy, w których nie dostrzegam sensu, przypominają najbardziej uparte komary. Znalazłam tylko książkę o hodowli zwierząt, no i dopiero wtedy, wreszcie, dodałam dwa do dwóch. Albo dwa do dwóch i dwóch, i jednej. Jest nas siedmioro, w tym tylko jedna dziewczyna. Czyli oni… ktokolwiek namówił go lub podstępem nakłonił do ożenku… na pewno argumentowali: „Weź choćby tę dziewczynę od Gonerbych. Trudno o lepszą klacz zarodową. Pierwszorzędne szanse na dziedzica i jakiś przychówek ekstra na wypadek nieszczęścia”.

– Ponieważ znam Ashmonta, uważam tę teorię za wysoce nieprawdopodobną. – Choć, oczywiście, rozpłód nastąpi, stanowi bowiem częstą konsekwencję spółkowania, chyba że zachowuje się wielką ostrożność. – Przypisuje mu pani o wiele więcej przemyśleń, niż

kiedykolwiek by poświęcił tej kwestii. Na ile rozumiem, przykuła pani jego uwagę, gdyż zachowała się wobec niego miło.

– Miło! – wykrzyknęła. – Trudno, żebym spokojnie patrzyła, jak rozjeżdża go dorożka.

– Wykazała się pani bystrością umysłu, a także niejaką biegłością.

– Mam sześciu braci! Nieustannie do czegoś wpadają albo z czegoś wypadają. Zadziałałam instynktownie.

– Ashmontowi wydało się to miłe, zwłaszcza fakt, że zawiozła go pani do domu. Najwyraźniej w trakcie podróży dobrze się pani przyjrzał, no i zawładnęła pani jego wyobraźnią. Ponieważ jest pani dziewczyną z wyższych sfer, małżeństwo stanowi wymóg.

Przy czym ta dziewczyna z wyższych sfer zagwarantuje Ashmontowi o wiele bardziej ekscytujące życie, niż mógłby się spodziewać.

Zaprzeczyła gestem.

– Wiem, że było coś więcej. Nie jestem typem kobiety, dla której mężczyźni tracą głowy.

Owszem, prawdopodobnie było coś więcej. Ashmont przypuszczalnie zapomniałby o incydencie, gdyby nie pokrętne metody jego stryja Freda. Ripley nie zamierzał jednak oświecać jej w tej kwestii. Mógłby podsunąć jej kilka wskazówek, jak radzić sobie z Ashmontem… ale nie. Była inteligentną dziewczyną. Szybko załapie.

– Zdziwiłaby się pani – stwierdził.

– Należę do kobiet, które poślubia się ze względów praktycznych – upierała się. – Żeby zarządzały kłopotliwym gospodarstwem domowym. Przejęły stery. Zapewniły dziedzica i jakiś przychówek ekstra. Kiedy wszystko inne zawiedzie.

– Ashmont nie myśli w ten sposób.

Wyglądała przez okno.

– Ale w-wie pan… – Łzy znów zaczęły ściekać jej po nosie. – Mieliśmy nasze nieszczęścia, ponieważ powinno być nas dziewięcioro, a mama i papa ciężko to przeżyli. No i powątpiewałam, na ile w takiej sytuacji Ashmont byłby pocieszeniem. Ach, i wiem, co jeszcze by tamci namawiacze powiedzieli Ashmontowi. P-powiedzieliby: „Nie obawiaj się kukułczego jaja. Nie ma n-najmniejszych w-wątpliwości, że nikt nigdy jej n-nie t-tknął”.

Znów łkanie.

Ripley zapukał palcem wskazującym w kolano. Łzy lały się nadal.

Nie czuł się w pełni komfortowo.

– Widzę, że osiągnęliśmy fazę rozrzewnienia – skomentował.

– Tak, dla pana to pewnie żadna nowość. – Przetarła twarz bezużytecznym skrawkiem koronki. – Ale mało mnie obchodzi, jak pan to nazywa, no i nie oczekiwałam współczucia czy choćby zrozumienia.

– Staram się, jak mogę – zapewnił. – Ale mój mózg, wie pani.

– Tak, wiem. Jak i jego, mniej więcej… chociaż mniej trudno sobie wyobrazić. W każdym razie sądziłam, że zdobędę się na to poświęcenie… choć rozumiem, że zdaniem większości ludzi niedorzecznością jest mówić o zostaniu księżną jako o poświęceniu.

– Sam byłbym jednym z tych ludzi.

– Nie obchodzi mnie pańska opinia.

– Czuję się zdruzgotany.

– Nie wiem, po co w ogóle się tłumaczę – stwierdziła. – Bez wątpienia powiedział wszystko, co należy, potrafi też być niebezpiecznie przekonujący, a z kolei ja miałam swoje powody, żeby się zgodzić. Sądziłam, że jestem gotowa. Ale małżeństwo to Wielka Niewiadoma. Wydaje ci się, że go znasz, zwłaszcza kogoś takiego jak on, o kim od zawsze plotkuje całe miasto, ale czy rzeczywiście możesz go znać? Wiem, co pan powie.

– Wątpię. – Nadal miał nikłe pojęcie, o czym ona mówi.

– Powie pan, że powinnam była go zapytać, dlaczego mnie wybrał… i proszę nie opowiadać, że wpadłam mu w oko, bo coś takiego jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło.

Był pewien, że podobała się wielu mężczyznom. Nie rozumiał natomiast, dlaczego żaden do tej pory nie zagarnął jej dla siebie. Nie wszyscy mężczyźni byli tacy jak książęce trio. Wielu autentycznie chciało się ożenić i poświęcało mnóstwo czasu i wysiłku na poszukiwanie tej właściwej dziewczyny, która ich zechce.

Wyjął swoją chusteczkę i jej podał.

– Tak, cóż, Ashmont nie jest taki jak inni.

Wyjrzał przez okno dorożki. Nadal padało.

Nerwy przedślubne, powiedział sobie. Tylko o to chodziło, naprawdę.

Popatrzył na jej uwalaną błotem suknię i noski ubłoconych pantofli. Obliczył odległość rzeką do Twickenham i czas, jaki zabierze podróż, nie

uwzględniając przeszkód, przy czym nie był na tyle głupi, by zakładać, że żadne się nie pojawią.

Mimo to jej plan był wykonalny. Ripley kalkulował, że są wyśmienite szanse na to, iż odstawi ją bezpiecznie w ręce ciotki w ciągu najbliższych godzin, sporo przed zmrokiem. Jej reputacja przetrwa. W rzeczy samej, ucieczka od Ashmonta może nawet ją wzmocni. Podobnie jak pogoń Ashmonta za nią, co z pewnością nastąpi. Jako osobnik zaborczy i uparty, Ashmont zrobi, cokolwiek okaże się konieczne, żeby odzyskać narzeczoną. A towarzystwo z zachwytem powita fakt, że jakaś dama wreszcie utarła mu nosa. Bez wątpienia spodoba się to lordowi Frederickowi.

Nawykły do tego, że kobiety o złej reputacji mdleją na jego widok, Ashmont zawalił sprawę, która powinna być najprostsza pod słońcem. Nigdy nie musiał się wysilać, w przeciwieństwie do Ripleya i Blackwooda. Prawda, żaden z ich trójki nie miał wcześniej wiele do czynienia z przyzwoitymi kobietami, które najwyraźniej stanowią znacznie większe wyzwanie. Tym lepiej. Czas najwyższy, żeby jakaś kobieta zmusiła słodkiego czarusia do wysiłku.

Ta tutaj ewidentnie nakłoniła go do starań przy zalotach. I ślubie. I zmusi go również do pracy nad małżeństwem.

Co do odzyskania narzeczonej, Jego Książęcą Wysokością trzeba będzie nieznacznie pokierować, ale samo zadanie nie powinno nastręczyć trudności.

Lady Olympia nie wydawała się całkiem przeciwna małżeństwu z Ashmontem. Gdyby nie brandy, zapewne byłoby już po sprawie. Niemniej napoje wyskokowe działają na niektórych w taki właśnie sposób: drobne problemy nadymają się do kolosalnych rozmiarów. A rozwiązania podsuwane przez upojony mózg wydają się genialne.

Akurat Ashmont jak mało kto wiedział, jak mogło do tego dojść.

I czy nie będzie zabawnie obserwować jego wysiłki, by zapanować nad wybranką – tą konkretną?

– Pani ciocia jest osobą godną szacunku, mam nadzieję – odezwał się. – Nie jakąś ekscentryczką albo nazbyt osobliwą starowinką? Nie podpala poduszek, kiedy coś ją najdzie? Nie prowadza się z lokajami albo stajennymi? To znaczy, ostentacyjnie.

Otarła oczy i nos.

– Jest osobliwa, a przynajmniej tak twierdzą ciocia Lavinia i mama. Nadal jednak ciocia Delia pozostaje osobą na tyle godną szacunku, by czasami zabawiać królową.

– Dlaczego zatem droga ciocia nie pojawiła się na ślubie?

– Chyba ze względu na jakąś niedyspozycję. Tak w każdym razie napisała mamie. Nie jestem pewna, czy chciała się zjawić. Uważa Newland House za przesadnie głośny, przy tylu kręcących się tam dzieciach. Takie samo zdanie ma na temat Gonerby House… gdzie obecnie z powodu remontu panuje jeszcze większy chaos.

– Niemniej będzie w domu, kiedy tam dotrzemy.

Przytaknęła, a stroik jeszcze bardziej ześlizgnął jej się z głowy. Skrzywiła się.

– Proszę nie oczekiwać, że będę odpowiadać na wścibskie pytania, kiedy to coś wyrywa mi włosy z korzeniami. Chyba że czerpie pan przyjemność ze stosowania inkwizytorskich metod. Jeśli nie pomoże mi pan natychmiast zdjąć tego diabelstwa, nie odpowiadam za konsekwencje.

– Czy to groźba? – zainteresował się. – Ponieważ wygląda pani do tego stopnia jak przeciwieństwo wszelkiego zagrożenia, że mógłbym umrzeć ze śmiechu.

Pchnęła okulary z powrotem w górę, gdyż zsunęły się minimalnie podczas niedawnego naporu łez. Popatrzyła na niego spokojnie, czy też na tyle spokojnie, na ile było to możliwe w jej stanie upojenia.

– Nieważne – oznajmiła. – Skoro dla pana to zbyt skomplikowane, sama się tym zajmę. Ale jeśli różne drobiazgi wystrzelą i trafią pana w twarz, sam będzie pan sobie winien.

– I dlatego dotąd pani tego nie zdjęła? Z obawy, że jej koafiura eksploduje?

– Nie mam lustra. Nie widzę czubka głowy… w ogóle ani skrawka głowy, skoro o tym mowa. Ale nieważne. Nie chciałabym panu przeszkadzać.

Sięgnęła w górę i zaczęła wbijać palce w konstrukcję wieńczącą jej głowę. Wywołało to intrygujące ruchy wirowe w obszarach bezpośrednio poniżej linii dekoltu jej sukni. Ruchy te przywiodły Ripleyowi na myśl tak zwane tancerki egipskie, które oglądał w jakimś teatrze. W końcu usunęła jedną szpilkę, która wyślizgnęła jej się z palców i wpadła w słomę. Wymamrotała coś.

Zgubiona szpilka do włosów to nie katastrofa. Jej ciotka na pewno miała ich na pęczki.

Jednakże owo wirowanie i wizje tancerek przypomniały Ripleyowi, jak wykręcała się w jego ramionach, kiedy podniósł ją z błota – to znaczy, przypomniały jego organom rozrodczym, i to aż nazbyt żywo, biorąc pod uwagę okoliczności i czas, jaki upłynął od…

No dobrze. Kwestią kilkumiesięcznego celibatu zajmie się później. Dziś w nocy, gwoli ścisłości. Kiedy już upora się z komplikacjami z panną młodą.

Ripley zostawi ją bezpiecznie u ciotki. Ashmont, odpowiednio szturchnięty i zaopatrzony w kilka ogólnych wskazówek, odbierze ją stamtąd.

To będzie doskonały żart, który Ashmont doceni, kiedy trochę ochłonie. Ostatecznie, sam spłatał w życiu mnóstwo figli.

– Zdecydowałem się pani pomóc – oznajmił Ripley. – Chcę się zdrzemnąć, a to niemożliwe, kiedy pani ciągle podskakuje i klnie pod nosem.

– Wcale nie…

– Znam francuski, wie pani. Do pewnego stopnia. Wulgaryzmy znajdują się przed tym stopniem.

***

Wskutek deszczu i brudu gromadzącego się od dziesięcioleci na oknach w dorożce było mniej więcej tak jasno, jak w przeciętnym grobowcu. Mimo to Olympia widziała księcia Ripleya całkiem dobrze. Trudno byłoby go przeoczyć, skoro zajmował większą część przestrzeni wewnątrz pojazdu.

Była świadoma, bardziej niżby sobie życzyła, jego długich nóg, wyciągniętych tuż przy jej własnych.

Cofnęła ręce od stroika i popatrzyła na mężczyznę. Choć jego twarz kryła się w cieniu, dostrzegała długi, szlachetny nos i ostro zarysowane kości policzkowe oraz szczękę. Wiedziała, że oczy ma zielone.

Tyle ustaliła w trakcie swojego pierwszego sezonu, kiedy zostali sobie przedstawieni i ogarnęło ją tak dogłębne skrępowanie. Po części jej reakcja wynikała z faktu, że był taki… przytłaczający. Wiedziała, że nie jest zbudowany potężniej niż Ashmont. Ich Łajdackie Mości, wszyscy trzej, byli

wysokimi, postawnymi mężczyznami. Wszyscy też – to na pewno – nie prowadzili się najlepiej. Ale to pod spojrzeniem Ripleya poczuła się wtedy tak, jakby nie była w pełni ubrana. To przez jego wilczy uśmiech zapomniała języka w gębie.

Niemniej była wówczas naiwna i niepewna siebie.

W tamtym okresie trzech książąt uważano za nieokiełznanych wprawdzie, lecz nadal atrakcyjnych kandydatów na męża. Oni wszakże trzymali się z dala od małżeńskiego targowiska. Rzadko dostrzegało się ich nawet w pobliżu pięknych i bardziej niż ona popularnych dam.

Dlatego właśnie przez ostatnie lata Olympia widywała księcia Ripleya przeważnie z oddali. Po drugiej stronie zatłoczonej sali balowej. Jadącego wierzchem lub w powozie przez Hyde Park. Na publicznych wydarzeniach w rodzaju regat lub wyścigów konnych. W minionym roku nie widywała go wcale, gdyż przebywał za granicą.

Na ile potrafiła aktualnie stwierdzić, nie zmienił się. Nadal miał to senne spojrzenie, pod wpływem którego kłuło ją w środku. A nie powinno, ponieważ to spojrzenie niczego nie ujawniało. Ludzie wierzą, że oczy są zwierciadłem duszy. W jego przypadku zwierciadło zostało starannie zasłonięte. Zapewne tym lepiej.

Choć i tak nie zdołałaby ocenić jego nastroju, gdyby podsunął jej takie zwierciadło. Obecnie jej mózg był absolutnie niegodny zaufania. Kiedy próbowała się skoncentrować, myśli tanecznym krokiem umykały poza jej zasięg.

Poza tym myślenie ze stroikiem na głowie sprawiało ból.

Jedna rzecz naraz, powiedziała sobie. Kiedy dotrą do Battersea Bridge, zajmie się następną rzeczą, cokolwiek to było. W tej chwili jedyne, co się liczyło, to znaleźć się daleko. Daleko od wszystkich.

– Proszę się przesunąć na skraj siedzenia i pochylić w moją stronę – poinstruował Ripley.

W podskakującym powozie, uwzględniając wpływ brandy, poważnie wątpiła, czy utrzyma równowagę. Ani myślała to przed nim przyznawać. I tak na pewno się z niej naśmiewał. Z drugiej strony, nie słynął z powagi. No i, mówiąc szczerze, Olympia nie prezentowała się w tej chwili zbyt dystyngowanie.

Co najważniejsze, bardzo jej zależało, żeby pozbyć się ślubnego monstrum. Jakby nosiła na głowie wieżę zegarową.

Przesunęła się na skraj siedzenia i nachyliła ku Ripleyowi.

Po czym omal nie podskoczyła pionowo w górę, wsunął bowiem długie palce w jej włosy, dotykając skóry, kiedy badał teren. Koronkowe mankiety u jego nadgarstków łaskotały ją w twarz. Wychwyciła woń mokrego płótna i czegoś jeszcze – wody kolońskiej lub mydła do golenia, szalenie męską.

Natychmiast też przypomniała sobie, na nowo przeżywając doświadczone wówczas doznania, jak ujął ją pod pachy, żeby podnieść z błota… rozmiary jego dłoni i wrażenie, jakie wywołał w niej ich mocny chwyt… rozmiary jego samego… i własne plecy, dociśnięte do torsu przywodzącego na myśl skałę. Ciepłą skałę. I, później, te same dłonie o długich palcach, splecione, by mogła na nich stanąć… i otulające jej kostki.

Bracia pomagali jej pokonywać mury i płoty, ale on nie był jej bratem. Był mężczyzną, pod którego spojrzeniem dziewczyna czuła się tak, jakby zapomniała się ubrać. Nie miał w sobie absolutnie nic z brata – a wspomnienie nieskładnych wyjaśnień mamy na temat tego, co się dzieje w noc poślubną, bynajmniej nie pomagało Olympii zachować teraz spokoju ducha.

Chętnie wyskoczyłaby ze skóry.

Ale nie. Nie pozwoli sobie myśleć o tym, co książę Ripley mógł zobaczyć, kiedy stała mu na barkach. Sama myśl o myśleniu o tym wystarczyła, żeby zakręciło jej się w głowie. Jeszcze bardziej. Odczuwała też ogromne skrępowanie.

– Niech pani przestanie się wiercić – powiedział.

– Nie wierciłam się.

– Bynajmniej nie siedzi pani nieruchomo. Muszę wymacać, co mam robić, bo w tych ciemnościach wiele nie zobaczę. Nie uda mi się, jeśli będzie się pani ruszać.

– Nic nie poradzę na to, że powóz podskakuje – zaprotestowała. – I jest mi rozpaczliwie niewygodnie.

Spore niedomówienie. Wszystko ją gryzło. I było jej gorąco. I czuła zażenowanie.

– Spieszę się, jak mogę, ale pani pokojówka czy fryzjerka poukrywały szpilki w najwymyślniejszych miejscach. A może umocowały drańskwo na klej?

– Nie, tysiąc szpilek i trochę pomady załatwiło sprawę.

– Proszę wysunąć rękę, dam pani szpilki – polecił. – Ufam, że nie ma potrzeby zachowywać kawałków rododendronów? W tej chwili kojarzy mi się pani z Ofelią po jej upadku do wody.

– Welon zaczepiał o wszystko – wyjaśniła. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, co powiedział. – Zna pan *Hamleta*?

– Lubię sztuki Szekspira. Mnóstwo przemocy i sprośnych żartów.

Czyli żadne zaskoczenie.

Wyciągnęła rękę. Palcami musnął jej palce, kiedy upuszczał jej na dłoń kilka szpilek, a ten przelotny dotyk przemknął jej po skórze. Żałowała, że przed wyjściem nie założyła rękawiczek. Problem w tym, że musiałaby wrócić po nie do pokoju, a tam na pewno ktoś by na nią czekał: mama, ciocia Lavinia. Olympia znalazłaby się w pułapce. Czyli nie było odwrotu.

I słusznie. Nie powinna była czekać z ucieczką do ostatniej chwili. Nie powinna była uciekać. Co ją napadło?

Patrzyła na płatki kwiatów, jedne wiśniowej barwy, inne bladoróżowe, opadające wolno na słomę. Lśniące kawałki liści z trzepotem podążały za nimi.

Co ona zrobiła?

Nieważne, nieważne. Jedna rzecz naraz.

***

Myliła się co do liczby szpilek.

W ocenie Ripleya było ich co najmniej dziesięć tysięcy. Mimo wszystko, kiedy już ustalił, jak je rozlokowano, zaatakował je sprawniej. Z jej gęstych, lśniących włosów unosiła się woń lawendy z nutą rozmarynu. Szokująco niewinny zapach. Ripley przywykł do ciężkich perfum, dodawanych do pomad przez aktorki, kurtyzany i szykowne damy z towarzystwa.

Uzmysłowił sobie, że nachyla się bliżej. Cofnął się.

Nawet przy sprawnym przeprowadzeniu proces okazał się długotrwały, gdyż zadanie polegało nie tylko na usunięciu szpilek, ale także na wyplątaniu jej z włosów kwiatów pomarańczy i kunsztownej kompozycji z koronki w taki sposób, by przy okazji nie doprowadzić fryzury do kompletnej ruiny.

Dostatecznie niedobrze, gdy kobieta biega po okolicy w sukni ślubnej. Z rozpuszczonymi włosami, w dowolnej sukni, zostałaby wzięta za prostytutkę lub obłąkaną.

Dama rozpuszcza włosy dopiero wtedy, kiedy szykuje się do snu.

Rozpuszczone włosy oznaczają rozwiązłą kobietę.

Inaczej mówiąc, ta tu kobieta stałaby się łatwym celem dla rozmaitych docinków.

Nie z jego strony, oczywiście. Przecież on był cholerną druhną.

Nie mógł puścić jej nigdzie samej.

W zasadzie nie było to aż takie złe. Okazała się zajmująca. I już się cieszył na to, jak pomoże jej doprowadzić Ashmonta do szaleństwa.

Niemniej bardzo żałował, że nie ma kapelusza.

Najwięksi nędzarze dbają o nakrycie głowy, nieważne, jak znoszone. Drobny cud, że książę Ripley, który obowiązujące w towarzystwie zasady traktował jak tomik z dowcipami, skręcał się w duchu, ponieważ znalazł się w publicznym miejscu bez kapelusza.

Lepiej zrobi, jeśli przestanie myśleć o swojej nagiej głowie.

Nie zaszkodzi również nie rozwodzić się zanadto nad zapachem unoszącym się z j e j głowy i wyczarowywanymi przez niego obrazami leniwych chwil w zalanym słońcem ogrodzie w Toskanii.

W pobliżu nie dostrzegał żadnej toskańskiej willi. Żadnych niegrzecznych contess.

Tylko przyszłą żonę Ashmonta.

I nie znajdował się w Toskanii lub miejscu, które choć trochę by ją przypominało.

To był Londyn, jak zwykle zalany deszczem, a Jego Książęca Wysokość książę Ripley bawił się w pokojówkę w brudnej dorożce wlokącej się ku Battersea Bridge.

Przynajmniej było to jakieś nowe doświadczenie.

Udało mu się oddzielić stroik od jej głowy, unikając nadmiernych wrzasków – jej lub własnych. Okazało się jednak, że część warkoczy należy do niej, a do tego loki po bokach się rozpuściły, czyli, mówiąc krótko, całość się rozsypywała. Porwał szpilki z jej wyciągniętej dłoni i spiesznie upiął zwisające fragmenty jej włosów z powrotem na głowie, niezbyt elegancko, ale jednak w górze.

Potem wreszcie złożył koronę i doczepiony do niej welon na jej podołku i odchylił się na oparcie.

Spojrzała na masę koronki i kwiatów pomarańczy na swoich kolanach.

– To blonda, bardzo droga – powiedziała. – Na pewno dostanie się za nią coś w lombardzie. Więcej, niż potrzeba, żeby zapłacić przewoźnikowi.

– Nie zaniosę pani ślubnego welonu do lombardu.

– Prosiłam pana o to? Doskonale poradzę…

– Wczoraj poradziłaby sobie pani z mnóstwem rzeczy – wszedł jej w słowo. – Ale wczoraj było wczoraj. Aktualnie mamy dzisiaj. Znajduje się pani w stanie upojenia. Ma na sobie suknię ślubną. Jeśli ruszy się pani gdziekolwiek beze mnie, ktoś panią napadnie. Cokolwiek się pani przydarzy, ja będę ponosił za to winę, a nie znajduję dostatecznie mocnego słowa czy dostatecznie wielu słów na opisanie, jak bardzo znudziły mnie pojedynki.

Otworzyła usta, bez wątpienia po to, żeby się spierać. Później zamknęła je i znów opuściła wzrok na rozmontowany stroik.

Wahała się? Mógłby się tego uczepić, chociaż…

– Wystarczy panu pieniędzy na przewoźnika? – zapytała. – Jak już zapłaci pan dorożkarzowi? Tak, oczywiście, jest pan księciem, wiem jednak z doświadczenia, że dżentelmeni nie noszą przy sobie znacznych kwot.

Spoglądał na nią przez chwilę, na jej ubrudzony nos i plamki na okularach, od łez lub deszczu, i dziwaczną kompozycję, jaką stworzył z jej włosów.

Od czasów nieprzyjemnego dzieciństwa Ripleya żadna kobieta nie zapytała go, czy wystarczy mu pieniędzy. Na cokolwiek.

Było to nawet rozczulające.

Ale jego zadanie nie polegało na rozczulaniu się. Jego zadanie polegało na poprowadzeniu spraw w taki sposób, by osiągnąć właściwy efekt końcowy.

W zasadzie dosyć proste.

Dostarczyć ją do ciotki, nakłonić Ashmonta, żeby ją odzyskał, i przekonać otoczenie, że chodziło o typowy figiel ich łajdackiego tria.

– Tak się składa, że przyniosłem gotówkę na napiwki, łapówki i tak dalej – rzekł. – Ashmont, co oczywiste, był zbyt… podekscytowany… ślubem, żeby myśleć o przyziemnych sprawach.

– Podekscytowany – powtórzyła. – Tak pan to nazywa? Według mnie był dokumentnie pijany, kiedy wpadliście na mnie we trzech.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

Dorożka zatrzymała się z hałasem, jak wiele razy wcześniej w trakcie tej niekończącej się podróży. Ripley wyjrzał przez usmolone okno. Za sprawą rys i brudu widok za szybą mógł przedstawiać cokolwiek. Pchnął okno w dół. Deszcz przeszedł tymczasem w mżawkę.

– Battersea Bridge, Wasza Książęca Wysokość! – zawołał woźnica.

– Nadal możemy zawrócić – powiedział Ripley.

– Nie – odparła.

Rozdział 3

Głosy, które Olympia i książę Ripley słyszeli wcześniej w ogrodzie, należały do jej braci, przy czym dwaj najmłodsi postawili sobie za cel popsuć szyki najstarszemu. Spisek przebiegał następująco:

– Drew, szybko! Zatrzymaj go! – wrzasnął Clarence, kiedy lord Ludford opuścił pokój dziecięcy.

Andrew wypadł z sali lekcyjnej i pognał ku schodom, podczas gdy Clarence trzymał się tuż za najstarszym bratem.

– Niech idzie! – krzyczał Clarence. – Zostaw ją w spokoju, podły tyranie!

Było to niesprawiedliwe wobec Ludforda. Nie tylko nie tyranizował malców bardziej niż przeważnie starsi bracia, ale przy niezliczonych okazjach brał na siebie winę, a nawet przyjmował karę za psoty młodszego rodzeństwa.

Kiedy Ludford odwrócił się, by zgromić Clarence’a wzrokiem, Andrew wykorzystał okazję i wparował na schody przed nimi. Pobiegł w dół, potem krótkim łącznikiem, przez drzwi i znów w dół jednymi z licznych schodów dla służby, które przecinały stary dom. Obiecując srogą zemstę, Ludford podążył za nim, lub raczej próbował.

Clarence, który gonił Ludforda głównymi schodami, prześcignął go na pierwszym piętrze, po czym puścił się pędem do przejścia dla służby. Widząc gości niedaleko wejścia do salonu, a nie chcąc zwracać na siebie uwagi i potęgować plotek, które i tak wzbierały wielką falą, Ludford wybrał drogę dyskrecji i podążył za młodszym bratem.

Po drodze na parter minęli kilkoro służących, ale nikt nie okazał zaskoczenia. Służba przywykła do wszędobylskich, żywotnych dzieci.

Zanim Ludford dotarł do ogrodu, Andrew wybił się daleko na prowadzenie, a Clarence niewiele od niego odstawał.

– Uważaj, Olympio! – wołał Andrew. – Ścigają cię ogary!

Clarence przyłączył się do wrzasków, w bardzo podobnym tonie, jakby na ich siostrę polowali nikczemni wrogowie, a nie rodzony starszy brat, który chciał jedynie ustalić, co zaszło.

Obecny problem Ludforda wziął się z tego, że rzeczona siostra swego czasu czytywała malcom w pokoju dziecięcym zbyt wiele romantycznych książek przygodowych. Teraz czytali je już samodzielnie i konstruowali misterne intrygi, pełne mrożących krew w żyłach wyczynów tudzież bliskich spotkań ze śmiercią w gronie szarmanckich rycerzy, wikingów, piratów, rozbójników i tak dalej.

Chwilę trwało, nim Ludford uzmysłowił sobie, że bracia prowadzą go w kółko. Od wieków nie zachodził do ogrodu Newland House, podczas gdy oni dokazywali tu przy okazji każdej rodzinnej wizyty.

Kiedy wreszcie dotarł do tylnej furtki w ogrodzie, zastał dwóch małych łotrów uczepionych ażurowej żelaznej konstrukcji i wyglądających na ulicę.

Ludford także wyjrzał.

Ani śladu jego siostry bądź Ripleya.

Skląwszy paskudnie rodzeństwo, nie bacząc na szkodę, jaką wyrządza odświętnemu strojowi, lord Ludford przelazł przez mur i pobiegł Horton Street.

***

– Nie parowiec – zawyrokował Ripley. – W tej chwili pasażerów nazbyt zajmują przepychanki, przekleństwa i próby dostania się na pokład, żeby przejmowali się kimkolwiek innym. Kiedy jednak się usadowią, zaczną szukać rozrywki, i to my się nią staniemy, z panią w roli głównej.

Chwycił Olympię za rękę i pociągnął w stronę łódkarzy, zebranych przy schodach Battersea Bridge.

Jego nienaganny niegdyś halsztuk zwisał smętnie, podobnie jak pięknie nakrochmalone koronkowe mankiety koszuli. Surdut i spodnie znaczyły mu plamy z deszczu i błota. Buty, nieprzeznaczone do ciężkiej służby na zewnątrz, także miał ubłocone i porysowane.

Nadal jednak był nie tylko mężczyzną, ale i księciem. Opinia innych niewiele go obchodziła… aczkolwiek nienawidził braku kapelusza.

Ona nie była ani mężczyzną, ani księciem.

Oprócz tego, że miała na sobie mokrą od deszczu, upstrzoną kropkami błota i plamami z trawy suknię ślubną oraz oblepione błotem pantofle, a z ramienia zwisał jej podarty i brudny welon, występowała z odkrytą głową. Mimo pomady jej wilgotne włosy zwijały się, dzikie i nieokiełznane.

No i jeszcze okulary, nasadzone na wąski nos, które wyglądały tak bardzo poważnie pośród całej tej ruiny ślubnego stroju.

– Tak, oczywiście – stwierdziła. Poprawiła okulary, choć akurat one, na ile widział, tkwiły idealnie na swoim miejscu. – Tym sposobem dostarczymy rozrywki jedynie mężczyznom przy wiosłach. Możemy im powiedzieć, że w drodze na ślub napadli nas rozbójnicy.

– Nic im nie powiemy. Ich zadaniem jest zabrać nas tam, dokąd chcemy się udać, a naszym zapłacić za kurs.

Zmierzył wzrokiem czekające przy brzegu łodzie i zdecydował się na jedną z płytkich czterowiosłówek. Łódkarze postawili na niej płócienny daszek dla osłony przed deszczem.

Poprowadził ją w tę stronę.

– A jeśli ktoś nas ściga? – zapytała. – Jeżeli pozyskamy współczucie łódkarzy, zmaleje prawdopodobieństwo, że nas zdradzą.

– Przekonałem się, że pieniądze mówią głośniej niż słowa.

Zdrada go nie martwiła. Pół okolicy go rozpoznało, damy zaś trudno było nie zauważyć, toteż ludzie będą gadać. Niemniej jeżeli lady Olympia znajdzie się bezpiecznie w Twickenham przed zapadnięciem zmroku, Ripley poradzi sobie z sytuacją.

Nie, nie był to najprostszy figiel, jaki zdarzyło mu się spłatać. Zbyt wiele elementów pozostawało poza jego kontrolą, przy czym główny problem stanowił Ashmont. Najpewniej właśnie coraz bardziej się upijał. Lub osiągnął już stan nieprzytomności. Tym samym wzrastały szanse, że zamiast Ashmonta ściga ich jej rodzina, a to byłby mniej zabawny rozwój wypadków.

Ripleyowi nie uśmiechało się wysłuchiwać mnóstwa oskarżeń i żądań wyjaśnień. Nigdy nie widział powodu, by tłumaczyć się przed kimkolwiek, z samym sobą włącznie.

Dotarli do łodzi i wybranych przez niego wioślarzy. Dzięki gotówce i książęcemu sposobowi bycia, który nie zachęcał do pytań lub wahania, szybko dobił interesu.

Teraz należało umieścić ją w łodzi.

To nie powinno nastręczyć trudności. Tutejsze łodzie miały długie, wąskie dzioby, po których pasażerowie mogli dostać się na pokład suchą nogą.

Ripley wybrał dużą jednostkę, przeznaczoną dla więcej niż dwojga pasażerów, oraz wioślarzy, którzy sprawiali wrażenie najsilniejszych i najbardziej solidnych spośród oczekujących na kurs.

Lady Olympia zagapiła się na płytką łódź.

– Tym płyniemy?

– Barka Lorda Mayora była akurat niedostępna – powiedział. – Mój jacht, na ile mi wiadomo, cumuje w Worthing. Pozostaje ta łódź.

Dwaj łódkarze przyglądali się im z zainteresowaniem. Okoliczność, że robili to w milczeniu, zaświadczała o stawce, jaką Ripley zaproponował im za szybkość i ciszę. Przewoźnicy z Tamizy nie słyną z nieśmiałości.

– Wydaje się mocno zanurzona – stwierdziła.

– Tak się je wykonuje – odparł. – Ze względu na stabilność i… Mniejsza z tym. Sztukę budowy łodzi objaśnię pani później. Po prostu proszę do niej wsiąść, dobrze? I postarać się nie wypaść za burtę w drodze na siedzisko. Utonięcie raczej pani nie grozi, ponieważ nie jest tu na tyle głęboko. Ktoś jednak będzie musiał panią wyłowić, a choć wątpię, bym mógł jeszcze bardziej przemoknąć, nie uśmiecha mi się brodzenie w tej brei.

Zrobiłby to, oczywiście. Nie dopuściłby, żeby jeden czy drugi z tych nieokrzesanych typów położył na niej łapy.

– Kręci mi się w głowie – powiedziała.

– Rozważa pani może, żeby wrócić i przyjemnie się położyć?

– Nie.

– Na pewno?

Gdyby nie była pewna, zabrałby ją z powrotem. Powiedziałby, że chodziło o jeden ze słynnych żartów książęcego tria, i tyle. Nie, nie ubawiłoby go to ani w połowie tak bardzo, jak zmuszenie Ashmonta, żeby ścigał ją do Twickenham. Mimo to nawet Ripley nie pozbawiłby damy przytomności dla czystej frajdy spłatania bardziej wymyślnego figla.

– Na tym etapie to byłoby głupie – oznajmiła.

– Rzeczywiście. Natomiast fakt, że jest pani tutaj, zamiast na… powiedzmy, śniadaniu weselnym? To z pewnością nie… tylko spekuluję… to nie uderza pani jako nieroztropne?

Podniosła nań wzrok.

– A pan tak uważa? I nie znajduje nic niestosownego w tym, że jest tu ze mną?

– To akurat jest w najlepszym porządku.

– Doprawdy?

– Czy nie powiedziała mi pani, że jest damą w opałach? – przypomniał jej. – Ja jestem pani rycerzem w lśniącej zbroi.

Uniosła brwi.

– Tak dla odmiany – uzupełnił.

– Nie nazwałabym tego odmianą – odparła. – Gdy chodzi o pana, nazwałabym to… – Jej brwi wróciły na swoje miejsce, w oczach błysnęło rozbawienie. – Apokalipsą.

– Zamierza pani wsiąść do tej łodzi czy mam zrobić to, co inny, mniej rycerski, bardzo głodny osobnik zrobiłby na moim miejscu, czyli zrzucić panią z mostu?

Popatrzyła na drewniany most, który stał, na przekór prawom fizyki, o estetyce nie wspominając, od sześćdziesięciu lat. Zbudowany pod dziwacznym kątem względem nurtu rzeki, pysznił się bodajże osiemnastoma wąsko rozstawionymi filarami. Łodzie non stop na nie wpadały. Jak zauważył więcej niż jeden krytyk, Battersea Bridge powstał dla wygody tych, którzy po nim przechodzili, a niewygody tych, którzy pod nim przepływali.

Jedynym mostem na Tamizie, który mógł konkurować z tym tutaj pod względem uciążliwości i głupoty konstrukcji, był następny w górę rzeki, w Putney.

– Albo możemy po prostu tu zaczekać – dodał Ripley. – Jeśli poczekamy dostatecznie długo, jest szansa, że Ashmont przybędzie i uratuje panią przede mną.

Spojrzał na tłum oczekujących na parowiec. Na razie żadnych oznak pościgu. Ale czas mijał. Jak długo jechali dorożką? Wierzchem lub własnym powozem Ashmont pokonałby tę trasę szybciej, w tym celu musiałby jednak: (a) być przytomny, (b) dodać do siebie parę wskazówek i (c) dojść do dość oczywistego wniosku.

Nieszczególnie prawdopodobne, innymi słowy.

Kiedy Ripley popatrzył znów na pannę młodą, odkrył, że mu się przygląda. Jej oczy stały się tymczasem niebieskie.

– Nie – oznajmiła. – Kości zostały rzucone. Mój los jest przypieczętowany. Nie wychodzę dziś za mąż i na tym koniec.

Doskonale. Nie było odwrotu. To dobrze. Brak odwrotu zapowiadał się o wiele bardziej interesująco.

– Pomoże mi pan wsiąść do tej łodzi? – spytała. – Czy liczył pan, że obejrzy, jak do niej wpadam?

– Na pewno miałbym większą frajdę, oglądając, jak pani do niej wpada – stwierdził. – Kłopot w tym, że ubawiłoby to również łódkarzy i gapiów, a zwróciliśmy już na siebie dostatecznie dużo uwagi.

– Sądziłam, że to cel pańskiego życia. Zwracać na siebie uwagę. Czy też dzieje się tak przypadkiem? Ponieważ jeśli nie, to by znaczyło, że myślał pan o tym i w istocie… – Zmarszczyła brwi. – Nieważne. Lepiej sobie nie wyobrażać, co zachodzi w pańskiej głowie. Zresztą nie mogę zbyt ciężko myśleć, bo to zbyt męczące. Zagadka, czyż nie?

– Proszę sobie nic nie wyobrażać. Proszę nie myśleć. Po prostu…

– A jednak tłumaczy to bardzo wiele na temat zachowania pewnych dżentelmenów, których nazwisk nie wymienię. Wpływ napojów wyskokowych…

– Proszę wsiadać do łodzi – powiedział.

Chwycił ją za łokieć i pokierował w stronę dziobu. To była ta łatwa część. Później nastąpiły liczne potknięcia, więcej mamrotanej francuszczyzny, fantastyczne ilości koronkowego welonu, trzepoczącego wszędzie wkoło, spódnice oplatające książęce nogi i parę zderzeń panny młodej z drużbą. W trakcie tych kilku minut stoczył zaciekłą walkę, żeby samemu nie wypaść z łodzi ze śmiechu lub, co gorsza, nie zrobić czegoś nieprzystającego drużbie, gdyż nie dość, że przecież był mężczyzną, to jeszcze takim, który nie zwykł dobrze się prowadzić.

W końcu jednak zasztauował ją na siedzisku pod paskudnym daszkiem.

Niewykluczone, że pełniący funkcję daszka kawałek płótna służył do bagrowania lub jako podbierak do ryb. Z całą pewnością wydzielał stosowną woń. Spódnice Olympii wezbrały wokół Ripleya, podmuch wiatru uniósł welon, który połaskotał go w twarz. Odepchnął koronkę w tej samej chwili, kiedy ona ją odgarnęła, i ich palce otarły się o siebie.

Powierciła się i odwróciła, wbijając wzrok w wodę.

Jego myśli uczepiły się chwil, gdy raz za razem wpadała mu w ramiona, wsiadając do łodzi. I zapachu jej włosów.

No cóż, doprawdy szkoda wysiłku.

Kiedy tylko upora się z tą sprawą, znajdzie sobie jakąś wesołą wdówkę lub kurtyzanę i wyleczy swoją przypadłość.

Z uporem zwrócił myśli ku kapeluszom.

Żałował, że nie ma swojego, i zastanawiał się, gdzie mógłby na szybko dostać coś choć trochę stosownego.

Łódź wreszcie odbiła i dręczące go drobiazgi uleciały, porwane wiatrem.

W tym momencie, nieszczególnie ku swemu zaskoczeniu, książę Ripley poczuł ulgę.

***

Newland House

Lord Ludford odnalazł księcia Ashmonta w jadalni, pochylonego nad wielką misą. Książę Blackwood polewał mu głowę wodą.

– Do diabła, ale zimna – rzucił Ashmont.

Blackwood przerwał.

– Nie przestawaj – powiedział Ashmont. – Muszę odzyskać jasność myśli.

– Jeśli z powodu ślubu, to nie warto – rzekł Ludford. – Ponieważ wygląda na to, że żadnego ślubu nie będzie. Olympia ulotniła się z twoim przyjacielem.

Ashmont poderwał blond głowę, ochlapując wodą Blackwooda, który spokojnie odstąpił krok w tył z nie tak już spokojnym przekleństwem.

– Co, u diabła? – zapytał Ashmont.

– Uciekła, a Ripley poszedł za nią. Wsiedli do dorożki na High Street, ale nikt nie umiał powiedzieć, dokąd się skierowali.

Bywało, że dorożki jechały w przeciwnym kierunku lub obierały okrężną trasę, by uniknąć najbardziej zatłoczonych dróg. Bez wiedzy, jaki adres Ripley podał woźnicy, nie sposób było określić, dokąd zmierzali uciekinierzy.

– Pomyślałem, że będziesz się orientował, dokąd Ripley by pojechał – dodał Ludford. – Albo co by zrobił.

Ashmont i Blackwood zagapili się na niego. Później popatrzyli na siebie.

W tejże chwili do pokoju wszedł wysoki, jasnowłosy dżentelmen w średnim wieku. Jego przystojna twarz o szlachetnych rysach obwieszczała wszystkim, że to Beckingham.

– Stryju Fredzie – zwrócił się doń Ashmont. – Zdarzyła się zabawna rzecz.

Lord Frederick Beckingham uniósł brew.

– Najwyraźniej. Powinieneś być już w tej chwili mężem.

Ludford wyjaśnił, czego dopiero co był świadkiem.

Lord Frederick zmierzył bratanka wzrokiem.

– Lepiej, żeby nie był to jeden z tych twoich żartów.

– Nie mój – sprostował Ashmont. – Ripleya.

– Oczywiście – wtrącił Blackwood. – Zamierzałem właśnie zapewnić Ludforda, że nie ma się czym martwić. Nie oddalą się zanadto. Nie będzie ich akurat na tyle długo, żeby wywołać zamieszanie.

– Doprawdy? – spytał lord Frederick. – Wyznam, że stanowi dla mnie nie lada zagadkę, dlaczego lady Olympia miałaby przystać na coś takiego.

– Tak, dlaczego? – podchwycił Ludford. – Uważa was trzech za nic niewartych.

– Na pewno uważa, że ja jestem coś wart – zaoponował Ashmont. – Powiedziała „tak”, zgadza się?

– Tak twierdziłeś – rzekł lord Frederick.

– Ale teraz uciekła – dodał Ludford.

– Nie uciekła – sprzeciwił się Ashmont. – Ripley wymknął się razem z nią. Skaptował ją do udziału w figlu, nie rozumiecie?

– Wydawało mi się, że zwykle to ty obmyślasz żarty – zauważył Ludford.

– Nie zawsze – wyjaśnił Blackwood. – Ripley też wpadł na kilka niezłych. Pytanie brzmi, jak Ludford wielce inteligentnie nadmienił: dokąd Ripley by ją zabrał? Powinno to być gdzieś blisko. Nie chciałby powodować… ehm… komplikacji.

– Jeśli zniszczy reputację mojej siostry, zabiję go – oznajmił Ludford. – W istocie byłaby to komplikacja.

– Będziesz musiał ustawić się w kolejce za Ashmontem – rzekł Blackwood.

– Cholerna racja – rzucił Ashmont. – Odwaliłem całą robotę z zalotami i tak dalej, i należy mi się panna młoda. Nikczemny łajdak. Stał sobie, grając niewiniątko… a ja go poprosiłem, żeby wszystkiego doglądnął.

– Nie poprosiłeś – sprostował Blackwood. – Kazałeś mu.

– To ty mu kazałeś – oburzył się Ashmont. – Powiedziałeś… – Urwał, marszcząc brwi. – Zapomniałem. Ale jeśli nie chciał się tym zajmować, powinien był powiedzieć, zamiast wykradać mi żonę.

– Potrafię wyobrazić sobie mnóstwo rzeczy – stwierdził lord Frederick. – Ripley wykradający lady Olympię się do nich nie zalicza.

– Jeśli ją wykradł, dlaczego ścigał ją w ogrodzie? – zapytał Ludford. – Jeśli ją wykradł, dlaczego nie niósł jej przerzuconej przez ramię czy coś w tym rodzaju?

Ashmont ściągnął piękne brwi.

– Przyznaję, że tego nie umiem rozgryźć.

– Domyślam się – rzekł lord Frederick. – Zamiast więc przeciążać mózg tą zagadką, zalecam, żebyś odzyskał narzeczoną, i to jak najszybciej.

– A co tymczasem powiemy moim rodzicom? – zapytał Ludford. – I gościom weselnym?

– Pomówię z pańskimi rodzicami – zaofiarował się lord Frederick. – Uspokoję ich, że Ashmont ma wszystko pod kontrolą i uporządkuje sprawy. Gościom powiemy, że lady Olympia źle się czuje. A teraz, gdyby panowie byli tak uprzejmi, chciałbym zamienić parę słów z bratankiem.

Pozostali opuścili pokój.

– Co zrobiłeś? – spytał cicho lord Frederick.

– Nic, do diabła. Nie mam pojęcia, dlaczego się zawinęła. Jeśli to zrobiła. Jeśli to nie sprawka Ripleya.

– Mówiłem ci…

– Nie musiałeś mi mówić, stryju. Znalazłem ją i sam zobaczyłem. Wspaniała dziewczyna. Dokładnie to, czego chciałem, i tak też ci powiedziałem. I nie powstrzymały mnie twoje niepochlebne uwagi i czarne wizje, zgadza się?

– Szkoda, że moje słowa nie nakłoniły cię do tego, żebyś zastanowił się nad własnym zachowaniem.

– Nic nie zrobiłem!

– Pozostaje mi tylko żywić nadzieję, że to prawda i że sprawa jest tak nieistotna, jak zdajesz się wierzyć… ponieważ, Luciusie, jeśli stracisz tę dziewczynę, być może nigdy nie zyskasz kolejnej szansy – przestrzegł lord Frederick. – Nawet jeśli teraz tak nie myślisz, za tygodnie lub miesiące, lub lata od tej chwili będziesz żałował…

– Niczego nie będę żałował. Odzyskam ją i wszystko naprawię… cokolwiek właściwie się zepsuło… a im więcej czasu trwonię z tobą, słuchając kazań, tym bardziej ona się oddala.

– Z Ripleyem.

– Nic jej z nim nie grozi – zapewnił Ashmont.

– Mam nadzieję, dla twojego dobra.

– To mój przyjaciel – oznajmił Ashmont. – Nikczemny łajdak z niego, ale jest moim przyjacielem… i szybko uporamy się z tą sprawą, a potem będzie z tego dużo śmiechu, założę się, o co zechcesz.

***

Nim łódź odbiła od Battersea Bridge, mżawka zamieniła się w mgiełkę, która zmiękczała kontury zabudowań wzdłuż brzegu, przydając im, jak powiedzieliby niektórzy – nie Ripley – romantyzmu. Londyn zdawał się roztapiać i formować na nowo, znajome w teorii budynki majaczyły tajemniczo. Lub może cały sekret polegał na tym, że dzięki welonowi z mgły nie wyglądały ani w połowie tak obskurnie jak zazwyczaj.

Nadal jednak Ripley bez trudu wypatrzył obszarpanych chłopców, którzy brodzili w przybrzeżnym błocie, szperając w śmieciach.

Co nie znaczyło, że Londyn bardzo się różnił pod względem ubóstwa i brudu od dowolnego innego dużego miasta.

Prawdę mówiąc, Ripley się za tym stęsknił.

Ledwie ulokował się w mieście, a już je opuszczał, łodzią.

Właściwie nie wydawało się to wcale takim złym pomysłem.

Po pierwsze, ślub Ashmonta okazał się znacznie mniej nudny, niż Ripley oczekiwał. Po drugie, miał pannę młodą, na pomysł wykradzenia której sam wcześniej nie wpadł. Ale teraz ją miał, wraz z obietnicą przygody, i znaleźli się na rzece, z dala od innych.

Musiał jedynie dostarczyć ją bezpiecznie do Twickenham. Rzeką zajmie to dwie lub trzy godziny. Podróż lądem, choć pod względem odległości krótsza, przypuszczalnie trwałaby dłużej z powodu tłoku na drogach.

– Tam widać kościół w Battersea – powiedziała. – Z tego miejsca wszystko wygląda tak kompletnie inaczej. Podróżowałam wcześniej rzeką wyłącznie parowcem albo jachtem, nigdy tak blisko powierzchni wody jak teraz.

Jakby wezwany jej słowami, z sapaniem minął ich parowiec, wzburzając wody rzeki. Kiedy Ripley sięgał, żeby ustabilizować lady Olympię, fala gwałtownie zakołysała łodzią i niemal się przewrócił. Wyprostowawszy się

z przekleństwem, chwycił ją za ramię, które skurczyło się pod jego dotykiem – ale nie, to nie było jej ramię. Złapał powietrze w jej rękawie.

Chyba nawet nie zauważyła. Przytrzymywała się kurczowo burty. Twarz miała równie białą jak jej suknia ślubna.

Do czasu, gdy łódź przestała się kołysać, Ripley mniej więcej zapanował nad oddechem, choć serce nadal tłukło mu się w piersi. Gdyby Olympia wypadła za burtę…

Ale nie wypadła. Nikt nie wypadł.

– Przynajmniej nie będzie to nudna podróż – skomentował.

– Robi wielką różnicę, kiedy jest się tak nisko na wodzie – stwierdziła drżącym głosem.

– Proszę nie siedzieć tak blisko burty – poradził. – I niech pani nie dostaje choroby morskiej.

Spojrzała na niego. Jej oczy jakby straciły barwę, stając się szare jak mgła wokół.

– Czemu nikt wcześniej na to nie wpadł? Po prostu rozkazać danej osobie, żeby nie dostawała choroby morskiej. Na pewno skutkuje za każdym razem.

Mówiła spokojnie, ale nadal z całych sił przytrzymywała się burty.

– Doszedłem do czegoś – oznajmił. – Przyznam, że zastanawiałem się, co też Ashmont wyrabia. Teraz jednak rozumiem, że szczęście mu dopisało i znalazł dokładnie to, czego mu trzeba.

Rumieniec powrócił na jej twarz.

– Mało mnie obchodzi, czy jestem tym, czego mu trzeba. Pytanie brzmi, czy on jest tym, czego trzeba mnie.

– Jest księciem. Żadnej kobiecie niczego więcej nie trzeba.

Jeden po drugim zwalniała palce zaciśnięte na burcie łodzi.

– Mówiłam to sobie co najmniej sto razy – odparła. – Ciekawa rzecz, że nie uciszyłam moich obaw.

– Szkoda, że nie wypiła pani więcej brandy. Niewykluczone, że to by załatwiło sprawę. Dotarła pani jedynie do fazy nierozwagi. Trochę więcej, a osiągnęłaby pani fazę uległości i ukontentowania. Co mi przypomina: jeśli chodzi o fazę zwracania pokarmu…

– Nie wiedziałam, że stan upojenia rządzi się tyloma regułami – wtrąciła.

– Proszę zatem posłuchać głosu doświadczenia. Jeżeli zamierza pani wymiotować wbrew memu stanowczemu zakazowi, będzie pani łaskawa

robić to za burtę, ale trzymając się mocno. Jeśli wpadnie pani do wody, utopi się pani w tej kiecce, a ja będę zmuszony udzielać mnóstwa nudnych wyjaśnień, zamiast wprowadzić w życie mój prosty, acz przebiegły plan uratowania sytuacji.

– Ma pan plan?

– Nasunęło mi się kilka. Jeden zakładał kółeczko do Portsmouth i podróż morską.

– Ach, sprytna sztuczka z ucieczką – skomentowała.

– Po rozważeniu odrzuciłem go. Nawet dobrze nie wróciłem do kraju. Jeszcze się nie otrząsnąłem po kontaktach z obcokrajowcami.

– Chętnie poznałabym paru obcokrajowców – stwierdziła. – Chętnie poznawałabym wyłącznie obcokrajowców.

– Niechże więc pani wyjdzie za Ashmonta i nakłoni go, żeby ją zabrał za granicę – poradził.

Odmalował ją sobie, jak wspina się po schodach Ogrodów Boboli we Florencji i spogląda na panoramę miasta. Zastanawiał się, jaki kolor przybrałyby jej oczy, rozbłyskując po raz pierwszy na widok pałaców nad weneckimi kanałami. Widział ją w gondoli, w zapewniającej intymność, eleganckiej, wyłożonej miękkimi poduszkami *felze*… i uznał, że lepiej nie wyobrażać sobie, do czego mogłoby dojść w takiej malutkiej kabinie.

– Już o tym myślałam – odparła. – Analizowałam korzyści. Wielokrotnie. Przyznam, że biblioteka w jego rezydencji w Nottinghamshire zajmowała poczesne miejsce w moich kalkulacjach. A gdybym coś pominęła, ciocia Lavinia pierwsza wypełniłaby luki. Stwierdziła, że będę mieć wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam… choć ja bym powiedziała, że to zależy, czego się pragnie. I bynajmniej nie rozumiem, jak udało mu się nie pozastawiać całego majątku i nie pogrążyć się w długach. Może pan jednak być pewien, że papa i wuj Henry wnikliwie przyjrzeli się tym kwestiom. To znaczy wuj Henry się przyjrzał. Nie wydaje mi się, żeby papa tak naprawdę rozeznawał się w liczbach, chyba że tych w tabelach z wyścigów konnych. – Westchnęła. – Ashmont nie przepuścił schedy. Powiększył ją. – Przyłożyła dłoń do głowy. – Świat uzna, że oszalałam.

Świat, na ile Ripley się na tym znał, obwini Ashmonta. Do diabła, sam Ripley winił Ashmonta. Bogaty, piękny książę. Czarujący od urodzenia, podczas gdy inni w pocie czoła przyswajali tę sztukę, na miarę swoich

możliwości. Powinien był zawrócić jej w głowie. W dniu ślubu powinna być pijana z radości, zamiast topić troski w brandy.

Idiota!

– Zmiana zdania? – zapytał. – Chwila i będziemy z powrotem w Newland House.

– Nie, przekroczyłam Rubikon. I proszę spojrzeć, jak daleko już dotarliśmy. – Chwiejnie wskazała palcem. – Putney Bridge. Wszędzie bym go rozpoznała.

– Tak, jest tam całkiem niezła… – Urwał. Nie było go ponad rok. – Jakieś trzęsienia ziemi w okolicy ostatnio? – zwrócił się do łódkarzy.

– Nie, Wasza Książęca Wysokość – odparł jeden, podczas gdy drugi tylko wytrzeszczał nań oczy.

– Czy wobec tego można domniemywać, że Biały Lew w Putney nadal stoi? – drążył Ripley.

– Nadal, Wasza Książęca Wysokość – potwierdził bardziej rozmowny łódkarz.

– Urządzimy postój i zjemy coś w Białym Lwie – zarządził Ripley.

Wymagało to przejścia na główną ulicę, co potrwa dłużej niż posiłek w nadbrzeżnej tawernie, ale dam nie zabiera się do tawerny.

Mężczyźni przytaknęli i zaczęli kierować łódź ku właściwemu brzegowi rzeki.

– Postój? – spytała. – Nie mamy czasu na to, by bałamucił pan niewinne posługaczki. Myślałam, że chce pan pozbyć się mnie jak najszybciej.

– Nie może pani oczekiwać, że będę podróżował z nią aż do Twickenham o pustym żołądku.

– Mogę zostawić pana tutaj i popłynąć dalej sama? Ponieważ nie mam dziś nastroju na uwodzenie oberżystów, a chciałabym czymś się zająć, kiedy pan będzie flirtował z posługaczkami.

– Zjemy coś – odparł. – Oboje. Albo może się pani przyglądać, jak ja jem.

– Wydawało mi się, że się panu spieszy.

– Nie wybieramy się na obiad do zamku Windsor – odrzekł. – Poświęcimy na to nie więcej czasu, niż dyliżanse pocztowe dają pasażerom na posiłek. Lepiej, żeby pani coś zjadła. Mniejsze prawdopodobieństwo bólu głowy. Głos doświadczenia, pamięta pani?

***

Olympia nie pamiętała, kiedy jadła po raz ostatni. Nie pamiętała wielu rzeczy. Mnóstwo elementów w jej umyśle nie znajdowało się na zwykłych miejscach, podobnie zresztą jak świat wokół niej.

Sugestia księcia przypuszczalnie nie była zła. Jeżeli nie dostarczało się ciału pożywienia, mózg słabł. Co więcej – aczkolwiek Olympia nie przyznałaby tego przed nim za nic w świecie, nawet za pęk diamentowych diademów – chyba trochę się wstawiła. Było to jedyne rozsądne wytłumaczenie zamętu w jej głowie.

Ponoć miała umysł uporządkowany i praktyczny. Aż za bardzo, jak twierdzili niektórzy. No dobrze, wszyscy.

Aktualnie zagościły tam chaos i niepraktyczność.

Musiała coś zjeść. To nie zajmie dużo czasu. Podejmą podróż odświeżeni i pokrzepieni, ona zaś zdoła sięgnąć myślami do kolejnego kroku i dalej.

– Chętnie zjadłabym kanapkę – powiedziała. – Mają tam kanapki?

– Jestem księciem.

– Tak, oczywiście, że mają kanapki.

Jeśli nie mieli, zdobędą je w taki lub inny sposób. Dobrze być księciem, zwłaszcza wielkim i groźnej postury.

Nie żeby czuła się zastraszona. Jako jeden z książęcego tria książę Ripley był raczej idiotą. Aczkolwiek potężnym idiotą. I mężczyzną. Nawet na łodzi przeznaczonej dla kilkorga pasażerów zdawał się zajmować całą dostępną przestrzeń. Siedział, wyciągnąwszy przed siebie długie nogi, jakby wypoczywał na otomanie w tureckim haremie. Wyobraziła go sobie w luźnej koszuli i zwiewnych szarawarach… a później jej myśli zboczyły ku temu, co mama opowiedziała jej na temat nocy poślubnej.

Żadną miarą nie było to szokujące objawienie. Olympia wymknęła się kiedyś z braćmi i obserwowała, jak ogier kryje klacz. Procedura zdawała się dosyć niewygodna dla klaczy i wymagała ciężkiej pracy od ogiera, ale, oczywiście, w przypadku ludzi przebiegało to zapewne inaczej…

…i nie chciała myśleć o takich sprawach, mając tuż obok wielkiego, a przy tym nie w pełni cywilizowanego… lub kompletnie niecywilizowanego… mężczyznę, no i, doprawdy, zrobiła się głodna.

Łódkarze dobili do przystani. Z niecierpliwością przyglądała się, jak sztaują wiosła. Wyskoczyłaby z łodzi od razu, ale Ripley złapał ją za łokieć.

Nie mocno. Nie zastosował nacisku. A jednak ten lekki uchwyt zatrzymał ją na miejscu.

Nie miała pewności, jak tego dokonał, choć podejrzewała, że wiązało się to jakoś z faktem, że był księciem.

– Proszę zaczekać – rzekł. – Niech najpierw wysiądą i przytrzymają łódź.

Czekała, dotkliwie świadoma wielkiej dłoni na swym przedramieniu, kiedy wioślarze bez pośpiechu wysiadali z łodzi, po czym jeszcze wolniej odwracali się, żeby przytrzymać ją za dziób i ustabilizować.

– W porządku – oznajmił Ripley, puszczając Olympię. – Teraz ostrożnie.

– Łódź jest na suchym lądzie – odparła. – Czy też na wilgotnym lądzie, gwoli ścisłości.

– Nie cała. Gwoli ścisłości. Dziób…

– Tak, tak, widzę.

Spiesznie zebrała welon i wstała. Kiedy ruszyła w stronę brzegu, łódź się zakołysała.

– Ostrożnie – przestrzegł Ripley.

Popatrzyła na niego.

– Nie zapobiegnę kołysaniu łodzi. Jak sam pan powiedział, częściowo znajduje się w wodzie, a woda jako ciecz…

– Proszę się trzymać środka.

– Jestem na środku.

Sapnąwszy z rozdrażnieniem, odwróciła się od niego i ruszyła dalej w tej samej chwili, kiedy on zawołał: „Nie!”.

Łódź zachybotała się gwałtownie. A potem Olympia wymachiwała ramionami, usiłując odzyskać równowagę, podczas gdy Ripley zmierzał ku niej, coś krzycząc. Wyciągnął rękę, którą próbowała chwycić, ale rozminęła się z nią o włos. I poleciała za burtę, z potężnym pluskiem rozbryzgując błoto.

***

Zaklął, a później powtórzył przekleństwo.

Wygramolił się z łodzi, odpychając na bok łódkarzy, którzy pospieszyli ku damie. Wszedł w breję, gdzie siedziała z wyrazem bezgranicznego zaskoczenia na twarzy, w mętnej, głębokiej na może trzydzieści centymetrów wodzie.

– Musiała pani wypaść z łodzi – skomentował.

– Nie zrobiłam tego specjalnie!

Usiłowała wstać, ale zdziałała tyle, że ześlizgnęła się do tyłu, w nieco głębszą breję.

– Mówiłem…

– Nie powinien był pan mnie rozpraszać.

– Ostrzegałem panią.

– To bezgranicznie irytujące, kiedy ktoś zwraca się do drugiej osoby jak do kompletnie pozbawionej rozsądku. Nie, proszę się nie kłopotać – dorzuciła, kiedy podał jej rękę. – Jak najbardziej potrafię bez pomocy wyjść z wody głębokiej na pół łydki.

Gromadziła się publiczność. Za kolejną minutę gapie zaczną wylewać się z nadbrzeżnych tawern.

– Proszę mnie złapać za rękę – powiedział.

– Mogę się przytrzymać łodzi.

Chwycił ją i zaczął ciągnąć w górę, ale mu się wyrwała, przez co się poślizgnął, no i runął w dół.

Z brzegu dobiegł go śmiech.

Popatrzył na nią.

Jedno ramię omotywał jej ten przeklęty welon, a ułożona przez Ripleya fryzura ześlizgiwała się w dół. Przy upadku twarz i okulary zbryzgała błotnista woda. Te drugie obecnie bez wątpienia się przekrzywiły.

Wezbrał w nim śmiech, lecz zaraz uzmysłowił sobie, że siedzi w wodzie, podobnie jak panna młoda, która gotowa jeszcze złapać zapalenie płuc, jeśli nie coś gorszego.

Zaklął ponownie, dźwignął się z wody, znalazł mocne oparcie dla stóp i się nachylił. Chwycił Olympię pod pachami – który to raz dzisiaj? – i pociągnął do pionu. Kiedy tylko stanęła na nogach, usiłowała go odepchnąć, przez co zatoczyła się znów w stronę wody.

Tym razem stanowczo pociągnął ją ku sobie.

– Usiłuje się pani utopić? – zapytał. – Ponieważ mądrzej i bez wątpienia łatwiej byłoby skoczyć z mostu… na środku rzeki, rozumie pani, nie przy brzegu.

Pchnęła go.

– Proszę łaskawie zejść mi z drogi!

Była mokra, ubłocona i woniała rzeką. Miał tego świadomość. Miał również świadomość gibkiego, krągłego ciała dociśniętego do jego własnego. Umysł Ripleya, co typowe dla męskich umysłów w takich przypadkach, zaczął ulegać potężnej sile, zlokalizowanej w dolnych partiach jego osoby.

– Nie – powiedział.

Wraz z mową, jakkolwiek skromną, wróciła krztyna instynktu samozachowawczego i w jego umyśle pojawił się obraz czekającego z pastorem Ashmonta.

Narzeczona Ashmonta.

Asmont ją wybrał i zasługiwał na nią. Była dla niego idealna.

Podczas gdy dalej nań napierała, Ripley przemieścił ciężar ciała, poderwał ją i uniósł w ramionach, mokrą, błotnistą masę piszczącej uciekinierki sprzed ołtarza.

Gapie wiwatowali. Przywykł do publiczności. Ukłonił się im.

– Och – powiedziała Olympia. – Jest pan niedorzeczny.

– Mówi dziewczyna, która przed chwilą wylądowała na tyłku w rzece.

Bynajmniej nie była sylfidą, jedną z tych, które nic nie ważą i wyglądają, jakby lekki podmuch wiatru wystarczył, żeby roztrzaskać je na kawałki. Była pełnowymiarową kobietą, z doskonale rozdysponowanymi kobiecymi walorami. Niemniej radził już sobie ze spłoszonymi końmi tudzież wyciągał większych i znacznie cięższych przyjaciół z tawern, burdeli, łodzi, powozów, stajni i tym podobnych. Co więcej, był mężczyzną w typie bardziej fizycznym niż intelektualnym. Wniesienie jej po niewielkiej pochyłości i dalej na High Street nie stanowiło wielkiego wyczynu.

Przez cały ten czas usta jej się nie zamykały, łajała go czy co tam jeszcze.

Nie wiedział, co mówiła, ponieważ nie słuchał. Musiał powstrzymywać myśli przed zgłębianiem tematu jej wagi i kształtów, ponieważ od tych zagadnień prowadziła prosta droga do tego, by pewna maleńka główka, która lubiła przejmować dowodzenie, kiedy w pobliżu znajdowały się kobiety, coś sobie ubzdurała.

Skoncentrował się na tej jednej rzeczy, którą musiał zrobić.

Musiał dostarczyć dziewczynę do Twickenham – najlepiej żywą – i nakłonić Ashmonta, żeby się tam po nią udał.

Nic prostszego, uspokajał się Ripley.

Rozdział 4

Jak można było oczekiwać, w Białym Lwie rozpoznano księcia Ripleya.

Rozpoznano by każdego z ich książęcego tria.

Wizerunki ich trzech trwale odcisnęły się we wszystkich plotkarskich gazetach. Niemalże codziennie gościli na łamach ulubionego dostawcy skandali w Londynie, „Porannego Zwierciadła” Toma Foxe’a, a ich karykatury zdobiły okna drukarni.

Nie było takiej możliwości, uzmysłowiła sobie Olympia, żeby z nim podróżować dyskretnie. Aczkolwiek tak czy owak trudno o dyskrecję, kiedy ma się na sobie ruinę sukni ślubnej i wygląda bynajmniej nie jak Ofelia, lecz jak podtopiony szczur albo wrak statku, z którego rzeczony szczur nie zdążył w porę czmychnąć.

Nie było również takiej możliwości, myślała dalej Olympia, żeby nakłonić Jego Książęcą Wysokość do zrobienia czegokolwiek innego niż to, co chciał zrobić. W kwestii, na przykład, uzyskania zgody na to, by stanąć na własnych nogach, musiała poczekać, aż książę dojrzeje do takiego konceptu.

Właściwie Olympia nie czuła się aż tak dogłębnie nieszczęśliwa z powodu tego, że wydobyto ją z wody i poniesiono schodami w górę, obok, jak się zdawało, setek gapiów. Choć głowę trzymałaby wysoko – była w końcu córką hrabiego – mocno powątpiewała, czy jej chód miałby w sobie choć minimum gracji.

Jakkolwiek wolałaby nie pojawiać się w publicznej oberży aż tak mokra i ubłocona, przede wszystkim nie chciała, by ktokolwiek się dowiedział, że jest pijana. A do takiej konkluzji, jak się obawiała, doszłaby widownia, gdyby Olympia usiłowała iść samodzielnie, ciągnąc za sobą kilka ton wód Tamizy.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa jakiś mężczyzna niósł ją w ramionach. Nie czuła się jak dziecko i wrażenie w najmniejszym stopniu nie przypominało tego, gdy niósł ją ojciec lub wuj, albo dziadek.

Świadomość jego siły i rozmiarów, i ciepła jego ciała, atakowała jej zmysły. Rozpaczliwie pragnęła ukryć głowę w jego piersi.

To wina brandy, niewątpliwie. Można by sądzić, że jeśli wzburzona przez parowiec fala niemal ciśnie człowieka do Tamizy, takie przeżycie wystarczy, by wytrzeźwieć. Najwyraźniej jednak nie.

Ripley wreszcie postawił Olympię na ziemi w holu przy recepcji. Nogi drżały jej bez żadnego rozsądnego powodu, gdy słuchała, jak rozkazującym tonem zażyczył sobie dwóch pokojów, obu z płonącym w kominku ogniem i ciepłą wodą do kąpieli, oraz suchych ubrań.

Jej umysł potrzebował chwili, żeby się uspokoić i ogarnąć to, co się działo.

– Ogień? – odezwała się, kiedy właściciel oddalił się spiesznie. – O tej porze roku?

– Zależy pani na wyhodowaniu sobie zapalenia płuc?

– Zanim rozpalą w kominkach, zdążymy się wykąpać i przebrać. To znaczy, jeśli znajdą ubrania. Jak niby oczekuje pan, że znajdą dla nas ubrania?

– W taki sam sposób, w jaki oczekuję, że rozpalą w kominkach. Jak to zrobią, to nie mój problem.

– Zdumiewające, że do tej pory nikt nie próbował pana zabić. Robi pan takie rzeczy przez cały czas?

– Nie. Jest pani pierwszą panną młodą, która mnie uprowadziła. Choć, naturalnie, wszyscy założą, że to ja uprowadziłem panią, co odpowiada naszym celom.

– Nie mojemu. Nie mogę…

Zamierzała oznajmić: „Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby mnie uprowadzano”, ale to był absurd. Praktycznie rzecz biorąc, uciekła z księciem Ripleyem, i to też powiedzą plotkarze i opublikują gazety, no i pojawią się również satyryczne rysunki, przedstawiające artystyczne wizje tego wydarzenia. Te będą szokować.

Tłumaczyła sobie, że powinna spojrzeć na sprawę od jaśniejszej strony. Nigdy, nawet w najdzikszych fantazjach, nie wyobrażała sobie, że znajdzie się na wystawie drukarni.

Dotyczyło to również najdzikszych fantazji innych osób. Na ile wiedziała, nikogo nie obwołano Najnudniejszą Dziewczyną Sezonu więcej razy niż lady Olympię Hightower.

Z drugiej strony, przyniosła wstyd rodzinie. Skompromitowała ich. Skompromitowała siebie. Skreśliła wszystkie swoje szanse na małżeństwo.

Ale nie, nie mogła myśleć o konsekwencjach, bo oszaleje. Jej umysł i bez tego stąpał po niepewnym gruncie.

Jedna rzecz naraz.

Pojawiła się pokojówka, żeby zaprowadzić ich do pokojów.

***

Ripley podążył za lady Olympią po schodach w górę, mówiąc sobie, że scena z panną młodą za burtą doskonale wpisuje się w schemat przygody. Nie oczekiwałby wprawdzie tego typu rozrywek w przypadku przyzwoitej dziewczyny – ale nie miał wszak za wiele doświadczenia z tym gatunkiem.

Szczęśliwie, komplikacja przydarzyła się na wczesnym etapie podróży, niedaleko gospody, do której raz po raz zaglądał. To prawda, że on i jego przyjaciele zachowywali się tutaj równie źle jak w innych miejscach. Pozostawało jednak również prawdą, że zawsze płacili za zniszczenia.

Miał w Białym Lwie otwarty rachunek. Nie było to nic niezwykłego w przypadku dżentelmena, który często przemieszcza się publicznymi drogami w poszukiwaniu rozrywek: meczów bokserskich lub zapaśniczych, wyścigów koni lub łodzi tudzież wszelkich innych gier, gdzie można robić zakłady.

Niezwykły był natomiast fakt, że agent księcia regulował rachunki nie kwartalnie czy dwa razy do roku lub raz na rok, czy też, zgodnie ze wspaniałą tradycją arystokracji, w ogóle nigdy – ale co miesiąc.

Wszystkie rachunki, zapłacone co do pensa, każdego miesiąca.

Za sprawą tej drobnej ekscentryczności Ripleya ludzie nie gadali i byli skłonni do współpracy. Zamiast ryglować drzwi i okna oraz wywieszać tabliczki „Poszedłem na ryby” albo „Zamknięte do odwołania”, ilekroć usłyszeli, że nadchodzi, kupcy, a niekiedy także ich córki, szeroko otwierali podwoje i wybiegali ze sklepów, by serdecznie go powitać.

Dobrze być księciem, lecz najlepiej – księciem wypłacalnym.

Pieniądze zwykle naprawiają wszystko.

Wkrótce naprawią też bieżący problem, a Ripleyowi nadal pozostanie sporo czasu, żeby dostarczyć narzeczoną Ashmonta do Twickenham.

Lady Olympia nie przeziębi się ani nie złapie zapalenia płuc.

Był czerwiec, nie listopad. Pogoda dopisywała, a ona wpadła do wody głębokiej na góra pół metra.

Stał się świadom wody kapiącej na schody, gdy po nich wchodziła.

Jego myśli wróciły do teraźniejszości i Ripley uzmysłowił sobie, że dama przemokła na wskroś. Jej półhalki bez wątpienia były całkiem mokre. W przeciwnym razie spódnice nie kleiłyby jej się tak do pupy i ud.

Przypomniał sobie, jak jej ciało docisnęło się do jego ciała i czego doświadczał, niosąc ją w ramionach do gospody.

Oczywiste, że to pamiętał. Był mężczyzną, ona zaś kształtną młodą kobietą.

I oczywiste, że była kształtna. Ashmontowi nie przyszłoby do głowy zalecać się do innej.

A ponieważ Ashmont zalecał się do niej i mniej więcej ją zdobył, kształtność należała do niego. I tak być powinno. Nie ulegało wątpliwości, że dokładnie takiej kobiety potrzebował. Lady Olympia nigdy nie pozwoli mu sobą pomiatać. Niewykluczone, że sama będzie nim pomiatać, co okaże się zabawne…

I nie dumajmy już nad tym, jak bardzo zabawne, poradził samemu sobie Ripley, kiedy jego wyobraźnia zaczęła zbaczać w tym kierunku. *Niezbyt użyteczny tok myślenia w tej chwili.*

W tej chwili potrzebował, po pierwsze, starannej kąpieli i, po drugie, kapelusza – i lepiej niech znajdą mu coś odpowiedniego. Po trzecie wreszcie – co wydawało się absolutnie rozsądne i naturalne po miesiącach nienaturalnej abstynencji – potrzeba mu było kształtnej kobiety, która nie należałaby do żadnego z jego najlepszych przyjaciół. Pierwszemu i drugiemu zaradzi wkrótce, trzeciemu zaś jeszcze tego wieczoru, obiecał sobie.

Tymczasem, jako że był mężczyzną, i to bynajmniej nie świętym, nie nakazał sobie przestać patrzeć na ubłocone kostki lady Olympii.

***

Ripley poczekał, aż lady Olympia znajdzie się bezpiecznie w pokoju pod okiem dwóch służących z gospody, Molly i Jane.

Wcześniej wziął je na stronę i wyjaśnił, że dama miała męczący poranek i nie myśli tak trzeźwo, jak można by sobie życzyć. Dlatego oczekiwał, że

służące zachowają trzeźwość umysłu i czujność w jej imieniu.

Miały zapobiec ewentualnym próbom ucieczki oknem lub wprowadzenia innych nagłych zmian w planach podróży, jakie dama mogłaby podjąć. Ich zadanie polegało na tym, by ją wyszorować, wysuszyć, nakarmić i przyoblec w nowe ubranie. Pod żadnym pozorem nie wolno im było spuszczać jej z oczu. Gdyby jakimś złym trafem im się wymknęła, muszą natychmiast go o tym poinformować. Będzie w pokoju obok.

Odniósłszy się do wszelkich nieprzewidzianych wypadków, poczekał, aż za trzema kobietami zamkną się drzwi, po czym wezwał właścicielkę.

– Proszę posłać kogoś do krawcowej, pani Thorne – polecił. – Proszę jej koniecznie przekazać, że dama miała wypadek i potrzebuje nowych ubrań, natychmiast. Nie mamy czasu do stracenia.

Oddaliła się spiesznie.

Następnie Ripley splótł ramiona i oparł się o ościeżnicę drzwi do swojego pokoju.

To była kolejna sztuczka, której nauczyło go doświadczenie.

Ludzie szybciej wykonują swoje zadania, kiedy wielki, groźny arystokrata stoi i czeka, aż zrobią to, co kazał im zrobić.

Służący wpadli do pokoju z podpałką i wiadrami węgla.

Za nimi nadbiegli kolejni z dzbanami gorącej wody.

Nadal czekał. Czas płynął. Jego ubranie przestało ociekać wodą i zadowoliło się rolą przemoczonej drugiej skóry.

Wyszedł na galerię z widokiem na dziedziniec gospody. Oparł się o filar i przyglądał aktywności w dole. W wilgotnym powietrzu jego ubranie nie schło zbyt prędko. Ogarniało go coraz większe znudzenie i zniecierpliwienie, gdy wreszcie na dziedziniec weszły w pośpiechu trzy kobiety. Najbardziej elegancka z nich niespokojnie podniosła na niego wzrok.

Skinął głową.

Ruszyła po schodach, a pozostałe dwie podążyły za nią, dźwigając wielkie, owinięte w muślin pakunki.

Dopiero wówczas wszedł do swojego pokoju.

***

W przestronnym pokoju Olympii na kominku buzował ogień.

W czerwcu.

Dwa gigantyczne dzbany z gorącą wodą przybyły mniej więcej w chwili, kiedy płomienie zaczęły skakać po węglach.

Chociaż w Białym Lwie panował spory ruch, dwie z tutejszych przepracowanych pokojówek zajmowały się jedną sponiewieraną damą.

Niezliczeni inni służący – praktycznie wszyscy z tej gospody i, prawdopodobnie, także wypożyczeni po sąsiedzku – biegali tam i sam, spełniając zachcianki Jego Książęcej Wysokości.

Zaiste, dobrze być księciem.

Lub mówiąc ściślej – a Olympia na co dzień była osobą precyzyjną – jeśli zamierza się wpaść do rzeki w sukni ślubnej, dobrze mieć na podorędziu jakiegoś księcia.

Złościła się na siebie, że wypadła z łodzi.

Złościła się na siebie, że dała mu się wyprowadzić z równowagi.

Nie powinna była pojedynkować się z nim na słowa. Należało patrzeć, co robi i dokąd idzie, i jego śladem z gracją opuścić łódź.

Ale co się stało, to się nie odstanie. Zachowała się głupio i skończyło się tym, że jeden z najbardziej niesławnych parów w Wielkiej Brytanii poniósł ją główną ulicą Putney i wtaszczył do tej gospody na oczach mieszkańców wsi, łódkarzy, woźniców, podróżnych, zbłąkanych dzieci i psów – czyli, krótko mówiąc, wszystkich.

Odczuwała gorąco na całym ciele, nawet w głowie.

Miała nadzieję, że to po prostu sprawka tego niedorzecznego ognia – w czerwcu! – i wysiłków pokojówek, które szorowały ją od czubka głowy do stóp. Aby odwrócić myśli od wizji satyrycznych rysunków przedstawiających ostatni epizod, w miarę możliwości skoncentrowała się na Kolejnym Kroku.

Mimo że wpływ brandy jakby osłabł i jej umysł nie był już tak zamglony jak wcześniej, chwilę trwało, nim ustaliła, jaki powinien być ten krok.

Co powiedzieć cioci Delii?

Dobry Boże, od czego zaczyna się w takiej sytuacji?

Niemniej od czegoś trzeba będzie zacząć. Patrząc od jaśniejszej strony, ułożenie satysfakcjonującego wyjaśnienia – a takie z pewnością istniało – zaabsorbuje ją w pełni i w sposób użyteczny.

Rozpracowywała ten problem, podczas gdy Molly i Jane wycierały ją ciepłymi ręcznikami i pomagały założyć szlafrok. Nadal wypróbowywała i

odrzucała wyjaśnienia, kiedy posadziły ją przy niewielkiej toaletce i zaczęły rozczesywać jej włosy.

Właśnie cierpliwie rozplątywały kołtuny, gdy pokazała się krawcowa.

Tak, autentyczna krawcowa, z dwiema szwaczkami w odwodzie, taszczącymi, jak się zdawało, cały asortyment sklepu.

Kobiety dygnęły głęboko. Najbardziej elegancka z grupki przedstawiła się jako pani Thorne, a tymczasem jej dwie anonimowe pomniejsze kopie rozwiązywały pakunki i wykładały stroje na łóżku.

– Jakże nas strapiła wiadomość o pani wypadku, milady! – powiedziała krawcowa. – Tak czy inaczej spieszyłam zobaczyć, jak mogę służyć pani pomocą, jeszcze nim nadeszła wiadomość od Jego Książęcej Wysokości. Szczęśliwym zrządzeniem losu miałyśmy kilka prawie ukończonych strojów, a do tego dwa na wystawie. Wprowadzenie poprawek to drobnostka, zapewniam, milady. Błyskawicznie panią oporządzimy i ufam, że nie będzie pani nieusatysfakcjonowana. Jakkolwiek, ściśle biorąc, nie jesteśmy w Londynie, nasze wzory pochodzą z Paryża i moje szwaczki na pewno… Och, ogromnie przepraszam, milady. Jeśli mogę przedstawić, panna Ames i panna Oxley. Wierzę, że przekona się pani, iż w niczym nie ustępują londyńskim dziewczętom.

Olympia często toczyła z matką gorzkie boje o swoją garderobę, pozostawiając negocjacje krawcowym. Bez trudu wyobrażała sobie, ile godzin szwaczki poświęcały, żeby jak najprędzej zaspokoić fanaberie przesadnie uprzywilejowanych klientek. Wątpiła, by jakakolwiek szwaczka mogła dorównać londyńskim pod względem wytrzymałości i odporności w warunkach krańcowego napięcia, przy – ani chybi – złym traktowaniu.

Co do poziomu umiejętności tej tu kompanii: aktualnie głównym pragnieniem Olympii było założyć suknię nieimpregnowaną błotem. Nie obchodziło jej, czy szwy będą krzywe.

Jednakże mówiąc to, zraniłaby uczucia krawcowej.

Powiedziała zatem:

– Dziękuję, że przyszła pani tak szybko.

Ripley pstryknął palcami i zamówił ubrania, a oto rezultat.

Służący z gospody najwidoczniej pognał do Putney, do zakładu krawieckiego pani Thorne. Ona zaś rzuciła wszystko, żeby uczynić zadość życzeniu Jego Książęcej Wysokości.

Nie było w tym absolutnie nic dziwnego, powiedziała sobie Olympia. Możliwość mówienia, że klientem danego zakładu jest książę, stanowi nie lada osiągnięcie. Większość sklepikarek, zwłaszcza na wsi, postąpiłaby tak samo jak pani Thorne.

Niemniej, doprawdy, czy i bez tego nie był już wystarczająco zepsuty?

– Mam nadzieję, że nie musiała pani zamknąć sklepu – odezwała się Olympia.

– Ależ skąd, milady – zapewniła pani Thorne. – Bardzo pani dobra, że o tym pomyślała, niemniej wszystko jest pod kontrolą, a sklepem ktoś się zajmie do naszego powrotu. Chociaż nie wahałabym się go zamknąć w razie potrzeby. Jeśli jednak wybaczy pani, że przeszkodzimy… tylko na momencik, bardzo proszę, gdyby była pani tak dobra wstać, żebyśmy mogły wziąć miarę.

Olympia wstała i natychmiast została otoczona.

Kiedy kobiety przytrzymywały przy niej raz to, raz tamto, zastanawiała się, czyje stroje przyniosły. Tak, coś tam mogło być na wystawie, aczkolwiek w witrynie zakładu umieszcza się zwykle raczej odbitkę z modną kreacją lub udrapowany artystycznie materiał.

Mało prawdopodobne, by stylistka trzymała zapas gotowych sukien w oczekiwaniu na klientkę. Stroje szyje się na zamówienie.

Z drugiej strony, kiedy na przykład klienci o zasobnych kontach w banku i reputacji płacących bezzwłocznie – albo książęta – żądają czegoś na szybko, krawcowa może wprowadzić poprawki w ubraniu przeznaczonym dla kogoś innego.

Pani Thorne wyłożyła halkę i gorset.

Szokująco piękne, nie przypominały niczego, co Olympia widziała do tej pory. Halka, z najszlachetniejszego płótna, była haftowana kolorowymi jedwabnymi nićmi i obrębiona koronką wzdłuż linii dekoltu i na krawędziach rękawów. Gorset, z równie kosztownej tkaniny, prezentował się jeszcze bardziej wytwornie. Zastosowano na nim różowe i czarne ściegi. Wzdłuż boków biegła różowa lamówka. Różowe sznurówki, zawiązane na maleńkie różowe kokardki, pozwalały na dopasowanie stroju w rejonie biustu. Nawet sznurówki na plecach były różowe!

Olympia nigdy w życiu nie nosiła – ani nie widziała, skoro już o tym mowa – bielizny innej niż biała.

Najwidoczniej wyglądała na dokładnie tak zdumioną, jak się czuła, gdyż pani Thorne wyjaśniła prędko:

– Wśród naszych klientek są londyńskie damy.

– Ach tak – bąknęła Olympia.

Zastanawiała się, jakiego rodzaju londyńskie damy zamawiają bieliznę tak bez umiaru francuską.

Powiedziała sobie, że to bez znaczenia.

Potrzebowała czystego, suchego ubrania, jeśli zaś ta tutaj bielizna bardziej pasowała do burdelu, ów fakt nieszczególnie zaskakiwał, gdy wziąć pod uwagę, kto ją zamówił.

Jej nazbyt aktywny umysł odmalował obraz burdelu w stylu tureckiego haremu. Spoczywały tam w niedbałych pozach kobiety, których ciała przywodziły na myśl greckie i rzymskie posągi lub może obrazy Rubensa. Rozpierały się na poduszkach i dywanach w koronkowej, wyszywanej kolorowymi nićmi bieliźnie. Mężczyźni tacy jak Ripley niespiesznie wkraczali do owego przybytku i…

Lepiej sobie tego nie wyobrażać.

Lepiej pozostawić te kwestie satyrykom. Ani chybi przyodzieją jedyną córkę lorda Gonerby’ego w szkarłatny gorset i półhalki.

Dobry Boże, wyraz twarzy papy, kiedy zobaczy rysunki…

Nie, Olympia nie będzie o tym myśleć.

Spojrzy na sytuację od jasnej strony. Zawsze istnieje jasna strona, choć niekiedy dostrzeżenie jej wymaga starannych poszukiwań z użyciem szkła powiększającego lub mikroskopu.

A jasną stroną było…

Olympia straci tytuł Najnudniejszej Dziewczyny Sezonu.

Podczas gdy snuła te rozważania nad burdelami i swoją nową publiczną rolą, kobiety wyłuskały ją ze szlafroka i pomogły jej założyć halkę oraz pantalony. Wiązały wstążki, poprawiały zakładki i wygładzały materiał z taką dbałością, jakby bieliznę wykonano z jedwabiu i diamentów.

Ramiączka gorsetu wymagały dopasowania i panna Oxley przystąpiła do pracy, błyskawicznie prując i zszywając na nowo. Tymczasem pani Thorne zaprzęgła pannę Ames do zwężenia półhalki.

Olympia przyglądała się temu z fascynacją. W Londynie profesjonalne szwaczki kryły się zwykle w innej części zakładu krawieckiego. Jeśli już wynurzały się z pracowni, to po to, by pokazać jakiś element odzieży lub

pomóc krawcowej. Nigdy nie obserwowała ich przy faktycznej pracy. Prędkość, z jaką śmigały igły, nanosząc drobniusieńkie szwy, zdała jej się nadludzka.

Zawsze bardziej interesowały ją książki niż robótki ręczne.

Nie dano jej wszakże więcej aniżeli chwili na obserwacje, ponieważ kobiety musiały skończyć ją ubierać. Pokojówki pomogły jej wciągnąć pończochy i zawiązały podwiązki, przepraszając, że tak ją popędzają – „ale Jego Książęca Wysokość kazał nam się pospieszyć, a on jest taki dobry, wie pani, że…”

– Dobry! – wykrzyknęła Olympia.

– O, tak! – potwierdziła Molly. – Wstyd by mi było go zawieść, naprawdę.

– Dobry! – powtórzyła Olympia. – Pierwsze słyszę. Co takiego zrobił? Tylko mi nie mówcie, że przygarnia ranne ptaki i pielęgnuje je, aż odzyskają zdrowie. Albo ratuje kocięta przed utonięciem? Na pewno o to chodzi.

– Kiedy naprawdę, milady…

– Dobry – powtórzyła znowu. – Ripley. Przysięgam, głowa mnie boli na samą myśl o umieszczeniu tego przymiotnika w jego pobliżu. Odnosi się to też do dwóch pozostałych nonsensownie żałosnych namiastek książąt. Nie, to na nic. Nie ogarnę umysłem tego konceptu.

Służące uśmiechnęły się, a jedna ze szwaczek zachichotała. Pani Thorne zgromiła ją wzrokiem i dziewczyna nachyliła się nad pracą.

– Wiem, że Jego Książęca Wysokość ma opinię dzikiego, milady, i taki jest – powiedziała Jane.

– Tyle afer – mruknęła pani Thorne, kręcąc głową.

Niemniej Olympia wychwyciła sugestię pobłażliwego uśmiechu.

– Ale kiedy mój ojciec zachorował, Jego Książęca Wysokość przysłał doktora, wie pani – wyjaśniła Molly. – I mu zapłacił.

– Ludzie mogą mówić, co sobie chcą o Ich Książęcych Wysokościach… i tych ich wyczynach! – dodała Jane. – Ale kiedy coś się połamie lub spali, lub wpadnie do rzeki, wie pani… lub ktoś… zawsze płacą.

– Na przykład ta pościel wtedy – podchwyciła Molly. – Cała we krwi, słowo daję. Mimo to myślałyśmy, że damy radę wywabić…

– Cała we krwi? – zapytała Olympia.

– Pojedynki – wyjaśniła panna Ames.

– Cicho! – zganiła ją krawcowa.

– Jego Książęca Wysokość istotnie wspomniał o pojedynkach – powiedziała Olympia.

– Battersea Fields, wie pani – uzupełniła panna Ames. – Czasami Putney Heath.

– Ale przeważnie to dżentelmeni płyną w górę rzeki – stwierdziła Jane. – Żeby się cichcem połatać.

– Zwykle nie jest tak krwawo, ale tamtym razem…

– Książę Ashmont…

– Jak zobaczyłam krew, myślałam, że lord Stewkley odstrzelił mu ucho!

– Ale tylko drasnął go w głowę, tak twierdził Jego Książęca Wysokość, a jak się śmiał! Jakby to było nic.

– A Jego Książęca Wysokość książę Ripley powiedział, że przy ranie głowy krew się leje jak ze świni…

– Krew się leje jak jasna cholera, tak powiedział Jego Książęca Wysokość.

– Bez przekleństw – upomniała je pani Thorne.

– Mną proszę się nie przejmować – zapewniła Olympia. – Mam sześciu braci.

– Chłopcy to chłopcy, wiadomo – stwierdziła pani Thorne.

– Raczej chłopcy to mali barbarzyńcy – poprawiła ją Olympia. – Nie jestem przekonana, czy kiedykolwiek w pełni się cywilizują. Jeśli ktoś próbuje mnie zaszokować szalonymi wyczynami chłopców, stoi przed trudnym zadaniem. I najwyraźniej niewiele się zmienia, kiedy dorastają, prawda? Zdumiewa mnie jedynie, że żyją na tyle długo, by dorosnąć. Co to był za pojedynek, kiedy lord Stewkley prawie odstrzelił ucho księciu Ashmontowi?

– To było bardzo dawno temu – odparła pani Thorne tonem przeznaczonym do uciszenia dziewcząt, które właśnie otworzyły usta. – Prawie dziesięć lat, zdaje się.

– Tak dawno? – zdziwiła się Jane.

– W każdym razie byli młodzi, jeszcze prawie uczniaki – ciągnęła pani Thorne. – Na pewno nikt nie pamięta już, o co poszło. I na pewno mamy zbyt wiele pracy, żeby trwonić czas na plotki o zamierzchłej przeszłości. – Posłała pozostałym ostrzegawcze spojrzenie.

Temat porzucono i kobiety skoncentrowały się na pracy, podczas gdy Olympia trawiła uzyskane informacje.

Pojedynki starano się wyciszać, były bowiem nielegalne, niemniej całkowite wyciszenie graniczyło z niemożliwością. Mimo to Olympia nie przypominała sobie niczego szczególnego w związku z Ashmontem i lordem Stewkleyem.

Mało zaskakujące. Książęce trio wywołało dotąd tak wiele skandali i robiło to z taką częstotliwością, że wyłuskanie jednego – sprzed dekady – można by porównać do prób wydobycia melasy z chłopięcych włosów.

Myśl o melasie przypomniała Olympii, że jest głodna.

– Czy mogłabym prosić o przyniesienie mi czegoś do przekąszenia? – zapytała.

– Oczywiście, milady – powiedziała Jane.

Wyszła spiesznie z pokoju.

Pozostałe kobiety wcisnęły Olympię w niegrzeczny gorset, wprowadziły finalne poprawki i zasznurowały go. Następnie przyszła półhalka, współgrająca z resztą.

Później, na końcu, suknia.

Olympia była mgliście świadoma masy różowego jedwabiu, kokard i koronki, lecz aktualnie myślała o jedzeniu, popędzając w duchu pokojówkę. Zadowoliłaby się kromką chleba albo kawałkiem sera, albo nawet herbatnikiem.

Ale nie, przybyła z księciem Ripleyem, najwyraźniej otaczanym w tych stronach czcią, toteż kucharka musiała przygotować żółwia i homary, i tuczne cielę.

Dopiero kiedy pani Thorne udrapowała jej na ramionach czarną mantylkę, Olympia naprawdę się skoncentrowała. Opuściła wzrok na stanik i spódnicę.

Odsunęła się od kobiet i pomaszerowała do lustra.

Podążyły za nią i stały, spoglądając w lustro wokół jej odbicia – były jak rama z uśmiechniętych twarzy.

– Idealna! – zawyrokowała pani Thorne.

– Idealna – powtórzyły jej pupilki.

– Idealna – wykrztusiła na bezdechu Molly. – Och, niech mnie.

– Niech cię, żebyś wiedziała – rzekła Olympia.

Poprawiła okulary, pomaszerowała do drzwi i je otworzyła.

Ledwie rejestrując chór zatrwożonych głosów za plecami, kontynuowała marsz do pokoju sąsiadującego z jej własnym.

Nie zapukała, nie zatrzymała się, żeby pomyśleć. Otworzyła drzwi, wparowała do środka i z hukiem zatrzasnęła je za sobą.

– Czy to jeden z pańskich żartów? – spytała. – Ponieważ…

Odkryła, że wpatruje się w muskularne plecy, jędrne pośladki i długie, umięśnione nogi mężczyzny wzrostu około metra osiemdziesięciu pięciu, który stał, nagi, w wielkiej miednicy przed kominkiem.

***

Znieruchomiał, a Olympia powinna była w tej chwili odwrócić głowę – lub, jeszcze lepiej, opuścić pokój, zachowując pozory godności.

Widocznie nadal nie odzyskała w pełni przytomności umysłu, potrafiła bowiem dumać wyłącznie nad tym, jak zupełnie inaczej wygląda rozebrany, w pełni dojrzały mężczyzna w zestawieniu z nagim małym chłopcem.

Jego kark i plecy, i barki… mięśnie, całe pasma mięśni. Dobry Boże, jego ramiona. Ramiona, które przyniosły ją tu znad rzeki.

Widywała marmurowe posągi nagich mężczyzn. Kto ich nie widział? Widywała rysunki. Ale on był żywy, tak bardzo żywy. Jakkolwiek stał nieruchomo, oddychał, wychwyciła więc nieznaczny ruch jego barków oraz mięśni pleców. Skórę miał nie białą jak marmur czy papier, lecz złocistą w blasku ognia. Bursztynowe światło połyskiwało na ciemnych włosach pokrywających mu ramiona i dolne partie nóg i, ogólnie biorąc, całość nijak nie przypominała – on nijak nie przypominał… posągu… i zalewał ją żar, a oddychanie sprawiało więcej trudności, niż powinno.

– Mogłem się domyślić – stwierdził. Zaczął się odwracać.

Także zaczęła się odwracać, ku drzwiom, ale jej kończyny odmówiły współpracy i nie zdołała wyjść z godnością, zanim sięgnął po przewieszony przez oparcie pobliskiego krzesła ręcznik i się nim owinął. Nie cały. Szerokie bary, większa część pleców i nogi poniżej kolan pozostały na widoku. Wyszedł z miednicy i stał, ociekając wodą, na dywaniku przed kominkiem.

Wysunęła brodę z udawanym spokojem, który żadną miarą nie był jej udziałem.

– Mógł pan, a jakże – stwierdziła.

Powiedziała sobie, że ma dwadzieścia sześć lat, od dawna – od siedmiu długich lat – nie jest już szkolną panienką… i… i… co jej strzeliło do głowy, że tak tu wparowała?

Suknia.

– Jest francuska – oznajmiła.

– Proszę?

Odwrócił się i mogła teraz podziwiać jego mocną szyję, bary i górną część tułowia od frontu. Ciepło przelewało się przez nią gwałtownymi falami, zaczęła jej opadać szczęka.

Wielkie nieba, był… jego sylwetka… taka… atletyczna. Nie otrząsnęła się jeszcze po tym, jak ujrzała go od tyłu. Od przodu… jego obojczyk… klatka piersiowa…

Przestań się gapić, tępa dziewucho.

Zmusiła się, żeby spiorunować wzrokiem własny strój, choć w istocie była to najpiękniejsza, najbardziej szykowna suknia dzienna, jaką kiedykolwiek miała na sobie.

– Jest francuska – powtórzyła, wskazując suknię machnięciem tylko odrobinę drżącej dłoni. – I nie powiem panu, co znajduje się pod spodem, gdyż z pewnością pan to wie, chcę jednak, żeby pan wiedział, że ja dokładnie wiem, co to jest.

– Bielizna? – podsunął. – Ponieważ wygląda to w zbyt dużym stopniu na… – Wykonał gest ręką, którą nie trzymał ręcznika. – Na suknię, a nie pani naturalne kształty. Przy tych wszystkich nadymających się spódnicach i rękawach jak beczki na wino? Oczywiste, że nosi pani pod spodem pokaźny rynsztunek.

– Męski umysł doprawdy mnie zadziwia – stwierdziła. – Nie o to chodzi.

– Wiedziałem, że o coś chodzi. Jako mężczyzna skromny, ani przez moment nie sądziłem, że wparowała tu pani z dzikiej potrzeby umycia mi pleców.

Gorąco wspięło się na jej twarz i szyję oraz zalało inne miejsca, które nie powinny wcale przyciągać do siebie uwagi.

– Błyskotliwe rozumowanie – skomentowała. Zatrzepotała udrapowaną na ramionach wspaniałą mantylką. – Chodzi o to. Blonda. Czarna blonda. W najlepszym razie stosowna dla mężatki… aczkolwiek nie mam wielkich wątpliwości w kwestii tego, czy jakakolwiek znana mi dostojna mężatka

nosi bieliznę wyszywaną na czarno i różowo. I różowe wstążki! Pytam się pana.

Opuścił powieki, ale nie musiała widzieć jego oczu. Czuła, jak jego spojrzenie przesuwa się po niej z dołu do góry i z powrotem, i jeszcze raz.

Skóra ją mrowiła, identycznie jak przy ich pierwszym spotkaniu, tylko silniej, mimo że przybyło jej siedem lat i oglądała aż nadto rozpustników w akcji. Aczkolwiek te akcje nigdy nie były ukierunkowane na nią.

– Jeśli pyta pani, czy widzę jej bieliznę, odpowiedź brzmi: nie – odparł głosem o odcień głębszym niż wcześniej. – Ponieważ zaś jej nie widzę, a pani wydaje się dokładnie okryta… dokładniej niż przedtem, jeśli wolno mi dodać…

– Nieważne – przerwała mu. – Nie wiem, co sobie myślałam, że pomyślałam, że pan zrozumie. Poszukam pozytywnych stron sytuacji i powiem sobie, że przynajmniej jestem interesująca, a zresztą za bardzo dokucza mi głód, żebym myślała w sposób uporządkowany. Bo musi pan wiedzieć, że jestem osobą uporządkowaną. I nudną. Nigdy w życiu nie nosiłam czarnej blondy!

Odwróciła się w stronę wyjścia, co powinna była zrobić dobrą chwilę temu.

– Wobec tego czas najwyższy, żeby pani zaczęła – orzekł. – Pasuje pani.

Popatrzyła znów na niego.

– Ani trochę do mnie nie pasuje. Jest szykowna. Ja nie jestem szykowna.

– A prawie dałem się nabrać. Ucieczka z własnego ślubu i takie tam. Wspinaczka przez mur. Wypadanie z łodzi. Cokolwiek można by o pani powiedzieć… a, szczerze, mnie samemu brak słów… określenie „nudna” nie znajduje się na tej liście.

Zbyła go machnięciem ręki.

– To nie jestem prawdziwa ja. To odrobinkę wstawiona Olympia.

– Odrobinkę? – Uniósł czarną brew.

– Zmierzam do tego, że lekkie upojenie już mi minęło…

– Więcej niż lekkie w mojej ocenie, a przypominam, że rozmawia pani z ekspertem.

– W każdym razie postąpiłam głupio i choć łamałam sobie głowę, nie potrafię wytłumaczyć tego w inteligentny lub przynajmniej zrozumiały sposób.

Panika nie była dobrym wytłumaczeniem. To prawda, że minęło niewiele czasu pomiędzy zalotami a przyjęciem przez nią oświadczyn i ślubem. To prawda, że dała się porwać ekscytacji matki i ciotki. Żadne z powyższych również nie wystarczyło jako wytłumaczenie. Coś się z nią stało tego ranka, jeszcze przed brandy, inaczej bowiem by się jej nie napiła.

Może i brandy pchnęła ją do działania, ale w jego towarzystwie efekt jakby się utrzymywał, mimo że alkohol wywietrzał Olympii z głowy.

Nie, to mało powiedziane. W jego towarzystwie efekt stał się jeszcze gorszy.

Popatrzyła na suknię i zdusiła w sobie dojmujące ukłucie tęsknoty.

– Lepiej wracajmy.

Zapadła cisza, a Olympia czekała na jego „A nie mówiłem?”. Czyż nie pytał jej, kilkakrotnie, czy rzeczywiście chce to ciągnąć? Czyż nie wskazywał, jak łatwo mogliby wrócić?

– Z całą pewnością nie wracamy – oznajmił.

Rozdział 5

Chociaż Ripley miał na sobie jedynie ręcznik, potrzeba by było znacznie, znacznie więcej niż stanu bliskiego nagości, żeby wprawić go w zakłopotanie. Wprost przeciwnie, zapłaciłby sto funtów za ujrzenie wyrazu jej twarzy, kiedy tu wparowała. Boleśnie go kusiło, żeby się odwrócić, bez ręcznika. Zapłaciłby dwieście funtów za jej reakcję na widok od frontu.

Szczęśliwie w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma do czynienia z wybranką Ashmonta. Żarty żartami, ale człowiek nie powinien prezentować się nago od frontu narzeczonej najlepszego przyjaciela.

Tak czy inaczej, widok kobiety w szykownej sukni, z rozpuszczonymi włosami, grzmiącej na niego, przez co jej pierś wznosiła się i opadała jak wzburzone morze – podczas gdy on stał świeży i czysty jak go Pan Bóg stworzył – z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł wzbudzić mnóstwo próżnych nadziei w rejonach poniżej pasa wrażliwego mężczyzny, bez której to przykrości Ripley wyśmienicie by się obszedł.

Co równie ważne: w zwykłych okolicznościach Ashmont uznałby tego rodzaju scenkę za wyborny żart. Tyle że okoliczności nie były zwykłe. Jakkolwiek Ripley nie miał doświadczenia w zakresie dziwnych spotkań z przyszłymi żonami przyjaciół, podejrzewał, że nawet Ashmont mógłby się okazać odrobinkę drażliwy w kwestii oglądania przez jego narzeczoną gołego tyłka jego przyjaciela.

– Ten statek już odpłynął – rzekł. – Nie wracamy.

– Proszę nie wygadywać nonsensów. Pytał mnie pan kilka razy, czy nie wolałabym…

– To było wcześniej – wszedł jej w słowo. – Ale przekroczyła pani Tybr…

– Rubikon, panie prowokatorze!

– Kości zostały rzucone. Zabieram panią do cioci, jak uzgodniliśmy, a pani przestanie zmieniać zdanie co pięć minut.

– Nie zmieniam zdania co pięć minut! W ogóle go nie zmieniałam. Aż do tej pory.

– Mamy plan…

– To pan ma plan, co, jak powszechnie wiadomo, nigdy nie jest dobrym pomysłem.

– Jestem już suchy – oznajmił. – Byłaby pani tak dobra i zechciała oszczędzić moją skromność, podając mi szlafrok?

– Gdzie się podziewa służba? Czy nie powinno biegać wokół pana w tej chwili co najmniej pięć osób, gotowych spełnić każde pańskie żądanie?

– Zaledwie parę minut przed pani najazdem posłałem ich, żeby sprawdzili, co się dzieje z posiłkiem i ubraniami, które zamówiłem dobrą chwilę temu. O bogowie, mój kucharz Chardot, nawet kiedy się dąsa, przygotuje istną ucztę, dysponując połową tego czasu. Trzeba było też zająć się kilkoma innymi sprawami. Wygląda na to, że nie odesłałem ich ani minuty za wcześnie. Trudno oczekiwać od służących w gospodzie, że będą trzymać język za zębami, bez względu na to, jak hojnie się ich opłaci albo jak bardzo im pogrozi. Wątpię, by pani rodzina dobrze przyjęła wieści o tym tu żywym obrazie, a mnie, jak już chyba wspominałem, znudziły pojedynki.

Krawcowa i pokojówki będą gadać, ponieważ jednak nie stały się naocznymi świadkami scenki, mógł obrócić te plotki na korzyść. Nie martwiło go także nadmiernie, że sama lady Olympia coś wypaple. W jego ocenie rysowały się wielce mizerne szanse na to, że opowie wielu nieznajomym, jak wparowała do pokoju mężczyzny, kiedy ten brał kąpiel, a już zwłaszcza, że tym mężczyzną był niesławny książę Ripley.

Zarumieniła się.

– Tym bardziej powinniśmy wracać. Im szybciej, tym lepiej.

– Nie – powiedział. – Szlafrok. Gdyby była pani tak dobra. Nieważne, sam go sobie wezmę.

Zadarłszy brodę, pomaszerowała do łóżka, porwała z niego szlafrok, który służba z taką rewerencją tam rozpostarła, wróciła równie dziarskim krokiem i podała mu przyodziewek, wyciągając ramiona.

Kiedy wziął szlafrok, odwróciła się plecami.

– Teraz, kiedy w głowie mi się rozjaśniło – powiedziała – pozostawienie spraw panu uderza mnie jako akt autodestrukcji.

Przyjrzał się jej od tyłu.

Pani Thorne dobrze wybrała. Ta jakby pelerynka z czarnej koronki ładnie się układała na ramionach damy, bardzo kształtnych, ani nazbyt szerokich,

ani nazbyt wąskich, lecz pozostających w eleganckiej proporcji do całej reszty jej doskonałych kształtów.

W rzeczy samej, miała wspaniałe plecy. Już wcześniej, więcej niż raz, odnotował sposób, w jaki się nosiła, sugestię zniecierpliwienia w jej chodzie, która wzbudzała w mężczyźnie chęć spowolnienia jej i pozyskania jej pełnej uwagi. Może to właśnie przemówiło do Ashmonta: wyzwanie, jakie sobą przedstawiała – czy ośmielisz się mnie posiąść?

Aktualnie trzymała te plecy wściekle wyprostowane, nieustępliwe. Och, dostarczy Ashmontowi powodów, żeby miał się na baczności.

Ale jeszcze nie w tej chwili.

Ripley nie mógł zwrócić jej Ashmontowi już teraz. No dobrze, mógłby, ale to byłoby za proste. Słodki Lucius powinien się naprawdę wysilić, bardziej niż podczas tych swoich rzekomych zalotów. Za sprawą szczęśliwego zbiegu okoliczności znalazł idealną żonę dla siebie. Nie doceni jej wszakże należycie, jeśli nie będzie zmuszony ciężej na nią zapracować.

– Dotknęła mnie pani do żywego – oznajmił Ripley, narzucając szlafrok. – Moja pomysłowość jest słynna.

– Tego nie kwestionuję. Gazety wprost uwielbiają o niej pisać. I to szczegółowo. Słynny był ten proszony obiad, na którym zastąpił pan wszystkie lustra w jadalni i salonie zniekształcającymi.

– Szkoda, że pani tego nie widziała. Ależ się uśmialiśmy, kiedy goście się zataczali, mimo że nie byli jeszcze pijani.

Za sprawą wspomnianych luster kilku wstawionych gości zwróciło zawartość żołądka, niemniej zabawa w pełni zrekompensowała wymianę dywanu i kilku krzeseł. Ripley śmiał się, aż rozbolał go brzuch. Jego dwaj przyjaciele również.

– Potem był proszony obiad, który wydał pan dla jąkałów – ciągnęła.

– Nie mogę przypisać zasługi sobie. Pomysł wyszedł od Blackwooda. Owszem, pomogłem mu ich wszystkich znaleźć i zebrać w jednym miejscu. Niełatwe zadanie. Ale rozmowa była tego warta.

– To było okrutne.

– Poinformuję panią zatem, że goście uznali żart za przezabawny. Ze śmiechu spadali z krzeseł, a im bardziej się śmiali, tym ciężej przychodziło im mówić. Koncept, którego pani nie pojmie: nie mówić.

– Bez wątpienia pomogło wino.

– Oczywiście. Nigdy nie podajemy podłego wina.

– W każdym razie ja jestem trzeźwa i nie zamierzam potulnie robić tego, co mówi książę Ripley, tylko dlatego, że tak mówi – oznajmiła. – W rzeczy samej, przeciwny kierunek postępowania wydaje mi się znacznie bardziej racjonalny.

– Po tym wszystkim chce pani wrócić ze zwieszoną głową i smętnie podkulonym ogonem? Skruszona uciekinierka?

Fatalny pomysł. Ashmont potrzebował żony śmiałej i przekornej i, ogólnie rzecz biorąc, trudnej.

– Postąpiłam źle, źle pod tyloma względami, że boli mnie głowa, gdy usiłuję je zliczyć – powiedziała.

– Ból głowy jest znaną konsekwencją nadużywania brandy.

– Zawstydziłam rodzinę. I choć wiem, że moje tak zwane odrzucenie nie zrani Ashmonta, upokorzyłam go publicznie. Uraziłam jego dumę, a nie zrobił nic… mnie… żeby zasłużyć na taką nieuprzejmość.

Ale Ripley obmyślił taki dobry plan.

Plan doskonały. Dla Ashmonta. Dla niej.

A jednak…

Była miła, powiedział minionej nocy Ashmont z cichym zdumieniem.

Ludzie nie bywali mili dla książęcego tria. Ludzie robili, co im kazano lub za co im płacono. Ludzie nadskakiwali książętom, próbowali ich uwieść, odcinali się od nich, tolerowali ich lub prawili im kazania. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że książę-hulaka może pragnąć, aby ktoś był dla niego miły, i docenić to.

Ripley przypomniał sobie, jak radosny był Ashmont minionej nocy – a raczej dziś wczesnym rankiem – kiedy mówił o swoim ślubie. Kiedy mianował Ripleya odpowiedzialnym za to, by wszystko dobrze poszło.

Wykradanie panny młodej – a tym stałoby się to teraz, skoro chciała wracać – nie kwalifikowało się jako dbanie o pomyślny bieg spraw.

– W porządku – rzekł. – Zabiorę panią z powrotem.

Niemniej w trakcie podróży powrotnej przemyci kilka wskazówek na temat tego, jak obchodzić się z Jego Książęcą Wysokością księciem Ashmontem.

– Dziękuję – powiedziała i ruszyła do drzwi.

– Ale nie wracamy tą przeklętą łodzią – zastrzegł, zwracając się do jej pleców. Tych szlachetnych, prostych pleców.

Wzruszyła tylko równie szlachetnymi ramionami i wyszła.

***

Niedługo później

Olympia siedziała, usiłując jeść kanapkę, podczas gdy Molly i Jane układały jej włosy. Ze swego miejsca widziała w lustrze toaletki odbicie sukni ślubnej i welonu.

Jej pomocnice rozłożyły suknię i welon przed kominkiem, żeby wyschły. I tam też leżały, podarte i brudne, zwłoki jedynej szansy Olympii na wyśmienite małżeństwo i uratowanie braci przed nieodpowiedzialnymi finansowo rodzicami.

Zdecydowanie wolałaby nie zmagać się z tym, co zrobiła tego ranka, ale nie była księciem. W przeciwieństwie do Ripleya, nie potrafiła rozkazać niewygodnym tematom, żeby opuściły jej myśli.

On zdawał się wierzyć w możliwość drugiej szansy, a znał się przecież na wychodzeniu ze skandali. Z drugiej strony, żaden z Ich Łajdackich Mości nie pretendował do kategorii największych myślicieli świata. A z trzeciej strony – bo niby czemu nie miałoby być trzeciej i czwartej? – Ashmont słynął z nieprzewidywalności. Nikt nie wiedział, kiedy nastąpi kolejny praktyczny żart albo utarczka. Na swoim tytule, prezencji i uroku osobistym ujechał aż do zeszłego czy też przedostatniego roku, kiedy to londyńskie panie domu zmęczyło jego złe prowadzenie się i wreszcie zaczęły wykreślać go z list zapraszanych gości.

Przypuśćmy, że nie da Olympii drugiej szansy?

Przy czym wcale nie była pewna, czy tej drugiej szansy chce… no a wtedy – starała się spojrzeć na prawdopodobne odrzucenie przez Ashmonta od jasnej strony – pozostawał lord Mends.

Na tym etapie być może wydałby się jej rodzicom kandydatem mniej potwornym niż poprzednio. Jeśli nadal odpowiadała mu rola kandydata. Równie dobrze mógł znaleźć już sobie inną kobietę chętną zostać jego bibliotekarką.

Prawda, że był starszy i pedantyczny. Prawda, że pomysł, by bezcenna jedynaczka poślubiła mężczyznę prawie tak wiekowego, że mógłby być jej dziadkiem, wywołał u mamy i papy oburzenie graniczące z histerią. Gdyby

Olympia naprawdę go kochała, pewnie by ich przekonała. Ale ona kochała tylko jego książki.

Choć rodzice odrzucili zaproszenie lorda Mendsa, by przyjechać wraz z Olympią i zobaczyć jego bibliotekę, odnosiła wrażenie, że zna ją na wskroś na podstawie tego, co przeczytała i co sam jej powiedział. Jakkolwiek, niestety, przyznał, że jego kolekcja nie może się równać z księgozbiorami zmarłych książąt Marlborough czy Roxburghe, katalog, który wydrukował na swój prywatny użytek, nieomal przyprawił Olympię o omdlenie: *Psalmorum Enchiridion*, w pięknej oprawie Clovisa Eve'a wykonanej dla Małgorzaty Walezjuszki, dzieła z biblioteki Maioli…

W każdym razie ledwie kilka dni po tym, jak jej rodzice odrzucili lorda Mendsa, Olympii przydarzyło się fatalne w skutkach spotkanie z księciem Ashmontem.

A teraz…

Fatalne w skutkach spotkanie z nagim tyłkiem księcia Ripleya. Tudzież innymi częściami jego ciała… przez co uzmysłowiła sobie, że książę Ashmont również miałby nagie części ciała, podobnie jak lord Mends, a rozważania nad małżeńską intymnością z którymkolwiek z tych dwóch wywołały w niej chęć zerwania się z krzesła i… na przykład wyskoczenia przez okno.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i do pokoju leniwym krokiem wszedł książę Ripley.

Odcięła drogę do swego umysłu wszystkim innym obrazom i skoncentrowała się na tym, gdzie jest i kim jest, i kim on jest, ponieważ oto zjawił się tutaj i właściwie nie widziała nic poza nim.

– Nie jest pani jeszcze gotowa? – zapytał.

– Nie – odparła. – I niech pan się nie waży mnie popędzać. Razem z tą tutaj armią kobiet spieszymy się tak, że bardziej nie sposób. To odrażająco niesprawiedliwe ze strony mężczyzn, których proces ubierania się nie jest ani w połowie tak skomplikowany, że narzekają, ile czasu potrzeba na to kobietom. Czy nie przypomina pan sobie, ile mu zajęło zdjęcie mi tego draństwa z głowy? – Skinieniem wskazała zwłoki ślubnego stroika i welonu. – Wydaje się panu, że przywrócenie mojej fryzurze jako tako rozsądnej formy dokona się w mgnieniu oka?

– Widzę, że weszliśmy w fazę sekutnicy.

Delikatnie powiedziane.

– Jest w ogóle możliwe, książę, czy też proszę o zbyt wiele, by Wasza Książęca Wysokość postarał się zachowywać odrobinę, ułamek ułamka, mniej prowokująco?

– Stanowczo o zbyt wiele. Co pani sądzi?

Omiótł gestem swój strój, wyostrzając tym obraz, którego nie potrafiła wygnać z myśli, mianowicie jego bez ubrania.

Przyglądanie mu się bez wątpienia jej nie służyło. Zrobiła to zbyt gorliwie nie tak dawno temu i niewykluczone, że nigdy się po tym nie otrząśnie.

Dzięki posiłkowi chyba wytrzeźwiała, choć brakowało jej co do tego pewności, nie miała bowiem punktu odniesienia. Z nieco jaśniejszą głową czuła się nawet bardziej świadoma jego czystej fizyczności.

W jej myślach zagościł ogier, którego obserwowała swego czasu przy kryciu klaczy.

Przestań, przestań!

Bądź rozsądna, powiedziała sobie. *Przyjrzyj się faktom.* Prosty fakt był taki, że trudno zdystansować się wobec fizyczności mężczyzny, kiedy siedzi się, patrząc nań z dołu.

Opuściła wzrok i spod osłony rzęs przyjrzała mu się wnikliwie od głowy do stóp, od szerokich barów, napinających szwy czarnego surduta, przez plisowaną koszulę i kamizelkę w paski, i jeszcze niżej, szybko, przez białe spodnie do poobcieranych czarnych butów. W prawej ręce trzymał kapelusz.

Wpatrzyła się w ten kapelusz i usiłowała zająć swój nadmiernie aktywny umysł przypominaniem sobie nazw męskich kapeluszy i próbami zidentyfikowania tego tutaj.

– Naturalnie, nie leży dobrze – rzekł. – Wykluczone, biorąc pod uwagę ograniczenia czasowe, jakkolwiek krawiec zrobił, co mógł. Na pewno nie wybrałbym takiej wełny, a płótno też jest lichej jakości.

Starała się udawać, że ma przed sobą sklepowy manekin. W dodatku dziwnie ubrany.

– Jest stosowny – oceniła. – Zgadzam się, że nic nie leży, jak trzeba, ale przynajmniej spodnie zakrywają panu kostki. I jeśli tylko nie przyjdzie panu wnosić kobiet do łodzi lub wyciągać z rzeki, szwy surduta powinny wytrzymać.

– A co z daniem głównym? – spytał.

Podszedł, a pozostałe kobiety się wycofały.

Zatrzymał się przy stojącym lustrze i umieścił kapelusz na głowie. Zmarszczył brwi, przekrzywił go w jedną, potem w drugą stronę, wreszcie znów ustawił prosto.

– Obrzydliwy – zawyrokował. – Wyglądam jak urzędnik bankowy. Ale tylko ten jeden w miarę pasował. Jak, u diabła, ludzie kupują te rzeczy już gotowe?

– Nie wygląda pan jak urzędnik bankowy – powiedziała. – Gdyby założył pan czapkę barkarza, nie wyglądałby pan jak barkarz. Wygląda pan jak arystokrata… – Zastanowiła się. – W przebraniu. Aczkolwiek trzeba przyznać, nie najlepszym. – Zbyła kwestię machnięciem ręki. – Ujdzie. Cokolwiek by pan nosił, i tak pozostanie pan wysoki, mroczny i przystojny…

– Przysto…

– Mężczyzn uważa się za atrakcyjnych mimo średniego wieku i brzuszka. Mężczyźni mogą bezkarnie posiwieć i obwisnąć. Nam, kobietom, wolno wyglądać dobrze co najwyżej do dwudziestego roku życia. Potem zamieniamy się w staruchy.

Kobiety wokół niej zaprotestowały.

– Dama jest nie w humorze – poinformował je Ripley. – Doskonale się spisałyście. Lady Olympia nie wygląda ani w połowie tak staruchowato jak zazwyczaj. Gdybyście jednak mogły nie guzdrać się już przy tych włosach, bo naprawdę musimy jechać. Damie ogromnie się spieszy.

Istotnie, spieszyło jej się. Pytanie brzmiało: dokąd?

– Tak – powiedziała.

***

Przystojny.

O to jeszcze nikt Ripleya nie oskarżył.

Najwidoczniej dalej była pijana. Ponieważ nie nawykła do picia, nie wyszła z tego stanu tak prędko jak osoby bardziej doświadczone. Co więcej, była arystokratką, panną.

Aczkolwiek sposób, w jaki otaksowała Ripleya wzrokiem spod osłony rzęs, bynajmniej nie odpowiadał temu, czego można się spodziewać po niewinnych pannach. Kto by pomyślał, że dziewiczą sawantkę stać na takie

na półskryte spojrzenie doprowadzające mężczyznę do wrzenia. Musiał się nadal co nieco nauczyć o dziewicach intelektualistkach.

Nie przyszło mu wrzeć długo. Minimalnie odwróciła głowę i blask ognia odbił się od szkieł jej okularów, przez co nie widział już jej oczu.

Powiedział sobie, że wcale nie musi ich widzieć.

Zobaczyła go w wystarczającym stopniu, a on nie potrzebował przyglądać się jej bardziej szczegółowo. Lepiej nie, w bieżących okolicznościach. Za sprawą mnisiej egzystencji z ostatnich miesięcy podniecał się o wiele za szybko.

Wyleczy tę dolegliwość jeszcze dziś wieczorem. Kiedy tylko odstawi pannę młodą do pana młodego.

Oprócz zwykłych niepoprawnych myśli, naturalnych w przypadku niecnotliwego mężczyzny, to właśnie przemykało mu przez głowę, kiedy czekał, postukując stopą, aż kobiety założą lady Olympii kapelusz i należycie zawiążą wstążki. Kiedy rytuał z kapeluszem nareszcie dobiegł końca, a ślubny strój zawinięto w płótno, poprowadził ją szybko z pokoju i gospody na dziedziniec, gdzie oczekiwał niewielki kryty powóz, *post chaise*.

– Powozik! – wykrzyknęła.

– Sądziła pani, że kupię bilet na dyliżans pocztowy? – zapytał. – O tej porze?

– Dowiezie nas do Twickenham? – zapytała.

***

Ripley splótł ramiona, przekrzywił głowę i zmierzył ją wzrokiem. W przyćmionym świetle popołudnia jego oczy pociemniały, przybierając barwę zieleni cedrowego lasu.

Olympia poprawiła okulary i wysunęła brodę.

– Doszłam do wniosku, że użył pan znamiennego argumentu.

Zmrużył te zielone oczy.

– Co do wracania z podkulonym ogonem – wyjaśniła. – Nie jestem tchórzem.

– Tak nie myślałem. Niezdecydowana, to być może.

– Przyznaję, że nie rozumowałam jasno. Choć można przedstawić wiele argumentów przemawiających za tym, by słuchać instynktu. Chciałabym

pomówić z ciocią Delią, zanim wrócę… jeśli wrócę. Wydaje mi się, że ona doradzi mi najlepiej. Pozostali widzą wyłącznie nagłówek *Olympia nareszcie wyszła za mąż, za księcia*. Wyznam szczerze, że także miałam ten nagłówek przed oczami, ze szkodą dla jasnego myślenia.

Uciekła wzrokiem.

Tak wiele rzeczy zaciemniało jej proces rozumowania. Przyszłość braci. Jej własna.

Ashmont także. Nikt dotąd nie zabiegał o jej względy z takim zapałem. Ściśle mówiąc, w ogóle nikt nie zabiegał wcześniej o jej względy, chyba że policzy się lorda Mendsa, bez końca opowiadającego o swoich książkach. Kiedy Ashmont skierował na nią to szczere błękitne spojrzenie, jakby nie dostrzegał nikogo innego na świecie, i wzmocnił efekt, napomykając mimochodem o pokaźnej kolekcji książek swego dziadka, o której Olympia wiedziała, że z łatwością może się równać z kolekcjami książąt Roxburghe i Marlborough – no cóż, niemożliwością było zachować chłodną głowę.

Inaczej niż w przypadku lorda Mendsa, Olympia widziała księgozbiór księcia na własne oczy, w jego posiadłości w Nottinghamshire. Ojciec zabrał ją tam, kiedy jechał obejrzeć jakieś konie. Ashmont przebywał w tym czasie w szkole. Jego stryj i opiekun, lord Frederick Beckingham, uprzejmie zaoferował małej Olympii – nie mogła liczyć sobie wtedy więcej niż dwanaście lat – że oprowadzi ją po domu. W chwili, gdy ujrzała bibliotekę, straciła zainteresowanie resztą posiadłości, czym wielce ubawiła dżentelmenów.

– Twickenham – rzekł Ripley, przywołując ją z powrotem do teraźniejszości.

– Tak – odparła.

Milczał niezwykle długo. Splotła dłonie – nie w modlitwie, która miałaby pomóc jej wygrać starcie z nim, ale jako sygnał, że jest gotowa walczyć, choć wiedziała, że zachowuje się bardziej niż trochę kapryśnie.

Nigdy więcej nie sięgnie po brandy.

– Dobrze – rzekł. – Proszę wsiadać do powozu.

Wypuściła powietrze z płuc i ruszyła w stronę pojazdu.

Foryś opuścił stopień i otworzył przed nią drzwi. Wtedy przez dziedziniec przetoczył się skowyt bólu, a po nim kolejny.

Odwróciwszy się w kierunku źródła dźwięku, niedaleko wejścia na dziedziniec Olympia ujrzała żylastego mężczyznę o czerwonej twarzy,

który unosił bat nad kulącym się ze strachu psem, pięknym, moręgowatym wilczarzem lub czymś podobnym.

Poczerwieniało jej przed oczami.

Zapomniała o Ripleyu. Zapomniała o Twickenham. Znalazła się w ruchu, nim w ogóle o tym pomyślała, żwawym krokiem zmierzając w kierunku scenki.

– Ty draniu – powiedziała, prąc ku swej ofierze, i wymierzyła palec w mężczyznę, a następnie wskazała nim ziemię. – Rzuć to. Natychmiast.

***

Łotr zamarł. Pies przywarł brzuchem do ziemi.

Ripley także na moment znieruchomiał, osłupiały.

– W tej chwili – powiedziała dama.

Sunęła ku trzymającemu bat osobnikowi, nie biegła, ale poruszała się szybko i nieubłaganie jak… Ripley sam nie wiedział co. Coś nieuchronnego, równie nieprzejednanego jak los. Co zakrawało na absurd. Ona, w kapeluszu z kwiatami, w czarnej koronkowej pelerynce, łopoczącej na ramionach, ze wstążkami płynącymi za nią, kiedy tak żeglowała. Apetyczny cukiereczek, to być może. Nemezis, nieszczególnie.

A jednak wszyscy mężczyźni na dziedzińcu znieruchomieli na ton jej głosu. Wszyscy, z Ripleyem włącznie, zareagowali na ten dźwięk. Był to po prostu władczy głos, choć Ripley zastanowił się, czy kiedykolwiek słyszał kobietę, która posługiwałaby się nim tak skutecznie. No, może swoją siostrę. Albo ciocię Julię.

Mimo że obiekt jej niezadowolenia sprawiał wrażenie równie zawziętego i wojowniczego jak inni mikrej postury oszuści i łotrzy, których Ripleyowi zdarzyło się spotkać, a w dodatku był chyba pijany, opuścił ramię. I stał nieruchomo, czujnie obserwując zbliżającą się damę.

– Wezmę to – oznajmiła.

Wyciągnęła smukłą dłoń w rękawiczce.

– Miał żem właśnie… – zaczął brutal.

Lady Olympia nie poruszyła się, nie wyrzekła ani słowa, stała tylko z wyciągniętą ręką, czekając.

Oddał jej bat.

Ripley zakrzyknąłby radośnie, instynkt podpowiedział mu jednak, że równowaga jest delikatna. W jednej chwili mogło się zrobić niebezpiecznie. Kiedy się zbliżył, na tyle dyskretnie, na ile to możliwe w przypadku bojowo nastawionego mężczyzny wzrostu ponad metr osiemdziesiąt, typ odezwał się, wypuszczając chmurę oparów alkoholu:

– To mój pies, szlag by go trafił. Dał żem za parszywego kundla cholerną fortunę. Posłuszny, gadali. Szkolony po… polować. Jasne. Obiecanki cacanki.

– Uderzyłeś nierozumne zwierzę – powiedziała lady Olympia. – Batem. Jak by ci się to spodobało?

Uniosła bat jak do uderzenia.

Mężczyzna zasłonił się ramieniem.

– Hejże! Wcale nie… – Zachwiał się i byłby się potknął, lecz w ostatniej chwili złapał równowagę.

– Ogromnie mnie kusi, żeby dać ci tego posmakować – powiedziała. – Żebyś następnym razem pamiętał. Ale to by świadczyło o złym wychowaniu. – Spojrzała na psa. – Chodź.

Zwierzę wstało.

– Do pioruna! – zaprotestował mężczyzna. – Nie może paniusia… to mój pies!

Skinęła nieznacznie i pies podszedł do niej.

– Sam! – wrzasnął jego właściciel. – Wracaj tu zara albo…

– Nie – oznajmiła lady Olympia. – Nie zasługujesz na to, żeby mieć psa.

– Nie weźniesz mi psa! Prawo napuszczę! – Rozejrzał się. – Niech kto wezwie konstabla. To mój pies, a jak uparty kundel nie robi, co mu każę, to go nauczę. I niczyj w tym cholerny interes.

Psi kat wrzeszczał dalej o rabusiach, ludziach wścibiających nos w nie swoje sprawy, konstablach i tym podobnych. Z kawiarni na parterze zaczęli wychodzić gapie. Kolejni wylewali się na galerię z widokiem na dziedziniec gospody.

– Ehm – odchrząknął Ripley.

Lady Olympia, która zmierzała do powozu z psem u boku, zatrzymała się i spojrzała na niego, zaskoczona.

– O – powiedziała. – Tu pan jest.

– Nie bierzemy tego psa – oznajmił.

– Nie możemy go zostawić z tym okropnym człowiekiem – zaprotestowała. – Bić nierozumne zwierzę! Batem! I nie chodziło o lekkie, ostrzegawcze klepnięcie albo uderzenie w ziemię dla przyciągnięcia uwagi. Pies zaskowyczał, sam pan słyszał, a to przecież mieszaniec charta. To są niebywale ciche psy.

Ripley widział, co to za pies. Pies kłusowniczy. Cichy łowca. Stał blisko niej, przy jej ręce, tej dzierżącej bat. Dygotał.

– Kradną mi psa! – darł się psi kat. – Niech ktoś ich powstrzyma!

– Nie bądźże przeklętym głupcem, Bullard! – zawołano z tłumu. – To Jego Książęca Wysokość książę Ripley. Książę, ty półgłówku. Może robić, co mu się podoba.

– Nie weźnie mojego psa! I to jak najpierw ta jego nierządnica odwaliła za niego brudną robotę. Chcę mojego psa!

Ripley westchnął. Oczywiście. W okolicy zawsze znajdzie się krzykacz, który palnie nie to, co trzeba. Zawsze trafi się jakiś pajac wypluwający słowa, obok których nie sposób przejść obojętnie.

Odwrócił się do Bullarda i odezwał łagodnym, przyjaznym tonem, w którym każdy, kto go znał, rozpoznałby obietnicę śmierci, a przynajmniej znacznego bólu.

– Co powiedziałeś?

***

Ripley zadał pytanie leniwie, na odczepnego.

Mimo to Olympii podniosły się włoski na karku i wyczuła, z pewnością młodej kobiety, która dorastała otoczona osobnikami płci męskiej, jak budzi się w nim wrodzona męska potrzeba zabijania innych samców.

Choć należała do płci przeciwnej, żywiła podobne odczucia. Z wielką chęcią odepchnęłaby Ripleya z drogi i smagała Bullarda, aż wrzeszczałby wniebogłosy. Dla dobra psa zachowała spokój. Łagodnie położyła dłoń na jego łbie. Przysunął się bliżej.

– Słyszałeś mnie pan! – warknął właściciel psa. – Ta pana lala przyzwoitych ludzi atakuje i ich własność kradnie. Człowiek za dobrze wychowany, żeby się bić z kobietami, ale aż ręka świerzbi. Nie odejdziesz pan sobie z moim psem, jakby cały świat do pana należał.

– Obraziłeś tę damę po raz drugi – stwierdził tym samym łagodnym tonem Ripley.

– Dama! Ona! I bat też mi ukradła!

– Teraz już trzy razy – podsumował Ripley. – Oto, co dostaję za cierpliwość i wyrozumiałość. Koniec szans. Będziesz się zwracać do damy „milady” i przeprosisz. Teraz.

– Przepraszać? Ją? Ni diabła nie przeproszę! Chcę mojego psa!

Ripley go uderzył. Cios był szokująco szybki, prosto w brzuch. Bullard złożył się wpół i runął na kolana.

– Przeproś – polecił Ripley. – I to prędko. Jakkolwiek te nowe rękawiczki są dalekie od ideału, wolałbym ich nie zakrwawić. – Umilkł, czekając, aż Bullard odzyska oddech.

– Wziął żeś mnie z zaskoczenia, ty obmierzły psiokradzie – wysapał pijak. Rozejrzał się. – Wszyscy widzieli.

Dzięki dziełu pana Grose’a, *Lexicon Balatronicum,* Olympia wiedziała, że „psiokrad” oznacza złodzieja psów.

– Najwyraźniej moje ostrzeżenie nie trafiło tam, gdzie trzeba – stwierdził Ripley. – Wyrażę się więc jaśniej. Jeśli następne słowa, jakie padną z twoich ust, nie będą brzmiały: „Najmocniej przepraszam, milady”, poczuję się zobowiązany solidnie cię uszkodzić.

– Spróbuj tylko! – Bullard uniósł pięści. – Spróbuj tylko, ty brudny… – Na ciąg dalszy składały się wyjątkowo szpetne przekleństwa.

Ripley odepchnął ręce łotra na tyle mocno, że pozbawił go równowagi, nim jednak Bullard się przewrócił, książę zacisnął wielkie osłonięte rękawiczkami dłonie na jego gardle i poderwał go z ziemi. Czepiając się ich szponiastymi palcami, łotr wyrzucił z siebie charkotliwy strumień słów, których Olympia nigdy w życiu nie słyszała, choć znała je z fascynującego dzieła pana Grose’a.

Spokojny, chłodny głos księcia docierał do każdego zakątka dziedzińca, na którym zapadła martwa cisza.

– Zwrócisz się do damy „milady” i przeprosisz albo twoje życie zrobi się bardzo nieprzyjemne.

– No dalej, zabij mnie – wycharczał ten głupiec. – Zawiśniesz i spotkamy się w piekle.

– Ani by mi się śniło cię zabijać – odparł Ripley. – Za szybkie. Żadna zabawa. Nie, myślałem, żeby na początek złamać ci kilka kości, następnie

kilka kolejnych, aż w końcu będzie ich za wiele, żeby chirurg dał radę cię poskładać.

Twarz Bullarda robiła się purpurowa, zdołał jednak wygulgotać parę wulgarnych słów na temat upodobania Ripleya do nienaturalnych zbliżeń ze zwierzętami gospodarskimi.

– Ależ nudny typ z ciebie – skomentował Ripley. – Może cię puszczę i zobaczymy, co będzie. Mam nadzieję, że nie nastąpię ci przypadkiem na głowę.

– Dalej – wychrypiał mężczyzna.

Ripley go puścił.

Bullard gruchnął o bruk.

Olympia oczekiwała, że zaraz się poderwie. Niektórzy mężczyźni nie wiedzą, kiedy przestać.

Chyba jednak spotkanie z twardymi kamieniami wywarło wrażenie. Bullard chwycił się za gardło, ale poza tym nie wykonał żadnego ruchu. Leżał tam, gdzie upadł, z otwartymi oczami, wpatrując się w księcia.

– Skończyłeś? – zapytał Ripley.

Bullard przytaknął.

– Wobec tego przeproś.

– Przepraszam – sapnął Bullard.

– Nie mnie, niedorzeczny człowieku. Damę.

– Przepraszam. Milady.

– Dobrze. A teraz odejdź.

Bullard wstał chwiejnie. Zawołał psa. Z podkulonym ogonem, zwieszając łeb, zwierzę przysunęło się bliżej Olympii.

– Nie – powiedziała Olympia. – Utraciłeś prawa do tego psa.

– Sam to moja własność! – zawołał chrapliwie Bullard. – Idzie ze mną!

Olympia popatrzyła na Ripleya.

– Nie zabieramy psa – oznajmił.

– Nie możemy go zostawić – sprzeciwiła się. – Jest ranny i przerażony.

– To mój pies! Dał żem za nieusłuchanego kundla cholerną fortunę! Nie macie prawa!

– To ty nie masz do niego prawa – odparła. – Pozbawiłeś się go, kiedy uderzyłeś bezbronne stworzenie. Straciłeś tego psa.

– Proszę wsiadać do powozu – powiedział Ripley.

– Nie zostawię mu tego zwierzęcia. Kiedy tylko odjedziemy, ukarze psa za to, co mu pan zrobił.

– Nie zabieramy psa.

– Sam, chodź – warknął Bullard.

Pies popatrzył na niego i zadrżał.

– Nie idzie z tym człowiekiem – oświadczyła Olympia.

– To mój cholerny pies!

– Nie zabieramy psa – powtórzył po raz kolejny Ripley. – Na wypadek gdyby pani nie zauważyła, to nie jest pekińczyk. Nie weźmie go pani na kolana. W powoziku ledwie wystarczy miejsca dla dwóch osób.

– Może jechać w bagażniku. W skrzyni.

– W skrzyni jest pani ślubny strój.

– Nada się w sam raz na legowisko. Przecież i tak więcej go nie założę.

– To mój cholerny pies! Nie bierzecie mojego psa!

– Daruj sobie – poradził Bullardowi Ripley. – Dama i ja negocjujemy.

– Nie możecie zabrać mi psa! Dał żem za niego…!

– Co za męczący człowiek – stwierdził Ripley. Rozejrzał się po dziedzińcu gospody. – Niech ktoś go stąd przepędzi. – Przegonił Bullarda gestem.

– To mój cholerny…!

Cokolwiek Bullard zamierzał jeszcze powiedzieć, nie było mu dane, gdyż dwóch krzepkich gapiów chwyciło brutala i powlekło w odległy koniec dziedzińca.

Ripley odwrócił się znów do Olympii.

– Jeśli weźmiemy psa, to będzie pani pies – rzekł. – Kiedy zostawię panią u cioci, to jego także. Czy to jasne? Kiedy go weźmiemy, nie będzie miejsca na zmianę zdania, ponieważ nie zamierzam porzucać go na drodze ani szukać mu innego domu, ani go przygarniać. Rozumie pani?

– Tak – odparła z mocno bijącym sercem. – Dziękuję, że objaśnił mi to pan w prostych słowach, na wypadek gdyby mój dziewczęcy mózg okazał się zbyt mały, by pojąć konsekwencje.

– Świetnie.

Odszedł, żeby pomówić z Bullardem, który siłował się z przytrzymującymi go mężczyznami. Wywiązała się długa dyskusja, przy czym głos Bullarda najpierw wzniósł się wysoko z oburzenia, by stopniowo przejść w zrzędliwe burczenie.

Niedługo potem z gospody wyszedł służący z kocami. Zaniósł je do bagażnika i ułożył na schludnym pakunku ze strojem ślubnym Olympii.

– Tak będzie dobrze czy mam wynająć dla pani nowego pupila osobny powóz? – zapytał Ripley. – I lokaja lub dwóch, żeby go doglądali?

– Tak będzie dobrze – odparła Olympia.

Ripley zakląskał językiem, a pies spojrzał na niego z postawionymi uszami. Ripley wskazał skrzynię. Pies wskoczył do niej. Spulchnił koce łapami i okręcił się kilka razy, aż poczuł się usatysfakcjonowany. Wówczas się położył.

Psa dobrze wyszkolono. Problem ewidentnie nie tkwił w zwierzęciu.

Zerknęła na Bullarda, który stał z rozdziawionymi ustami, przenosząc wzrok z psa na nią, później na Ripleya i znów na psa.

– Niech pani wsiada do powozu – polecił Ripley. – Natychmiast.

***

Ripley przyglądał się, jak lady Olympia wspina się do pojazdu i sadowi w nim z trzepotem koronek i wstążek.

Po raz ostatni omiótł wzrokiem dziedziniec, by się upewnić, że Bullard nie rzuci się na nich i nie stanie się utrapieniem większym niż do tej pory.

Następie podszedł do bagażnika i obejrzał psa. Znalazł dwie wypukłe pręgi, ale nie zauważył krwi. Bydlak nie zdążył na serio wziąć się za batożenie.

Ripley pogłaskał psa i wydał kilka pozbawionych treści, uspokajających dźwięków, a drżenie zwierzęcia nieco ustąpiło.

– Szczęściarz z ciebie, mam nadzieję, że o tym wiesz – powiedział Ripley. – Masz doskonałe wyczucie czasu.

Pies polizał jego dłoń w rękawiczce.

– Żadnego obśliniania. – Ripley cofnął rękę. – Nawet tych ohydnych rękawiczek. I ani się waż rzygać po drodze.

No proszę.

Już lepiej.

Przyszła księżna Ashmont była żywa i w jednym kawałku. Nikt nie zginął. Nie polała się krew, choć Bullardowi na pamiątkę po zdarzeniu zostanie sporo bolesnych sińców.

Pomimo tego rodzaju przyjemnych myśli Ripley wiedział, że minie trochę czasu, nim ochłonie po wysiłku, jaki włożył w zachowanie samokontroli, żeby nie stłuc Bullarda na krwawą miazgę.

Wziął jeszcze jeden oddech dla uspokojenia, zostawił psa, wspiął się do powozu i kazał forysiowi ruszać.

Pojazd ledwie zaczął się toczyć, a Ripley dopiero co się usadowił, kiedy lady Olympia poderwała się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

I pocałowała go.

Rozdział 6

Pocałowała go w policzek, gdyż z przemęczenia poniosły ją emocje – taką w każdym razie podpowiedź podsunąłby Ripleyowi jego mózg, gdyby akurat funkcjonował.

Gdyby ów organ pracował, kazałby mu odepchnąć ją ze słowami w rodzaju: „Niechże pani nie będzie niedorzeczna”.

Jego mózg nie pracował. Ripley pociągnął ją w ramiona i pocałował w usta, bynajmniej nie delikatnie. Całował ją z całym niepokojem, frustracją, furią i innymi irytującymi emocjami, z którymi, jak sądził, uporał się przed momentem. Oraz z prostą żądzą, z którą zdawał się walczyć od wieków.

Spięła się i już miał się wycofać, ale wtedy jej miękkie usta zareagowały na niego, a jej smak okazał się… inny. Świeżość i słodycz, i coś jeszcze. Nie wiedział, co to takiego, i nic go to nie obchodziło.

Nie umiała się całować. To również go nie obchodziło. Jej miękkie, pełne usta smakowały tak dobrze. Poza tym sam świetnie opanował sztukę pocałunku, a nie wątpił, że jest na tyle inteligentna, by za nim nadążyć.

Wtopiła się w jego ramiona, wpasowała w nie doskonale, Ripley zaś na chwilę po prostu zatracił się w gwałtownej fali podniecenia i ulgi, przyjemności i innych, mniej znajomych uczuć.

Później szczeknięcie psa wybudziło go ze stanu bezmyślności. Odsunął się – ostrożnie, wiedział bowiem – jako że jego mózg z opóźnieniem wziął się wreszcie do pracy – iż zrobił coś zadziwiająco głupiego. Postąpiłby bez sensu, odpychając ją, kiedy to on przekształcił niewinne cmoknięcie w policzek w coś, co ani przez moment nie było jej zamiarem.

– Do diaska – mruknął. – Czy nikt nigdy nie mówił pani, że nie należy zanadto zbliżać się do mężczyzn, którzy niedawno walczyli?

– Pocałował mnie pan! – wykrzyknęła, otwierając szeroko oczy, w tej chwili najprawdopodobniej niebieskie, choć nie mógł być tego pewien w ciemnym wnętrzu powozu w pochmurny dzień.

– Pani pocałowała mnie pierwsza.

– W policzek!

– W policzek, w usta. Dla mnie to bez różnicy. Kobieta, pocałunek. Mężczyzna, podniecenie. Czy muszę tłumaczyć pani takie proste życiowe kwestie?

– Niektóre najwyraźniej tak. Mam sześciu braci i wiem, jak to jest z tą walką. Ale byłam… sama nie wiem, co się stało. Uratował pan psa! A… a on, to znaczy Bullard, wziął mnie za kobietę lekkich obyczajów!

– Ufam, że więcej nie popełni tego błędu – stwierdził Ripley.

Nie potrafił do końca zdusić drobnych ukłuć frustracji. Kiedy się zastanowić, tego całowania nie było aż tak wiele. Powinno być znacznie więcej, skoro teraz czekało go mnóstwo wyjaśnień i… do diaska, jak mógł być tak głupio głupi? Ze wszystkich kobiet świata akurat narzeczona Ashmonta…

– Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś popełnił taki błąd – powiedziała. – Kto słyszał o kobiecie lekkich obyczajów w okularach?

– Dlaczego nie? Dodają tajemniczości.

Wlepiła weń wzrok.

Pozwolił jej się gapić. Rozpaczliwie szukał drogi wyjścia z tego, w co się wplątał, cokolwiek to było.

– To ta suknia – oświadczyła w końcu. – Mówiłam panu. Tego stroju absolutnie nie pomyślano dla starej panny.

– Nie jest pani starą panną – zaoponował. – Jest pani przyszłą żoną.

– Niech pan nie próbuje zmieniać tematu. Dla kogo były przeznaczone te ubrania?

– Skąd, u czorta, miałbym wiedzieć?

– Dla kurtyzany. – Czule wygładziła spódnicę. – Albo dla szykownej wdowy. Pani Thorne bardzo mi nadskakiwała. Z tego, co mówiła, zrozumiałam, że jest panu winna przysługę. Albo sto.

– Przysługa akurat nie była moim dziełem, tylko mojej siostry.

Gdyby Jej Książęca Wysokość księżna Blackwood wzięła udział w ślubie, jak powinna była, Ripley zaprzągłby ją do pomocy przy odzyskiwaniu lady Olympii i uciekinierka nie dotarłaby nawet do ogrodowej furtki.

Ale nie, Alice z niewyjaśnionego nadal powodu musiała właśnie przebywać dwadzieścia mil od Londynu, w towarzystwie cioci Julii.

Blackwood nie przekazał zbyt wielu informacji, ale z drugiej strony on i Ripley zamienili ledwie parę słów. Rozmowę praktycznie zawłaszczył

Ashmont, opowiadając o swoim nadchodzącym ślubie.

Z kobietą, którą Ripley ledwie przed momentem całował z nader wielkim entuzjazmem.

– Na pewno ją pani poznała – rzekł. – Potrafi być niebywale… mniejsza z tym. Jeśli ją pani poznała, wie pani, jaka jest.

– Wspaniałe kruczoczarne loki i zielone oczy – powiedziała lady Olympia. – Zszokowała mnie wiadomość, że wychodzi za Blackwooda. Sądziłam, że jest zbyt inteligentna na takie posunięcie.

On również swego czasu tak myślał.

– Pani przyjęła Ashmonta – zauważył.

– Pańska siostra nie musiała brać pod uwagę pięciu młodszych braci ani niegospodarnych rodziców, ani kurczącego się posagu, ani zdobywanego przez siedem lat z rzędu tytułu Najnudniejszej Dziewczyny Sezonu. Stopniowo wpadałam w panikę. Moi rodzice także.

– Zostało pani jeszcze kilka dobrych lat – stwierdził. – Nadal frapuje mnie ta część o byciu nudną.

– Nie zna pan prawdziwej mnie – odparła mrocznym tonem. – Potrafię opowiadać o pierwszych wydaniach, bibliotece Maioli i wczesnych miedziorytach, dopóki moi słuchacze nie pomdleją ze śmiertelnego znudzenia. Gorzej nawet, opracowałam system, zainspirowana przez amerykańskiego prezydenta, pana Thomasa Jeffersona, który zastosował metodę naukową Bacona w celu katalogowania książek. Moja własna metoda jest nieco bardziej skomplikowana i mogę rozwodzić się nad tematem przynajmniej dwadzieścia razy dłużej, niż słuchacze są w stanie wytrzymać.

Do tej pory patrzył prosto przed siebie na nieszczególnie porywający widok – głównie plecy forysia i końskie zady. Teraz odwrócił się, by spojrzeć na nią. Również wyglądała przez przednie okno, z ponurym grymasem na ustach.

Ustach, do których nie tak dawno przywarł gorąco własnymi.

Nie był to jednak pierwszy i na pewno nie ostatni błąd, jaki w życiu popełnił, powiedział sobie. On i jego przyjaciele nie zapracowali na tytuł Ich Łajdackich Mości cnotliwymi czynami.

– Może to pani czuje się znudzona – zasugerował. – Może ma pani zbyt obszerny i twórczy umysł jak na towarzystwo, w którym się pani obraca. Grzeczne dziewczynki. Mnóstwo zasad regulujących najdrobniejsze

sprawy. Może mówi pani ciągle o książkach, ponieważ i tak nikt pani nie rozumie, a przynajmniej zabawnie jest patrzeć, jak innym szklą się oczy.

Jeszcze wczoraj nie przyszłoby mu do głowy, że mogłaby się nudzić. Zakładał, że nie różni się od innych szanujących się dziewcząt, że wpasowała się w to grono. Teraz zdumiewał się, że nie wpakowała się w jakieś kłopoty dużo wcześniej.

Zamrugała gwałtownie i zobaczył, jak po policzku skrada jej się łza. Otarła ją.

– Nie wątpię, że mówi pan z własnego doświadczenia. Panu łatwo uznać nudę za problem, a złe zachowanie za rozwiązanie idealne. Ale w przypadku kobiet jest inaczej. Powinnyśmy być ujmujące.

– Zacznie się pani bardziej wyzywająco ubierać, a stanie się ujmująca. Mężczyźni to proste stworzenia, czego nie powinienem być zmuszony tłumaczyć kobiecie posiadającej tylu braci. Na przykład to, co ma pani na sobie w tej chwili, uwydatnia pani figurę. Czarna koronka nadaje pani aurę osoby tajemniczej i niebezpiecznej…

– Ja! Niebezpieczna!

– Nie widziała pani, jak Bullardowi ulżyło, kiedy zobaczył, że czeka go walka ze mną, a nie z panią? Będzie się pani ubierać jak kobieta niebezpieczna, a mężczyźni nie zwrócą uwagi na to, co pani mówi. Zbyt ich zaabsorbują nieprzyzwoite myśli.

– Nie wierzę, że książę Ripley udziela mi braterskich porad.

– Mam wszak doświadczenie na tym polu. Jestem bratem.

– Ulegającym wpływom siostry, jak się zdaje – stwierdziła. – I to, w niewyjaśniony dotąd sposób, zaowocowało dozgonną wdzięcznością ze strony krawcowej z Putney.

– Nie zawsze rezydowała w Putney – odparł, zadowolony, że wracają do pierwotnego tematu.

Pragnął dowiedzieć się więcej na temat systemu organizacji biblioteki lady Olympii i nie chciał, żeby płakała, ponieważ banda ograniczonych głupców uważa ją za nudną.

Wolał wyrzucić te kłopotliwe myśli z głowy.

Z krawcową sprawa przedstawiała się inaczej.

– Pani Thorne, pod innym nazwiskiem, odnosiła sukcesy jako krawcowa w Londynie, dopóki nie poślubiła pana Keftona – wyjaśnił. – Ona pracowała, on wydawał cały jej zarobek i jeszcze więcej. Przyszli

komornicy i wzięli dosłownie wszystko. Kefton, odważny typ, czmychnął. Moja siostra, lojalna klientka, opowiedziała mi tę smutną historię i nalegała, żebym coś zrobił. Żeby przestała zrzędzić, ulokowałem rzeczoną krawcową w Putney pod nazwiskiem Thorne. Fałszywe nazwisko było konieczne, żeby zmylić wierzycieli niewiernego małżonka, jak również samego małżonka, gdyby chyłkiem powrócił.

– A teraz interesy pani Thorne kwitną dzięki kurtyzanom i wesołym wdówkom? – dociekała lady Olympia.

– Powiedzmy, że znalazła niszę.

– Innymi słowy, przyprowadza pan do niej swoje kochanki – podsumowała. – I pańscy dwaj przyjaciele także, nie wątpię. Już widzę te satyryczne rysunki. Piersi wylewające mi się ze stanika, widoczne tu i ówdzie fragmenty różowej i czarnej bielizny, pantalony…

– Powiem pani, co zrobimy – wszedł jej w słowo. – Przestaniemy rozmawiać o pani bieliźnie.

W jego umyśle uformował się tymczasem obraz piersi lady Olympii, wymykających się ze stanika sukni. Takie myśli były jak najbardziej normalne u mężczyzny, aktualnie jednak oddawanie się im nie wydawało się mądre. Odsunął obraz jak najdalej na tył umysłu – wyczyn niełatwy, gdy siedziała tuż obok, podtykając mu stanik praktycznie pod nos.

Zmusił się, by wbić wzrok w plecy forysia, poruszające się w górę i w dół, w górę i w dół, kiedy konie nieznośnie powoli – w odczuciu Ripleya – opuszczały Putney.

– Wszyscy będą o tym mówić – stwierdziła. – I wyobrażać sobie najgorsze.

– Spędzimy w podróży co najmniej pół godziny. Wskutek wyciągania niezrównoważonych panien młodych z Tamizy, podduszania brutali i ratowania psów mam chęć na drzemkę. Proszę użyć swoich talentów, żeby stać się mniej ekscytującą. Znacznie mniej ekscytującą. Bardziej wyciszającą.

Popatrzyła na niego.

– Nie sugeruje pan chyba, żebym mu objaśniła mój system organizacji biblioteki.

– Właśnie tak. Proszę mi o nim opowiedzieć. Szczegółowo.

***

Ich Łajdackie Mości zwykli rozbijać w proch i pył, cokolwiek stawało im na przeszkodzie. Ponieważ otoczenie nawykło do tej ich metody działania, przeważnie jak najszybciej usuwano się im z drogi.

Nie można jednak tak po prostu rozbić w proch i pył przyszłych powinowatych i gości weselnych. Goście dali się łatwo poskromić wiadrami szampana i historyjką o nagłej niedyspozycji panny młodej. Co innego przyszli powinowaci. Nawet z pomocą lorda Fredericka udobruchanie towarzystwa nieco trwało, a dotyczyło to zwłaszcza lorda Ludforda, który całą winę składał na Ashmonta.

Olympia była dobrą, rozsądną dziewczyną, oświadczył Ludford. Nie uciekłaby, chyba że ją oszukano lub doprowadzono do tego czynu innym sposobem. Nie dopuści, żeby ludzie rzucali na nią oszczerstwa, ponieważ Jego Łajdacka Mość nie wiedział, jak się traktuje chowaną pod kloszem dziewczynę, która wyświadczyła mu ogromną przysługę, przyjmując oświadczyny.

Szczęśliwie Ashmont choć raz nie wszczął awantury. Zbyt mu było pilno wyruszyć, żeby zwracał wielką uwagę na czyjekolwiek wypowiedzi.

W końcu towarzystwo wywiedziono w pole i udobruchano, ku zadowoleniu lorda Fredericka. Następnie, ponieważ Blackwood zapobiegliwie kazał podstawić konie na długo przed tym, nim został zaprowadzony spokój, książęta odjechali.

Na główną ulicę Kensington dotarli niedługo potem, aczkolwiek nie dość szybko dla Ashmonta, któremu cała krótka podróż upłynęła na przeklinaniu stryja i pozostałych za robienie z igieł wideł i opóźnienie poszukiwań.

Później, jako że nie rozbija się w proch i pył potencjalnych źródeł informacji, książęta musieli odeprzeć atak hord chłopców, którzy pojawili się znikąd i rzucili ku nim chmarą, oferując, że przytrzymają konie.

– Szukamy panny młodej – powiedział Ashmont. – Ktoś ją widział? Z wysokim mężczyzną, oboje ubrani na ślub.

Chłopcy z pokerowymi twarzami popatrzyli po sobie, a następnie na niego.

Ashmont przytrzymał w górze monetę.

– No dalej. Panna młoda. W welonie i tak dalej. Trudno taką przeoczyć. Szyling dla pierwszego młodzieńca, który powie mi coś użytecznego.

Żadnej reakcji.

– Są tutaj równie trudni jak w Londynie – wymamrotał do Blackwooda, wyjmując kolejnego szylinga. – Podwajam stawkę! – rzucił głośniej. – Dla bystrego chłopaka, który udzieli mi informacji.

Zobaczył, że jeden z chłopców szepce coś do innego, mniejszego, dosyć osobliwie ubranego. Twarz niewiniątka pod warstwą brudu wydawała się całkiem ładna. Mikrus pokręcił głową, na co jego większy kolega się odsunął.

Ashmont zwęził oczy.

– Ty tam – powiedział. – Poznam herszta bandy z dwustu metrów.

Otwierając szeroko oczy z zakłopotania, mikrus powiódł wzrokiem po otaczających go kamratach.

– Mniejsza o nich – rzekł Ashmont. – Mówię do ciebie, stary. Do dżokeja.

Gdyż przyjrzawszy się dokładniej, Ashmont uzmysłowił sobie, że chłopiec nosi obszarpane pozostałości czegoś, co wyglądało na strój wyścigowy. Natomiast ta rzecz na jego głowie była żółtą czapką, o dwa rozmiary za dużą.

– Jaśnie pon pewnikiem do cie godo, Jonesy – powiedział jeden z chłopców.

– Bo dżokej to se myślisz niby cóś takie by wdzioł? – odciął się chłopak.

Blackwood, nieco bieglejszy w cockneyu, przetłumaczył. A ponieważ to on był w tym gronie lingwistą, przejął prowadzenie rozmowy z chłopcem.

– Podejdź i porozmawiajmy – rzekł.

– Nico wim – oświadczył Jonesy.

– Nico wimy – powtórzyli zgodnie inni chłopcy.

Blackwood zawrócił konia i odjechał kawałek, ale najpierw pokazał koronę w taki sposób, by zobaczył ją wyłącznie Jonesy. Ledwie mignięcie, nim zniknęła.

Chłopiec podszedł do niego i stanął z założonymi rękami.

– Dobro ścucka.

– Idę o zakład, że posiadanie tej monety okaże się jeszcze lepsze – stwierdził Blackwood. – Ale tylko, jeśli mi powiesz, co widziałeś i słyszałeś, kiedy byli tutaj ten elegant i panna młoda.

– Byli abo i nie byli – odparł chłopiec. – Ale jak jakiś aligant był, to tak cóś mi się zdaje, że doł nom świcacza.

Suwerena? To całkiem możliwe. Wprawdzie żaden z nich nie był sknerą, ale Ripley najprędzej dałby bandzie małych włóczęgów całego funta, żeby trzymali buzie na kłódkę.

– Dlaczego więc nie świętujecie z powodu tego bogactwa? – zapytał Blackwood.

– Coby nas nie trzepli. – Chłopiec wykonał gest podrzynania gardła. – Schowoł żem go bezpiecznie.

Jeśli mikrus miał przy sobie monetę tej wartości, nie będzie bezpieczny nawet w Kensington. Chociaż nie wyglądał na pochodzącego z tych okolic. Sprawiał wrażenie łobuza raczej miejskiego niż wiejskiego – co przypuszczalnie tłumaczyło, dlaczego inni chłopcy akceptowali przywództwo kogoś tak drobnego. Jego wiek pozostawał nieodgadniony.

Blackwood przyjrzał się obdartemu strojowi dżokeja.

– Nie złamałbyś świętej przysięgi, gdybyś mi pokazał, dokąd się udali. Nie mam w tej chwili przy sobie suwerena, ale wezmę cię na konia i ufam, że pokażesz mi drogę, a koronę też dostaniesz.

Złożył właściwą propozycję. Oczy chłopca otworzyły się szeroko – zaskakująco niebieskie – i wypełniły tęsknotą. Później obejrzał się na swoich kamratów i pokręcił głową.

Blackwood nachylił się i poderwał go na siodło przed sobą. Chociaż mikrus protestował głośno, krzycząc, że go porywają, mordują i tak dalej, nie wyrywał się zanadto.

Blackwood odjechał, trzymając mocno łobuziaka, Ashmont zaś podążył ich śladem, podobnie jak wielu urwisów, którzy biegli za nimi z krzykiem. Ale konie przyspieszyły i po pewnym czasie chłopcy się poddali. Kiedy Blackwood uznał, że są bezpieczni, zwolnił.

– Dobrze to rozegrałeś, Jonesy – pochwalił. – A teraz pokaż nam drogę.

***

Coś łaskotało Ripleya w nos.

Otworzył oczy.

Rozkołysane kwiaty ocierały mu się o twarz w rytm podskakiwania powozu.

Były przymocowane do kapelusza. Kapelusza damy.

Przebudziwszy się gwałtownie, odkrył w swych ramionach przyszłą żonę Ashmonta. Pomimo wstrząsów ona także zasnęła – głęboko, sądząc po tym, jak miarowo unosiła się i opadała jej pierś.

Nic dziwnego, powiedział sobie, biorąc pod uwagę brandy, wydarzenia całego dnia i fakt, że prawdopodobnie niewiele spała minionej nocy, aczkolwiek z powodów całkiem innych niż te, przez które on sam nieszczególnie zaznał snu.

Nic również dziwnego w tym, że bezwiednie objął ją ramieniem. Spał, a przynajmniej drzemał. Tuż obok ulokowało się ciepłe kobiece ciało. Przyciągnięcie go bliżej stanowiło odruch instynktowny.

Do gry włączyły się także inne instynkty i Ripleyowi zaczynały przychodzić – do głowy i nie tylko – pomysły, które w innych okolicznościach byłyby najzupełniej na miejscu. W tej chwili stanowiły piekielną niedogodność.

Mimo to nie chciał jej budzić.

Trwając w niezmienionej pozycji, wyjrzał przez okno. Aby powstrzymać myśli przed wędrowaniem tam, gdzie jedynie by go zirytowały, przywołał na pierwszy plan jej osobliwy system biblioteczny.

Zamiast układać książki w zwykły sposób – alfabetycznie lub według rozmiaru – organizowała je według tematyki, pod obszernymi nagłówkami w rodzaju *Historia*, *Filozofia*, *Sztuki piękne*. W obrębie tych szerokich kategorii mieściły się węższe. Ostatnim, co zapamiętał, były jej dylematy, czy powinna rozbijać na kategorie zestawy książek z jednej kolekcji, na przykład tej Diane de Poitiers.

Kiedy rozważał wady i zalety systemu, w jego myśli wdarły się fragmenty snu: kobieta spadająca ze schodków bibliotecznych prosto w jego ramiona… on biegnący szaleńczo londyńskimi ulicami w pogoni za suknią ślubną, która powiewała mu wysoko nad głową niczym latawiec… książki wysypujące się z okien mijanych domów…

Podczas gdy jego umysł kluczył tak między książkami a snem, Ripley praktycznie nie zwracał uwagi na widoki za oknem, dopóki powozik nie zwolnił, by zaraz się zatrzymać. Ripley zamrugał i omiótł wzrokiem otoczenie.

Przed nimi rozciągał się Richmond Bridge. Dotarli do rogatki.

Jego towarzyszka podróży poruszyła się i odchyliła w tył głowę, żeby nań spojrzeć. Oczy jej się rozszerzyły i cofnęła się gwałtownie.

– Za późno na nieśmiałość – oznajmił. – Spaliśmy ze sobą.

***

Olympia była pewna, że obśliniła mu halsztuk, a na czerwonej teraz twarzy dorobiła się wgnieceń od jego klapy.

Zasnęła na jednym z Ich Łajdackich Mości, w dodatku nie na tym, którego miała poślubić. Co gorsza, było jej o wiele za wygodnie, gdy tuliła się tak do jego twardej piersi, otoczona muskularnym ramieniem.

Całe szczęście, że przez te wszystkie lata żaden mężczyzna nie próbował sprowadzić jej na manowce, gdyż najwyraźniej z dużym prawdopodobieństwem by z nim poszła.

– Nie pyszniłabym się tak na pana miejscu – powiedziała. – Bynajmniej nie jest pan pierwszy. Podczas burz z piorunami Clarence krzyczał i krzyczał, dopóki nie pozwolono mu się wczołgać do mojego łóżka.

– Wiem już zatem, jak się zachować przy okazji najbliższej burzy – stwierdził. – Kapelusz się pani przekrzywił.

Odwróciła się do okna, ale choć przez porysowane szkło dało się zobaczyć Richmond, niekoniecznie dostrzegła w nim własne odbicie.

– Nie widzę – powiedziała. Odwróciła się znów do niego. – Proszę mi go wyprostować. Moja ciocia i bez tego będzie ciekawa, jak to się stało, że zjawiam się w takim stroju. Wolałabym nie pokazywać się jej rozczochrana.

– Zjawi się pani z brudną suknią ślubną i welonem zawiniętymi w płótno oraz nowym dużym psem. Wątpię, czy ciocia będzie histeryzować z powodu takiej drobnostki jak przekrzywiony kapelusz.

– Ciocia Delia jest osobą niezwykle modną. Zrobi więcej zamieszania z powodu przekrzywionego kapelusza niż jakiejkolwiek innej kwestii.

Pociągnął kapelusz na jedną stronę. Przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w jej twarz, Olympia zaś walczyła z przemożną chęcią, by odwrócić oczy lub nim potrząsnąć. Następnie na próbę przesunął kapelusz na drugą stronę. Powtórzywszy procedurę pięć razy, uniósł ręce w geście poddania.

– Nie sądzę, żeby to miało znaczenie – orzekł. – Poza tym niemożliwe, by wyglądała pani choć w małej części na tak rozczochraną i szaloną jak wcześniej w sukni ślubnej.

Powóz minął rogatkę. Od tego momentu Olympia musiała się skoncentrować. Forysiowi będą potrzebne instrukcje, jak dojechać do posiadłości cioci.

Przekazała wskazówki przez Ripleya. Były stosunkowo proste, a odległość nie tak wielka.

Dopiero kiedy powozik zjechał z mostu, Olympia przypomniała sobie, że nadal nie ułożyła wyjaśnienia. Zaklęła cicho.

– Co znowu? – zapytał.

– Nie miał pan tego słyszeć.

– Czasami miewam wyjątkowo ostry słuch. To znaczy, kiedy się skupiam. Przy pani mężczyzna musi stale pozostawać skupiony. Gdyby na przykład Ashmont był bardziej skupiony, nie uciekłaby mu pani. Gdybym ja był bardziej skupiony, nie wypadłaby pani z łodzi. Ale dostałem nauczkę. Będę panią teraz bacznie obserwować, do czasu gdy umieścimy ją bezpiecznie u cioci.

„Baczna obserwacja” w wykonaniu Ripleya niosła ze sobą niebezpieczeństwo. Mówił różne rzeczy i patrzył na nią inaczej niż inni mężczyźni, przez co zaczynała myśleć, że jest zupełnie nie taką młodą kobietą, za jaką zawsze się uważała. Wiedziała, że rozpustnicy są niebezpieczni, nie rozumiała jednak dotąd, jak subtelne może być to niebezpieczeństwo. Groziła jej rewolucja w zapatrywaniach na mnóstwo tematów. Dobrze, że do cioci Delii było już niedaleko.

Tak, właśnie. Skoncentrować się na cioci Delii. Nie na nim.

– Nie wiem, co jej powiedzieć – wyznała. – Żadne ułożone przeze mnie wyjaśnienie nie brzmi racjonalnie.

Dostrzegała teraz niedorzeczność argumentu, że została zakupiona w celach rozpłodowych, który wydawał jej się tak nieodparty, gdy była pijana. I w pijackim zidioceniu paplała na ten temat akurat do Ripleya!

– Na pani miejscu niczego bym nie tłumaczył – stwierdził.

– Nie, chce pan powiedzieć, gdybym to ja była na pana miejscu – sprostowała. – Mężczyźni, zwłaszcza wysoko urodzeni, robią, co im się żywnie podoba, a jeśli otoczeniu coś nie przypadnie do gustu, i tak musi się z tym pogodzić.

– Pani jest wysoko urodzoną kobietą. Może pani robić, co jej się podoba.

– Nie, chyba że poświęcę reputację. Co, przyznaję, już zrobiłam.

– To akurat można naprawić – zapewnił. – Dobrze, że spędziliśmy razem trochę czasu, ponieważ koniecznie trzeba panią wyedukować.

– Istotnie, bardzo potrzebuję przeszkolenia w… w tym, cokolwiek to jest, w czym uchodzi pan za eksperta. Jak być osobą o złej reputacji. Wie pan co, chyba nawet ja dojdę, jak to robić.

– Już wkroczyła pani na tę ścieżkę. Odświeżmy sobie kilka ostatnich godzin, lady Olympio, i…

– Przecież mówię, że to proste. Nawet ja sobie poradzę.

Spędzi z nim jeszcze trochę czasu, a sama zostanie ekspertem.

– Nie śmiałbym się spierać. Posiadanie złej opinii wymaga niewiele wysiłku, a i to głównie przyjemnego, co należy do uroków tej sytuacji. Ale co do pani… i gdyby była pani tak dobra i pozwoliła mi się wypowiedzieć bez przerywania…

– Nie śmiałabym panu przerywać.

– Dziękuję. Jeśli mogę ująć to bardziej konkretnie: edukacja, której pani trzeba, dotyczy zarządzania światem wokół pani.

– Pozwoli pan, że coś mu wyjaśnię. Zarządzać można swoimi dochodami, choć taki wyczyn najwyraźniej przekracza możliwości moich rodziców. Zarządzać można biblioteką. Światem zarządzać się nie da. Tylko książę, i to książę z grona Ich Łajdackich Mości, mógłby przypuszczać inaczej.

Zbył uwagę machnięciem ręki.

– Proszę sobie wyobrazić taką scenkę. Staje pani pod drzwiami, ze mną i psem w odwodzie, który to pies, nawiasem mówiąc, na pewno nie jest Samem. Niechże pani poświęci chwilę i uwolni zwierzę od tego niedorzecznego imienia. Podaruje mu coś pełnego godności. Na przykład… Katon. Katon świetnie się nada.

– Dziękuję, że pozwolił mi pan wybrać imię dla psa.

– Zanadto się pani guzdrała. A teraz proszę mnie posłuchać.

– Mam wybór?

– Zgromadziłem doświadczenie, jeśli chodzi o sytuacje, które na pozór wymagają wyjaśnień. Poza tym mam siostrę. – Spojrzał przez frontowe okno. – A nam nie zostało wiele czasu.

Polecił forysiowi zatrzymać powozik.

– Proszę poczekać – rzekł i wysiadł.

Dostrzegała alternatywę wobec czekania: ucieczkę. Ale to rozwiązanie niespecjalnie się sprawdziło przy poprzedniej okazji, choć w tamtym momencie wydawało się bardzo dobre – i absolutnie słuszne.

Ucieczka wydawała się dobrym wyjściem także teraz, gdy Olympia była trzeźwa – oczywisty znak, że spędziła z tym człowiekiem stanowczo za dużo czasu.

Czekała, wyglądając przez przednie okno powozu.

Podszedł do bagażnika. Katon spojrzał nań z entuzjazmem. Ripley skinął na psa i ten wyskoczył. Ripley wyjął wielki, owinięty w płótno pakunek, posłał psa z powrotem do legowiska z koców, wspiął się znów do powozu ze zwłokami ślubnego stroju Olympii i kazał forysiowi jechać dalej. Powozik ruszył z hałasem.

Ripley zdjął rękawiczki i zaczął rozwiązywać pakunek.

– Nie założę tego – oświadczyła.

– Błagam, by miała pani do mnie trochę zaufania. Odrobinkę. Potrzebujemy tego do scenki.

– Lubię moją ciocię. Nie zgadzam się, żeby obrał ją pan na cel jednego z pańskich praktycznych żartów.

– To nie żart – zaoponował. – To scenka. Rodzaj pantomimy, czy jak się to nazywa.

– Nie mam pojęcia, jak pan to nazywa.

– Jak szarady. Tylko to drugie.

– Żywy obraz?

– Właśnie. Proszę poczekać.

Przyglądała się, gdy rozwiązywał paczkę długimi palcami, tak zręcznymi i pełnymi wdzięku. Przypomniała sobie te palce w swoich włosach.

Odwróciła wzrok, a jej nieznośny umysł skwapliwie wyczarował pewien obrazek. Działo się to ponad rok temu. Może nawet ponad dwa lata temu: bal u lady Nunsthorpe. Ironicznie zwana Zakonnicą dama, według Stephena ewidentnie lubiła niebezpieczne życie, zaprosiła bowiem całe trio Ich Łajdackich Mości. Podczas tańca gospodyni dokładała starań, żeby uwieść Ripleya – aczkolwiek Olympia nie przypuszczała, by zadanie wymagało znacznego wysiłku. Mimo to nie potrafiła odwrócić wzroku. Poruszał się z mocą i gracją konia czystej krwi, a ona się zastanawiała, jakie to uczucie tańczyć z nim.

Mężczyzna stojący w miednicy z wodą też wyglądał jak koń czystej krwi – wspaniałe proporcje, potężna budowa ciała. Takie konie bywają również nieprzewidywalne i niebezpieczne, o czym jej ojciec przekonał się znacznym kosztem.

Nie żeby doświadczenie kiedykolwiek czegoś papę nauczyło. Miała nadzieję, że nie odziedziczyła po nim tej cechy. Nigdy jednak nie poddano jej testowi. Nigdy jej nie kuszono…

Głos Ripleya odwołał umysł Olympii od zdradzieckich wód, ku którym ów zmierzał.

– Jak już mówiłem, pojawi się pani u cioci w otoczeniu świty. Złożonej z jednego psa i jednego księcia o złej reputacji, który będzie niósł suknię ślubną i welon.

– Jak zwłoki – dopowiedziała.

Zwłoki nadziei i marzeń jej rodziny. Zwłoki przyszłości jej braci. Narastała w niej histeria. *Przestań*, poleciła sobie.

– Właśnie. Kiedy tylko zobaczy pani ciocię, z łkaniem padnie jej pani w ramiona.

Było to prostsze i bardziej zmyślne, niż oczekiwała. Z łatwością wyobraziła sobie tę scenkę. Ujrzawszy taki żywy obraz, ciocia Delia nie będzie oczekiwać spójnego wyjaśnienia. Od razu zrozumie, w jaki bałagan wpakowała się Olympia.

Jedno ale.

– Nie umiem płakać na zawołanie – powiedziała.

– Niech pani pomyśli o czymś łamiącym serce, jak rozstanie ze mną na wieki.

Gdyby w jej mózgu ostało się choć trochę rozsądku, podskoczyłaby z radości i ulgi. Tymczasem poczuła się nieszczęśliwa i spanikowana.

Spojrzała na niego.

– Jakoś nie działa – stwierdziła.

Ściągnął brwi.

– A to ciekawe. Zwykle rezultatem są wiadra łez… dopóki nie wyjmę rubinów lub diamentów, czy czego tam jeszcze.

– Mówiłam panu, że ta suknia stwarza problem. Z jej powodu myli mnie pan z jedną ze swoich kochanek. Łkanie w celu otrzymania biżuterii nie zalicza się, na ile mi wiadomo, do procedur stosowanych przez bibliotekarki.

– Wobec tego proszę sobie wyobrazić pożar w bibliotece. Niech pani sobie wyobrazi swoją ukochaną bibliotekę w płomieniach, książki, które zwijają się, aż zostaje z nich tylko czarny popiół. Niech pani sobie wyobrazi, że chodzi o bibliotekę w Aleksandrii. Albo… wiem, tę należącą do tej, no, jak jej tam… Potters.

– Diane de Poitiers.

– I nie w płomieniach, ale żeglującą przez ocean do amerykańskiego prezydenta Jeffersona, który wykupił ją do ostatniego tomu.

– On nie żyje.

– Bez znaczenia. Proszę sobie wyobrazić, że rozpętuje się sztorm i wszystkie tomy idą na samo dno Atlantyku.

– Rozumiem już, skąd biorą się te żarty. Ma pan bardzo twórczą wyobraźnię.

– Na pewno przez sztuki Szekspira. A jednak cóż z tego, niszczę książki tysiącami, pani zaś pozostaje dziwnie nieporuszona.

– Mam analityczny umysł. Do przesady.

– I do pewnej granicy – uzupełnił. – Później niekiedy coś się w nim psuje i popełnia pani jedno szaleństwo za drugim. Fascynujące.

Czy coś się popsuło? Istotnie popełniała szaleństwa. Ten fakt nie podlegał dyskusji. Co do reszty…

– Nikt dotąd nie użył w stosunku do mnie tego słowa – stwierdziła.

– Szaleństwo?

– Fascynujące. Ale nie chodziło panu o to, że ja jestem fascynująca. Miał pan na myśli moje wiarołomne zachowanie. Kiedy na powrót stałam się zwykłą nudną sobą i opowiadałam o moim systemie bibliotecznym, zasnął pan.

– Nie ja jeden, jak zauważyłem.

– Byłam zmęczona.

– Ja również. Ashmont długo mnie w nocy przetrzymał.

– Nie rozumiem, czemu pan nie przyzna, że go zanudziłam, jak zawsze wszystkich.

– Wprost przeciwnie, byłem tak podekscytowany, że pani książki nawiedziły mnie w snach. Ale kończy nam się czas. Trzeba rozwiązać główny problem. Musi pani łkać na łonie cioci. Może zatem tak: proszę sobie wyobrazić, że wszystkie cenne księgozbiory w Anglii zostają sprzedane na pokrycie długów, przy czym kupują je Amerykanie.

Otworzył szeroko zielone oczy i wykrzywił twarz jak aktor odgrywający bezgraniczne przerażenie.

Przełknęła śmiech. Śmiech jedynie by go zachęcił, a już polubiła go bardziej, niż było to dla niej wskazane.

– Jeśli tylko ci Amerykanie będą o nie dbali – powiedziała – prawdę mówiąc, książkom mogłoby to wyjść na dobre.

– Wobec tego proszę pomyśleć o tragicznej scenie z jakiejś książki. Bo autentycznie je pani czyta, tak? Nie tylko sortuje i kataloguje, i szpetnie ustawia wielkie tomiszcza obok cienkich książeczek? Albo pieści jak cenne przedmioty?

– Przyznaję się do pewnej dozy pieszczot. Ale głównie dotyczy to książek drukowanych przed 1550 rokiem. Ogólnie rzecz biorąc, czytam.

– Proszę więc przypomnieć sobie jakąś smutną scenę. Jeśli to nie poskutkuje, pozostanie nam nadzieja, że rozpłacze się pani z ulgi, że się mnie pozbywa, zdając się na łaskę cioci.

Podejrzewała, że nie poczuje ulgi po jego odjeździe. Te dwie lub trzy godziny, czy ile tam upłynęło im w takim lub innym środku lokomocji, to był jak dotąd najdłuższy czas spędzony przez Olympię w bliskim towarzystwie mężczyzny spoza jej najbliższej rodziny. Nawykła do mężczyzn, ale nie do MĘŻCZYZNY w tym ekstremalnym rozumieniu, jakie sobą reprezentował. Za jego sprawą parę razy mignął jej przed oczami świat dla niej zakazany.

Nie było ucieczki przed nim i tworzoną przezeń atmosferą. Zdominował wnętrze powozu. Pozostawała dojmująco świadoma każdego miejsca, gdzie jej ciało stykało się z jego ciałem. W tak ciasnej przestrzeni nie dało się tego uniknąć. On jednak dotknął również jej umysłu, tego prywatnego miejsca, niszcząc cały porządek, jaki z wielkim mozołem zaprowadziła.

Te rzeczy, które dziś zrobiła, tak zupełnie do niej niepasujące.

Zarazem cały ten dzień był kompletnie nie w jej stylu.

Ripley walczył z mężczyzną, który ją obraził. Co nie przydarzyło się Olympii nigdy dotąd, gdyż mężczyźni nie zauważali jej na tyle, żeby ją obrażać. I z tej ekscytacji, z tego szczęścia, pocałowała go.

Nie spodziewała się, że Ripley odda pocałunek. Nie spodziewała się niczego. Nie myślała rozsądnie. Jeśli w ogóle myślała.

Ale oddał pocałunek. Tyle że bardziej, o wiele bardziej. Pocałował ją w usta.

Samymi tylko wargami dokonał rzeczy, o których nie wiedziała, że są możliwe, na przykład doprowadził do tego, że poczuła ów pocałunek w dwudziestu różnych częściach ciała, a zwłaszcza głęboko w brzuchu.

Ashmont pocałował ją, kiedy powiedziała „tak”, i wówczas uznała pocałunek za całkiem miły. Teraz dotarło do niej, że był przyjacielski. Nie zorientowałaby się, gdyby nie doświadczyła czegoś odmiennego. To, co Ripley zrobił z jej ustami, nie było przyjacielskie. Było czymś całkowicie innym, mocniejszym. O wiele mocniejszym i stanowczo nieprzyzwoitym.

Żałowała, że do tego doszło, ponieważ wiedziała teraz coś, czego nie wiedziała wcześniej. Żałowała też, że pocałunek nie trwał dłużej, ledwie bowiem zaczęła pojmować, w czym rzecz i co powinna robić, już dobiegł końca.

Oczywiste, że sama bliskość Ripleya zdeprawowała jej umysł. Albo to, albo ów umysł uległ uszkodzeniu wskutek przedłużającego się staropanieństwa. Bez względu na powód w tej osobie, którą była w ciągu ostatnich godzin, Olympia z trudem się rozpoznawała.

Wbiła wzrok przed siebie. Zbliżali się do stróżówki.

Tchórzliwa część jej ja pragnęła wyskoczyć z powozu i pobiec w stronę domu. Gdyby uciekła od Ripleya i wytworzonej przezeń parnej atmosfery, może rozjaśniłoby jej się w głowie.

Ale było to równie tchórzliwe, jak głupie. Nie mogła stale uciekać przed trudnościami.

Nie wspominając o tym, że zepsułaby żywy obraz.

Żywy obraz jego autorstwa. Ona, nudna lady Olympia Hightower, zgodziła się odegrać główną rolę w głupawej scence sfabrykowanej przez księcia Ripleya.

Niemniej mimo całego czasu, jaki miała, żeby przygotować się na spotkanie z ciocią, mimo długich rozmyślań, Olympia nie opracowała rozsądnej alternatywy – nierozsądnej zresztą też nie.

– Aha, oto i brama – rzekł Ripley. – Oraz stróż, który nadchodzi, by nam się przyjrzeć. Ufam, że panią zna?

– Tak, tak, oczywiście – odparła.

Obserwowała Fawcetta, gdy zbliżał się do pojazdu.

Ripley opuścił okno.

– Lady Olympia z wizytą do lady Pankridge – zaanonsował.

– Lady Pankridge? – powtórzył stróż.

– Czy to nie jej rezydencja? – spytał Ripley.

– Oczywiście, że jej – powiedziała Olympia. Nachyliła się nad księciem w kierunku stróża. – Znasz mnie, Fawcett. Przyjechałam zobaczyć się z ciocią.

– Tak, milady. To na pewno, że panią znam. Ale nie spodziewałem się dziś pani zobaczyć, milady. – Zerknął na Ripleya i konfuzja na jego twarzy jeszcze się pogłębiła.

Nie trzeba było magicznych mocy, by zrozumieć, co stróż sobie myśli. Wiedział, że Olympia bierze dziś ślub. Cały świat o tym wiedział. Po czym zjawiała się tutaj z dżentelmenem, którego Fawcett z pewnością zidentyfikował jako niebędącego Ashmontem. Wieśniacy na Madagaskarze przypuszczalnie rozpoznaliby każdego z Ich Łajdackich Mości i uciekliby na sam ich widok.

– Zdaję sobie sprawę, że wizyta jest nieoczekiwana – powiedziała Olympia.

– Lady Pankridge z prawdziwą radością powitałaby panią o każdej porze, milady – zapewnił stróż. – Chodzi o to, że nie ma jej w domu.

– Ale przecież była chora – zdziwiła się Olympia.

– Nie wydaje mi się, milady – odparł Fawcett. – W każdym razie wiem tyle, że jej nie ma.

Nie wpadaj w panikę, przykazała sobie Olympia.

– To żaden problem – stwierdziła. – Przejechałam taki szmat drogi. Zaczekam na jej powrót.

– Proszę o wybaczenie, milady – korzył się stróż. – Powinienem był powiedzieć, że pani nie wróci dzisiaj. Ani jutro, ani pojutrze. Myślałem, że lady Pankridge napisała do pani, czemu nie przyjedzie na ślub. – Umilkł na krótko i przeniósł wzrok z niej na Ripleya, po czym znów prędko popatrzył na nią, czerwieniąc się. – Wszystko uzgodniono tygodnie temu, a ja miałem ich oczekiwać. Lorda Clendowera i jego siostry, lady Elspeth znaczy. Przyjechali wczoraj i zabrali lady Pankridge ze sobą do Szkocji. Na lato.

Rozdział 7

Książęta Ashmont i Blackwood oraz chłopiec imieniem Jonesy siedzieli na koniach, wpatrując się w Battersea Bridge.

Wierny zasadom ulicznego gangu, Jonesy nie wyrzekł ani słowa, a jedynie wskazywał kierunek, w którym mieli jechać.

Gdy dotarli do Battersea Bridge, wycelował palec w most, po czym wyciągnął rękę po obiecaną monetę.

Choć ściskał ją teraz w brudnej dłoni, w żaden sposób nie sygnalizował, że chciałby opuścić swoją pozycję na koniu Blackwooda. Gdzie, tak na marginesie, siedział sobie całkiem wygodnie, czego nie dało się powiedzieć o Blackwoodzie, chłopcu bowiem rozpaczliwie przydałaby się kąpiel. Lub ewentualnie skrobanie i szlifowanie, ponieważ brud wyglądał na wiekowy, a towarzyszył mu zdecydowanie dojrzały aromat.

Kiedy przybyli, ulicznicy jak zwykle nadbiegli tłumnie, oferując przytrzymanie koni. Wdali się z Jonesym w żywiołową wymianę obelg, dopóki Ashmont nie zaczął głośno pytać o informacje. Chłopcy momentalnie nic nie wiedzieli i poznikali w swoich kryjówkach.

Inni w okolicy okazali się bardziej pomocni. Sporo osób zauważyło, godzinę lub dwie temu, przybycie potężnego mężczyzny, wyglądającego jak książę Ripley, który towarzyszył rozczochranej kobiecie w białej sukni i okularach, niosącej, jak się zdawało, całe morze koronki i kwiatów.

Widziano, jak para wsiada do jednej z płytkich łodzi, ale nikt nie umiał powiedzieć na temat celu ich podróży niczego więcej niż to, że udawali się „w górę rzeki”. Inni łódkarze donieśli, że tych dwóch, którzy zabrali pannę młodą i jej towarzysza, jeszcze nie wróciło.

– Co, u diaska, zamierza Ripley? – zastanowił się Ashmont. – W górę rzeki? Dokąd ją zabiera?

– Na pewno nigdzie daleko – zawyrokował Blackwood. – Putney? Biały Lew?

– Łodzią? Po co brać łódź na tak krótką podróż? Dorożka zawiozłaby ich do Putney, w dodatku dyskretniej.

– Nie wygląda na to, żeby starali się zmylić pościg – zauważył Blackwood. – Nie grzeszyli niepozornością.

– A co to znaczy? – odezwał się Jonesy.

– Niepozorność oznacza, że nie zauważa się takiej osoby – wyjaśnił Blackwood. – Jak więc myślisz, co to znaczy, że nie grzeszyli niepozornością?

– Że się z dala ich widziało – odparł chłopiec. – Przez tom suknie ślubnom. No i jego.

– Zgadza się.

Blackwood słyszał, jak obdartus kilkakrotnie powtarza pod nosem „niepozorność”.

– Kłopot w tym, że wszystkich tak pochłonęło gapienie się na Olympię, iż nie zwrócili uwagi na cel ich podróży – stwierdził Ashmont.

– Wydawałoby się, że Ripley zostawi nam wskazówkę – powiedział Blackwood.

– Jeśli zostawił, niech mnie diabli, bo nie potrafię jej odszyfrować. W każdym razie jeśli usiłuje dowieść, że jest ode mnie bystrzejszy, niech lepiej ponownie to przemyśli.

– Wątpię, czy myślał za pierwszym razem.

– Będziemy musieli ruszyć za nimi łodzią, niech go szlag.

– I dobijać do każdej przystani po drodze, żeby ustalić, czy tam nie wysiedli? – zapytał Blackwood.

– Słusznie. Pęknie ze śmiechu, wyobrażając sobie nas na wodzie.

– Moglibyśmy zatrzymać się Pod Łabędziem – zaproponował Blackwood, ruchem głowy wskazując gospodę na nabrzeżu. – I poczekać na powrót łódkarzy. Zatrudnilibyśmy Jonesy’ego, żeby ich wypatrywał. Przy okazji powęszyłby w okolicy. Chyba że ma inne palące zobowiązania. Co, Jonesy?

– Nie wim – odparł Jonesy.

– Wiesz, co to jest palące zobowiązanie? – dociekał Blackwood.

Jonesy przytaknął.

– Jak kiedy stary Truller się nie pokazoł, bo mioł palonce zobowionzanie na winźniarce.

Dzięki temu, że spędzili sporo czasu w podłych miejscach, książęta orientowali się, że więźniarką określa się statek używany do przewozu skazańców do Zatoki Botanicznej, Pine Island i innych dalekich krajów.

– Czy kolejna korona wyczyściłaby twój napięty harmonogram? – zapytał Blackwood.

– No chyba – odparł Jonesy.

Z zadziwiającą zręcznością zeskoczył z konia, poklepał go czule i odszedł.

***

Twickenham

Ripley i lady Olympia popatrzyli na siebie.

– Powinnam była się domyślić – stwierdziła. – Ciocia Delia nie była chora, lecz po prostu nieskłonna jechać do Londynu, gdzie irytowałaby ją moja rodzina, skoro otrzymała lepszą propozycję od lorda Clendowera i jego siostry. Idę o zakład, że oświadczy się jej po raz kolejny i ona tym razem go przyjmie. Bawi ją, no i ciocia lubi jego siostrę… i przyznaję, że oni dwoje są lepszą rozrywką niż jakiś nudny ślub.

– Pani nie był nudny, jak się okazuje – zauważył Ripley.

Prawdę mówiąc, dawno nie spędził tak mało nudnego dnia. Zastanowił się, czy sam bawi lady Olympię i czy polubiłaby jego siostrę, gdyby poznała ją bliżej.

– Szkoda, że ominęły ją te ekscytujące wydarzenia – przyznała Olympia. – A tymczasem to by było na tyle w kwestii naszego genialnego planu.

– Proszę dać mi chwilę. Coś wykoncypuję.

– Wcale nie jestem pewna, czy to dobre rozwiązanie. Czy to nie pan wpadł na ów błyskotliwy pomysł, by zamieszczać fałszywe ogłoszenia w imieniu innych osób? W rezultacie, jeśli dobrze pamiętam, siedemdziesięciu pięciu dudziarzy najechało dom lorda Eddinghama o północy. Przy innej okazji do rezydencji lorda Adderleya dostarczono dziesięć wozów nieświeżych ryb. A jeszcze innym razem sto dwadzieścia pięć rudowłosych osób stawiło się o świcie u lady Igby.

– To był wysiłek zespołowy.

– Zdumiewa mnie, że nikt nie odpłaca panom pięknym za nadobne.

– Brak wyobraźni. Widzę, że na bieżąco śledzi pani nasze dokonania.

– Trzeba by być głuchym, ślepym i głupim, żeby o nich nie wiedzieć. Odkąd zadebiutowałam w towarzystwie, a nie wątpię, że i wcześniej, wasza

trójka nieustannie robi z siebie widowisko.

Umilkła i spojrzała przez okno na psa.

Ripley podążył za jej wzrokiem.

Katon tymczasem wstał, żeby zbadać otoczenie. Stróż, jak odnotował Ripley, cofnął się na bezpieczną odległość od zwierzęcia.

– A jednak uratował pan psa – powiedziała.

– Miałem wybór? Będąc rycerzem w lśniącej zbroi i tak dalej.

Przygryzła wargę.

Wargę, której posmakował. I która smakowała dobrze.

Nie było sensu choć minimalnie rozwijać tej myśli.

– Wyznam, że perspektywa spłatania figla Ashmontowi ma swój urok – powiedziała. – Aczkolwiek zdecydowanie wolałabym spłatać go całej waszej trójce. Żebyście zakosztowali, jak to jest.

– To początek drogi. Z czasem osiągnie pani ten etap. Proszę zacząć od małego kroku, z jednym z nas. Potem rozwinie pani skrzydła. W tej chwili ważne jest, by dostarczyć panią do jakiegoś szacownego domostwa przed nastaniem nocy. – I nie dawać mężczyznom z jej rodziny powodu do wyzwania kogokolwiek na pojedynek. – Nie może pani zostać tutaj czy gdziekolwiek indziej sama, to pewne. Ma pani jakieś inne ciocie?

– Wszystkie pozostałe przybyły na ślub, podobnie jak cioteczne i stryjeczne babki i tak dalej. Wszyscy się zjawili. Z wyjątkiem cioci Delii.

– I Alice – uzupełnił.

Odwróciła się od okna, żeby nań spojrzeć.

– Jak doniósł mi Blackwood, moja siostra poczuła się w obowiązku udać się do naszej posiadłości pod Guildfordem – wyjaśnił. – Coś w związku z ciocią Julią i jednym z jej napadów… choć nie bardzo wiem, co to znaczy, a Blackwood wydawał się równie niezorientowany. W każdym razie to jakieś dwadzieścia mil stąd.

– Dwadzieścia mil!

– Nie tak daleko. Kilka godzin. Jadąc w dobrym tempie, dotrzemy tam przed nocą. Co ważniejsze, Alice tam jest, a cokolwiek by mówić o jej małżonku, ona uchodzi za szacowną matronę. Nie będzie absolutnie nic niestosownego… przynajmniej według głupich wyobrażeń naszego otoczenia na temat niestosowności… w tym, że pani się u niej zatrzyma.

– Pańska siostra – powiedziała. – Nie wiem, czy to dobre rozwiązanie.

– Zna ją pani.

– Wszyscy ją znają. Zupełnie inną kwestią jest, czy ona zna mnie.

– Wszyscy panią znają.

Bez problemu dopasował twarz i ciało do imienia narzeczonej Ashmonta. Zaświtało mu, że nie mógłby powiedzieć tego samego o większości młodych dam, z przyjaciółkami Alice włącznie. Bo też żadna z nich nie była ani trochę intrygująca. Nie kryły się między przyzwoitkami, starszymi paniami i nudziarami w dowolnym wieku. Ponadto żadna nie nosiła się tak jak ona. Ta sugestia zniecierpliwienia w jej chodzie, niczym rzucone wyzwanie.

– Słynę z zanudzania ludzi na śmierć, wiem – stwierdziła. – To nie całkiem to samo, co być należycie zaznajomioną z kimś, komu proponuje mnie pan wepchnąć.

– Kiedy Alice się dowie, że uciekła pani od Ashmonta, powita panią z otwartymi ramionami – zapewnił. – Mam nadzieję, że jej ewentualne nienarodzone potomstwo nie ucierpi, gdy Alice padnie ze śmiechu na widok pani ślubnych zwłok.

Kazał Katonowi leżeć i poinstruował forysia, jak dojechać do Camberley Place.

***

Nie było innego rozwiązania.

Olympia potrzebowała schronienia, a księżna Blackwood najwyraźniej ofiarowała jedyne w rozsądnej odległości.

Jej Książęca Wysokość nie była dla niej osobą całkiem obcą, ale prawie.

Nie obracały się w tych samych kręgach towarzyskich. Zacznijmy od tego, że dama przez kilka lat mieszkała wraz z matką za granicą. Ponadto, choć elegancki świat był mały i blisko spokrewniony, funkcjonowały w nim różne grupy i podgrupy. Podgrupa, do której należała lady Alice Ancaster, obejmowała najbardziej pożądane dziewczęta, Olympia zaś bardzo wcześnie odkryła, że przypisano ją do przeciwnej kategorii.

W towarzystwie znalazłoby się całkiem sporo ładnych dziewcząt, lecz nie wszystkie ładne dziewczęta cieszyły się popularnością. Olympia nadal nie ustaliła, jakie trzeba mieć kwalifikacje. Z jej doświadczenia wynikało, że z wieloma cieszącymi się powodzeniem dziewczętami nie sposób interesująco porozmawiać, a niekiedy nie są nawet miłe. Chociaż lubiła

plotki nie mniej niż inni, lubiła także inne tematy. Tymczasem modne dziewczęta uznawały wyłącznie dwa: plotki i siebie. I na nic zdawały się próby Olympii poruszenia innych zagadnień. Żadnej z pozostałych dziewcząt nie interesowało nic z tego, co miała do powiedzenia.

Podobnie jak dżentelmenów.

Po pierwszym sezonie Olympię znosiło coraz dalej i dalej, ku grupkom starszych dam i dżentelmenów, intelektualistów i osób z innych przyczyn niepopularnych.

Niemniej lady Alice nigdy nie potraktowała jej nieprzyjemnie, jak niektóre dziewczęta. Nie wchodziła w skład grupki kuzynki Edwiny, głosami której Olympię regularnie obierano Najnudniejszą Dziewczyną Sezonu. Olympia zamieniła z siostrą Ripleya może dwa słowa. Wiedziała na temat tej damy znacznie, znacznie mniej aniżeli na temat jej niesławnego brata.

Aczkolwiek lady Alice zadziwiła nawet lepiej poinformowane osoby, kiedy poślubiła księcia Blackwooda.

– Nie wiedziałam, że ma pan posiadłość w okolicach Guildfordu – odezwała się Olympia.

– Była własnością mojego stryja Charlesa. Alice, ja i nasi przyjaciele spędzaliśmy tam w dzieciństwie mnóstwo czasu. Zostawił ją mnie, ale dożywotnio należy do cioci Julii. Rozpadający się stary dom, rozpaczliwie domagający się remontu, niemniej w tej kwestii należy manewrować bardzo ostrożnie.

Podniosła nań wzrok.

– Usiłuję wyobrazić sobie pana manewrującego ostrożnie. Bez skutku.

Roześmiał się.

– Prawdę mówiąc, ubóstwiam moją zbzikowaną ciocię.

– Jak bardzo zbzikowaną? – zainteresowała się. – Czy w gorszych chwilach podpala poduszki?

Wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

Wiedziała, że jest mężczyzną łatwym w obejściu – swoboda moralna, skłonność do śmiechu. Mimo to zareagowała na ten szeroki uśmiech, jakby otrzymała dar. Przy nim czuła się tak, jakby czegoś dokonała, podczas gdy jedynie powtórzyła to, co sam powiedział kilka godzin wcześniej. Tego rodzaju prosty żart mogłaby wymienić z braćmi, ale to nie było to samo. Tę sytuację odbierała jako bardziej intymną.

To tylko urok osobisty, powiedziała sobie.

Pomimo tytułów i bogactwa, jego i pozostałych dwóch z tria Ich Łajdackich Mości wyrzucono by z eleganckiego świata wieki temu, gdyby nie oczarowali tak wielu kobiet i nie pozyskali sobie tak wielu mężczyzn. Nawet Jego Królewska Mość, choć żeglarz o typowym dla wilków morskich szorstkim sposobie bycia, nie tak prędko znalazł się u kresu wytrzymałości. Bez wątpienia dlatego, że go rozśmieszali.

– Jak bardzo zbzikowana? – powtórzyła pytanie. – Trzyma małpy? Ponieważ przy małpach mówię „dość”.

– Żadnych małp. Żadnych kotów, gdyż jest miłośniczką ptaków. A od śmierci ostatniego psa nie chciała brać kolejnego.

– Ojej. – Popatrzyła przez przednią szybę na Katona, który siedział z otwartym pyskiem i wywieszonym jęzorem, chłonąc mijany krajobraz i jego wonie.

– Lubi psy – uspokoił ją Ripley. – Po prostu mocno przeżywa, kiedy odchodzą. Proszę się nie martwić. Ona i moja siostra powitają Katona z otwartymi ramionami.

– Jeśli wszystko jest w porządku. Skoro pańska siostra nie przybyła na ślub z powodu cioci, wnioskuję, że niekoniecznie jest.

– To nie powstrzyma nikogo przed serdecznym powitaniem Katona. Dorodny, dobrze wychowany pies. Nie najprzystojniejszy, ale dostatecznie miły dla oka i inteligentny. Gdyby chodziło o jednego z tych wrednych, wiecznie ujadających pieseczków, odciągnąłbym panią, siłą w razie konieczności, i pozostawił go własnemu losowi.

– Z mojego doświadczenia wynika, że stają się wrednymi, wiecznie ujadającymi pieseczkami, ponieważ psują je właściciele. Nic wszakże nie usprawiedliwia bicia zwierzęcia. Przeżyłby pan interesujące chwile, próbując mnie odciągnąć, tyle mogę panu obiecać.

– Och, wiem, że tak by było. Dostaję rozkosznych dreszczy, gdy kontempluję tę perspektywę.

Nikt nie dostawał rozkosznych dreszczy z powodu Olympii, jej zaś na pewno nie posłuży, jeśli dostanie rozkosznych dreszczy na myśl o tym, że takie u niego wywołała.

Spędziła z nim zbyt wiele czasu, na tym polegał kłopot. Więcej czasu, niż kiedykolwiek spędziła z mężczyzną spoza grona jej krewnych. Infekował

jej umysł, ogłupiał ją, rozbudzał w niej nadzieje i ożywiał dawne życzenia i marzenia.

Pora zacząć nudzić.

– Wie pan, co mnie przyprawia o rozkoszne dreszcze? – zapytała.

– Proszę pozwolić mi zgadnąć. – Zamknął oczy.

– Mocno wątpię…

– *Æesopi Fabulae*, z biblioteki Maioli – powiedział.

Odnotowała, że rozdziawił usta, szybko jednak się roześmiał.

– Stryj Charles namiętnie kolekcjonował książki – wyjaśnił. – Nauczyłem się tego i owego.

– Miał *Æesopi Fabulae*?

– Z biblioteki Maioli. Zwróciłem na tę książkę uwagę, rozumie pani, bo to przecież *Bajki Ezopa*, o wiele bardziej urzekające dla małego chłopca, jak może pani sobie wyobrazić, niż biblie i kodeksy.

– Z wielką chęcią bym je zobaczyła. Papa sprzedał nasze… a przynajmniej sądzę, że to była ta książka. Nie katalogował ich należycie… czy raczej wcale… a dokumenty mojego dziadka nie są tak uporządkowane, jak bym sobie życzyła. Poczyniłabym znacznie większe postępy w katalogowaniu, gdybyśmy nie wyjeżdżali do Londynu na każdy sezon. Nadzieja w sercu rodzica nigdy nie umiera, rozumie pan. A papie niezbyt wychodzi szacowanie szans. W przeciwnym razie nie musiałby sprzedawać *Ezopa* ani żadnej innej cennej książki.

– Nie zawsze są warte tyle, ile można by oczekiwać. Mój stryj nabył kilka dawnych dzieł za niewiele więcej, niż człowiek wydaje przez pół roku na „Bibliotekę Romansu”.

– Ten człowiek, o którym pan wspomina. Mówi pan ogólnie, nie konkretnie. Innymi słowy, pan nie kupuje romansów.

– Ależ kupuję. Co miesiąc.

– Dla siostry.

– Czemuż miałbym to robić? Może sama kupować sobie książki. A teraz do ich zakupu może nakłonić Blackwooda. Poza tym nie czytamy tego samego. Ona woli eseje i inne nadwerężające mózg dzieła. W ostatnim liście wspominała *Anglię i Anglików* Bulwera. Zrobiłem się senny, przeczytawszy zaledwie tytuł i nazwisko autora.

– A nie usypiają pana…?

– *Schinderhannes, reński rozbójnik*[1]. Drugi tom ukaże się pierwszego sierpnia. *Bug-Jargal* Wiktora Hugo. Tom szósty, także pierwszego sierpnia. Kapitalne historie. Nie mogę się doczekać. Księgarze wysyłali mi je, kiedy bawiłem za granicą, wraz z listami nadchodzących publikacji. Smith, Elder & Co., Cornhill, jeśli kiedykolwiek odrywa się pani od Gutenbergów i innych takich.

– Rozumiem sensacyjny urok niektórych z tych książek.

– Doprawdy?

– Oczywiście. To wspaniała sprawa, kiedy opowieść kogoś porywa.

– Zgadzam się.

– Ale czy część z nich nie wydaje się panu do przesady sentymentalna lub ckliwa?

– Tak, lecz ogromnie podziwiam pisarza, który posiadł umiejętność napełniania łzami tych znudzonych oczu, nawet kiedy wiem, że powinienem się śmiać.

Umysł Olympii zmagał się z konceptem księcia Ripleya jako amatora romansów.

– No cóż – powiedziała – jest to interesujący aspekt pańskiej osobowości.

– Mam wiele interesujących aspektów. W rzeczy samej, jestem fascynującym jegomościem.

Okazywał się bardziej fascynujący, niż było to dla niej wskazane.

– Przypuszczam, że musi tak być, inaczej nie uchodziłoby panu płazem tak wiele przez tak długi czas – stwierdziła.

– Świetnie prosperujące książęce włości też się przydają. Oraz talent do finansów, jeśli nie do intelektualnych uniesień.

– Zawsze myślałam – powiedziała wolno – że nie zaszkodziłoby, gdyby papa miał talent do finansów. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że jest czułym mężem i dobrym, kochającym ojcem. Są w życiu gorsze rzeczy, o wiele gorsze rodziny.

– Ano są – przyznał.

Wychwyciła sugestię czegoś – zmiany nastroju, jakiejś emocji? Lub może chodziło tylko o przerwę, bo kontynuował:

– Niemniej pani prace biblioteczne nadal mnie intrygują. Wspomniała pani o sprzedanych książkach, lecz mimo to ciągle ma pani mnóstwo do zrobienia. – Oparł się wygodnie i wyciągnął przed siebie długie nogi. – Dlaczego podejrzewam, że kryje się za tym ekscytująca opowieść?

– Dla mnie tak. Niekiedy wręcz zbyt ekscytująca. – Tyle razy o włos od katastrofy. – Czy dla pana, to zupełnie inna sprawa.

– Noszę w sobie niezmierzone głębie. Z pewnością już to sobie pani uświadomiła. W trakcie naszej krótkiej znajomości niejeden raz panią zadziwiłem. Chcę posłuchać o tych książkach.

– Żeby łatwiej zasnąć?

Wzruszył ramionami.

– Czy to ma znaczenie? Przed nami parę godzin, które trzeba jakoś spędzić.

***

Pietnaście mil później

Ashmont doprawdy będzie miał pełne ręce roboty.

Lady Olympia Hightower była molem książkowym, to nie ulegało wątpliwości. Całkowicie jednak odbiegała od wyobrażeń Ripleya na temat tego typu osób. To prawda, że wydawała się znać na pamięć większość istotnych transakcji sprzedaży książek z minionych dwóch dekad oraz miała tendencję do zapominania o publiczności i przerzucania się na żargon bibliofilski. Ale w jej przypadku nie chodziło po prostu o kolekcjonowanie. Jej związek z książkami opierał się na pasji. A rezultatem tej pasji była…

– Perfidia – oznajmił. – Jest pani perfidną córką, manipulantką.

– Niektórych trzeba ocalić przed nimi samymi. Papa ma naprawdę dobre serce. Nie zamierza niszczyć swego cennego dziedzictwa.

To jej pradziadek ze strony ojca zakupił większą część kolekcji. Obecny hrabia Gonerby wiedział o oprawie Groliera mniej więcej tak dużo, jak ten tu pies. Zanim lady Olympia dorosła na tyle, by pojąć, jak wartościowy jest rodzinny księgozbiór, kilka cennych egzemplarzy poszło za kwoty, jakie okazjonalnie płacił stryj Charles.

– Większą perfidią byłoby go wyedukować – stwierdziła. – Błyskawicznie zdziesiątkowałby księgozbiór. Nie zachodziłby tam jedynie wtedy, gdy potrzebuje na szybko gotówki. To byłaby rzeź.

Inaczej niż w przypadku tylu innych długów, długi honorowe – czyli głównie związane z hazardem – należało spłacać bez zwłoki. Biblioteka stanowiła dla Gonerby’ego sposób na błyskawiczne zdobycie gotówki.

– Dzięki temu, że nie interesuje się książkami i brakuje mu wiedzy na ich temat, ocaliłam wiele ważnych dzieł – wyjaśniła. – Na przykład Biblię Mazarina, wydrukowaną przez Gutenberga i Fusta około 1450 roku… pierwsze wydawnictwo wykonane z wykorzystaniem czcionki ruchomej!

Głos drżał jej z ekscytacji. Bijący z jej twarzy blask niemal oślepiał.

– Ashmont kupi ją dla pani – rzekł.

I w nagrodę otrzyma, bez wątpienia, wyśmienite igraszki w łóżku lub gdzie indziej.

Albo Ripley mógłby nabyć dzieło na prezent ślubny, ona zaś spojrzałaby nań pożądliwie tymi niebiesko-zielono-szarymi oczami, Ashmont zaś choć raz byłby o niego zazdrosny.

Wyszłoby to czarującemu Luciusowi jedynie na dobre.

– Nie dostanie jej za mniej niż dwa tysiące funtów, jeśli będę miała w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia – oznajmiła. – Lord Mends oddałby za nią niezbędny do życia organ.

– Który, tak się zastanawiam? Jeśli myślę o właściwym jegomościu… starszawy, gruszkowatej budowy, pedantyczny, nosi peruki. To on?

– Tak.

– Nie najświeższe organy, śmiem twierdzić.

Minimalnie zsunęła okulary. Sponad nich popatrzyła na Ripleya w sposób, który przywiódł mu na myśl jego dawnego tutora.

– Rozkosznie pani wygląda, kiedy tak patrzy – powiedział. – Proszę koniecznie wykorzystać tę sztuczkę przy Ashmoncie. Będzie jadł pani z ręki.

Poprawiła okulary i odwróciła wzrok.

– Wprost tryska pan małżeńskimi poradami – skomentowała.

– Sytuacja mnie inspiruje.

Sapnęła cicho, co także uznał za czarujące.

– Ważne jest to, że mój ojciec nie ma pojęcia o rzadkich książkach – powiedziała. – Po prostu chwyta pierwszy imponujący tom, jaki mu się nawinie. Bogaty w złocenia, na przykład. Mamy takich całkiem sporo. Kosztowne książki, ale nie rzadkie. Na przykład wydrukowano zbyt wiele egzemplarzy. Tego typu kwestie. Kiedy uda mi się takie tanio dostać, kupuję je i stawiam na półce na wysokości jego wzroku.

Wyobraził ją sobie, jak po kryjomu umieszcza ozdobnie oprawione książki na półkach. Rozkoszny obrazek. Roześmiał się.

– Tak, jestem kłamczuchą i oszukuję własnego ojca. Wyłącznie pan mógł to uznać za godne podziwu.

– Ashmontowi także się spodoba – zapewnił. – Zdaję sobie sprawę, że zgodziła się pani za niego wyjść z powodów merkantylnych. Przy silnej zachęcie ze strony rodziny. – Jeśli dodać do tego potajemne manipulacje lorda Fredericka, jakie miała szanse? – Tak czy owak, on w głębi serca nie jest złym facetem, nietrudno też nim pokierować, kiedy zna się jego dziwactwa.

– Dzisiejsze wydarzenia nie są niczyją winą. Nikt mnie nie zmuszał, żebym się zgodziła. Nikt nie zamknął mnie w lochu o suchym chlebie i wodzie. Po prostu… reagowali z przesadnym entuzjazmem. Krótko mówiąc, wiedziałam, co robię. – Ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na swoje dłonie, splecione schludnie na podołku. – Albo raczej tak mi się wydawało.

– Szkopuł w tym, że małżeństwo z jakimś potulnym typem odpowiadałoby pani nie bardziej niż mojej siostrze. A skoro mowa o Alice, chyba jednak dotrzemy na miejsce przed zachodem słońca. Mamy zaskakująco dobry czas pomimo…

Urwał, kiedy koń po prawej stanął dęba, jakby zamierzał wzlecieć między pobliskie drzewa. Powozikiem potężnie szarpnęło, ciskając lady Olympię do przodu. Ripley złapał ją, nim uderzyła głową o przednią szybę, i pociągnął w tył.

– Niech szlag trafi tego typa, jak mógł dopuścić… do diabła! Teraz pies uciekł.

***

Olympia patrzyła na niego, toteż jedynie kątem oka dostrzegła, jak konia po prawej coś płoszy. Doprowadziło to do małego trzęsienia ziemi, przez co wyleciała z siedzenia – i praktycznie w tej samej chwili Ripley pociągnął ją z powrotem, po części na swoje kolana. Ześlizgnęła się z nich spiesznie, przesuwając się na swoje miejsce.

Nie umiała stwierdzić, co się dzieje, poza tym że foryś siłował się z końmi, chcąc przywołać je do porządku, a powozik zwalniał.

– Co to było? – zapytała.

– Nie widziałem – odparł Ripley. – Ptak. Wiewiórka. Królik. A ten przeklęty pies za tym pobiegł. Katon!

Popatrzyła na bagażnik. Pusty.

Spojrzawszy w lewo, przez przerwę w niskim żywopłocie, zobaczyła, jak pies pruje polem. Ponad rozsianymi tu i ówdzie kępami drzew bez ustanku przesuwały się kopce szarych chmur.

Zanim jeszcze powóz całkiem się zatrzymał, Ripley otworzył drzwi. Wysiadł z pojazdu i przeszedł na skraj drogi.

– Katon! – zawołał.

Pochłonięty pościgiem pies biegł dalej.

Olympia wyjrzała z powoziku.

– On nie zna swojego imienia – zauważyła.

– Prędzej szlag mnie trafi, nim zawołam na niego Sam. – Ripley wsunął palce w usta i gwizdnął przeszywająco.

Pies nadal biegł, coraz mniejszy i mniejszy, gdy mknął przez pole ku zagajnikowi w oddali. Poszybował nad ogrodzeniem.

– Tylko jedno mu w głowie – podsumował Ripley. – Zaczeka pani tutaj.

Ruszył przez pole.

Olympia zeskoczyła na drogę.

– Nie zamierzam czekać – oznajmiła. – To mój pies i ja za niego odpowiadam.

– Dziesięć minut – odparł, idąc żwawym krokiem. – Ani myślę ścigać go godzinami. Daję mu dziesięć minut, żeby się opamiętał. Później wracam do powozu i jedziemy dalej. – Obejrzał się. – Foryś coś tam majstruje przy lejcach, ale koniom chyba nic nie jest i wygląda na to, że nic się nie złamało. Dziesięć minut. Ani chwili dłużej. Potem Katon może iść do diabła.

Skinęła głową. Nienawidziła myśli, że pies pobiegł radośnie za zwierzyną, a później przyjdzie mu wędrować nocą przez nieznane okolice, gdzie mogą go dopaść podli ludzie pokroju Bullarda. Jeśli wszakże Katon uciekł, no to trudno. Musieli dotrzeć do Camberley Place przed nocą.

Ripley maszerował dalej.

– Szatański pies. Widziała pani, jak skoczył?

– Na pół się spodziewałam, że wyrosną mu skrzydła.

– Tam jest, i czymkolwiek jest, na pewno ma w sobie coś z greyhounda.

Olympia popatrzyła tam, gdzie pokazywał. Pies nie ustawał w pościgu, lecz teraz znalazł się nieco bliżej. Za jakimkolwiek stworzeniem gonił, ono świetnie sobie radziło z umykaniem drapieżnikom. Katon był zadziwiająco szybki. Gdyby jego ofiara biegła w prostej linii, pochwyciłby ją, ta jednak kluczyła.

Ripley gwizdnął ponownie. Pies go zignorował.

– Za dobrze się bawi – stwierdziła Olympia.

– Musimy zakłócić jego koncentrację – zawyrokował Ripley. Ruszył głębiej w pole. – Pani pójdzie tędy. – Wskazał w lewo. – Proszę robić dużo hałasu i wymachiwać rękami. Niech pani spróbuje przyciągnąć jego uwagę. Ja pójdę w drugą stronę. Przy odrobinie szczęścia znajdzie się między nami i to z nami będzie chciał się bawić.

Mówiąc, szedł szybkim krokiem, i Olympia także przyspieszyła, żeby dotrzymać mu tempa.

– Katon! – zawołała. – Pora na obiad!

– Dopiero co zjadł obiad! – odkrzyknął Ripley.

Kiedy zatrzymali się dwie mile wcześniej, żeby wymienić konie i forysia, Ripley nakarmił psa, twierdząc, że wygląda na wygłodniałego.

Jakby psy wiecznie nie sprawiały wrażenia wygłodniałych.

– To pies – odparła. – Nie będzie pamiętał.

– Obiad! – krzyknął Ripley. – Króliki! Pyszne króliki!

– Wiewiórki! – zawołała. – Lisy!

– Borsuki! Łasice! Wołowina, gruba i krwista, dokładnie jak lubisz!

Nawoływali dalej, a pies dalej biegł, zygzakiem i zataczając koła, to się do nich zbliżając, to znów niknąc w oddali.

Olympia wsunęła palce do ust i gwizdnęła. Pies zatrzymał się i spojrzał w jej kierunku.

Usłyszała krzyk Ripleya i odwróciła się akurat w porę, by zobaczyć, jak upada twarzą ku ziemi.

***

Tawerna Pod Łabędziem przy Battersea Bridge, gdzie ciągle ktoś wchodził i wychodził, okazała się mądrym wyborem, gdy czekało się na informacje. Uwzględniwszy rozmaite opóźnienia, książęta oszacowali, że zwierzyna ma nad nimi jakieś dwie godziny przewagi. I tyle wystarczyło,

by wieści o dokonaniach księcia Ripleya w Białym Lwie w Putney dotarły do nich za pośrednictwem łódkarzy i innych osób.

Kiedy wszakże mieli wyruszać, młody Jonesy gdzieś przepadł. Próby wytropienia go opóźniły ich odjazd.

Ulicznicy są użyteczni, a bystrzy ulicznicy, tacy jak Jonesy, potrafią zaoszczędzić księciu nudnego przepytywania ludzi, dzięki czemu może on spędzić miło czas w tawernie na popijaniu.

Ale Jonesy zniknął i, jak zwykle, nikt nic nie wiedział, toteż Blackwood i Ashmont wyruszyli do Białego Lwa w Putney sami.

Tam usłyszeli sporo. W Putney huczało od ostatnich wydarzeń, a miejscowi nie mogli się doczekać, by przedstawić swoje wersje.

Okazali się natomiast mniej pomocni w temacie celu podróży Ripleya.

– Niech ich diabli! Nikt nie patrzył, w którym kierunku odjechali? – zapytał Ashmont, podczas gdy właściciel gospody i jego żona debatowali, czy powozik zmierzał do Londynu, do Twickenham, czy jeszcze gdzie indziej.

– No, jest sprytny, jak Waszym Książęcym Wysokościom wiadomo, i byłoby w stylu Jego Książęcej Wysokości, nieprawdaż, udać, że jedzie w jednym kierunku, kiedy tak naprawdę obrał inny – powiedział właściciel gospody.

– Mówił o Twickenham – sprzeciwiła się jego żona. – To tylko trochę w bok od trasy do Londynu, gdyby tam wracał. Dlaczego nie podałby Doncaster albo Brighton, gdyby chciał, żeby szukali wiatru w polu?

– Ciekawe, czy Twickenham to wskazówka – rozważał Blackwood. – Jeśli nie, nie przychodzi mi do głowy…

– Jak, u diaska, cokolwiek ma przyjść człowiekowi do głowy, kiedy umiera z głodu i pragnienia? – przerwał mu Ashmont. – Powinniśmy byli zjeść wcześniej, w Chelsea, zamiast szukać tego przeklętego chłopaka.

– Pewnie nękał go jakiś lokalny stróż prawa i chłopak uciekł – stwierdził Blackwood. – Albo znalazł innego gołąbka do oskubania. Ile w sumie mu daliśmy, tak się zastanawiam? Może poszedł kupić folbluta, żeby ścigać się na torze Goodwood.

– Do diabła z tym małym niewdzięcznikiem – zawyrokował Ashmont, po czym zwrócił się do właściciela gospody: – Prosimy o Słońce albo Gwiazdę, albo inny salonik, gdzie moglibyśmy usiąść, nienękani przez prostaków, no i coś do jedzenia i picia. Jak najszybciej… na wypadek

gdyby ktoś miał w najbliższych dniach cokolwiek inteligentnego do powiedzenia na temat tego nikczemnego, kradnącego narzeczone, uważającego się za och, jakże bystrego, tak zwanego przyjaciela.

Przeszli do prywatnego saloniku o nazwie Słońce, gdzie zaspokoili głód i pragnienie, aczkolwiek nie ukoili frustracji Ashmonta.

– Sądzisz, że pojechał z powrotem do Londynu? – zapytał Ashmont, kiedy napełniono mu kufel po raz trzeci.

– Tak – odparł Blackwood. – W każdym razie ja bym tak zrobił. Zabrałbym ją z miasta na chwilę, dając wszystkim czas, by urządzili wrzawę, a potem zatoczył koło i przemycił ją do domu.

– Też bym tak zrobił – zgodził się Ashmont, po czym zmarszczył brwi. – Nie rozumiem, dlaczego z nim poszła.

– Nie wiem – przyznał Blackwood. – Nie wydaje się tego rodzaju… to znaczy, takiej zagrywki oczekiwałbym po Alice, prawdę mówiąc. I zresztą oczekiwałem. Aż do chwili, kiedy pastor ogłosił nas mężem i żoną, szykowałem się, że lada moment się dowiem, że to wszystko żart, albo usłyszę, jak ona zgłasza sprzeciw… wiesz, kiedy pastor pyta, czy ktoś zna powód, dla którego nie można was zakuć w kajdany. No i stałem tam, czekając, aż ona powie: „Ja znam dobry powód. On jest idiotą. Czy tyle wystarczy?” Tak, jak to tylko ona potrafi. A potem… Ale nie powiedziała. – Wzruszył ramionami.

Po chwili Ashmont rzekł:

– Myślę, że Olympia uciekła.

– No, czemu nie? – mruknął Blackwood.

– Nie wiem. Ale to piekielnie wkurzające.

– Żaden z nas rewelacyjny materiał na mężów.

– Tak właśnie mówił stryj Fred. I w zasadzie miał rację, niech go szlag. Dopiero biblioteka przemówiła na moją korzyść. I nawet wtedy piekielnie dużo się nagadałem.

– No tak.

Ashmont z hukiem odstawił kufel na stół, rozchlapując piwo.

– Ale Ripley się nie nagadał. Nie odwalił całej tej roboty. A teraz… – Zastanowił się. – Nie, czekaj. Kazałem mu pilnować spraw. Jeśli faktycznie uciekła, i to nie był jego żart, w takim razie się nią opiekuje. Lepiej, żeby się opiekował. Bo to ta jedyna. Znalazłem ją.

– Nie jest tak, że nie tkwiła na widoku od ładnych paru lat.

– Ale myśmy jej nie widzieli. W każdym razie ja. Ale potem zobaczyłem. I zalecałem się. Zatem to ja ją dostaję. Nie Ripley. Jeśli uciekła… – Ashmont zacisnął szczęki. – Wtedy muszę po prostu naprawić, cokolwiek wymaga naprawy i… i przekonać ją.

– Uda ci się – zapewnił go Blackwood.

– Najpierw muszę ją znaleźć. Co myślisz? Londyn?

– Tak, myślę, że Londyn. Prawdopodobnie Gonerby House.

– Czyli nie dom weselny? – upewnił się Ashmont. – Ale nie, raczej nie. Cholerna szkoda, że padło na Kensington. Z Gonerby House nie uciekłaby tak łatwo. Może należało zaczekać na koniec remontu.

– Czekałbyś rok, jeśli nie dwa. Ponieważ gwarantuję ci, że zajmie im to co najmniej dwanaście miesięcy.

Ashmont pokręcił głową.

– Nie, czemu czekać? Znalazłem ją. Zalecałem się do niej. Powiedziała „tak”. Jaki sens… Co znowu?

Do saloniku weszła żona właściciela gospody.

– To Twickenham, Wasze Książęce Wysokości. Wrócił foryś i mówi, że robili zmianę w Twickenham. I jechali dalej do Guildfordu.

Ashmont popatrzył na Blackwooda.

– Ki diabeł?

– Guildford – powtórzył tępo Blackwood. A potem: – Zabiera ją do Camberley Place. Do Alice. – Roześmiał się. – Zapowiada się interesująco.

Ashmont zerwał się z krzesła.

– Niech go szlag! Teraz muszę ścigać tego matoła do Guildfordu.

– Tak, i wyrwać lady Olympię z łap mojej żony i jej ciotki. Och, ależ to będzie zabawa.

Jednak Ashmont już wypadł na zewnątrz, wołając o swojego konia.

Parę chwil później, kiedy właśnie miał wskoczyć na siodło, z dziedzińca gospody wybiegł mężczyzna o czerwonej twarzy, wrzeszcząc coś o skradzionym psie.

Ashmonta nie obchodził pies ani w ogóle nic, co typ miał do powiedzenia na temat księcia Ripleya. Humor mu nie dopisywał, chciał już ruszać w drogę. Ale mężczyzna wygłosił nieprzyjemną uwagę na temat towarzyszącej Ripleyowi damy.

Wynikło z tego kolejne opóźnienie, gdyż Ashmont próbował zabić łajdaka.

Rozdział 8

Ripley zobaczył gwiazdy, a potem, kiedy otworzył oczy, błoto.

Spróbował wstać i ból przeszył mu prawą nogę.

Zaklął.

Usłyszawszy krzyk, uniósł głowę i przyglądał się, jak lady Olympia biegnie do niego przez pole, z powiewającymi spódnicami i trzepotem czarnej koronki.

Z większym, niżby się spodziewał, wysiłkiem i do wtóru ostrych protestów płynących z prawej strony ciała, przetoczył się na plecy i usiadł.

Prawa stopa pulsowała, a cała prawa strona ciała solidarnie bolała i kłuła. Nieprzyjemne. Niewygodne. Ale raczej go nie zabije.

To nic takiego, powiedział sobie. *Wstawaj*.

Kucnęła przy nim.

– Niech się pan nie rusza – poleciła.

– Pewnie, że się ruszę. Za chwilę. Kiedy tylko gwiazdy przestaną wirować mi wokół głowy. Wszedłem w króliczą dziurę, ot i cały sekret. Zapewne posiadłość osobnika, którego radośnie ściga Katon.

Przeniósł ciężar ciała na jedno ramię i usiłował wstać. Noga zachwiała się pod nim, ból strzelił w górę.

Lady Olympia położyła mu na ramieniu osłoniętą rękawiczką dłoń.

– Nie.

Na dźwięk władczego głosu instynktownie znieruchomiał. Potem zaśmiał się z samego siebie. Co za niedorzeczność. Kiedy usłyszał jej ostry gwizd – nastrojony specjalnie do wzywania chłopców i psów – jak każdy chłopiec czy pies natychmiast się zatrzymał i odwrócił ku niej.

No i się potknął. I runął na twarz. Na błotniste pole.

– Nic mi nie jest – powiedział. – Źle upadłem.

– Niech się pan nie rusza – powtórzyła. – Proszę pozwolić mi spojrzeć.

– Żadnych złamań – stwierdził bardziej na własny niż jej użytek. Nie dopuszczał myśli o złamaniu. Nie miał czasu na takie rzeczy. – Ale mój kapelusz leży tam, w krowim łajnie, i… – Usiłował wstać i uzyskał tyle, że

ból przeparadował mu w górę po nodze. Gwałtownie wciągnął i wypuścił powietrze. – Do diabła!

– No właśnie. Spróbuje pan zmusić do pracy jakąś cząstkę swojego karygodnie bezczynnego mózgu i użyć odrobinki zdrowego rozsądku? Uszkodził pan sobie stopę.

– Coś sobie nadszarpnąłem, jak sądzę, kiedy upadałem na twarz.

W najgorszym razie zwichnął kostkę. Nie powinno to powodować takiego zamieszania.

– Tak przypuszczam – powiedziała. – Proszę się nie ruszać, trzymać język na wodzy i dać mi spojrzeć. Nie, nieważne. Wiem, że to za dużo, prosić pana o trzymanie języka na wodzy. Ale musi pan pozostać nieruchomo. Chodzi o to, żeby nie pogorszyć sprawy.

Prawie usłyszał „ty durniu” w jej myślach.

Miała rację. W odwrotnej sytuacji ryknąłby na nią, że ma się nie ruszać. Problem polegał na tym, że cichy wewnętrzny głos mówił mu, że szkoda jest poważna, i ten głos usiłował wpędzić go w panikę.

Kazał sobie nie być dzieckiem. Nie zginął. Ani śladu krwi wkoło. Był po prostu niesprawny. Poniekąd. Chwilowo.

I zupełnie się nie martwił.

– Proszę spojrzeć na moje rękawiczki – rzekł, wyciągając ręce. – Niech pani tylko na nie spojrzy.

– I tak się panu nie podobają.

– Chodzi o zasadę, do diaska! – Przypuszczał, że twarz ma brudniejszą niż rękawiczki, ale ponieważ jego fizjonomia nigdy nie uchodziła za szczególnie piękną, ta strata była niewielka. – W dodatku to pierońsko niegodne padać na twarz na polu jakiegoś wieśniaka.

– Tak, o wiele bardziej godne jest paść na twarz na przyjęciu wskutek upojenia.

– No właśnie. Pijany człowiek nie wie, że brak mu godności. Co równie ważne, nie czuje bólu.

– Mężczyźni – powiedziała. Przesunęła się do jego stóp. – Prawa?

– Tak, pielęgniareczko.

– Po namyśle może pana zastrzelę i tym sposobem uwolnię od niedoli.

– Niestety, nie mamy broni. Powinienem był pomyśleć o tym w Putney. Podróżowanie bez broni jest… oj!

Chwyciła jego stopę. Delikatnie.

Mimo to… nie ból, ściśle rzecz biorąc. Bardziej… podniecenie.

No cóż, był mężczyzną, a kiedy kobieta dotyka mężczyzny, istnieje prawdopodobieństwo, że ten się podnieci, potrzebne mu to czy nie.

– Proszę powiedzieć, kiedy zaboli – poleciła.

Ostrożnie poruszyła jego stopą w prawo, w lewo i po okręgu, jak bez wątpienia nauczyła się wieki temu, mając tylu braci i – na ile zdołał wywnioskować kochających, lecz nieuważnych rodziców.

Niewykluczone, że cicho krzyknął.

Twarz mu zapłonęła.

– Nie jest złamana – rzekł szybko. – Wiedziałbym. – Nie wyrażał zgody na złamania. – Ale to słodkie, że tak pani koło mnie skacze.

– Ogromnie mnie kusi, żeby ją upuścić. Z wysoka. Na kamień.

– Fatalnie. Wkoło tylko błoto i krowie łajno. – Rozejrzał się. – Owcze chyba również. Trudno mi ocenić. Nie jestem agrarystą.

Wstała, wsparła dłonie na biodrach i popatrzyła na niego.

– Nie mogę tu pana zostawić, jakkolwiek bardzo mnie kusi.

– Zasadniczo mogłaby pani. Foryś zna drogę.

Wstanę bez najmniejszego problemu, powiedział sobie Ripley z przekonaniem. Nie będzie zmuszony czołgać się z powrotem do powozu. Może poruszać się na jednej nodze, mniej więcej. Wystarczy, że przestanie użalać się nad sobą z powodu odrobinki przeszywającego bólu.

Bywał w gorszych sytuacjach. Doznawał większych szkód podczas bójek i epizodów wynikłych z jeździeckiej brawury.

Tyle że przy wszystkich tamtych okazjach był pijany.

Nieważne. Pijany czy trzeźwy, nie miał czasu grać inwalidy.

Musiał niezwłocznie wracać do Londynu. Musiał udzielić Ashmontowi kilku porad i popędzić go do działania, jeśli zaistnieje taka konieczność. Musiał zadbać, by nie doszło do żadnych pojedynków oraz by nikt nie został trwale okaleczony lub zabity z powodu tego ślubnego fiaska. Przede wszystkim zaś musiał znaleźć się jak najdalej od lady Olympii i wziąć sobie do łóżka jakąś nieprzyzwoitą kobietę. Prędko.

– To wina butów – orzekł. – Obuwie gościa weselnego nie nadaje się na wędrówki po polach.

Niewiele solidniejsze od domowych pantofli galowe buty nie chroniły stóp mężczyzny przed wilgocią, a cóż dopiero wdeptywaniem w królicze dziury. Jednakże nie sposób było dostać na szybko odpowiednich butów w

Putney czy gdziekolwiek indziej. Służba w gospodzie wysuszyła i wyczyściła jego eleganckie obuwie najlepiej, jak się dało.

– Pomogę panu wstać – oznajmiła. – Nie wolno panu obciążać prawej stopy.

– Wiem o tym. Proszę wracać i powiedzieć forysiowi, że popilnuje pani koni, a jego przysłać do mnie.

– Mogłabym też powlec pana do powozu za zdrową stopę.

– I zniszczyć ten piękny surdut, bezduszna niewiasto? Proszę iść po forysia.

Obejrzała się przez ramię na powóz.

– Dalej coś tam majstruje – stwierdziła. – Ciekawe, co spłoszyło konia.

– Foryś się zamyślił. Jeśli nie zamyślenie, to pijaństwo stanowią przeważnie powód utraty kontroli nad końmi pocztowymi. Mowa przecież o stworzeniach kompletnie pozbawionych charakteru. Czy będzie pani tak miła i pójdzie po niego?

– Jest mniejszy ode mnie – oceniła.

– Jest bardziej umięśniony. Proszę. Po. Niego. Iść.

Uśmiechnęła się doń z góry.

– Nie. Podoba mi się widok pana do pewnego stopnia bezradnego.

Odwzajemnił uśmiech. Jemu podobał się widok lady Olympii, gdy stała tak nad nim z dłońmi na biodrach. Bardzo mu się podobał. Mimo kontuzji zahaczyłby zdrową nogą o jej kostkę i pociągnął ją tak, żeby na niego upadła… gdyby nie należała do jego głupiego przyjaciela.

Rozstawiła szerzej stopy i wyciągnęła rękę.

– Jeśli spróbuje pani pomóc mi wstać, przewróci się pani – ostrzegł.

– Proszę, niechże się pan postara myśleć racjonalnie. To tak samo jak wykorzystać krzesło albo pniak. Zapewnię panu podparcie, żeby nie obciążał pan stopy.

– Jestem dla pani za ciężki.

– Wszyscy tak mówią.

– Dam radę wstać sam – zapewnił. – To posuwanie się naprzód będzie kłopotliwe. Czy pójdzie pani wreszcie po forysia?

– Jakże chętnie pozbawiłabym pana przytomności za pomocą jakiegoś kamienia i powlekła za nogę do powozu. Albo za ramię. Albo za uszy. Tyle że to zapewne trochę by potrwało. – Popatrzyła na ciemniejące niebo. Jej

okulary straciły blask, odbijając ponure barwy nad ich głowami. – A zanosi się na deszcz. Znowu.

Roześmiał się. Pomimo bólu i błota w ustach, i kolejnego zestawu zniszczonych ubrań.

Odepchnąwszy się jedną ręką, przenosząc ciężar ciała na lewą stopę, dźwignął się do pionu. Wtedy w istocie cieszył się, że może się wesprzeć na jej kształtnych barkach, gdyż nawet przy niewielkim nacisku prawa stopa bolała jak diabli. Udało mu się ograniczyć do stęknięcia, ale już nie powstrzymać grymasu.

– Proszę wykorzystać mnie jak kulę – zachęciła. – Śmiało. Nie jestem krucha. W rzeczy samej, mam sporo krzepy, dzięki temu, że stale przeciągam schodki biblioteczne i transportuję książki z góry na dół i z powrotem… a przez wszystkie te złocenia niektóre są ciężkie jak ołów.

Okazała się silniejsza, niż mógłby przypuszczać, pod więcej niż jednym względem. Tak czy owak, nie podobało mu się używanie jej jako kuli. Zrobił to jednak. Nie miał wyboru: skok po skoku na lewej nodze, podczas gdy lady Olympia dostarczała podparcia dla prawej. Nawet przy takim rozwiązaniu nie zdołał utrzymać prawej stopy w pełni nad ziemią, a ilekroć dochodziło do kontaktu, z kostki rezonował ból.

Zdroworozsądkowa część mózgu podpowiedziała mu, że gdyby spróbował wrócić do powozu samodzielnie, na tym nierównym podłożu, zaraz wylądowałby na twarzy. I skończyłby, czołgając się. Powątpiewał, czy czołganie się z bolącą stopą jest sporo zabawniejsze od chodzenia.

Tak zatem, ściśle spleceni, posuwali się wolno naprzód po nierównym terenie. Kiedy szli, na ramieniu czuł nacisk jej piersi, a w górnych partiach uda jej biodra. Towarzyszące temu doznania z łatwością przewędrowały do jego lędźwi, odwracając uwagę Ripleya od bólu i myśli w rodzaju: „I co teraz poczniemy?”.

Do celu nie pozostało wiele, pocieszał się. Podskakiwanie na wybojach wiejskiej drogi na tym ostatnim odcinku nie będzie najprzyjemniejszym doświadczeniem, ale jakoś to przeżyje.

A potem?

Pomyśli o różnych „a potem” w stosownym czasie.

Wreszcie dotarli do drogi i odważył się oderwać wzrok od ziemi przed sobą, na której miał postawić kolejny krok.

Pies stał w otwartych drzwiach powozu.

– Hau! – powitał ich.

***

Olympia w ostatniej chwili uchwyciła błysk w psim oku.

Kiedy Katon wyskoczył z powozu, odciągnęła Ripleya z drogi.

Pies chybił o włos, inaczej byłby ich przewrócił. Można by sądzić, że pościg go zmęczył. Tymczasem był podekscytowany i ewidentnie dumny z siebie.

– Siad – poleciła Olympia i pies usiadł, tłukąc ogonem o ziemię. – Skąd też wzięłam przekonanie, że jesteś dobrze wyszkolony?

– Hau!

– I cichy?

– Hau!

Popatrzyła na Ripleya, który wydawał się bledszy niż dotąd.

– Przepraszam za to – powiedziała. – Ale zobaczyłam w jego oczach potrzebę skoku na człowieka, a nie miałam pewności, czy to przypadkiem nie pana postanowił entuzjastycznie powitać.

– Też ją widziałem. Spryciarz, grał wcześniej tak potulnego i łagodnego.

– Bez wątpienia przedtem zachowywał się tak dobrze, ponieważ był zastraszony i w szoku. Ale to pies i najwyraźniej już zapomniał. Co mi mówi, że nie był długo u Bullarda. Inaczej byłby znacznie bojaźliwszy.

– A zamiast tego odzyskał swoją naturalną, nieznośnie żywiołową osobowość – podsumował Ripley.

Kiedy już poświęcili chwilę na kontemplowanie tryskającego radosną niewinnością Katona, odezwał się znowu:

– Jest pani wytrzymalsza, niż na to wygląda.

– Przez wszystkie te tomiszcza, mówiłam panu.

Zawołała forysia. Mężczyzna przeprosił, blady, jąkając się. Zamyślił się, tak jak sugerował Ripley, i w rezultacie zareagował zbyt późno.

Należało przyznać księciu, że przyjął przeprosiny i nie zwymyślał forysia. Z pewnością nie było winą tego człowieka, że Katon postanowił wybrać się na polowanie.

Następnie Olympia zwróciła uwagę wszystkich ku kwestii umieszczenia jej poszkodowanego towarzysza w pojeździe. Proces okazał się kłopotliwy

– powozik nie należał do szczególnie przestronnych – i trochę trwało, nim ulokowali księcia na siedzeniu.

Wątpiła, czy będzie mu wygodnie. Musiał siedzieć bokiem, wklinowany w kąt. Niesprawną nogę wspierał nieporadnie na jej kolanie, na owiniętych w płótno pakunkach.

– Za parę minut rozboli panią kolano – powiedział.

– To nic w porównaniu z pańską kostką. Ale pojedziemy spokojnym tempem.

– Pognamy, co koń wyskoczy. Im szybciej dotrzemy na miejsce, tym lepiej.

– Będzie pan wrzeszczał jak dziewczyna.

– Nie jestem dzieckiem. Z powodu paru siniaków na nodze nie zacznę mdleć ani wrzeszczeć.

– Gdy chodzi o ból, dorośli mężczyźni są gorsi niż chłopcy – stwierdziła. – A jeśli z kostką jest tak źle, jak podejrzewam… i do tego nie mamy na stanie mocnych alkoholi ani nawet soli trzeźwiących…

– Soli trzeźwiących! Bierze mnie pani za mdlejącą debiutantkę!

– Ach, co za obrazek. Niegodziwy książę Ripley w stanie omdlenia. Ponieważ jednak nie mam czym pana ocucić, muszę nalegać, żeby był pan dzielny. A jeśli już musi się pan pochorować…

– Zupełnie jakbym miał wymiotować z powodu paru siniaków.

– Jeśli już musi się pan pochorować, proszę łaskawie zrobić to przez okno.

Nim książę zdążył się odciąć, poleciła forysiowi, żeby prowadził konie stępa. Użyła głosu, który stosowała, gdy zachodziła konieczność zdyscyplinowania braci. W relacjach z Ripleyem, co oczywiste, dominuje się albo zostaje się zdominowaną.

Choć foryś, jak się zdawało, wysłuchał ich obojga, wbrew życzeniu Jego Książęcej Wysokości nie popędził koni.

Uspokojona co do tej kwestii Olympia skoncentrowała się na odwracaniu uwagi Ripleya od nieznośnego dyskomfortu, który – jak wiedziała – ukrywał. Robił to dobrze, obserwowała go jednak stale i odnotowała sposób, w jaki zaciskał usta, ilekroć trafiał się bardziej wyboisty odcinek drogi.

Gdy przejechali kawałek, poruszył się, jakby zamierzał opuścić stopę.

– Lepiej niech pan ją trzyma w górze – poradziła. – Zdaję sobie sprawę, że to niewygodna pozycja.

Siedzenie zaprojektowano dla dwóch osób, bez odrobiny wolnego miejsca, a on miał długie nogi.

– Nie powinienem opierać jej na pani kolanie – sprzeciwił się. – Jest zbyt ciężka.

– Kolano osłaniają mi warstwy ubrań. Może jednak będzie panu wygodniej, jeśli zdejmiemy but.

– Po tym, jak stopa gościła w króliczej dziurze na mokrym polu uprawnym?

– Mam sześciu braci. Mój żołądek jest odporny.

Zaśmiał się, z bólem, ale zawsze. Rozbawiła go. Pozwolił, żeby zdjęła mu but.

Zadanie okazało się nie tak proste, jak by się wydawało. Narastająca opuchlizna sugerowała, że jeśli nie zwichnął, to poważnie obtłukł kostkę. Na szczęście buty uszyto z miękkiej, cienkiej skóry, a choć na wędrówki po polach były niepraktyczne, zdejmowało się je łatwiej niż te przeznaczone do konnej jazdy.

Choć jego obleczona w pończochę stopa wydzielała jedynie woń mokrej ziemi, Olympia wzdrygnęła się, jakby chodziło o gnijącą padlinę, zatkała sobie nos, udała, że zbiera jej się na wymioty i odgrywała bliską omdlenia. Uznał, że to przezabawne.

Mężczyźni nigdy nie dorastają. Co niekoniecznie w każdym przypadku stanowi problem. Fakt, że mężczyźni są tak nieskomplikowanymi stworzeniami, miewa swoje pozytywne strony.

Chociażby tę, że zabawianie go przez pozostałe kilka mil drogi nie nastręczy Olympii szczególnych trudności.

A to było wielce wskazane, ponieważ sama także musiała zająć czymś myśli. Intymność związana z tym, że trzymała jego wielką stopę w pończosze na swoim kolanie, nieomal sprawiała jej ból.

***

Niedługo potem

Książę powiedział Olympii, że Camberley Place to stary, rozpadający się dom.

Wyobraziła sobie wiekowy dwór pośród wiejskiego krajobrazu. Określenie „rozpadający się” wyczarowało obrazy przyczepionych w późniejszym okresie dobudówek, składających się na chaotyczną, malowniczą konstrukcję.

Kompletnie się pomyliła.

Jak się okazało, Camberley Place był to gigantyczny dom z czasów Tudorów. Z zewnątrz wyglądał, jakby od tamtej pory niewiele się zmienił.

Aczkolwiek pierwotnie budynek niewątpliwie zamykał się w czworokąt wokół dziedzińca. Obecnie formował przyjemne U i był cudownie, aż do przesady przyozdobiony terakotą i mnóstwem malowanego szkła.

Wprawdzie ich nie oczekiwano ani nie przybywali na zaproszenie, jednak w końcu Ripley był panem domu. Stróż przy bramie wpuścił ich bez wahania, nie zająknąwszy się nawet na temat tego, że rodzina jest nieobecna.

Zanim powozik wjechał na dziedziniec, ludzie – najpewniej służba – oblegli okna. Moment później w drzwiach ukazał się wysoki mężczyzna. Sugerując się jego autorytatywną postawą, Olympia wywnioskowała, że to tutejszy kamerdyner. Za nim dreptali jego pomocnicy.

Kamerdyner, nazwiskiem Tewkes, jak się wkrótce dowiedziała, zachował się dokładnie tak, jak przystało na szanującego się przełożonego domowej służby: nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok pospolitego, brudnego powoziku na wspaniałym, zabytkowym dziedzińcu, przyjmując sytuację z całkowitym spokojem, bez mrugnięcia powieką.

Później, kiedy służący podbiegli, żeby otworzyć drzwi powozu, i ujrzano, kto siedzi w środku, nastąpiło mnóstwo ukłonów i szurania nogami tudzież komenderowania podwładnymi.

Kiedy lokaje pomagali Ripleyowi wysiąść, zacisnął zęby i nieco zbladł. Choć Olympia była pewna, że niczego sobie nie złamał, wiedziała, że zwichnięcie lub skręcenie również bywa ogromnie bolesne, zwłaszcza w początkowej fazie.

Szczęśliwie Camberley Place wzniesiono na poziomie gruntu. Ripley nie musiał pokonywać choćby jednego stopnia, żeby dostać się do wnętrza domu.

Pozostawiwszy Tewkesa, by zajął się psem, forysiem, zwłokami ślubnego stroju, porzuconym butem i tak dalej, Olympia podążyła za Ripleyem i dwoma silnymi lokajami, na których się wspierał, do przepastnego głównego holu. Zgodnie z oczekiwaniami zastała tam ciężką dębową boazerię i kompozycje z broni na ścianach. Powiedziała sobie jednak, że podziwianiu staroci odda się później.

Teraz musiała dopilnować, żeby Ripley nie pogorszył stanu swojej nogi.

Przynajmniej nie oponował przeciw pomocy lokajów. Droga, zwłaszcza ostatni odcinek, nim dotarli do podjazdu, była wyjątkowo wyboista.

Zastanawiała się, gdzie go ulokować. Pani domu na razie się nie pokazała.

Olympia zabroniła sobie wpadać w panikę. Skoro damy nie spodziewały się towarzystwa, mogły przebywać gdziekolwiek. Na przykład z wizytą u sąsiadów.

Jedna rzecz naraz.

– Dokąd teraz? – zapytała.

– Do biblioteki – odparł Ripley.

Nie było to najbliższe pomieszczenie, nalegał jednak, nie wdając się w tłumaczenia. Nie żeby w ogóle cokolwiek tłumaczył – na przykład poinformował otoczenie, dlaczego nie jest w stanie samodzielnie chodzić i występuje w jednym bucie.

Byłoby to poniżej jego książęcej godności, oczywiście. Wszyscy wokół musieli wychwycić szczegóły i samodzielnie wydedukować, w czym rzecz.

Olympia wszakże nie była księciem i nie widziała sensu w tym, by pozwalać służącym na szepty i spekulacje, zamiast dokładnie im wyjaśnić, o co chodzi.

Zanim lokaje umieścili Ripleya na sofie i oparli mu stopę na poduszce, wrócił Tewkes.

– Wygląda na to, że Jego Książęca Wysokość zwichnął kostkę – powiedziała do kamerdynera.

– Zwykłe stłuczenie – sprostował Ripley.

– Przekonamy się – odparła, nachylając się, żeby obejrzeć kostkę. – Skoro nie postrzeliłam pana w stopę ani nie zrzuciłam na nią sporego kamienia, a nikt tutaj mnie nie zna, wolałabym nie znaleźć się w kręgu podejrzeń.

– Takie zdarzenie raczej nikogo tutaj by nie zdenerwowało – ocenił. – Prędzej ubawiło. – Spojrzał na kamerdynera. – Bez względu na to, czy dama użyła wobec mnie przemocy, przyda mi się środek na wzmocnienie, Tewkes. Brandy. Duża.

– Tak, Wasza Książęca Wysokość.

– I lód – dorzuciła Olympia. – Prędko. Choć stopa nie wydaje się mocno opuchnięta, na pewno nie jest normalnych rozmiarów. W najlepszym razie to poważne stłuczenie i dobrze byłoby zająć się nim jak najszybciej. Będę potrzebować również bandaży. I octu. I pokojówki do pomocy.

– I lekarza, milady? – zapytał Tewkes.

– Żadnych konowałów – sprzeciwił się Ripley. – Po prostu rąbnąłem się w kostkę. Nie trzeba mi nastawiać kości, nie dam sobie upuścić krwi ani wcisnąć środka na przeczyszczenie z powodu drobnej niefortunnej przygody z króliczą dziurą. W tej chwili chcę tylko dostać dużą szklankę brandy.

Tewkes wyszedł.

Olympia się wyprostowała.

– Gdzie jest pańska ciocia?

– Gdzieś w pobliżu.

– Na pewno?

– Od trzech lat nie opuszcza Camberley Place – wyjaśnił. – Od śmierci stryja Charlesa nie ciągnie jej do towarzystwa. Będzie gdzieś w pobliżu, tyle że „w pobliżu” obejmuje dość spory obszar. Niewykluczone, że trochę sobie poczekamy, nim się pojawi.

Popatrzyła nań oskarżycielsko.

– Nie lubi towarzystwa, a pan mnie tu przywiózł…

– To nie całkiem tak.

– Jak wobec tego?

– Nie wiem do końca. Moja matka i siostra wydają się to rozumieć. Alice mówi, że ona jest duchem…

– Czym?!

– Figura retoryczna. Nie wpadnie mi pani tu chyba zaraz w histerię?

– Mogłabym. – Usiadła w pobliskim fotelu i splotła ręce. – Ten dzień ciągnie się jak długie tygodnie. Moje nerwy są na wyczerpaniu.

Przez moment wyobraziła sobie śmiertelnie chorą lub umierającą ciocię oraz wiążącą się z tym konieczność opuszczenia tego domu i poszukiwania

jeszcze innego schronienia. I pożałowała, że nie stanęła przed pastorem zgodnie z daną obietnicą.

Czy to się działo ledwie dziś rano?

Z chęcią ukryłaby głowę w dłoniach i się rozpłakała, ale nie mogła. Najpierw musiała się zająć kostką Ripleya, zanim on pogorszy sprawę. Mężczyzn cechuje zatrważająca tendencja do pogarszania własnych urazów wskutek mistycznego przekonania, że jeśli powiedzą, iż nic się nie stało, to nic się nie stało i mogą robić, co im się żywnie podoba.

– Nie ma się czym martwić – uspokoił ją. – Ciocia Julia jest krewną wyjątkowego rodzaju.

Zanim Olympia zdążyła zadać więcej pytań, nadszedł Tewkes z dwoma lokajami, krzepką pokojówką imieniem Mary, brandy i innymi rzeczami, o które prosiła Olympia.

– Tewkes – odezwał się Ripley. – Gdzie jest moja ciocia?

– W mauzoleum, Wasza Książęca Wysokość. Joseph udał się powiadomić ją o pańskim przybyciu.

– Słyszała pani – zwrócił się książę do Olympii. – W mauzoleum. Mówiłem, że gdzieś w pobliżu.

***

Tak, cóż, czyli ciocia Julia nie miała się lepiej.

Nadal jednak było to Camberley Place i mimo że nawiedzane przez duchy, pozostawało zapamiętanym przez Ripleya schronieniem: domostwem, gdzie panował porządek, służba ze spokojem wykonywała swoje obowiązki i wszystko wyglądało na czyste, schludne i zadbane. Krótko mówiąc, przeciwieństwem domu, w którym przecierpiał nazbyt dużą część dzieciństwa.

Obserwował, jak lady Olympia instruuje służących, by ustawili stolik przy sofie. Następnie poleciła Mary przygotować pasy płótna, miski, wiadro lodu i drugie z wodą, a także dzbanuszek z zamówionym octem.

Kazała przysunąć swój fotel bliżej stopy Ripleya.

Później odprawiła z pokoju wszystkich poza Mary.

– Nie chciała pani mieć dwóch lokajów na swoje rozkazy? – zapytał Ripley, kiedy za tamtymi zamknęły się drzwi.

– Lepiej, żeby tutejsi mężczyźni nie widzieli, jak pan płacze – odparła. – I proszę postarać się krzyczeć w miarę cicho. Nie chcę, by wpadli tu z powrotem panu na ratunek i pogorszyli sprawę.

Mary wymknął się chichot.

– Nie musisz się niepokoić – rzekł Ripley do pokojówki. – Będę łkał cicho do szklanki z brandy.

Pociągnął łyk… i o mało się nie zakrztusił, ponieważ lady Olympia podciągnęła mu nogawkę spodni i jej dłoń – bez rękawiczki – przelotnie dotknęła jego skóry, co odebrał jak porażenie piorunem. Nie zerwał się z sofy, widocznie jednak drgnął, ponieważ nań spojrzała.

– Przepraszam – powiedziała. – Boli?

– Ehm. Nie. Tylko… nic. O czymś pomyślałem.

– Dołożę starań, żeby pana nie urazić. Obawiam się jednak, że ten rejon jest bardzo wrażliwy.

Kilka rejonów, gwoli ścisłości.

– Proszę się nie martwić – uspokoił ją. – Znosiłem gorsze rzeczy.

Polecił sobie rozluźnić się i czerpać radość z doświadczenia. Aktualnie wszystko wskazywało na to, że tego wieczoru nie miał co liczyć na więcej kobiecej uwagi. Kiedy jednak zobaczył, że lady Olympia przesuwa dłoń ku podwiązce, powiedział:

– Sam to zrobię.

– Naprawdę? – zdumiała się. – Potrafi pan rozwiązać sobie podwiązki?

– A nawet założyć pończochy.

Jak również je zacerować, mógłby dodać.

– Niech pan pije swoją brandy – poleciła. – A te sprawy zostawi mnie.

– Nie jestem przekonany, czy to stosowne. Aczkolwiek nieszczególnie pamiętam, jakie są kryteria.

– Nie ma się czego bać.

– Bać!

– Robiłam to mnóstwo razy. Jak nie któryś z braci, to kuzyn. Lub ich przyjaciele. W moich rękach jest pan bezpieczniejszy niż pod opieką większości lekarzy.

– W to nie wątpię.

– Proszę zatem być dzielnym. Zaraz rozwiążę podwiązkę. Postara się pan nie łkać.

Delikatnie rozwiązała podwiązkę. Poczuł ucisk w lędźwiach.

Odłożyła podwiązkę na sofę. Wbił w nią wzrok i napił się brandy.

Dotknęła jego pończochy.

Przełknął jęk.

Wolno, delikatnie zsunęła mu pończochę z łydki. W pokoju zrobiło się raptem gorąco i usiłował myśleć o zimnych rzeczach. Jak mauzoleum. I Ashmont. Tak, Ashmont, do którego należała. Ashmont, tak radosny, kiedy opowiadał o ślubie.

Wolno, delikatnie zsunęła mu pończochę ze stopy.

Serce Ripleya przyspieszyło, próby powstrzymania zachodzących w nim reakcji mijały się z celem. Był mężczyzną, a kobieta gołymi dłońmi dotykała jego skóry. Kobieta go dotykała, rozbierała. Tyle wiedział. Reszta – usiłowania, by przemówić samemu sobie do rozsądku i nie być cholernym głupcem – reszta to był jazgot, jak ten na londyńskich ulicach.

Napił się.

Ściągnęła mu pończochę do końca i podała ją Mary, Ripley zaś słyszał własny oddech, tak głośny, jakby to wiatr ze świstem szalał po bibliotece.

W swej niewinności nie miała bladego pojęcia, co mu robi.

Roześmiałby się, gdyby wystarczyło mu na to tchu.

Była taka poważna, w pełni skoncentrowana na zadaniu.

Obserwował ją przy pracy, gdy nieznacznie ściągając brwi nad okularami, z przygryzioną wargą, mieszała lodowatą wodę z octem. Zamoczyła w miksturze kawałek płótna.

– Będzie zimne – przestrzegła. – Proszę się przygotować.

Zimne, tak. Potrzebował zimna.

Owinęła mu lodowaty bandaż wokół kostki. Na co prawie zerwał się z sofy. I wyrzucił z siebie słowo, o którym nawet on wiedział, że nie używa się go w obecności kobiety.

– Tak, wiem – stwierdziła. – Ale za moment będzie lepiej.

– Jasne – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Potem jednak istotnie zrobiło się lepiej, na więcej sposobów, niż mogła się domyślać. Zimny szok zdziałał cuda, tłumiąc nie tylko ból w stopie, lecz także niedawne frustrujące doznania.

Z pomocą Mary lady Olympia kontynuowała pracę, mocząc kolejne pasy płótna i owijając mu nimi stopę. Powiedział sobie, że cierpi z własnej winy. Powinien był nalegać, żeby zajął się nim służący.

Tyle że lady Olympia poczynała sobie tak despotycznie, iż rozsądne rozwiązanie nie przyszło mu do głowy.

Przy czym despotyzm był dokładnie tym, czego potrzebował Ashmont, orzekł Ripley.

Owszem, może raz czy dwa ogarnęły go wyrzuty sumienia z powodu zmarnowanego życia, które zawiodło go daleko od takich interesujących dziewcząt. Owszem, może zasadniczo nie miałby nic przeciw temu, by tyranka w okularach przemocą przywołała go do porządku.

Głównie wszakże czuł, że pokrzyżowano mu plany na wszystkich frontach. Wskutek jej zabiegów mocno się podniecił, bez szans na zaznanie ulgi. Nijak nie zdoła zaradzić swemu celibatowi lub uporać się z Ashmontem tego wieczoru. Istniało spore ryzyko, że Ashmont wpadnie w szał. Pozostawało więc liczyć na to, że upije się do nieprzytomności, zanim wda się w bójki z członkami jej rodziny.

Jej głos przywołał go z powrotem z prywatnego piekła, które właśnie budował.

– Wiem, że wielu medyków zaleca mazidła lub pijawki, lub jedno i drugie – mówiła do Mary. – Ale marynarze polegają na zimnie i wilgoci. Podsuwają zwichniętą kończynę pod pompę, rano i wieczorem, kiedy ze statku wypompowuje się wodę… a wiesz, że od ludzi morza oczekuje się, by jak najszybciej odzyskali sprawność i siłę. Część medyków zaleca podobną terapię. Przynajmniej to nie zima. Kiedy osłabnie pierwszy szok, wrażenie chłodu nie powinno być aż tak nieprzyjemne. – Popatrzyła na Ripleya, z troską ściągając brwi. – Za mocno zacisnęłam bandaże?

– Nie – odparł.

– Marszczy się pan.

– Tak. Miałem plan. Wspomniałem o tym, jak sądzę. Zamierzałem przywieźć panią tutaj, a potem wracać, żeby zająć się Ashmontem i pozostałymi.

– Nigdzie się pan nie wybiera – zaoponowała. – Kluczową sprawą jest, żeby dał pan stopie odpocząć i trzymał ją w górze.

– Niech cię licho, Ripleyu, coś znowu zmalował? – dobiegł od drzwi znajomy głos. – Ledwie wróciłeś do Anglii, a już wpakowałeś się w kłopoty.

Rozdział 9

Ciocia Julia pozostała przez chwilę na progu, z pięściami wspartymi na biodrach i srogą miną, która onieśmielała go, kiedy był dzieckiem. Nawet teraz zrobiło mu się nieswojo.

Wyglądała dosyć nieszkodliwie, ładna kobieta o miłej twarzy, wzrostu wprawdzie powyżej przeciętnej, nie na tyle, żeby nim imponować. Miała jednakowoż talent do tego, by prezentować się onieśmielająco. Przeciwstawiała się niemożliwemu ojcu Ripleya, na co zdobywali się tylko nieliczni mężczyźni.

Mimo to wydała się Ripleyowi bladą imitacją samej siebie – owym duchem, o którym pisała Alice – i nie była to jedynie kwestia posępnej szarej sukni z rozsądnie wąskimi, choć niemodnymi rękawami.

Mierząc go nadal chmurnym spojrzeniem, podeszła bliżej. Nie wytargała go za uszy, czego oczekiwał, ale zmierzwiła mu włosy jak małemu chłopcu, po czym skierowała uwagę na lady Olympię.

– A to jest, jak rozumiem, dama, która cię postrzeliła? – Zmarszczyła brwi. – Niech cię licho, Ripleyu, przecież to narzeczona Ashmonta. Coś ty sobie myślał, u diaska?

– Szalenie inteligentna ta moja ciocia – powiedział do lady Olympii. – Wie wszystko o wszystkich. Wspominałem o tym?

– Nigdy nie byłeś mistrzem kadzenia – skomentowała ciocia Julia. – Żadnej subtelności.

– Zapewne. Ciociu, jeśli mogę ci przedstawić lady Olympię Hightower.

Przewróciła oczami.

– Nie, nie możesz. Poznałam lady Olympię, kiedy przedstawiano ją na dworze. Rozpoznałabym ją wszędzie. Mimo to żywiłam nierozsądną nadzieję, że wzrok płata mi dziś figle. Głuptas ze mnie. Jakże żałuję, że nie ma tu twojego stryja. Ze wszystkich głupstw, jakie kiedykolwiek zrobiłeś, to bije wszystko. O wiele długości.

– Lady Olympio, najwyraźniej zna już pani lady Charlesową Ancaster, moją ulubioną ciocię…

– Wyrzekam się ciebie, począwszy od tej chwili.

– Cioteczko, nie denerwuj się. Nie widzisz, że odniosłem rany?

Ciocia Julia obdarzyła go spojrzeniem, pod którym lepszy człowiek skuliłby się w sobie. Ponieważ Ripley nie był lepszym człowiekiem, zniósł je podobnie jak liczne inne pełne dezaprobaty spojrzenia, choć opinia tej damy liczyła się o wiele bardziej niż zdanie innych.

– Gwoli sprawiedliwości, milady – powiedziała lady Olympia – to ja zrobiłam głupstwo, a książę był moim rycerzem w…

– Proszę nie kończyć – wszedł jej w słowo.

– Książę próbował ocalić mnie przed samą sobą. Usiłował nawet przemówić mi do rozsądku.

Ciocia Julia przez chwilę przyglądała się bacznie jego towarzyszce.

– Hugh usiłował przemówić pani do rozsądku? Mój bratanek? Ten tu bezużyteczny drągal? No, chętnie bym to zobaczyła.

– Nie jestem taki przekonany, czy zrobiła głupstwo – rzekł Ripley. – Kiedy zaś nie chciała zrezygnować, oczywiście podążyłem za nią.

– Zrozumiałe – stwierdziła ciocia Julia. – A później? Doprowadziłeś ją do użycia przemocy? – Przysunęła się, żeby obejrzeć jego stopę. – Sprawnie sobie pani poradziła, lady Olympio. Czy jednak nie rozważała pani amputacji?

– Nie podsuwaj jej pomysłów – skarcił ją Ripley. – Potrzebuję wszystkich kończyn, żeby uporządkować tę sprawę. Czym zamierzałem się zająć dziś wieczorem. Los jednak zrządził inaczej.

– Los, a jakże. Po prostu nie patrzyłeś pod nogi.

– Nie wypatrywałem króliczej dziury, to się zgadza.

Patrzył wtedy na lady Olympię, w całej jej okazałości. Tak szykowną i doskonale kobiecą – i gwiżdżącą jak mężczyzna.

– Próbowaliśmy złapać psa-uciekiniera, który zwiódł nas, że jest dobrze wyszkolony – wyjaśniła lady Olympia. – Poradziłam Tewkesowi, żeby zabrał go do stajni. Nie chciałam wprowadzać do domu obcego psa, którego manierom nie ufam.

– Uciekająca panna młoda – powiedziała ciocia Julia. – Uciekający pies. Niesprawny bratanek. Tego wieczoru rozmowa raczej nie będzie nudna. Proszę za mną, lady Olympio. Na pewno łaknie pani odrobiny wytchnienia od mojego bratanka, nie wspominając o drobiazgach potrzebnych damie,

gdy znajdzie się w obcym miejscu, bez bagażu, służby i innych rzeczy niezbędnych dla jej komfortu.

– Wyjeżdżaliśmy w pośpiechu – usprawiedliwił się Ripley. – Nie mieliśmy czasu…

– Doprawdy, Hugh, nie jestem aż tak zdziecinniałą staruszką. Nie musisz tłumaczyć mi oczywistości. Służba pościele ci w gabinecie twojego stryja. Jeśli przyłapię cię na wchodzeniu po schodach, zastrzelę.

Już wyprowadzała lady Olympię z pokoju, kiedy Ripley o czymś sobie przypomniał.

– A przy okazji, gdzie się podziewa moja siostra?

– Alice?

– Mam tylko jedną, o ile mi wiadomo.

Ciocia Julia wzruszyła ramionami.

– Spędziła tu trochę czasu i cieszyłam się, że ją widzę, ale co miałaby robić w tym ponurym miejscu? Posłałam ją z Georgianą na kilkudniowe przyjęcie u Drakeleyów. Mówię o mojej najmłodszej córce – wyjaśniła lady Olympii, po czym zwróciła się znów do Ripleya: – Alice nie będzie się tam nudzić. Wiesz, że chłopcy Drakeleyów ją ubóstwiają.

– Nadmiernie, jak zawsze sądziłem.

– To problem jej męża – stwierdziła ciocia Julia.

Wyszła, zabierając ze sobą lady Olympię, i pozostawiła Ripleya rozmyślaniom, dlaczego Alice, zamiast wrócić do Londynu do męża, udała się w przeciwnym kierunku, gdzie czyhali jej adoratorzy.

***

Kiedy już Pickard, pokojówka lady Charles, pomogła Olympii zmyć kurz po podróży, oddaliła się w poszukiwaniu stosownego stroju, który gość mógłby założyć do kolacji. Tym sposobem dwie damy pozostały same, by cieszyć się herbatą, zamówioną przez lady Charles, „żeby pokrzepić panią po przejściach”.

Olympia przypomniała sobie tę damę, ledwie ją zobaczyła, nie spodziewałaby się jednak, że sama zostanie zapamiętana spośród tylu debiutantek – sprzed, bądź co bądź, siedmiu lat. Poza tym lady Charles obracała się w kręgach dyplomatycznych i politycznych, podczas gdy

mamę i papę ciągnęło raczej ku tym rozrywkowym. Ich ścieżki rzadko się przecinały.

Dama była mniej więcej w wieku mamy i, podobnie jak mama, zachowała urodę. Na tym podobieństwa się kończyły. Ciocię Ripleya cechował całkowicie odmienny sposób bycia. Roztaczała aurę osoby nieustraszonej, była też nieskończenie lepiej zorganizowana i uporządkowana. Silna kobieta, pod względem charakteru i pewności siebie.

A także smutna.

Przygaszona szara suknia mówiła sama za siebie, gdyby komuś umknął smutek zasnuwający cieniem piwne oczy jej właścicielki.

Olympia pomyślała, że tylko ktoś tak pozbawiony delikatności jak Ripley mógł przywieźć obcą osobę, by zakłóciła żałobę damy.

– Zastanawia się pani pewnie, czemu w ogóle zadaję sobie trud łajania bratanka – odezwała się lady Charles, nalawszy im herbaty. – Ktoś wszakże musi to robić, ostro, nawet jeśli jego to nie wzrusza. Skoro jednak miał na tyle rozumu, żeby przywieźć panią tutaj, nie można mu odmówić odrobiny zdrowego rozsądku. No cóż. Jest pani moją pierwszą uciekinierką. Przyznam, że zastanawiałam się, w jaki sposób Ashmont panią zdobył, taką rozsądną dziewczynę. Choć Alice wyszła za tego szubrawca Blackwooda. Nie wystarczyło jej rozsądku, żeby porzucić go przed ołtarzem. Widzi pani zatem, że znalazłam się w rozterce. Doceniam uczucia, które panią kierowały. Z drugiej strony, moja droga, ten bałagan niełatwo będzie uporządkować.

– Tak, w-wiem – odparła Olympia, po czym, ku swemu przerażeniu, rozpłakała się, jak miała chęć zrobić to wcześniej, w bibliotece.

Lady Charles prędko wstała i podeszła, by ze współczuciem ścisnąć jej ramię.

– Mężczyźni – powiedziała dokładnie takim tonem, żeby Olympia się roześmiała, zarazem nie przestając płakać, jak głupia gąska albo histeryczka.

Pani domu ledwie zdążyła usiąść, kiedy głupia gąska-histeryczka już opowiadała całą pozbawioną większego sensu historię, aczkolwiek z pominięciem fragmentów o nagich książętach i bardziej niż przyjacielskich pocałunkach w powozikach.

– Ach, nie miałam świadomości, że w sprawę zamieszana była brandy – stwierdziła lady Charles, wysłuchawszy opowieści. – To wiele t-tłumaczy. –

Warga jej zadrżała i Olympia przez chwilę myślała, że dama również się rozpłacze, być może pod wpływem wspomnień z własnego ślubu.

Tymczasem lady Charles roześmiała się serdecznie, a wtedy wisząca nad nią chmura rozproszyła się i atmosfera pojaśniała. W tymże momencie Olympia zrozumiała, sercem i głową, dlaczego Ripley tak ceni tę ciocię.

Niemniej śmiech umilkł zbyt szybko i pani domu oznajmiła:

– W pierwszej kolejności musimy uspokoić pani rodziców.

– Powinnam była sama wysłać im wiadomość, najpierw jednak myślałam wyłącznie o ucieczce. A później nie wiedziałam, co im napisać. Sama nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

– Jak mówiłam, brandy wiele tłumaczy. No i trzeba pamiętać o pani towarzyszu podróży. Nie jest to typ, który pomaga w jasnym myśleniu. – Lady Charles na moment zamknęła oczy, a potem otworzyła je z westchnieniem. – Ci trzej. Doprawdy. Traktuje się ich wyrozumiale, biorąc wzgląd na ich ojców. Ale, moja droga, kiedy mężczyzna osiąga wiek dwudziestu dziewięciu lat, żywiłoby się nadzieję na pewną dojrzałość.

Olympia nie wiedziała nic o ich ojcach. Kiedy debiutowała w towarzystwie, żaden już nie żył. Choć lady Charles rozbudziła w niej wielką ciekawość, impertynencją byłoby wypytywać o szczegóły.

– Ogólnie rzecz biorąc, moim zdaniem książę podszedł do wydarzeń ze spokojem i na tyle logicznie, na ile pozwalały mu na to okoliczności – powiedziała. – Zachowywałam się irracjonalnie. Co rusz zmieniałam zdanie, wpadłam do rzeki i ukradłam psa… a on z łatwością sobie z tym poradził.

– Oczywiście, że tak – stwierdziła pani domu. – To nic w porównaniu z tym, co ci trzej nawyprawiali do tej pory. Niechże się pani przestanie strofować. Kiedy mężczyźni robią takie rzeczy jak pani, wszystkich to bawi.

– Ale ja nie jestem mężczyzną! Sama pani wie, że moje karykatury zawisną w witrynach drukarni, a moje nazwisko… kto by pomyślał… pojawi się w „Porannym Zwierciadle” pana Foxe’a. I nikt nie powie: „Chłopcy muszą się wyszumieć”, ponieważ nie jestem chłopcem!

– Istotnie, to wielce niesprawiedliwe – zgodziła się lady Charles. – Proszę jednak zostawić ten temat mnie. Napiszę do pani rodziców, powiadamiając ich, że Ripley przywiózł panią prosto do mnie. Najlepiej, żeby tak właśnie myśleli. Może mi pani zaufać, że przedstawię sprawy tak,

by ich nie zdenerwować. Mam w tym wiele doświadczenia, niech mi pani wierzy. List pójdzie dziś wieczorem, ekspresem. Dostaną go za parę godzin i będą spać spokojnie.

– Chciałabym tak sądzić, ale mocno w to wątpię. Nie wyobrażam sobie, co powiedzą przyjaciołom… i jakże żałuję, że nie myślałam o nich więcej, zanim uciekłam przez okno.

– Przełkną ten pani wyczyn, jeśli ostatecznie wyjdzie pani za księcia – orzekła lady Charles. – Cały świat go przełknie.

– Na tym etapie to mało prawdopodobne. Książę Ashmont…

– Potrzebuje pani. To całkiem oczywiste.

– Nie dla mnie.

– Ponieważ nie rozumie go pani tak dobrze, jak niektórzy z nas. Słyszałam o waszym spotkaniu niedaleko hotelu Clarendon. Metafora była dla mnie oczywista. Ashmont rozpaczliwie potrzebuje kogoś, kto odciągnie go znad krawędzi. Tak jak większość mężczyzn, przypuszczalnie zdaje sobie mgliście sprawę z tego, że jest nieszczęśliwy, niemniej jak większość mężczyzn nie analizuje swoich uczuć. W rezultacie nie ma pojęcia, na czym polega problem. Jednakże jakąś część jego jestestwa widocznie znużyło już życie, jakie prowadzi, i chaos, jaki tworzy. – Umilkła na chwilę. – Zastanawiałam się, czy Ripley poczuł się znużony… Ashmontem i tym życiem… i czy to z tego powodu wyjechał za granicę bez swoich przyjaciół.

Olympii żaden z książąt nie wydawał się znużony czymkolwiek, lecz przecież nie znała ich tak dobrze jak ta dama.

– Ale ta kwestia nie ma tu nic do rzeczy – ciągnęła bardziej energicznie lady Charles. – Chodzi o to, że potraktowała pani Ashmonta surowo i zaskarbiła sobie tym jego uwagę.

– Postanowił mnie poślubić, bo kazałam mu iść do domu zmienić buty? – zdziwiła się Olympia.

– Pani sposób bycia zwrócił jego uwagę. Potem… – Dama zastanawiała się przez chwilę. – Mocno podejrzewam, że ktoś oznajmił mu, iż nie ma najmniejszych szans pani zdobyć. Tak sama bym postąpiła, gdyby Ashmont wspomniał mi o dziewczynie, która wzbudzałaby moją aprobatę. Przejawia aż nazbyt wielką skłonność do rywalizacji. Wkrótce uzmysłowi sobie, że będzie musiał zapracować na pani szacunek i miłość. A kiedy to nastąpi…

– Jeśli. – Olympia nie zdołała się powstrzymać, by nie przerwać damie.

Do tej pory komenderowała pięcioma młodszymi braćmi. Trudno, by z utęsknieniem wyczekiwała wejścia w rolę niani dorosłego mężczyzny.

– Nie „jeśli” – sprzeciwiła się lady Charles – lecz kiedy. Kiedy. Znam go równie dobrze jak mojego bratanka i tego drugiego idiotę. Gdzie jeden, tam i dwaj pozostali. Byli nierozłączni, odkąd poznali się w Eton. Nigdy bym się nie spodziewała, że Ripley wybierze się za granicę bez nich i spędzi tam cały rok. Ale jak mówiłam, niewykluczone, że ten styl życia go znużył. I naprawdę sądzę, że dojrzał, odrobinę, na tyle wszakże, że zrobił, ile mógł, żeby… no cóż, nie pogorszyć dziś spraw.

Sprawy przedstawiałyby się lepiej, gdyby Olympia nie zobaczyła go nagiego.

I gdyby nie pocałował jej w ów bynajmniej nie przyjacielski sposób.

Był jednak nieokiełznany, od zawsze. Miłośnik praktycznych żartów i zarazem hulaka. Problem polegał na tym, że nie przywykła do kontaktów z osobnikami o tak złej reputacji, w dodatku kontaktów wielogodzinnych, i ta sytuacja wytrąciła ją z równowagi.

Kiedy nie była pijana bądź wytrącona z równowagi, była dziewczyną praktyczną. Dlatego właśnie zgodziła się poślubić Ashmonta, mężczyznę o równie złej reputacji. Mniejsza o granie niani i jego wady – gdyby otrzymała drugą szansę i jej nie przyjęła, postąpiłaby potwornie głupio, ponieważ po tej klęsce z pewnością będzie to jej absolutnie ostatnia szansa.

Gdyby zastała ciocię Delię w domu, skandal dałoby się wyciszyć. Teraz reputacja Olympii ani chybi legła w gruzach. Ripley twierdził co innego, ale on był mężczyzną i księciem. Nie miał pojęcia, jak szybko i surowo osądza się kobiety. Przez cały dzień, nawet po zapadnięciu zmroku, podróżowała krytym pojazdem z jednym z Ich Łajdackich Mości. Świat wkrótce usłyszy o scenach, jakie rozegrały się po drodze. Wpadała stopniowo w rozpacz, koszmarne satyryczne rysunki zdominowały jej myśli, kiedy lady Charles odezwała się znowu.

– Proszę posłuchać. Nie powinna pani nie doceniać Ashmonta. Zapewne trochę to potrwa, ale gdy wreszcie zasłuży sobie na pani szacunek i miłość, będzie pani szczęśliwa, że za niego wyszła. Mówię z doświadczenia. Charles nie był moim pierwszym wyborem. Szczerze mówiąc, poślubiłam go z rezygnacji, jeśli nie wręcz desperacji. On wszakże był zdeterminowany mnie uszczęśliwić, a za świadectwo mojego szczęśliwego małżeńskiego pożycia niech posłuży moje nieszczęśliwe wdowieństwo. Niemniej czas

leczy rany – dodała radośniej. – Wszyscy tak mówią, na pewno więc i ja w końcu się opamiętam. Porozmawiamy jednak więcej potem, jeśli ma pani ochotę. W tej chwili zalecam, żeby spróbowała pani odpocząć.

Wyszła i zaraz pojawiła się służąca, by uprzątnąć naczynia po herbacie.

Lady Charles dostarczyła Olympii mnóstwa tematów do rozmyślań, jakby sama już nie zgromadziła ich dosyć. Z taką gonitwą myśli w głowie była pewna, że nie ma cienia szansy na odpoczynek. Spacerowała po pokoju, usiłując posortować i skatalogować wszystko, co jej się dziś przydarzyło.

Nie pamiętała, żeby się kładła, toteż zdziwiła się ogromnie, kiedy obudziła ją Pickard, by pomóc jej się przebrać do kolacji.

***

Chociaż Ripley wystąpił na kolacji w niedopasowanych ubraniach stryja, nosił się w nich podobnie jak w rzeczach nabytych w Putney. Wyglądał książęco i denerwująco atrakcyjnie.

Po sprzeczce Olympia przekonała go, żeby trzymał stopę w górze, na krześle. Zrobił tak do wtóru licznych narzekań. Wkrótce jednak zapomniał o upokorzeniu, przestał utyskiwać i stał się zabawnym towarzyszem.

Mówił głównie o swoich podróżach po kontynencie, przy czym umiał opowiadać, podobnie jak autorzy tak przezeń lubianych romansów. Rozśmieszał obie kobiety raz za razem – i z racji tego osiągnięcia prezentował rozbrajająco szelmowskie zadowolenie z siebie.

Dobrze, ponieważ odciągało to myśli Olympii od rodziny, skandalu i Ashmonta. Źle, bo mogłaby go słuchać przez całą noc. Kiedy po raz ostatni miała ochotę słuchać mężczyzny, który nie mówił o książkach? Dlaczego ze wszystkich mężczyzn musiało paść akurat na niego?

Mimo to pozwoliła sobie cieszyć się wytchnieniem od wewnętrznego tumultu. Jako że służba ciągle krążyła w pobliżu, sprawy prywatne musiały zaczekać do po kolacji.

Czyli wcale nie tak długo.

Po posiłku lady Charles i jej goście przeszli do biblioteki.

Kiedy tylko służący ulokowali Jego Książęcą Wysokość na sofie, zakrzątnęli się przy tym i owym i wyszli, lady Charles przypuściła atak na bratanka.

– Miałeś jakiś plan? – zapytała ostro. – Czy też przyjechałeś tutaj, oczekując, że ja uporządkuję sprawy?

– To skomplikowane – odparł Ripley.

– Lady Olympia opowiedziała mi… nie wszystko, znając ciebie… ale istotne fragmenty.

Olympia z płonącą twarzą wstała z fotela i podeszła przyjrzeć się kompletowi książek na wysokości wzroku. Aczkolwiek niewiele widziała. Nazbyt absorbowało ją przekonywanie samej siebie, że lady Charles żadną miarą nie wyobraziłaby sobie sceny z nagim księciem jako jednego z pominiętych przez gościa epizodów.

– Mój plan zakładał, że zostawię lady Olympię bezpiecznie z tobą i Alice – wyjaśnił Ripley. – Sam wróciłbym do Londynu i zachęcił Ashmonta do podjęcia kolejnej próby.

– Doprawdy? – zdziwiła się lady Charles. – Skąd przypuszczenie, że Ashmont spokojnie pozostał w Londynie? To zupełnie nie w jego stylu. O wiele bardziej prawdopodobne jest, że was ściga.

– Tu właśnie pojawiają się komplikacje – odparł Ripley. – Miał już nieźle w czubie, kiedy lady Olympia i ja ruszaliśmy w drogę. Gdy nie dogonił nas w Putney, obstawiłem, że pił nadal, a potem Blackwood położył go do łóżka, jak zwykle. Skoro Ashmont do tej pory się nie zjawił, wiele przemawia za tą teorią. Tak czy owak, jeśli pojawi się teraz, zajmę się nim. Możecie zostawić to mnie.

Olympia odwróciła się od książek.

– Zostawić panu! To ja uciekłam. Jeśli istotnie przybędzie… w co mocno wątpię… ja powinnam się nim zająć.

– Niezły pomysł. Kiedy się zjawi, niech pani zaatakuje pierwsza i zmusi go do obrony – poradził Ripley.

– Jeśli się zjawi.

– Przyjedzie. Obstawiałem jedynie, że nie przyjedzie dzisiaj. Mimo wszystko powinniśmy uwzględnić możliwość, jakkolwiek mało prawdopodobną, że Blackwood doprowadził go do stanu jako takiej trzeźwości. W takim wypadku, no i jeśli Blackwood mu towarzyszy, pomagając dodawać dwa do dwóch, odnajdzie nas dosyć prędko. Raczej nie przemykaliśmy niepostrzeżenie. Problem w tym, że wolałbym z nim porozmawiać, zanim przyjedzie zabrać stąd narzeczoną.

– Jako że to już nierealne, obmyśl plan alternatywny – poradziła mu lady Charles. – Na przykład gdyby te dwa łotry zjawiły się tu o trzeciej nad ranem.

– Zakładacie, że Ashmont chce mnie stąd zabrać – wtrąciła Olympia. – Na jego miejscu przyjechałabym jedynie po to, żeby dać mi odprawę. Prawdę mówiąc, w ogóle nie trudziłabym się, żeby przyjeżdżać.

– Przyjedzie – oznajmiła lady Charles z takim samym jak u Ripleya niewzruszonym przekonaniem.

– Jedyne pytanie brzmi: kiedy – dopowiedział Ripley. – Fakt, że ma pani sześciu braci, lady Olympio, nie czyni pani ekspertką w kwestii Ashmonta. Cechuje go ogromna skłonność do rywalizacji. Jak również przywykł dopinać swego i dostawać to, czego chce.

– A którego z was trzech to nie dotyczy? – zainteresowała się Olympia. – Którego mężczyzny to nie dotyczy? A co z męską dumą? Porzuciłam go. Na oczach wszystkich.

– Patrzy pani na sytuację od niewłaściwej strony – stwierdził. – Jest pani kobietą. Jego kobietą. Duma każe mu przezwyciężyć powód, który nakłonił panią do ucieczki. Powinna pani stale pamiętać o tym, że on nie potrafi oprzeć się wyzwaniu.

Przypomniawszy sobie wcześniejsze słowa lady Charles, Olympia przeniosła wzrok z pani domu na Ripleya.

– Wyzwaniu.

– Ashmontowi zawsze szło z kobietami zbyt łatwo – wyjaśniła lady Charles. – Być może po części ma to związek z typem kobiet, z jakimi się zadaje. Niemniej fakt pozostaje faktem.

– Czyli mój urok polega na tym, że jestem trudna – podsumowała Olympia.

– I inna – uzupełnił Ripley. – Ani trochę nie przypomina pani tego, do czego przywykliśmy.

– Inna i trudna.

– Właśnie.

Co za ironia, pomyślała. Właśnie z powodu tego, że była inna i trudna, zesłano ją do grona podpierających ściany, przyzwoitek i staruszek. Gdyby tylko wiedziała, że te cechy pociągają rozpustników… ale nie, nie zrobiłoby to różnicy, ponieważ dobre dziewczyny trzymają się z dala od mężczyzn takich jak Ich Łajdackie Mości.

– Wcale nie – zaoponowała lady Charles. – Ashmont to mężczyzna. Pierwszym, co zauważa, nie jest jej osobowość.

– Och, to zrozumiałe samo przez się – odparł Ripley.

Olympii nie przychodziło do głowy, co takiego mężczyźni zauważają jako pierwsze poza, naturalnie, wyglądem. Ponieważ jej wyglądu jakoś nie zauważali, ewidentnie nie dorastał do oczekiwań.

– Nie dla mnie – powiedziała.

Ripley przewrócił oczami.

– Proszę użyć głowy, tej z wielkim mózgiem w środku. Gdyby nie była pani ładna i kształtna, nie zalecałby się do pani, bez względu na wyzwanie.

Powiedział to tak, jakby chodziło o najoczywistszą rzecz pod słońcem.

Ładna i kształtna.

Spójrzcie jednak, z czyich ust padły te słowa: księcia Ripleya, słynnego dziwkarza i lekkoducha. Olympia rumieniła się i drżała, przecież jest faktem powszechnie znanym, że rozpustnicy są absolutnie niewybredni.

– Nie będzie natomiast chciał pani dla jej umysłu – ciągnął Ripley. – Nie zda sobie sprawy, że pani takowy posiada, i przypuszczalnie tym lepiej. Będzie sądził, że to on jest tym sprytnym, pani zaś owinie go sobie wokół palca.

– W to nie wątpię. – Lady Charles się uśmiechnęła. – Niech pani słucha mojego bratanka, lady Olympio. Wie, o czym mówi.

Olympia popatrzyła na Jego Książęcą Wysokość, który spoczywał na sofie w pozycji półleżącej, niczym pasza w haremie. Zamiast fajki wodnej trzymał w ręku kieliszek z winem. Kręcił nim, nachylając ciemną głowę, gdy zaglądał do wnętrza, jakby czytał tam jej przyszłość.

Nasunęła jej się pewna myśl i już nie dało się jej cofnąć:

To nie Ashmonta chcę owinąć sobie wokół palca.

I wtedy wreszcie dotarło do niej, w jakich tarapatach się znalazła.

***

Dama się zbuntowała, ponieważ nie zabiegałeś o nią należycie do samego końca. Ja jedynie usiłowałem przekonać ją do powrotu. Kiedy odmówiła, cóż innego mogłem zrobić, niż tylko zadbać, żeby nie wpadła w kłopoty?

Coś mniej więcej w tym stylu Ripley zamierzał powiedzieć przyjacielowi. Ponadto miał mu do przekazania sporo porad na temat tego, jak troszczyć się o lady Olympię Hightower i jak się z nią obchodzić, chociaż napracowałby się, żeby skłonić Ashmonta do wysiedzenia w spokoju na tyle długo, by ich w skupieniu wysłuchał.

Po pierwsze, Ashmont usiłowałby grzmotnąć Ripleya w twarz.

Po drugie, usiłowałby zawrócić pannie młodej w głowie.

Te dwie możliwości pozostawały aktualne.

Problem w tym, że Ripley nie dotrze do Ashmonta odpowiednio wcześniej.

I w tym, że oto miał przed sobą rzeczoną wybrankę, ubraną apetycznie, nawet jeśli nie tak szykownie jak przedtem. Nosiła niebieską suknię, należącą niegdyś zapewne do Georgiany lub innej kuzynki Ripleya, lub nawet do Alice. W każdym razie nie do cioci Julii. Ostatnimi czasy garderoba tej ostatniej sprowadzała się do posępnych szarości i brązów, praktycznie pozbawionych ozdób.

Lady Olympia była tego wieczoru przyozdobiona równie pięknie jak wyśmienite wypieki jego francuskiego kucharza.

Choć nie miała odsłoniętej szyi ani barków, w zasadzie na jedno wychodziło, gdyż wyszywana koronkowa szmizetka, niemalże przezroczysta, nie mogła ukryć gładkości jej pięknych ramion czy miękkiej krągłości piersi ponad linią dekoltu. Pokojówka modnie upięła jej włosy, z pętlami z warkoczy po bokach i wielkimi zawijasami na czubku głowy, przeplatając przez nie wstążki.

Ripley był mężczyzną. Znaczyło to, że nawet gdy usiłował podjąć decyzję co do dalszych działań w kwestii Ashmonta, szczegółowo analizował proces rozwiązywania wstążek, tak by te miękkie, gęste, brązowe włosy spłynęły jej na ramiona, oraz usuwania pozostałych elementów jej stroju, kawałek po kawałku. Próbował wpatrywać się w wino, jakby kryła się tam wyrocznia, lecz mimo to pozostawał jej świadom.

Nie powinien był jej kosztować, gdyż skosztowanie nigdy nie wystarczy. Był mężczyzną nieustannie złaknionym przyjemności – stołu, łoża, ogólnie wszelakich – i zanadto przywykł dostawać to, czego chce, za mało zaś – opierać się pokusie.

Napomniał się, że w tym przypadku nie chodzi o zwykłą pokusę. Nie współzawodniczył z Ashmontem o pierwszą lepszą aktorkę, baletnicę,

kurtyzanę czy wesołą wdówkę. Tym razem Ripley nie miał prawa współzawodniczyć – i to nie ze względu na jedną z obowiązujących w towarzystwie nużących reguł, które łamał bez skrupułów. Ashmont był jego przyjacielem, ona zaś była narzeczoną Ashmonta. Podpisano całe stosy prawniczych dokumentów. Na ślub zaproszono połowę eleganckiego świata.

Przy czym Ashmont chciał ją poślubić. Dał to bardziej niż jasno do zrozumienia.

Po prostu nie wzbudził podobnej chęci u panny młodej.

– Ripleyu? – Głos cioci Julii gwałtownie przywołał go z powrotem do rzeczywistości. – Jeśli nie masz kolejnych małżeńskich porad dla lady Olympii, może skierujesz myśli ku temu, jak zapobiec awanturze, kiedy twoi kompani bladym świtem wpadną z rykiem do domu.

– Nie pozwalasz na awantury – stwierdził.

– Okoliczności są wyjątkowe. Nigdy dotąd nie uprowadziłeś narzeczonej przyjaciela.

– Gwoli ścisłości, to ja uprowadziłam księcia – wtrąciła lady Olympia.

– Poszedłem dobrowolnie – zapewnił.

– Nieprawda.

– Nie z początku – zgodził się. – Ale stopniowo mnie pani podbiła.

Przyglądał się, jak się rumieni. Zarumieniła się już wcześniej, kiedy wspomniał o jej figurze, toteż koniecznie musiał podkreślić jej kształtność, by zobaczyć, jak rumieniec się intensyfikuje.

Cóż począć? Była ładna i kształtna, no i dobrze smakowała, kiedy zaś rozmawiano o świętości, jego imię raczej nie wypływało.

– Ashmont będzie musiał to zrozumieć – stwierdził. – Wy, damy, robicie wiele hałasu o nic. Rzecz jest całkiem prosta: jeśli on i Blackwood pojawią się w środku nocy, służba ma ich nie wpuszczać, tylko przyjść po mnie. Jeżeli w tym czasie moi przyjaciele zrobią się niesforni, poszczuj ich psami. – Ciocia Julia zrezygnowała wprawdzie ze zwierząt domowych, niemniej w każdej posiadłości znajdowali się mężczyźni z psami do pilnowania terenu. – Tak czy owak, zajmę się nimi jak tysiąc razy wcześniej. I cioteczko, jeśli nie będziesz miała nic przeciw wstaniu z łóżka, możesz zgromić ich spojrzeniem, co tak cudownie ci wychodzi.

– A co ja mam robić? – spytała lady Olympia. – Przycupnąć tchórzliwie u siebie w pokoju?

– Czytać książkę – podpowiedział.

To spojrzenie, jakie posłała mu znad okularów! Pod jego wpływem miało się chęć poderwać ją z fotela i…

I nic.

Fatalnie. Powinien jak najszybciej załatwić sprawy z Ashmontem.

– A skoro mowa o psach – kontynuował – Ashmont zna ten dom. Na wypadek gdyby wykazał się nieoczekiwaną przebiegłością, może pani zechcieć mieć przy sobie tej nocy Katona.

– Katona! – obruszyła się. – Najpewniej powita intruzów radosnym lizaniem po twarzy. Nic nie wskazuje na to, żeby był psem stróżującym.

– To pies myśliwski – odparł Ripley. – Ocaliła go pani przed koszmarnym pobiciem. Będzie pani bronił.

Nawet przede mną.

Choć nie planował robić niczego nieprzyzwoitego. Wykluczone. Była narzeczoną Ashmonta. Była niewinna. Istniało kilka zasad, których nie łamał nawet Ripley. Dlatego nie będzie szukał wymówek, żeby do niej zajrzeć po tym, jak ona uda się do łóżka.

Tak, bardzo chciałby zobaczyć ją w koszuli nocnej. I bez koszuli.

Cóż za piekielna strata wyobraźni!

Nic dziwnego, że on i jego przyjaciele trzymali się z dala od dziewic i szacownych mężatek. Tego nie wolno. Tamtego nie wolno.

– Nie wpuszczę tego psa do domu, dopóki nie zyskam pewności, czy mogę mu zaufać – oznajmiła lady Olympia. – Powinien był przybiec na wołanie. Nie powinniśmy być zmuszeni go ścigać. Gdyby zachowywał się należycie, nie wszedłby pan w króliczą dziurę. Pozostanie w stajni, czy gdzie tam go umieścili, do czasu… – Urwała, marszcząc brwi.

– Ach, ot i szkopuł – skomentował Ripley. – Do czasu, gdy Ashmont przyjedzie i panią stąd zabierze? Albo pani rodzice?

– Nonsens – oznajmiła ciocia Julia. – Lady Olympia pozostanie tu tak długo, jak zechce. Napisałam do jej rodziców z obietnicą, że się nią zaopiekuję, i tak też zrobię. Będzie tu całkowicie bezpieczna i nikt jej stąd nie zabierze. A tymczasem ty zajmiesz się swoimi głupimi przyjaciółmi. Jutro przyjrzymy się psu. Lady Olympio, potrzebuje pani odpoczynku bardziej, niż pani sądzi. Udajmy się dziś wcześniej do łóżek. Jeśli ci dwaj niedorzeczni mężczyźni mają się zjawić w nocy, wolałabym być na górze,

gdzie mogę przygotować się na spotkanie. Szykując wrzącą oliwę w razie konieczności.

Ponownie uprowadziła z pokoju narzeczoną Ashmonta.

Tym lepiej, powiedział sobie Ripley. Za dużo myślał i nie umiał zapanować nad tymi kompletnie bezużytecznymi rozważaniami. W pobliżu nie było nikogo, kto zaradziłby celibatowi, z powodu którego tak trudno przychodziło mu je poskromić, on zaś nie opuści domu, żeby znaleźć lekarstwo.

Spiorunował wzrokiem uszkodzoną stopę. Ile dni przez nią straci?

I jak przetrwa te dni, pozostając przy zdrowych zmysłach?

***

Nazajutrz rano

– On nie może jechać konno do Londynu! – wykrzyknęła Olympia. – Nie powinien był nawet przychodzić tutaj. Miał absolutnie nie obciążać stopy. Wszyscy o tym wiedzieli!

Zeszła na śniadanie wcześniej niż zazwyczaj, gdyż obudził ją koszmar senny. W tym śnie Ashmont dobijał się do drzwi, a Ripley i Katon wyskoczyli przez okno i powalili go na ziemię. Jednak kiedy Ashmont i Ripley walczyli, Bullard złapał psa i zaczął okładać go batem.

Sumienie gryzło ją z powodu tego, że porzuciła Katona w obcym miejscu, i nie zdołała na powrót zasnąć. Zjadła więc szybkie śniadanie i pospieszyła do stajni, gdzie stajenny poinformował ją, że Jego Książęca Wysokość odjechał konno „chwilkę temu”. Kierował się do Londynu.

– Przepraszam, milady, nie wiedzieliśmy, że Jego Książęcej Wysokości nie wolno jechać – korzył się stajenny. – A nawet gdybyśmy wiedzieli, niełatwo powstrzymać Jego Książęcą Wysokość, kiedy chce coś zrobić.

– Co za lekkomyślny człowiek! Bandaże też na pewno ściągnął. Choć i tak nie na wiele by się zdały, skoro zamierzał przechadzać się po stajni i jechać konno do Londynu. Słowo daję, pożałuje tego przed upływem godziny. A wtedy będzie za późno.

Pogłaskała Katona po łbie, a pies polizał jej osłoniętą rękawiczką dłoń.

– Dlaczego go nie powstrzymałeś? – spytała. – Szkoda, że nie zdążyłam cię nauczyć, żebyś chwytał zębami połę jego surduta. Ale nie, jest dorosłym

mężczyzną i jeśli chce zachowywać się w sposób autodestrukcyjny, mądrzejsi od niego lub psy i tak go nie powstrzymają. Wybierzemy się na spacer, Katonie, i sprawdzimy, jakie masz maniery. I nie będziemy zaprzątać sobie głowy determinacją księcia Ripleya, żeby zrobić z siebie kalekę.

Było to racjonalne posunięcie.

Niech sobie jedzie.

Olympia tymczasem zajmie się psem, którego, nawet jeśli miał złe maniery, będzie nieskończenie łatwiej okiełznać i wyszkolić niż zepsutego, lekkomyślnego arystokratę.

– Hau! – zaszczekał Katon.

Popatrzyła z góry na psa, ten zaś odwzajemnił spojrzenie z blaskiem w oczach, merdając uniesionym ogonem.

– Ach, ale masz reputację psa myśliwskiego, zgadza się? Sprawdzimy? – Następnie odwróciła się do stajennego. – Będę potrzebować powozu.

Wyjaśniła, do czego jest jej potrzebny.

Następnie pobiegła do domu.

Rozdział 10

Ripley powtarzał sobie, że nie popełnił błędu.

Jeszcze jeden dzień w pobliżu lady Olympii Hightower i zmieniłby się w bełkocącego idiotę.

Sposób, w jaki na niego spojrzała, kiedy powiedział, że jest ładna i kształtna… ten rumieniec, ten blask w oczach. Popatrzyła na niego tak, jak zrobiłaby to inna kobieta, gdyby obsypał ją diamentami.

Mówił sobie wtedy, że to normalne, iż czerpie radość z jej rumieńców. Nie było wszakże normalne, że ich wspomnienie towarzyszyło mu aż do łóżka i nawiedzało w nocy. Nie było normalne, że czuł się winny, nieszczęśliwy i zły na cały świat z powodu kobiety.

Wykluczone, żeby celibat okazał się aż tak toksyczny. Działo się coś jeszcze, o czym nie zamierzał myśleć. W ogóle nie zamierzał myśleć.

Zamierzał zostawić ją za sobą i zrobić to, co trzeba. Zamierzał postąpić właściwie, ponieważ był cholernym rycerzem w lśniącej zbroi. Według wszystkich wkoło, psiakrew.

Włącznie z Ashmontem, który nie mógł być trzeźwy na własnym ślubie ani ścigać własnej narzeczonej, kiedy uciekła, teraz zaś zupełnie się nie spieszył, żeby ich znaleźć, mimo że Ripley nawet nie próbował się ukrywać i bez wątpienia co druga osoba rozpoznała go po drodze. Czy można zostawić wyraźniejszy trop? Czy Ripley powinien był rozmieścić drogowskazy?

Tymczasem jego kostka, która rankiem, gdy wyruszał, zdawała się mieć całkiem nieźle, postanowiła jeszcze bardziej uprzykrzyć mu dzień.

Do Cobham i tamtejszej gospody U George’a została mu może mila. Tam odpocznie.

Nie, nie odpocznie. Po przejechaniu jakiego dystansu? Sześciu mil? Do tej pory powinien był pokonać odległość dwa razy większą, nawet z bolącą kostką.

Ale czuł się piekielnie zmęczony. Chory i zmęczony.

Nie spał, z jej powodu. Niegrzeczne sny nie stanowiłyby problemu. Miewał je nieustannie. Lecz nie tylko takie mu się śniły. Ukazała mu się w swojej ślubnej kiecce, dziewiczo biała, z jaśniejącą twarzą, a on porwał ją w ramiona i poniósł z dala od wściekłego Ashmonta. Albo, w innym śnie, ujrzał ją na ślubie, którego nie było, gdy stała obok Ashmonta, zza zasłony welonu patrzyła jednak na niego, pociemniałymi oczami. Widział łzy spływające jej po twarzy pod welonem, aż ten przemókł do szczętu, podobnie jak suknia. A później padało i znajdowali się na łodzi, skąd wpadła do rzeki i prąd uniósł ją poza zasięg Ripleya, gdy on z rykiem wykrzykiwał jej imię.

Obudził się zlany zimnym potem.

Wolał nie zasypiać ponownie.

Poczekał na pierwsze oznaki świtu, po czym założył jakieś ubrania stryja. Dlaczegóż, u licha, ciocia Julia je trzymała? Jak miało jej się polepszyć, skoro uczepiła się… czegoś, czego już mieć nie mogła.

Przestań, rozkazał sobie.

Wymknął się niepostrzeżenie. Tylko to się liczyło.

Niedługo po opuszczeniu Camberley Place zatrzymał się w gospodzie Talbot w Ripley, miasteczku, które było jego imiennikiem. Tam przygarnął kufel, by sobie wynagrodzić niezjedzone śniadanie. Nie powinien był zatrzymywać się tak szybko i na tak długo. Po pierwszym kuflu naszła go ochota na kolejny, i jeszcze jeden, za co rad obwiniłby swoją irytującą stopę, prawda jednak była taka, że zwyczajnie nie potrafił wziąć się w garść.

Miał wówczas chęć zawrócić. Nadal chciał zawrócić.

Tyle że nie mógł tego zrobić. Nie miał tam czego szukać.

No i oto wlókł się w tempie, które zapewne odpowiadałoby temu jej lordowi Mendsowi.

I dlaczego? Ponieważ dama tak troskliwie zajęła się jego przeklętą stopą. Choć ogromnie pragnął dostać się do Londynu, nie zdobył się na to, żeby zniszczyć jej dzieło. Zwłaszcza że nie mógł wyglądać na kalekiego i słabego podczas konfrontacji z Ashmontem.

Stąd też kolejna tortura: ilekroć odczuwał ukłucie dokuczliwego bólu w tej nieznośnej kostce, przypominał sobie dłonie Olympii na swoim ciele, na swojej stopie, rzeczowość, z jaką się nim zajmowała, całkowicie nieświadoma jego rozpaczliwego podniecenia.

Była miła, powiedział Ashmont.

Nie zdawała sobie sprawy, co ta jej odmiana bycia miłą robi mężczyznom takim jak oni.

Spojrzał w górę. Słońce, usiłujące przebić się przez ołowiane chmury, rzucało słabowity blask. Och, wspaniale. To lubił najbardziej: wlec się do Londynu w ulewie.

Tak, ty biedny, pożałowania godny męczenniku. Podróż w deszczu. Jakbyś co rusz tak się nie przemieszczał, i to pełnym pędem.

Niemniej przy tamtych okazjach był pijany. Teraz czuł się stanowczo zbyt trzeźwy. Powinien był wychylić tych parę dodatkowych kufli.

Ile będzie musiał wypić, żeby wypłukać ją z myśli?

Nie było za późno, żeby to ustalić. U George'a mógłby wynająć powozik. Wtedy podróżowałby szybciej. Osuszyłby też kufelek albo trzy, podczas gdy stajenni szykowaliby pojazd. I zabrałby w podróż butelczynę. Kiedy ktoś inny by powoził, Ripley mógłby się upić do nieprzytomności.

Jeszcze tylko dwie mile lub niewiele więcej.

Ledwie skończył tę myśl, gdy świat wokół pociemniał. Nad jego głową kotłowały się chmury, czerniejąc wzdłuż krawędzi. Kropla deszczu rozprysła się na końskim łbie. Usłyszał, jak kolejna uderza o jego kapelusz. Czy raczej kapelusz jego stryja. Chociaż bez porównania lepszej jakości niż ten kupiony w Putney, pasował tylko minimalnie lepiej.

Spadały kolejne krople, coraz szybciej i szybciej, bębniąc o liście i rozpraszając kurz na drodze.

Cudownie.

Dlaczego, psiakrew, nie został we Florencji jeden przeklęty dzień dłużej?

Nie byłoby go teraz tutaj.

Ślub stałby się faktem dokonanym.

Albo i nie.

Tak czy owak, ktoś inny zmagałby się z problemem panny młodej.

Ripley natomiast nigdy by się nie dowiedział, co go ominęło.

Jego wierzchowiec brnął wolno dalej, obojętny na deszcz.

Polecił sobie brnąć dalej. Odrobina wilgoci go przecież nie zabije.

Deszcz przybrał na sile, spływał Ripleyowi na kark z ronda kapelusza. Demony dźgały sztyletami jego kostkę.

Spod kapelusza wbił wzrok w ulewę.

Po bliższej stronie drogi rozciągał się wygon. Tutaj nie znajdzie schronienia. Jednakże kawałek dalej po prawej, granicząc z gąszczem krzewów, stało skupisko drzew. Skierował się tam i znalazł wąską ścieżkę. Skręciwszy w nią, zagłębił się między drzewa, niezbyt daleko. Rosły na tyle gęsto, by powstrzymać najgorszą ulewę.

Tutaj czekał.

I czekał.

Kostka mu pulsowała. Z ogromną chęcią by się napił. Z ogromną chęcią by się z kimś pobił.

Zsiadł z konia, na co kostka zareagowała, jakby próbował ją zamordować.

– Idź do diabła – poradził jej.

Znalazł jakiś pniak i usiadł, wyciągając przed siebie nogi.

Musi pan trzymać ją w górze, powiedziała.

Przypomniał sobie, jak zatykała nos i udawała, że zbiera jej się na wymioty, kiedy zdjęła mu but. Przypomniał sobie, jak zaatakowała tamtego brutalnego łajdaka.

Wyobraził ją sobie jako żonę Ashmonta i zrobiło mu się niedobrze.

Rozkazał sobie o tym nie myśleć, lecz tym razem sztuczka nie podziałała.

Całą wieczność później deszcz zaczął słabnąć.

Popatrzył w górę, między ociekające wodą drzewa. Chmury się rozpraszały.

Koń rzucił łbem. W krzakach coś zaszeleściło.

Ripley spojrzał w tamtym kierunku.

– Hau!

Katon potruchtał ku niemu z wywieszonym językiem.

– Grzeczny chłopiec! – zawołał znajomy głos.

W ślad za Katonem błotnistą ścieżką nadciągała Nemezis.

***

– Co za głupiec!

Och, był nim, ponieważ na dźwięk jej głosu niebo zrobiło się błękitne, słońce wybuchło złotą wspaniałością, a Ripleyowi, mówiąc krótko, niebezpiecznie mało brakowało, by rozpłakał się z ulgi.

Dźwignął zesztywniałe ciało z pniaka. Tak, oszalał. Możliwe, że przez nią. Ale mimo wszystko miał maniery, swego rodzaju, gdy sytuacja tego wymagała, ona zaś była przecież damą. Dżentelmen wstaje, kiedy pojawia się dama, nieważne, do kogo ta dama należy i jak bardzo go prześladuje.

– Co pan sobie myślał? – zaatakowała.

– A jak się pani wydaje?

Założyła coś, co wyglądało na suknię cioci Julii: wąskie rękawy, ponury odcień brązu, fatalnie niedopasowana. Podczas gdy lady Olympia i jego ciocia były niemalże tego samego wzrostu, figury miały różne. Talia sukni zwisała sporo poniżej miejsca, gdzie w jego ocenie znajdował się pępek lady Olympii, u góry krój nie dotrzymywał kroku idealnej pochyłości jej ramion, a stanik rozmijał się z piersiami. Kapelusz, równie posępny jak suknia, z jednym obwisłym piórkiem na czubku, tkwił na jej głowie lekko przekrzywiony, wstążki zawiązano koślawo.

Poczuł się tak, jakby wypił idealną ilość szampana. Uzmysłowił sobie, że czuje się przy niej w ten sposób od chwili, gdy rozkazała mu, by pomógł jej otworzyć okno.

Przybierając gburowaty wyraz twarzy, spojrzał na psa.

– Zapolowała pani na mnie – stwierdził. – Z psem. Jest pani niebezpieczną kobietą.

Stała, podparta pod boki, mierząc go wzrokiem z góry na dół.

– Szaloną, to być może, skoro próbuję ocalić pana przed nim samym. Siadać mi natychmiast, na miłość boską!

Katon usiadł. Ripley nie.

– Męski umysł doprawdy mnie zadziwia – skomentowała. – Czy pan usiłuje zrobić z siebie kalekę? Ma pan choć cień pojęcia, jaką szkodę, trwałą szkodę, mógł pan sobie wyrządzić?

– Nie, ponieważ żadnej szkody nie będzie. Nieraz już coś sobie zwichnąłem. Niepotrzebnie pozwoliłem, żeby tak się pani ze mną cackała. A ci wspomniani przez panią marynarze, sądzi pani, że obijają się na statku między kuracjami z wody morskiej?

– Pan nie jest marynarzem. Jest pan zepsutym, nawykłym do wygód arystokratą. Jeśli mówi pan o tym, jak dobrzał po urazach w chłopięcych latach, proszę pamiętać, że te czasy ma pan dawno za sobą. Kończyny chłopców nadal rosną. Goją się szybko. Pan jest dorosłym mężczyzną… nie licząc mózgu… i w pańskim przypadku wygląda to inaczej.

– Nie jestem też starym, grubym hipochondrykiem – zaoponował. – Najwyraźniej myli mnie pani ze swoim lordem Mendsem.

Mrugnęła, raz.

– Nie, nie, rozróżniam panów bez trudu. Mój lord Mends nosi perukę. Pan ma więcej włosów niż rozumu.

– Nigdy nie udawałem uczonego – powiedział. Aczkolwiek Mends nim był. I to wielce poważanym, nadęty osioł. – Wyłącznie z tego powodu, że nie robię potulnie tego, co według pani powinienem, uważa mnie pani za bezmózgiego.

Pragnął potulnie wypełniać jej rozkazy.

Przydałoby się, żeby ktoś go postrzelił. Najlepiej w głowę, gdzie przyniosłoby to jakiś pożytek.

– I upartego – uzupełniła. – No dalej. Niechże się pan oprze o konia. Albo o drzewo. Stanie prosto sprawia panu ogromny ból… ale będzie pan tak stał, jedynie żeby udowodnić to, cokolwiek niby musi pan udowodnić.

Pragnął oprzeć się na niej.

– Niczego nie udowadniam. Miałem plan, jak wspomniałem minionego wieczoru. Nie widziałem powodu, żeby go zmieniać. Jadę do Londynu.

– Nie widział powodu – powtórzyła, potrząsając głową. – Jakże żałuję, że nie napoiłam pana laudanum. – Popatrzyła na Katona. – Zupełnie jak mówić do chłopca, co z kolei przypomina mówienie do ściany.

Odetchnęła głęboko, czym wywołała hipnotyzujące poruszenie pod stanikiem. Wiedział, że nie ma sensu zabraniać sobie patrzenia. Wyraźnie lubił cierpieć.

Odwróciwszy się znów do Ripleya, powiedziała:

– Wiem, że szkoda strzępić sobie język, lecz zarówno rozum, jak i sumienie domagają się ode mnie wyliczenia kilku zdroworozsądkowych zasad. Nie obciąża się kończyny z urazem. Trzyma się ją w górze. Daje się jej czas na wyleczenie.

– Miała dostatecznie dużo czasu.

Wzięty na uspokojenie oddech najwyraźniej nie poskutkował, gdyż oczy jej zapłonęły, policzki się zaróżowiły i krzyknęła:

– Dziesięć godzin nie wystarczy, matole! – Zamachała w powietrzu pięściami, przez co suknia przemieściła się w jedną, a jej piersi w drugą stronę. – A godziny jazdy konnej po wiejskich drogach się nie liczą, kretynie!

Była rozkoszna.

Nienawidził Ashmonta. I siebie także.

Dawno już powinno go tutaj nie być.

– Jeśli skończyła pani kazanie, będę ruszał – rzekł.

Odwrócił się, żeby chwycić wodze.

– Dalej – powiedziała. – Niech pan postawi na swoim. Widocznie popadłam w chwilowy obłęd, skoro uznałam, że rozum i sumienie cokolwiek dla pana znaczą. Jesteście niemożliwi, cała ta wasza banda. Uparcie dążycie do autodestrukcji. Powinnam być mądrzejsza, ale nie, musiałam wyprawić się w podłą pogodę, żeby ocalić pana przed jego własnym szaleństwem, ponieważ pan zrobił, co w jego mocy, żeby ocalić mnie przed moim. Ocalenie pana, dowolnego z was, co za żart. No cóż, po prostu kolejny błąd w ocenie sytuacji. Przepraszam, że zakłóciłam panu podróż.

Usłyszał wściekły szelest spódnic i halek. Wiedział, że powinien go zignorować, dosiąść konia i znaleźć się daleko stąd. Tyle że zawsze miał problem z rozmaitymi „powinien”. Odwrócił się akurat w porę, by zobaczyć, jak ona rusza z powrotem, z uniesioną głową, sztywno wyprostowana. Te plecy. Sugestia zniecierpliwienia w jej chodzie. W tej chwili więcej aniżeli sugestia.

Ależ był z niego łajdak.

Troszczyła się o niego. Dołożyła starań, żeby pomóc mu wyzdrowieć. A on – no cóż, był, kim był. Nie zmieni swojego charakteru, tak jak nie zmieni przeszłości. Nie umieści siebie przed hotelem Clarendon tamtego dnia.

– Do diabła, Olympio. – Pokuśtykał za nią.

Maszerowała przed siebie.

– Nie obchodzi mnie, co pan robi. Okuleje pan. Nigdy więcej nie zatańczy. Dla mnie to bez znaczenia.

– Nie mogę tam zostać… w domu cioci Julii! – powiedział do jej pleców. – Nie rozumie pani. Nigdy pani nie zrozumie. Nie chcę, żeby pani zrozumiała.

Nie było w tym żadnego sensu, ale nie dbał o to.

– Ma pan rację – odparła. – Nie chcę rozumieć. Nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, co pan robi. Ale dziękuję za naukę. – Odwróciła się ku niemu z furkotem spódnic. – Jeśli otrzymam kolejną szansę z

Ashmontem, będę na tyle mądra, żeby nie zważać na jego poczynania. Będę prowadziła życie umysłowe, więcej niż do przyjęcia, a zarazem nieskończenie mniej irytujące niż próby komunikowania się z takimi jak wy.

Złapał ją za ramię. Jak przez mgłę słyszał warczenie Katona, zaledwie hałas w tle wobec pierwszoplanowej kakofonii w jego głowie.

– Muszę jechać, ponieważ…

– Nie obchodzi mnie to.

– Ponieważ – rzekł.

Ponieważ stała tutaj, rozsierdzona i pachnąca deszczem, lasem i świeżością, a pod dłonią czuł ciepło jej ramienia. Przez nią nie spał w nocy, tamta krótka chwila, gdy ją smakował, uparcie go prześladowała. Lekkomyślny tępak z niego, ale taki już był. A tutaj miał ją. I byli sami. On zaś pragnął.

Tyle wiedział, kiedy pociągnął ją w ramiona, mamrocąc:

– Ponieważ to.

Pocałował ją. A gdy tylko ich wargi się zetknęły, pożądanie, które zwalczał, jak mu się zdawało, całą wieczność, zwyciężyło.

Całował ją jak mężczyzna, który pragnie czegoś, czego mieć nie może, lecz i tak musi to dostać, jak mężczyzna, któremu za całą wiedzę wystarczy świadomość, że to zdobył. I z tym pierwszym posmakowaniem i doznaniem jej ust, doznaniem jej ciała miażdżonego o jego własne, wszystkie uczucia, od pewnego czasu na różne sposoby usiłujące przebić się na powierzchnię, dokumentnie złe, stały się słuszne.

A kiedy mocno uchwyciła się jego ramion, jakieś napięcie w nim, które zdawało się czekać na ten moment od wieków, poddało się.

Przytrzymał od tyłu jej głowę i pocałował ją z większą niecierpliwością, przekonując. *Zostań*, namawiał ją ustami. Z czymś, co brzmiało jak westchnienie, ustąpiła, a świat wrócił na swoje miejsce. Otworzyła dla niego wargi, wtopiła się ciałem w jego ciało, aż zatoczył się pod wpływem związanego z tym ciepła i fali gwałtownej przyjemności, chora noga zachwiała się pod nim niebezpiecznie.

Nie dbał o stopę czy ból, w ogóle o cokolwiek poza nią. Trzymał ją i chłonął jej smak, doświadczał jej, zarazem lecąc w tył, aż uderzył plecami o coś twardego i szorstkiego.

Pozycja nie miała znaczenia, liczył się wyłącznie jej kształt, sposób, w jaki się doń dopasowywała, cudowny napływ uczuć. Przede wszystkim zaś potęga tego pocałunku, coraz głębszego, gdy podążała za jego przewodnictwem.

Ach, dobrze sobie radziła. Uczyła się szybko, domagała się podobnie jak on, aż początkowe, przyjemne ciepło rozrosło się w mroczny żar, wypalając z mózgu Ripleya resztki rozsądku.

Doznań, emocji, tych z kolei miał w nadmiarze. Zalewały wewnętrzny głos, który usiłował przypomnieć mu, kim ona jest i co jest słuszne, a co złe. Powiódł dłońmi po jej idealnych barkach, a potem w dół prostych pleców, do wspaniałej krągłości pośladków. Jak dobrze. Doskonale. Przyciągnął ją sobie mocniej do pachwiny. Jeszcze lepiej.

Ale ona zatchnęła się, przerwała pocałunek i spróbowała wywinąć się z objęć. Czar prysł, nie pozostało mu nic innego, jak poluźnić dławiący uścisk. Chociaż tym sposobem powstał między nimi zaledwie minimalny dystans, tyle wystarczyło. Rzeczywistość powróciła, podobnie jak zdolność myślenia Ripleya, a umysł zażądał od niego wyjaśnień. Czy ostatecznie postradał rozum? Upił się do nieprzytomności? Doznał wstrząsu mózgu?

Nie grało roli, jak bardzo jej pragnął. Nie grało roli, że nawiedzała go w snach i nie dawała mu zasnąć. Nie grało roli, że go oczarowała i zaintrygowała, i że nienawidził Ashmonta za to, iż pierwszy przestał obserwować ją z daleka.

Mimo to nie puścił jej do końca. Gdyby wyrwała mu się z większą siłą, dałby jej odejść – taką w każdym razie żywił nadzieję – nie zrobiła tego jednak. Stała w kręgu jego ramion, spoglądając nań zza przekrzywionych okularów.

– No dobrze – odezwała się zduszonym głosem. – Cóż. – Pokręciła głową. – Ale nie. – Odepchnęła go. Wówczas nie znajdował już wymówki, by jej nie wypuszczać. Odstąpiła o krok, prostując się, poprawiając na sobie suknię i okulary. – To było… pouczające.

Pouczające. Och, z całą pewnością.

Ona, niewinna. Narzeczona jego najlepszego przyjaciela.

Ripley odepchnął się od drzewa, które dostarczyło mu podparcia. Zaklął. Zerwał z głowy kapelusz i smagnął nim pień. Klął raz za razem, aż by się oczekiwało, że najbliższa okolica posinieje, a drzewa się skurczą. Osiągnął

tyle, że ptaki wzlatywały z gałęzi, wiewiórki utyskiwały, a w podszyciu przemykały w panice maleńkie stworzonka.

– Ripleyu, na litość boską!

Słyszał ją, lecz myśli krzyczały w nim głośniej.

Ashmont był jego najlepszym przyjacielem. Od późnego dzieciństwa, od tamtych przygnębiających pierwszych dni w Eton. Zawsze mogli na siebie liczyć, oni trzej.

A Ripley…

Kopnął drzewo – lewą nogą, nie tą zwichniętą, chociaż był to czysty przypadek, postąpił bowiem bez zastanowienia. Niemniej wskutek wstrząsu stracił równowagę i runął na ziemię.

***

Tymczasem w Camberley Place

– Do Londynu? – powtórzył Ashmont.

On i Blackwood stali w salonie lady Charlesowej Ancaster. Ashmont błyskał podbitym okiem. Żaden z dżentelmenów nie prezentował się elegancko. Wyglądali, jakby przetoczyło się po nich kilka zmierzających na targ wozów, a na dokładkę stratowało ich stado bydła.

– Najwyraźniej – powiedziała dama.

Wyciągnęła ku nim liścik, który zostawił dla niej Ripley.

Ashmont wziął go i przeczytał: *Pojechałem do Londynu. R.* Odwrócił kartkę na drugą stronę. Pusto.

– To wszystko?

– Jego zdaniem tyle wystarczyło – stwierdziła.

Blackwood i Ashmont pokiwali głowami. Oni także rzadko bawili się w wyjaśnienia.

Nie przyszło im do głowy, że lady Charles również może niejedno zatrzymywać dla siebie, w tym pewną szalenie istotną informację.

– Londyn – powiedział Ashmont. – Też tak pomyśleliśmy, prawda? Wrócił do Londynu, mówiliśmy. Szukanie wiatru w polu. No, ale z kolei te wszystkie wskazówki.

– Przecież tu przyjechał – sprzeciwił się Blackwood. – Nie udał się prosto do Londynu. Nie myliliśmy się.

– Kiedy nie pokazaliście się wczoraj wieczorem, założyliśmy, że zostaliście w mieście – wyjaśniła lady Charles. – Cóż za komedia omyłek.

– Do diaska, sądził, że nie puścimy się w pościg? – obruszył się Ashmont. – Czy nie o to mu chodziło?

– Wprost przeciwnie, oczekiwaliśmy was – odparła lady Charles. – Prawdę mówiąc, przypuszczałabym, że zjawicie się przed moim bratankiem albo niedługo po nim. W trakcie podróży napotkał niespodziewane komplikacje.

– My także – rzekł Blackwood, zerkając na Ashmonta. – W Putney zaistniała pewna przykra sytuacja. Zaszła konieczność pouczenia kogoś w kwestii dobrych manier. Tego typu sprawy.

– Ach tak. – Lady Charles uniosła lornion i obejrzała oko Ashmonta. – Ten siniec wygląda na świeży.

– To się zdarzyło już po tamtym… eee… nieporozumieniu – wyjaśnił Blackwood. – Spadł ze schodów.

– To przez coś, co zjadłem – dodał Ashmont. – Chorowałem przez całą noc, inaczej przyjechałbym, do diaska.

– Raczej przez coś, co wypiłeś – stwierdziła rzeczowo lady Charles. – Niezły początek udanego małżeńskiego pożycia. Żywiłam nadzieję, że nawet ty potrafisz się ożenić, nie komplikując spraw. I to z taką zachwycającą dziewczyną.

– Wiem, że jest zachwycająca – przyznał Ashmont. – Zrozumiałem to natychmiast. Zastanawiałem się, dlaczego nie widziałem tego wcześniej. Tyle że wcześniej, widzi pani, nie myślałem o małżeństwie.

– Gdybyś jaśniej wyłożył jej swoje uczucia, może by nie uciekła – powiedziała dama.

Ashmont zmarszczył brwi.

– Tak. Niedostatecznie się do niej zalecałem. Wszyscy mi to powtarzają. Tylko że się zalecałem. Opisałem jej bibliotekę, jak stry… znaczy, jak wiedziałem, że powinienem… i sprawiała wrażenie zadowolonej.

– Nie jesteśmy tak do końca pewni, czy uciekła – wtrącił Blackwood. – Podejrzewamy żart Ripleya.

– Doprawdy? – zdziwiła się lady Charles. – Stanowi dla mnie zagadkę, dlaczego taka bystra dziewczyna jak Olympia miałaby z nim pójść.

– To samo mówił jej brat.

– Bez względu na jej motywy, nie stanąłeś na wysokości zadania – oznajmiła lady Charles. – Zbyt cię pochłonęły bójki i upijanie się do nieprzytomności, żebyś pospieszył za nią i nakłonił ją do powrotu.

– Okoliczności łagodzące – rzucił Blackwood.

Na twarzy lady Charles odmalował się jeszcze większy chłód.

– Nawet nie spróbuję sobie wyobrażać, co to za okoliczności. Powiem ci tyle, że na jej miejscu poczułabym się ogromnie rozczarowana takim zalotnikiem. – Odprawiła ich obu gestem. – Wracaj do Londynu. Ale nie zdziw się, jeśli ona każe ci poszukać sobie innej księżnej. Może tak będzie najlepiej.

– Ani myślę szukać innej! – wybuchnął Ashmont. – Cokolwiek się zepsuło, naprawię to. Powiedziałem, że się z nią ożenię, i mówiłem poważnie. I zrobię to. A Ripley może mnie pocałować w… w czoło.

Ukłonił się gniewnie i ruszył do wyjścia.

Zawahał się jednak i widocznie przemyślał swoje zachowanie, odwrócił się bowiem zakłopotany.

– Przepraszam, lady Charles. Proszę mi wybaczyć. To było… Nie zamierzałem… No, wie pani. Uczucia. – Obdarzył ją swoim najbardziej anielskim uśmiechem.

– Zalecam ci, żebyś nauczył się wyrażać uczucia w bardziej inteligentny i przyjemny sposób – powiedziała. – Jeśli bowiem nie będziesz uważał, skradnie ci ją ktoś, kto opanował tę sztukę. A gdy tak się stanie, już jej nie odzyskasz.

– Tak, lady Charles. Odtąd będę się lepiej sprawował.

Tym razem pożegnał się, jak należy, i skierował do drzwi.

Blackwood podążył za nim, ale się zatrzymał.

– A Alice? – zapytał. – Jest w domu?

***

– Och, Ripleyu, coś ty zrobił?

Brązowa, włochata morda zamajaczyła nad twarzą Ripleya, zbliżył się do niej gigantyczny jęzor.

– Wynocha! – Odepchnął psa.

W uszach mu dzwoniło. Stopa domagała się amputacji. Z drzew skapywały mu na twarz krople deszczu.

Olympia opadła na kolana u jego boku. Wargi miała opuchnięte, kapelusz i okulary przekrzywione.

Nienawidzę się, pomyślał.

– Do diabła, Olympio! Nie klękaj na mokrym!

– A ty? To będzie cud, jeśli niczego sobie nie złamałeś.

– Nic się nie złamało. Nie jestem ze szkła. Nie jestem delikacikiem, niech to szlag. – Wsparł się na łokciach. – Przestań tak się nade mną trząść. Powinnaś dać mi w twarz. Nie rozumiesz? Nie widzisz, co się dzieje? Właśnie dlatego zasady zabraniają niezamężnym pannom pozostawać sam na sam z mężczyznami. Nie można nam ufać. Większość z nas rozum opuszcza, gdy znajdziemy się w pobliżu atrakcyjnej kobiety.

Przysiadła na piętach. Poprawiła okulary.

– Atrakcyjnej? – spytała. – Mówisz poważnie?

***

Serce Olympii, które bynajmniej nie przestało tłuc jej się w piersi, teraz tłukło się jeszcze mocniej.

Nadal nie otrząsnęła się po pocałunku. Kto wie, czy kiedykolwiek się otrząśnie. Nie wpadłaby na to, że pocałunek może tak wyglądać. Powątpiewała, czy „pocałunek” jest tutaj właściwym słowem.

A potem on wpadł w szał. A później… *Atrakcyjna*, powiedział. Mając na myśli ją.

– Mówiłem ci wczoraj wieczorem. Ładna i kształtna. Zapomniałaś?

– Nie. – Jak mogłaby zapomnieć. – Ale jesteś rozpustnikiem, a rozpustnicy nie wybrzydzają.

– Pijany istotnie zanadto nie wybrzydzam – przyznał. – Teraz nie jestem pijany, a szkoda.

– Jestem pedantyczna i nudna. I noszę okulary.

– Twoim zdaniem mężczyźnie robi to różnicę?

– Tak.

– Może w zatłoczonej sali balowej – ustąpił. – Gdy wszakże człowiek przebywa sam na sam z kształtną, ładną dziewczyną, nie dba o jej okulary… ani w ogóle o nic, co ona ma na sobie.

Spróbował się podnieść. Krzywiąc się, dźwignął się do pozycji siedzącej. I zaklął.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Zostań – powiedziała. – Pójdę po służącego, żeby ci pomógł. Tak będzie lepiej dla stopy.

– Służącego – powtórzył z tępym wyrazem twarzy.

– Zdaję sobie sprawę, że moje wczorajsze poczynania mogły wywołać w osobach postronnych przekonanie, że mam ptasi móżdżek. Jednakowoż w normalnych okolicznościach jestem praktyczna i rozsądna aż do przesady. Nie przybyłam ci na ratunek bez asysty. Zabrałam ze sobą stangreta Johna i lokaja Toma, a przyjechaliśmy landem twojej cioci.

– Świetnie. Wygodniej podróżować do Londynu powozem.

– Zapewne, ale nie dzisiaj.

– Olympio, muszę się dostać do Londynu.

– Już mówiłeś, nawet kilka razy. Zatrzymajmy się na chwilę i pomyślmy, dobrze? Podejdźmy do sprawy w sposób logiczny.

Opadł na plecy, kładąc głowę na mokrych liściach i mchu, i rozmaitych insektach, które przedzierały się przez leśne podszycie. Popatrzył w górę, na ponure niebo prześwitujące pomiędzy drzewami. Następnie zwrócił zielone spojrzenie na nią.

– Dobrze, podejdźmy – przystał.

– Do Londynu jest stąd dwadzieścia mil. Do Camberley Place nawet nie jedna trzecia tej odległości. Czy kiedy tak sobie leżysz, niebo wydaje się obiecywać cokolwiek poza większą ilością deszczu? W tych okolicznościach, czy nie zgodzisz się, że praktycznym posunięciem będzie powrót do lady Charles, dzień lub dwa odpoczynku i dopiero wtedy podróż do Londynu? Powozem.

Na długą chwilę zamknął oczy.

– Fakt – odezwał się wreszcie. Usiadł. – Chwila zaćmienia. Ale naturalnie. Oczywiste. Trudno, żebym wziął powóz i zostawił cię tutaj. Dobrze. Idź po Toma. – Skrzywił się. – Trzeba było od razu zabrać go ze sobą.

– Starałam się nadążyć za Katonem – wyjaśniła. – Nie myślałam o służących.

– Niemyślenie. Szalenie popularne ostatnio. Ashmont nie powinien był ani na moment spuszczać cię z oczu. Sam się prosił o kłopoty. No i, co za niespodzianka. Popatrz tylko na nas.

– Nie rozumiem.

– On jest moim przyjacielem.

Wreszcie, z kilkuminutowym opóźnieniem, zaświtało jej, że w tym jego szaleństwie po pocałunku chodziło wyłącznie o męski honor. Dżentelmen, nawet z grona Ich Łajdackich Mości, nie kłusuje na terenie łowieckim przyjaciela. Kobiety stanowią własność, w oczach świata zaś Olympia dalej należała do Ashmonta.

Przez chwilę – kiedy trwał ów druzgocący pocałunek – myślała, że Ripley coś do niej czuje. Ale odezwał się w nim po prostu męski przymus dokonywania podbojów. Ten przymus zwyciężył rozsądek, ot i cała tajemnica. Powiedział czystą prawdę. Istnieje powód, dla którego niezamężne damy nie powinny przebywać sam na sam z mężczyznami.

Nigdy by nie uwierzyła, że stanie się obiektem dzikiego pożądania mężczyzny, ale tak się zdarzyło. Teraz pojmowała, naprawdę, nie tylko rozumem, powód istnienia tej reguły. Gdyby tak jej nie zaskoczyło to, co poczuła, kiedy przyciągnął ją do siebie, i gdyby jakimś cudem nie przywołała w myślach wyjaśnień mamy na temat małżeńskiej intymności oraz tego, co osobiście zaobserwowała swego czasu u koni, burza uczuć by ją porwała. I zrujnowała.

Niemal zachichotała, takie to było cudaczne: lady Olympia Hightower, zdeprawowana w chwili namiętności. Później niemal się rozpłakała, wiele przemawiało bowiem za tym, że była to jedyna chwila namiętności, jakiej kiedykolwiek doświadczy.

Poleciła sobie nie wpadać w histerię – on najwyraźniej radził sobie z tym świetnie za nich oboje.

– Uspokój się – powiedziała. – Pomyśl tylko, jak poszerzyłeś moją wiedzę.

– To zadanie Ashmonta!

– Spójrzmy na kwestię od jaśniejszej strony.

– Jaśniejszej strony. Dobry Boże…

– Kiedy odkryje, że nie jestem kompletną ignorantką, uzmysłowi sobie, że miał konkurencję – wytłumaczyła. – To zaś, jeśli wierzyć tobie i twojej cioci, zwiększy w nim chęć, by mnie zadowolić. Nie musi wiedzieć, kto mnie wyedukował, a ja mu nie powiem. – Nakłoniła się do promiennego uśmiechu. – Wiesz co, Ripleyu, chyba jestem ci winna podziękowanie.

***

Kazanie lady Charles dało Ashmontowi do myślenia. Niektóre kwestie, na początku tej przygody na pozór krystalicznie przejrzyste, zmętniały po drodze. Rozważywszy krótko zagadnienie, uzmysłowił sobie, na czym polega problem: chciało mu się pić.

Dlatego też on i Blackwood zatrzymali się w gospodzie Talbot. Gdyby tego nie zrobili, minęliby na drodze lando, zmierzające w przeciwnym kierunku. Gdyby dach landa nie był postawiony dla osłony przed deszczem, zobaczyliby swoją zwierzynę, zwierzyna zobaczyłaby ich i sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Tak się jednak nie zdarzyło. Zdarzyło się tak, że wyglądając od niechcenia przez okno, ujrzeli cokolwiek sfatygowane lando toczące się w kierunku, z którego sami przyjechali. Blackwood dowcipnie skomentował stateczne tempo pojazdu.

Tyle tylko zauważyli, ponieważ znów się rozpadało, wściekle, i widok za oknem rozmył się w deszczu. Odwróciwszy się od okna, Ashmont zapytał:

– Co sądzisz? Powinienem przypuścić atak na zamek natychmiast po powrocie do Londynu? Pójść prosto do Gonerby House, żeby zdobyć nadobną damę i tym razem utrzymać ją przy sobie? Odniosłem wrażenie, że lady Charles potępia mój brak bohaterstwa.

– Kiedy nadobna dama spędziła cztery czy pięć godzin w drodze i ledwie miała czas złapać oddech, a cóż dopiero odpocząć po podróży? – wytknął mu Blackwood. – I czy wydaje ci się, że zrobisz na niej doskonałe wrażenie z tym świeżym sińcem i we wczorajszym ubraniu, czyli, krótko mówiąc, nie tak piękny jak zazwyczaj?

Ashmont ostrożnie dotknął podbitego oka.

– Raczej nie – przyznał. – Wobec tego jutro.

Rozdział 11

– Dałaś im odjechać – zwrócił się Ripley do cioci Julii. – Byli tutaj, a ty dałaś im odjechać.

Dopiero co weszli do głównego holu i usłyszeli o wizycie Ashmonta i Blackwooda.

Ripley stał wsparty o boczne oparcie szezlonga niedaleko kominka. Spoglądał na zdobiące ściany elżbietańskie artefakty i zastanawiał się, dlaczego mojry postanowiły znęcać się nad nim od chwili, gdy wrócił do Anglii.

– Usiadłbyś – powiedziała ciocia Julia. – Jesteś blady jak papier.

– Niechże pan usiądzie – poparła ją Olympia. – Troszeczkę mniej głupiego uporu.

Ripley opadł na szezlong. Z chęcią by się położył. I stracił przytomność. Noga go bolała, choć nie mogło się to równać z bólem zadawanym przez tłukące mu się w głowie myśli. Nie przywykł tyle myśleć. Nic dziwnego, że czuł się taki znużony.

– Zapewne szybciej byś wydobrzał, gdybyś zrobił użytek z fotela inwalidzkiego twojego stryja – stwierdziła ciocia.

– Fotel inwalidzki! Może jeszcze będziesz mnie karmić papką?

– Fotele inwalidzkie mają podpórkę na nogi – zauważyła Olympia.

Ripley wzniósł oczy do sufitu.

– Żeby podeprzeć stopę – dodała.

W wyobraźni ujrzał grubych, artretycznych inwalidów, toczących się w fotelach po Bath. Ile tego rodzaju satyrycznych rysunków widział? I śmiał się z nich?

– Jeśli da pan w ten sposób odpocząć stopie, książę, poprawa nastąpi znacznie szybciej.

– Fotel inwalidzki – powtórzył. *Niech mnie ktoś zastrzeli*, dodał w myślach.

– Jakże nisko upadają wielcy – skomentowała ciocia Julia.

Popatrzył na nią.

– Świetnie, triumfuj. Upadłem, więcej niż raz. Piekielnie się czuję. Lady Olympia miała rację. Ty miałaś rację. Nie powinienem był dziś wyruszać. Powinienem być na miejscu, kiedy zjawili się Ashmont i Blackwood.

– Ale cię nie było – skwitowała ciocia Julia. – Ja zaś postąpiłam zgodnie z tym, co wydawało mi się najlepsze. Być może kierował mną gniew, ale stało się.

– Gniew z powodu czego? Czy nie zgodziłaś się ze mną, że Ashmont przyjedzie po Olympię?

– Zdenerwowała mnie jego postawa, o wyglądzie nie wspominając. Ani jedno, ani drugie nie było pomyślane na to, żeby wzbudzić zaufanie zaniepokojonej młodej damy. Jakby wręcz obwieszczał światu, jaki jest bezmyślny, niedbały i nierozważny.

– Och, nie musi niczego obwieszczać – wtrąciła Olympia. – Nie miałam złudzeń, zapewniam panią.

– A powinna je pani mieć – stwierdziła ciocia Julia. – W dniu ślubu powinna pani mieć przynajmniej parę nadziei i marzeń. Co ważniejsze, on nie powinien uważać, że pani mu się należy. Nie odniosłam dziś wrażenia, by poświęcił wiele uwagi kwestii, jak się pani przypodobać. A przecież do tej pory ani chybi zdał sobie już sprawę, że pani zniknięcie to nie jakiś żart czy figiel i że musi to i owo naprawić.

– Jego Anielska Twarz najwyraźniej wyglądał bardzo źle, skoro podnosisz taki rwetes – skomentował Ripley.

Gdyby był wtedy na miejscu, niewykluczone, że przyłożyłby Ashmontowi. Co, u diabła, było z tym człowiekiem nie tak, że pokazywał się tutaj w nędznej formie, podczas gdy z łatwością mógłby zaprezentować się ujmująco? Czy usiłował zniechęcić do siebie lady Olympię? A może był do tego stopnia zarozumiały, by sądzić, że nie sposób mu się oprzeć bez względu na okoliczności?

– Wyglądał i pachniał źle, a zachowywał się jeszcze gorzej – ciągnęła ciocia Julia. – Natarłam mu uszu i mam nadzieję, że dałam mu do myślenia. On na pewno dał do myślenia mnie. Obaj mi dali do myślenia. Z niechęcią podjęłam ryzyko, że spotkają na drodze lady Olympię i będzie musiała sama bronić się przed tą parą tumanów. Jest jednak młodą, inteligentną kobietą o silnej woli. Poza tym kalkulowałam, że szanse na takie spotkanie są niewielkie. Wydało mi się o wiele bardziej prawdopodobne, że te dwa

łotry zboczą na jakiś wyścig albo mecz bokserski, albo przeczekają deszcz w gospodzie.

Popatrzyła na Olympię.

– Wypadłam z obiegu na ponad trzy lata, odkąd Charles zachorował. Zawsze postrzegałam Hugh i jego przyjaciół jako dzikich chłopców i traktowałam ich pobłażliwie, jak pani mówiłam. Dziś wszakże dotarło do mnie, że są mężczyznami i dawno już powinni wziąć się za siebie. Mówiąc krótko, sumienie nie pozwala mi ponaglać pani do powrotu do narzeczonego. Proszę tu zostać, jak długo pani zechce, moja droga. Kiedy zażyczy sobie pani wrócić do Londynu, proszę tylko powiedzieć, a z nią pojadę.

Oddaliła się gniewnie, jej kroki odbijały się echem od wiekowej dębowej podłogi.

***

Ashmont przyjechał, mimo wszystko, tak jak uparcie twierdzili lady Charles i Ripley. Ale teraz już go tu nie było.

Część Olympii chętnie tupałaby z frustracji. Inna część chciała skakać z radości.

Ponieważ taki stan umysłu był nie do zaakceptowania, Olympia zabrała się do porządkowania i katalogowania chaotycznych uczuć wobec dwóch mężczyzn w jej życiu.

Wygląd czy zapach Ashmonta, podobnie jak jego postawa, nieszczególnie ją niepokoiły. Komentarze lady Charles na ten temat nie wniosły niczego odkrywczego. Zgadzały się z tym, czego Olympia oczekiwała, gdy przyjmowała oświadczyny.

Nie żywiła złudzeń. Jakżeby mogła? Obracała się w towarzystwie dostatecznie długo, usłyszała, zobaczyła i przeczytała dosyć, by rozumieć, jakiego rodzaju mężczyzną był. Nadal jednak, bez względu na wygląd, zapach czy zachowanie, pozostawał księciem Ashmontem.

Gdyby została dziś w Camberley Place, zamiast ścigać Ripleya, zgodziłaby się, żeby Ashmont zabrał ją z powrotem do Londynu i poślubił. Jaki miała wybór? Gdyby wróciła z nim, jej wczorajsze szalone poczynania przestałyby się liczyć. Towarzystwo zbyłoby całe zamieszanie wzruszeniem ramion. Uznano by je za zaledwie kolejny praktyczny żart z przydługiego

repertuaru Ich Łajdackich Mości. Przede wszystkim, mama, papa i chłopcy nie ucierpieliby wskutek działań Olympii.

Gdyby wszakże została w Camberley Place, Ripley kontynuowałby podróż do Londynu i pogorszyłby uraz… i nie doszłoby do pocałunku, a cała wiedza Olympii na temat namiętności ograniczałaby się do obrazów odmalowywanych przez jej wyobraźnię. Te zaś, jak teraz wiedziała, nijak nie oddawały rzeczywistości.

Kiedy lady Charles oddalała się zagniewana, Olympia wróciła do chwili obecnej i podsumowania życia. Ocena rodziny nie pozostawiała złudzeń: niegospodarni rodzice tudzież ich pozbawieni zabezpieczenia na przyszłość synowie.

Popatrz na jasną stronę, powiedziała sobie.

Książę Ashmont najwyraźniej nadal chciał ją poślubić.

Doświadczyła namiętności.

Teraz musiała jedynie się postarać, żeby Ashmont nie zmienił zdania, chociaż dowody wskazywały, że jest na to zbyt uparty i zaborczy.

Co do całowania się z Ripleyem, nie dopuści, żeby sumienie zanadto jej dokuczało. W porównaniu z tym, co Ashmont nawyczyniał w ostatniej dekadzie i co bez wątpienia będzie nadal robił po ślubie, jej moment namiętności nic nie znaczył. Dla nikogo poza nią.

Poza tym, wedle jej wiedzy – w tym przypadku zasadniczo zerowej – dowolny przystojny, doświadczony młody mężczyzna zdołałby, we właściwych okolicznościach, podobnie ją rozpalić.

Pospieszyła za gospodynią.

– Lady Charles, ogromnie przepraszam. Powinnam była powiedzieć…

– Moja droga, zdumiewa mnie, że po takich przejściach jest pani w stanie sklecić choć jedno składne zdanie – weszła jej w słowo dama, zwalniając kroku. – Ci trzej przekraczają wszelkie granice. Gdziekolwiek Ashmont i Blackwood zatrzymali się na noc, Ashmont mógł polecić służbie, żeby wyczyściła mu ubranie. Powinien był się ogolić. Być może zakładał, że będzie to wyglądało tak, jakby nazbyt mu się spieszyło panią zobaczyć, żeby zaprzątał sobie głowę drobiazgami związanymi ze strojem. W takim wypadku należałoby się jednak spodziewać, że nie będzie również tracił czasu na bójki i picie.

– Zapewne tak, ale mężczyźni nie zawsze postępują zgodnie z logiką.

Dotarły tymczasem do podnóża schodów. Lady Charles zatrzymała się i poklepała Olympię po ramieniu.

– Niech go pani zmusi, żeby trochę się natrudził – poradziła. – Żeby skupił uwagę i się wysilił. Wymaga więcej pracy aniżeli przypuszczałam, choć nie wątpię, że pani sobie poradzi.

Olympia nie miała wyboru, jak tylko sobie poradzić.

– W tych okolicznościach – powiedziała – postąpiłabym ogromnie głupio, gdybym nie skorzystała z pani łaskawej propozycji i nie została tutaj, przynajmniej na dzień lub dwa.

– To dobrze. Nie zaszkodzi mu, jeśli trochę się pomartwi. – Lady Charles ruszyła schodami w górę.

– Wiem, że mało kto zna go tak dobrze jak pani.

– Byli dla mnie jak synowie, których nigdy nie miałam – wyjaśniła dama. – Niestety, w rzeczywistości nie byli moimi synami, toteż mogłam wywierać na nich jedynie ograniczony wpływ. Równie dobrze mogę pani powiedzieć, gdyż nie jest to żadna wielka tajemnica, choć wszystko działo się na tyle dawno, że mało kto o tych sprawach pamięta. Ojciec Ashmonta po śmierci żony popadł w głęboką melancholię i nie chciał mieć z nim nic do czynienia. Ojciec Blackwooda był surowym służbistą, wiecznie z niego niezadowolonym. Ojciec Ripleya dostał jakiejś gorączki mózgowej, po której zaczął się zachowywać irracjonalnie: wierzył, że cierpi nędzę i wszyscy próbują go okraść. Ten dom stał się ich schronieniem. Dlatego znam ich tak dobrze.

Olympia znieruchomiała.

– Nie wiedziałam.

Lady Charles przystanęła i odwróciła się do niej.

– Wszyscy trzej odziedziczyli tytuły w zbyt młodym wieku. Teraz jednak są dorosłymi mężczyznami i skończyłam z szukaniem dla nich usprawiedliwień. Rozumiem, że zadziałała pani pod wpływem impulsu. Spanikowała pani, nie wątpię. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Brandy pchnęła panią do działania, dała tę odrobinę odwagi czy nierozwagi, czy czego tam było pani trzeba. Niewykluczone jednak, że ucieczka była najmądrzejszą rzeczą, jaką mogła pani zrobić. Potrzebuje pani czasu, żeby się zastanowić i ułożyć plany, z dala od wpływu rodziny i tego głupiego chłopaka, który chce panią poślubić. Camberley Place jest właściwym miejscem na spokojną refleksję.

A ta dama, pojęła Olympia, była właściwą przewodniczką. Mama i ciocie, choć pełne miłości, nie miały intelektu lady Charles ani jej zrozumienia ludzkiej natury.

Lady Charles w paru słowach dostarczyła Olympii cennego wglądu w sytuację. A także odrobinę ulżyła jej sumieniu.

– Dziękuję – powiedziała Olympia. – Istotnie powinnam tu zostać. I pomyśleć. No i napisać kilka bardzo spóźnionych listów. Dawno już pora, żeby książę otrzymał ode mnie parę słów. Wierzę, że mimo wszystko będzie najlepiej, jeśli omówimy sprawy bezpośrednio między sobą.

Lady Charles przyglądała jej się przez chwilę.

– Tak, tak byłoby najlepiej.

***

Ashmont House, Londyn, tego wieczoru

Książę Ashmont ubierał się do wyjścia, kiedy przybyły ekspresem dwa listy z Surrey.

Wiadomość od Ripleya, co typowe, składała się z jednej linijki: *Na litość boską, przyjeżdżaj tu po nią.*

Drugi list był od lady Olympii. Dłuższy o kilka gęsto zapisanych stron, okazał się także bardziej onieśmielający. W tej chwili Ashmont czytał go po raz drugi. Siedział przy toaletce i ściskał głowę w dłoniach, burząc artystycznie zmierzwioną fryzurę, dzieło jego osobistego lokaja.

Książę rozważał właśnie, czy zaatakować list po raz trzeci, czy wezwać na pomoc Blackwooda, kiedy do pokoju wszedł pospiesznie jego lokaj.

– Przyszedł lord Frederick, Wasza Książęca Wysokość.

Ashmont zerwał się z krzesła, gotów szybko wymknąć się przez okno.

– Powiedz mu, że nie ma mnie w domu.

– Ach, ale przecież jesteś, Luciusie – rozległ się radosny głos stryja.

Lokaj prędko ustąpił z drogi właścicielowi głosu. Kiedy lord Frederick odprawił go nieznacznym gestem, służący opuścił pokój, dyskretnie zamykając za sobą drzwi.

– Doszły mnie słuchy, że wróciłeś – wyjaśnił stryj.

Ashmont zmierzył tęsknym wzrokiem karafkę na stoliczku przy kominku. Problem polegał na tym, że jeśli sobie naleje, będzie musiał

zaproponować poczęstunek stryjowi, czym zachęci go, by zabawił dłużej.

– Zaledwie przed paroma godzinami – odparł. – Zadziwiające, że już się dowiedziałeś. Do mnie samego jeszcze do końca to nie dotarło.

– Wróciłeś bez przyszłej księżnej Ashmont – zauważył stryj Fred.

– Eee… tak. Co do tego. – Ashmont zerknął na list. – Odrobinę skomplikowane. Komedia pomyłek, jak to ujęła lady Charles.

Zwykłe opanowanie lorda Fredericka na moment się posypało, a w jego niebieskich oczach zagościł wyraz udręki. Zniknął wszakże niemal natychmiast i dżentelmen odzyskał typowy dlań niewzruszony spokój.

– Byłeś w Camberley Place – stwierdził. Zdjął z rękawa surduta jakiś paproch.

Skoro stryj Fred już się tu znalazł, nie odejdzie, dopóki nie poczuje się usatysfakcjonowany. Ponieważ poczułby się usatysfakcjonowany, dopiero starłszy w pył mózg Ashmonta, książę zrelacjonował pokrótce poszukiwania Ripleya i lady Olympii poprzedniego dnia, jak również niedawną wizytę u lady Charlesowej Ancaster.

Kiedy zbliżał się do końca tej części historii, spostrzegł, że uwaga stryja koncentruje się na toaletce, gdzie leżał list – rozrzucone kartki, które mógł zobaczyć każdy, czy też, konkretniej, wścibscy, wszystkowidzący, wszystkowiedzący stryjowie.

Ashmont leniwym krokiem podszedł do toaletki, żeby zasłonić list przed wzrokiem krewnego.

Za późno.

– Wygląda na pismo lady Olympii – skomentował stryj.

– Czyżby?

– Rozpoznałbym je wszędzie – zapewnił lord Frederick. – Bardzo charakterystyczne. Korespondowaliśmy ze sobą w związku z pewnym piętnastowiecznym woluminem. *De consolatione philosophiae* Boethiusa, zdaje się. Czyli odezwała się do ciebie, lub raczej napisała. Obiecujący znak.

– Eee, tak. Rzecz w tym, że nadal jest w Camberley Place.

– Tak też wydedukowałem, dowiedziawszy się, że dostałeś dwa listy ekspresem z Surrey.

Ashmont nie pytał, jak lub gdzie stryj się tego dowiedział. Oczywiste, że wszędzie miał szpiegów. Więcej niż prawdopodobne, że kilkoro mieszkało pod dachem Ashmonta. Swego czasu stryj był jego prawnym opiekunem.

Co więcej, służba się go bała. Niewielu niewtajemniczonych zrozumiałoby, jak to możliwe, gdyż próżno by szukać w Londynie, jeśli nie wręcz w całej Wielkiej Brytanii, starszego dżentelmena o łagodniejszym wyglądzie i bardziej niewinnej fizjonomii.

– Tak, to dość skomplikowane – mruknął Ashmont. – Widzisz… – Zmarszczył brwi. – To znaczy chyba złapałem ogólny sens, ale niech tę dziewczynę licho, używa pierońsko dużo słów.

– A jeśli nie jest to sprawa nazbyt prywatna, ów ogólny sens to…?

– Upiła się. Łyknęła brandy na przedślubne nerwy, rozumiesz. Tyle że to jej nie uspokoiło, no i uciekła.

Wargi lorda Fredericka drgnęły.

– Aha.

– Ripley próbował ściągnąć ją z powrotem, a kiedy nie dawała się ściągnąć, mianował się jej obrońcą. Dostarczył ją w końcu bezpiecznie do ciotki, ale miał przez nią wypadek… to znaczy przez Olympię… no i ona czuje się… – Podniósł list, odwrócił stronę i przeczytał, sunąc palcem wzdłuż linijek: – …*w obowiązku pozostać w Camberley Place, żeby zapobiec pogorszeniu przezeń urazu, jako że mowa wszak o mężczyźnie, w dodatku z chorobliwą awersją do zdrowego rozsądku.* Ale, wyobraź sobie, lady Charles nie wspomniała o wypadku. Dziwne, prawda?

Znajomy wyraz udręki przemknął znów przez twarz lorda Fredericka, po czym zniknął.

– Ani trochę – odparł lord Frederick. – Lady Charles potrafi być tajemnicza. Przydatne, kiedy trzeba pokierować małżonkiem.

– Mnie na nic się nie przydało – burknął Ashmont. – Ale mniejsza z tym. Proponuje, to znaczy Olympia, że zwróci mi wolność.

– Hm.

– Pisze: *Nikt rozsądny nie oczekiwałby, że mnie teraz poślubisz.* Ale ja nie jestem rozsądny, do cholery!

Będąc nierozsądnym, Ashmont uznał, że czuje się zbyt skonsternowany i zdenerwowany, żeby się przejmować, czy lord Frederick zostanie tu choćby i do sądnego dnia.

Podszedł do karafki, napełnił dwie szklaneczki i podał jedną stryjowi.

– Przyznaję bez bicia, nie rozumiem – utyskiwał. – Diabli nadali. Gdybyśmy tylko przyjechali później albo zabawili dłużej, nie przejmując się chłodnym powitaniem, Olympia i ja ustalilibyśmy sprawy od razu na

miejscu. – Napił się. – A teraz muszę wracać do Camberley Place, ponieważ Olympia sądzi, że obchodzi mnie zdanie innych. Powiedziałem, że ją poślubię, tak czy nie? Naprawdę myśli, że cofnę dane słowo, ponieważ miała atak melancholii, migreny czy czego tam, i uciekła?

– Mówiąc krótko, nie był to jednak żart Ripleya – stwierdził w zamyśleniu stryj Fred.

– Nie, on tylko zamierzał odstawić ją do krewnej, a potem wracać i powiedzieć mi, gdzie mam po nią jechać. Ale sprawy ciągle szły nie tak, jak powinny. No a później złamał rękę czy coś. – Zajrzał do listu. – Nie, coś z nogą, ale ona używa dwudziestosylabowych słów, żeby to wyjaśnić. Niesprawny, pisze. A z kolei Ripley pisze…

– Opinia Ripleya nie gra roli – wszedł mu w słowo lord Frederick. – Nie jedziesz do Camberley Place. Nie pojmujesz, jak bardzo delikatna jest ta sytuacja, co mnie nie dziwi, gdy się weźmie pod uwagę, z jakimi kobietami zwykle się zadajesz. Trudno, żeby zaskakiwała mnie twoja niewiedza na temat tego, jak postępować z przyzwoitą dziewczyną.

– Twierdziłeś, że nigdy mnie nie zechce, a jednak powiedziała „tak”.

– To prawda, ale ty nie miałeś dość rozsądku, żeby się jej trzymać.

– Przecież jej nie puściłem. To ona…

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co ci się trafiło? Wyobrażasz sobie, że takie kobiety spotyka się na każdym kroku, czekające cierpliwie, aż się opamiętasz? Ta młoda dama ma inteligencję i siłę charakteru, żeby odmienić twoje życie, czego rozpaczliwie potrzebujesz.

– Tak, wiem, że…

– Wydaje ci się, że wiesz, ale tak nie jest. Odrzucasz swoją przypuszczalnie jedyną szansę na prawdziwe szczęście. Twój ojciec nie mógł zapobiec temu, co spotkało twoją matkę. Ale przynajmniej miał te lata z nią. Ty zostaniesz z niczym. Za lata od dzisiaj spojrzysz wstecz i będziesz żałował.

Jeżeli przemawiał doń w tej chwili głos doświadczenia, Ashmont tego nie zarejestrował, podobnie jak umknęły mu nietypowe emocje w tym głosie.

– Dlaczego wszyscy winią mnie? – obruszył się. – Zalecałem się do niej, tak czy nie? Twierdziłeś, że to będzie strata czasu. Ona nigdy mnie nie zechce, tak mówiłeś. Jest na to zbyt inteligentna, mówiłeś. Ale…

– Nie udało ci się nakłonić jej do złożenia ślubnej przysięgi, zgadza się? – przerwał mu stryj. – A jeśli uważasz, że jesteś bez winy, zapraszam, żebyś

na siebie spojrzał. Nawet po kąpieli, ogolony i w świeżym ubraniu, wyglądasz łajdacko. Gorzej niż byle marynarz po trzydniowej przepustce. Nie, obrażam marynarzy.

– Walczyłem!

– Wiecznie z kimś walczysz. Tym razem to widać. Nie możesz po prostu wybuchnąć przy młodej kobiecie, która bez wątpienia jest w tej chwili ogromnie wzburzona i skonfundowana.

– Nie wybuchłbym!

– Przyjrzyj się sobie w lustrze, Luciusie, długo i uważnie – poradził stryj. – Jeśli wcześniej się spłoszyła, jeśli ogarnęły ją wątpliwości co do twojego charakteru lub zaniepokoiło twoje zachowanie, sądzisz, że teraz padnie ci w ramiona?

Ashmont zacisnął pięści.

– Zamierzasz mnie uderzyć? – spytał łagodnie stryj Fred.

– To nie do wytrzymania. Nie możesz oczekiwać, że będę tu tkwił bezczynnie.

– Naucz się wytrwałości. Oczekuję, że pozostaniesz w Londynie, dopóki nie odzyskasz formy, fizycznie i umysłowo. Ja pojadę z nią porozmawiać.

Ashmont rozwarł pięści, ciężkim krokiem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– A ja mam zostać tutaj, żeby każdy pożałowania godny dowcipniś mógł stroić sobie ze mnie żarty, dopytując się, gdzie podziałem narzeczoną. Podczas gdy satyrycy będą mnie rysować z rogami.

– Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy, że stanowisz przedmiot żartów już od dłuższego czasu.

Twarz Ashmonta pociemniała, gwałtownie odwrócił się od okna.

– Możesz walczyć z każdym, komu twoje błazeństwa wydadzą się zabawne – stwierdził stryj Fred – lub możesz choć raz wykazać się odrobiną godności i dojrzałości, śmiejąc się z tego. Jeśli nie potrafisz obmyślić dowcipnej riposty dla prześmiewców, poproś Blackwooda, niech ją dla ciebie ułoży. A jeśli chcesz zrobić coś użytecznego, napisz do lady Olympii list, odrzucając jej propozycję, że zwróci ci wolność. I niech to będzie dobry list. Może lepiej będzie, jeśli ja ci go podyktuję.

***

Piątek, 14 czerwca

Długo nieobecne słońce raczyło wreszcie zajrzeć przez okna wschodniego skrzydła Camberley Place, kiedy książę Ripley, klnąc, manewrował mechanicznym fotelem, żeby dostać się z gabinetu do biblioteki.

Lord Charles wybudował gabinet w obrębie biblioteki, wzdłuż zewnętrznej ściany, blisko jej południowego krańca. Zaraz obok wąskie przejście prowadziło na schody na galerię powyżej. Na tym poziomie znajdowało się jednak znacznie więcej przeszkód w rodzaju stołów, foteli, podnóżków czy schodków niż na galerii powyżej. Jednak jako że była wyżej, galeria stała się dla Ripleya niedostępna.

Stopy wspierał na uniesionej podpórce, dłonie zaciskał na gałkach korb wyrastających z podłokietników fotela. Obracając korbami – osobno lub razem – poruszało się fotelem w różnych kierunkach. Sztuczka polegała na tym, żeby zapamiętać, jaka kombinacja obrotów w jakim kierunku inicjowała ruch fotela w którą stronę.

Kiedy już trochę się tak poobijał, szarpiąc fotelem to w prawo, to w lewo, to kręcąc nim w kółko, chwycił obie korby i zwrócił je jednocześnie ku sobie.

Fotel wystrzelił do tyłu, a za plecami Ripleya ktoś cicho krzyknął. Szarpnąwszy korby w przeciwną stronę, pomknął do przodu. Z pełnym frustracji warknięciem skierował korby w prawo, a fotel obrócił się w prawo, i znowu w prawo.

Usłyszał zbliżające się kroki.

– Być może, książę, zechciałby pan zapoznać się z instrukcją – zasugerowała lady Olympia.

Miał świadomość, że na dźwięk jej głosu podnoszą mu się włoski na karku.

– Nie – odparł. – Jeśli moja babka potrafiła tym kierować, ja też na pewno dam radę.

Zbliżyła się i okrążyła go.

– Nie przypomina żadnego z foteli inwalidzkich, jakie dotąd widziałam.

– Swego czasu stanowił krzyk mody – wyjaśnił. – Nie wiem, ile ich zrobiono. Mechaniczne Fotele Merlina. – Poklepał wytartą gałkę u korby. –

Wuj Charles często opowiadał o wizycie w Muzeum Mechaniki Merlina przy Princes Street. Zakupił ten fotel dla mojej babki.

Przykucnęła, by przyjrzeć się układowi połączonych z kołami metalowych drążków.

– Wygląda na znacznie bardziej skomplikowany od tych, jakie zwykle się widuje.

Miała na sobie kolejną suknię cioci Julii, prostą i szarą, nie licząc zawiązanej na szyi białej apaszki. Wąskie rękawy mogły poszczycić się jedynie małą bufką u góry. Stanik był równie surowy. Niczym w żakiecie, guziki biegły od szyi do samego skraju. Chociaż ta suknia leżała na niej lepiej niż kreacja z poprzedniego dnia, nadal nie była odpowiednio dopasowana.

Jej gęste brązowe włosy prezentowały się lepiej. Upięto je w górze w prosty sposób, z paroma zwojami z tyłu głowy i okalającymi twarz lokami.

Z chęcią nachyliłby się, żeby wciągnąć w nozdrza woń jej włosów, ów świeży zapach, który pamiętał aż nazbyt dobrze. Wyprostował się w fotelu i wbił wzrok przed siebie, spoglądając ponad noskami butów.

– Ma zapewniać inwalidzie większą swobodę ruchów – powiedział. – Moja babka jeździła nim po trawie i żwirze, i różnych innych powierzchniach. Żartowano na temat przymocowania do niego maszyny parowej, by można się nim było poruszać bez nakładów pracy ludzi czy zwierząt. Pewnie nadal by w nim hulała, gdyby nie pokonała jej jakaś paskudna gorączka.

W następstwie tej samej gorączki, jak mu mówiono, jego ojciec przeszedł szokującą przemianę. Chociaż Ripley miał wtedy dziesięć lat, ledwie pamiętał człowieka, jakim ojciec był przedtem, dowcipnego, czarującego mężczyznę, o którym niekiedy opowiadała matka, dżentelmena, który skradł jej serce. Późniejszy żałosny kutwa zmiażdżył wszystkie szczęśliwe wspomnienia.

– Wuj Charles na pewno czuł się upokorzony, gdy musiał sam go używać – stwierdził Ripley. – Podobnie jak ja. Ale nie ma rady. Tutejsze damy dają mi do wiwatu, kiedy próbuję chodzić. A z chorą stopą nie jestem dostatecznie szybki, żeby im umknąć.

Wstała i wygładziła spódnice.

– Jakże tragiczne, pełne udręki życie pan wiedzie.

– Nigdy nie sądziłem, że nastanie dzień, gdy znajdę się pod pantoflem i będę się toczył tam i sam w fotelu inwalidzkim. Najwidoczniej mój czas nadszedł. Chyba dopada mnie podagra. Wkrótce zacznę nosić perukę i sztuczne zęby.

Poprawiła okulary, mimo że tkwiły idealnie na swoim miejscu.

– A tak wielu spodziewało się, że żadną miarą nie pożyje pan na tyle długo, by cierpieć na podagrę lub potrzebować peruki i sztucznych zębów.

– Łaskawa pani przyszła tu jedynie po to, żeby pokpiwać z mojego niedołęstwa, czy kierował nią inny ukryty motyw?

Wsparła ręce na biodrach i uważnie omiotła wzrokiem bibliotekę.

– Pańska ciocia wspomniała mimochodem, że ostatnie nabytki lorda Charlesa nie doczekały się wprowadzenia do rejestru bibliotecznego. Leżą tu gdzieś na stosie. Zaproponowałam, że na coś się przydam.

Ripley zakręcił korbami i fotel potoczył się do tyłu.

– Tutaj.

– Musi pan utrudniać sobie zadanie? – zapytała.

– Inaczej to nudne.

– Albo też nie wie pan, jak pokierować tym wynalazkiem, żeby jechał do przodu.

– Oczywiście, że wiem. To nic trudnego. – Poruszył korbami i fotel zaczął jeździć w kółko. Coś upadło na dywan.

– Na miłość boską, Ripleyu, zrzucasz książki… uwaga na podnóżek!

Ominął podnóżek, ale przestawił korby zbyt szybko i fotel zawirował.

– Nie wazon! – wykrzyknęła Olympia i rzuciła się łapać naczynie, gdy tymczasem Ripley zawirował w przeciwnym kierunku. Olympia potknęła się i upadła na fotel… na jego kolana… z wazonem w dłoniach i pupą w górze.

Przez nieskończenie długą chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Był dotkliwie świadom ciepła jej ciała i unoszącej się z jej włosów woni pomady. Głowa sama mu opadła i wciągnął powietrze, zamykając oczy.

– Jest ciężki – rozległ się jej zduszony głos.

Uniósł głowę, przeklinając sam siebie.

– Jeśli potrafisz utrzymać ten wehikuł w całkowitym bezruchu – powiedziała – postawię wazon na podłodze.

– Mam pewne wątpliwości co do tego „całkowitego bezruchu”.

Jego dolne partie znalazły się w stanie gotowości w związku z bliskością kobiecego ciała. Na ramieniu czuł napór jej piersi.

– Możesz go wziąć? – spytała.

– Co?

– Wazon. Możesz go ode mnie wziąć?

Sięgnął ostrożnie jedną ręką. Fotel natychmiast potoczył się do tyłu.

– Włącz hamulec – poradziła.

– Nie wiem, czy to ma hamulec.

– Nie bądź głupi. Oczywiście, że ma.

Trudno nie ogłupieć, trzymając kształtną kobietę mniej więcej na kolanach, gdy wiedzie się życie bardzo dalekie od świętości.

– Jest po twojej prawej – powiedziała. – Na tym wygiętym elemencie, podtrzymującym podłokietnik. Mniejszy drążek. Trzeba go podnieść, żeby fotel się poruszał.

– A, tak. Zapomniałem. – Pchnął drążek w dół i zablokował koła.

Ostrożnie odstawiła wazon. Nie było to takie proste, jak można by sądzić. Musiała przemieścić ciało z jednej niezręcznej pozycji do innej, równie niezręcznej. Chociaż postąpiłby mądrzej, patrząc gdzie indziej – na przykład w sufit – Ripley nie był mądry. Utkwił wzrok w jej pupie, niedostatecznie ukrytej pod zbyt cienką półhalką. Rzeczona pupa poruszała się w sposób nieznośnie lubieżny, zaledwie o centymetry od jego zaciśniętej na drążku dłoni.

Ścisnął drążek mocniej.

Zaczęła gramolić się z niego, okręcając się ostrożnie tak, by znaleźć się twarzą na zewnątrz.

Zbyt ostrożnie, ponieważ każdy delikatny ruch wywoływał potężne doznania w jego narządach rozrodczych, które za nic miały przyjaźń, a cóż dopiero przyzwoitość. Interesowało je wyłącznie kobiece ciało, ocierające się o ramiona, pierś i uda Ripleya. Serce przyspieszyło mu gwałtownie, przemknęły przezeń inne doznania. Zaciśnięta na drążku ręka szarpnęła się w górę.

Fotel potoczył się wolno w stronę okien.

– Ripleyu, przestań się bawić!

– Przestań się wiercić.

– Usiłuję zejść tak, żeby nie urazić ci stopy. Ani nie runąć na głowę. Zatrzymaj ten fotel, zanim wyjedziemy przez okno!

Ripley pociągnął za korby i fotel gwałtownie skręcił w prawo.

Usiłowała zejść, a w następstwie jej wygibasów fotel się poruszał.

– Ripleyu, przestań.

– Nie mogę dosięgnąć drążka. Twoja spódnica mi przeszkadza.

Również jej wspaniała pupa, która teraz napierała na jego brzuch, w czymś mu przeszkadzała. No tak, oczywiście, w jasnym myśleniu.

Powierciła się jeszcze trochę i usadowiła w dziwacznej pozycji, z pupą wciśniętą w uda Ripleya i nogami zwieszonymi ponad jego kolanami.

– Zatrzymaj to, żebym mogła zejść, dobrze?

Zatrzymał fotel. Z wielką niechęcią.

Nakazał sobie być grzecznym, lecz stało to w sprzeczności z latami postępowania w sposób zgoła odmienny. Popatrzył w głąb długiej, naszpikowanej przeszkodami biblioteki i w jego umyśle coś się przestawiło.

Kiedy Olympia zaczęła ostrożnie wstawać mu z kolan, zakręcił korbami.

Fotel znów ruszył. Sięgnęła do drążka, żeby zablokować koła, lecz udo Ripleya zagradzało jej dostęp. Chwyciła jego prawą rękę, usiłując przesunąć korbę, ale trzymał ją nieustępliwie.

Przygryzła wargę. Zarumieniła się, oddychała szybciej, okulary przekrzywiły jej się na nosie.

Pociągnął za korby i fotel potoczył się naprzód.

Chwyciła go za ramię.

– Ripleyu!

– Po falstarcie ruszyli w dobrym stylu! – zawołał. – Ripley na prowadzeniu, z dżokejem lady O. walczącą o życie. Ale Fotel i Fotel Drugi depczą im po piętach. Stół pomału wyprzedza zwartą grupę, ale Ripley utrzymuje się na prowadzeniu. Cóż za fenomenalną prędkość rozwija ten rumak!

Kontynuował, jakby relacjonował przebieg wyścigu tłumowi podglądających przez dziury w płocie, zarazem kręcąc obiema korbami, tak że fotel potoczył się szybko ku południowemu krańcowi biblioteki.

– Ripleyu!

O włos minął podnóżek i sunął dalej.

– Czy Ripley zderzy się ze skrzynią, którą król Jakub I podarował komuś nieżyjącemu od dobrych stu lat? Ale nie, bystry Ripley mija skrzynię o centymetry i zmierza teraz prosto na biurko króla Karola II…

– W lewo, szaleńcze! – wrzasnęła. – W lewo.

Skręcił ostro w lewo, a później zrobił jeszcze kilka gwałtownych skrętów, jechał tyłem, kreślił kółka, zygzakował – i przez cały czas mówił. Poczuł, że trzęsą jej się plecy, aż wreszcie wybuchnęła śmiechem.

Świat zmienił się i pojaśniał, serce w nim urosło. Także się roześmiał.

– Przed nimi zdradziecki zakręt – ciągnął. – Czy Ripleyowi się uda, czy też straci równowagę i zrzuci jeźdźca na murawę?

– W lewo! – poleciła ze śmiechem. – Ostro w lewo. Teraz w prawo. Szybciej, Ripleyu. Czerwony Podnóżek nas dogania. Uważaj! Wazon próbuje się wedrzeć na tor. Nie zgub rytmu. Tak trzymaj! Szybciej, Ripleyu!

Udała, że smaga go szpicrutą po kolanach, on zaś śmiał się tak bardzo, że niewiele brakowało, a byłby ich wywrócił.

I tak to trwało, wzdłuż jednej ściany biblioteki w tamtą stronę, wzdłuż drugiej z powrotem, wiele razy o włos od zderzenia z którymś z mnóstwa zabytkowych mebli. Nie widzieli, jak drzwi się otwierają i ktoś zagląda do środka. Nie widzieli, jak się zamykają, szybko i cicho, kiedy mechaniczny fotel toczył się w tamtą stronę.

Szalony wyścig trwał i trwał, aż wreszcie Ripley i jego jeździec śmiali się zbyt mocno, by kontynuować. Wtedy Ripley w końcu dał fotelowi zwolnić, aż zatrzymali się przy skotłowanych dywanikach, niedaleko książek, do których pierwotnie zamierzał ją zaprowadzić.

– A tutaj, u mety, trofeum dla zwycięzcy: wielka sterta zatęchłych starych książek – obwieścił.

Popatrzyła na tomy ułożone w stosy na długim stole, a później na Ripleya. Twarz miała zaróżowioną, włosy zaczynały jej się rozsypywać.

– Hamulec – wykrztusiła na bezdechu. – Zablokuj koła. Cóż to byłby za wstyd dla mnie jako dżokeja, spaść z wierzchowca na koniec wyścigu.

Gmerał przy drążku, niezdolny się skoncentrować.

Złapała go za rękę.

– Naprawdę to nie jest aż tak skomplikowane – powiedziała.

Przytrzymał jej dłoń, zamknął palce wokół jej palców, splótł je z nimi. Przyciągnął ją bliżej.

Oddychał ciężko. Pierś unosiła mu się i opadała. Jej także. Oczy miała teraz niebieskie, jasne jak gwiazdy. Błąkały się w nich jeszcze pozostałości śmiechu, choć jej uśmiech właśnie gasł. Ten jej śmiech, jakże piękny, nadal rozbrzmiewał echem w głowie Ripleya.

– Wygrałaś – powiedział.
Nachylił się i ją pocałował.

Rozdział 12

Gdy tylko ujął jej dłoń, Olympia wiedziała, co zaraz nastąpi. Z łatwością mogłaby uciec. Nawet nie próbowała.

Kiedy ją pocałował, ich dłonie pozostały mocno splecione, wciśnięte pomiędzy nich, przy jego piersi. Czuła bicie serc ich obojga, jakże szybkie. Później zabrał dłoń, by oburącz przytrzymać jej twarz do pocałunku, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.

Nie było w tym żadnych myśli. Instynkt. Potrzeba. Tyle wystarczyło. Odwzajemniła pocałunek, tak jak ją nauczył, jak dyktowało jej serce. Otoczył ją ramionami, a jej walące serce zdało się lekkie jak u ptaka, wzlatywało w górę, szaleńczo roztrzepotane.

Ten pocałunek był zły. Dobrze o tym wiedziała. Ale jakaś jej część, dominująca część, była świadoma, że nigdy więcej nie zazna tego uczucia. Nigdy już nie będzie tak jak teraz. Była zadurzona i głupia, tak. Wiedziała o tym. Wiedziała również, że w życiu dostaje się tylko jedną szansę na pierwszą miłość. To była właśnie jej szansa.

Pocałunek gwałtownie się pogłębił, a gdy po raz pierwszy w pełni poczuła smak Ripleya, jej rozsądek i siła woli roztopiły się, podobnie jak mięśnie. Kosztowała jego grzesznych ust i języka, a ta grzeszność mknęła jej żyłami niczym mocny drink, mocniejszy niż brandy, która pchnęła ją na tę ścieżkę. Pod jej wpływem Olympia nie dbała o nic poza tym, co czuła w tej chwili: ciepłem jego ciała, sposobem, w jaki tulił ją do siebie, doznaniem otaczających ją silnych ramion, nieznanym żarem i potężnym pragnieniem, by dostać tego więcej.

Dał jej więcej, wiódł dłońmi po jej barkach, plecach, w dół ramion, jakby odkrywał ją i uczył się jej na pamięć. Przesunął usta na jej policzek, brodę i gardło, wytyczając szlak gorącymi, rozkosznymi pocałunkami. Wyrwał jej się cichy jęk przyjemności, starała się podążać za jego przewodnictwem, dotykając, całując. Dźwięk, jaki z siebie wydał, gardłowy, zwierzęcy, przyprawił ją o dreszcz. Potem jego ręce wędrowały wszędzie, po jej piersiach i talii, i biodrach, a w niej narastała paląca niecierpliwość.

Żadnych myśli, jakichkolwiek. Umysł nie dał rady płynąć pod prąd zalewu doznań. Wszelka myśl zniknęła, natomiast jej ciało, samo jej jestestwo, obudziło się w napięciu. Poruszała się instynktownie pod jego dotykiem, jak kot lub pies nadstawiają się, żeby je głaskać i pieścić. Ani śladu zażenowania, ponieważ rozkosz i pragnienie, i tak wiele innych uczuć, zagarnęły całą władzę.

Miała świadomość, że dłoń Ripleya sunie w dół po jej nodze. Usłyszała szelest muślinu, powiew musnął pończochę tam, gdzie przed momentem znajdowała się półhalka. Podciągnął jej suknię, na chwilę zatrzymał rękę na jej kolanie i prześlizgnął się wyżej, po pończosze, ponad podwiązką, aż dotarł do nagiego uda. Zadrżała pod wpływem tego dotyku, jego intymności. Wiedziała, że ta intymność jest zła, lecz nic jej to nie obchodziło. Nie mogła się nasycić tymi uczuciami, ową bliskością. Pragnęła, potężnie, nie mając pojęcia, czego konkretnie pragnie, poza tym że pragnęła Ripleya, a to uczucie, to pragnienie, przypominało ogromny głód.

Jego dłoń, ciepła, zaborcza, prześlizgiwała się po nagiej skórze jej uda. Olympia naparła bliżej, jakby mogła dostać się do wnętrza Ripleya, do wnętrza tego doświadczenia, tej dzikiej gonitwy uczuć, czymkolwiek one były.

Jego dłoń znieruchomiała, usta odsunęły się od jej szyi i powiedział coś, czego nie zrozumiała, głos miał bowiem cichy i ochrypły.

Później odezwał się znowu, wyraźniej:

– Złaź, do diabła. Mówiłem ci, że nie można mi ufać.

***

Lady Olympia zgramoliła się z niego, w sposób nie do końca pełen gracji. Fotel trochę się chybotał, ale koła ugrzęzły w dywanikach, nie potoczyłyby się więc zbyt daleko. To nie z tego powodu poruszała się tak niezdarnie. Za jej brak gracji odpowiadał Ripley.

Była niewinna, on zaś wykorzystał jej ignorancję i pobudził ją. Nie tak fatalnie jak samego siebie, dostatecznie jednak, by wprowadzić nieład w jej przepastnym mózgu, gdzie bez wątpienia trzymała wszystkie sprawy pokatalogowane schludnie według tematów.

Kiedy już stanęła na nogach, z drżeniem poprawiła spódnice i przeciągnęła na miejsce stanik sukni. Wyprostowała okulary, w rozkojarzeniu przygładziła włosy wierzchem dłoni.

Podczas gdy doprowadzała się do porządku, Ripley walczył z pragnieniem, by ten porządek jeszcze bardziej zburzyć.

Nienawidzę się, pomyślał. Skoncentrował się na uwolnieniu fotela spomiędzy pomarszczonych dywaników, próbując zarazem odzyskać spokój.

– Nie obchodzi mnie opinia cioci Julii czy twoja – oznajmił. – Im prędzej wrócisz do Londynu… albo ja to zrobię… im prędzej zostaniemy rozdzieleni, tym lepiej. Wyrzeczenia to nie moja działka. Nie znoszę ich.

Zrezygnował z jakichkolwiek wyrzeczeń po śmierci ojca. Przed tą datą praktykował je wręcz nazbyt intensywnie – choć, ściśle rzecz biorąc, nie były to wyrzeczenia, skoro jego umysłowo niezrównoważony ojciec dzierżył sznurki sakiewki, podobnie jak wszystkie inne sznurki kontrolujące życie Ripleya.

Zaplotła ręce w talii i zmierzyła go wzrokiem, jakim mogłaby przyglądać się książce, której kategoria jej umyka.

– Nie masz przypadkiem na myśli samokontroli? – spytała.

– Mam na myśli to, że nie celuję w niedostawaniu tego, czego chcę. Piekielnie niewygodne, rozumiesz… ze względu na fakt, że jesteś przyszłą żoną mojego najlepszego przyjaciela.

Zamrugała.

– Tak, przypuszczam, że to niewygodne.

– Jakiekolwiek zadania wyznaczył mi Ashmont, nie obejmowały praktykowania przed nocą poślubną.

– Prawdopodobnie nie.

– Z całą pewnością nie.

– Doskonale. – Zarumieniła się. – Wydajesz się sugerować, że mnie chcesz.

– Sugerować? Czy to nie oczywiste?

Chwila milczenia.

– Wobec tego może to ty powinieneś się ze mną ożenić – powiedziała.

Przez moment mózg Ripleya przypominał mechanizm zegarowy tuż po tym, jak strzeliła w nim sprężyna.

– Muszę wyjść za księcia – kontynuowała. – Innymi słowy, za wysoko postawionego mężczyznę o pokaźnych dochodach. To byłoby idealne rozwiązanie.

Sztywno wyprostowana wyjaśniła sytuację. Jej rodzice byli pełnymi miłości utracjuszami, którzy nie myśleli o przyszłości ani nie zastanawiali się, jak mało zostawią najstarszemu synowi i dziedzicowi, nie mówiąc o tym, że pięciu pozostałych chłopców nie dostanie absolutnie nic. Tymczasem ojciec trwonił absurdalne sumy na kolejne sezony Olympii, wierny optymistycznemu przekonaniu, że wyda ją za mąż. Naturalnie, kiedy Ashmont się oświadczył, uznała go za *deus ex machina*.

Ripley nadal usiłował przetrawić sugestię, żeby się z nią ożenił. Kwestie związane z jej rodziną go nie zaskoczyły. Zdążył już zrozumieć, w czym rzecz, a spędziwszy z nią trochę czasu, pojął, że nie przyjęłaby Ashmonta z powodów romantycznych bądź ambicjonalnych. Mimo to jej wyrachowanie w ocenie własnej sytuacji w połączeniu z, praktycznie rzecz biorąc, propozycją małżeństwa, kompletnie zbiły go z pantałyku.

Pozbierawszy myśli, rzekł:

– Mówiąc krótko, jako wypłacalny książę, nadam się równie dobrze jak Ashmont.

– Lub równie źle. Ale do ciebie obecnie bardziej przywykłam.

Między innymi bez wątpienia przywykła do tego, że korzystał z każdej okazji, by ją zdeprawować. To prawda, że go nie zniechęcała. To prawda, że w pełni z nim współpracowała. Nie żeby akurat on uważał takie nastawienie za wadę charakteru. Wprost przeciwnie, podobał mu się jej entuzjazm. Ogromnie. Ashmontowi także się spodoba. Nie spodoba mu się natomiast, że ów entuzjazm wywołuje u niej jego najlepszy przyjaciel.

– Dobrałaś się znowu do brandy? – zapytał Ripley. – Nie słuchałaś? Nie mogę ukraść narzeczonej przyjacielowi. Nie mogę jej uwieść, pójść z nią do łóżka ani jej poślubić. Tak się po prostu nie robi.

Poprawiła okulary, choć tego nie wymagały. Jej włosy i owszem, ale nie zamierzał dotykać ich nawet kijem. Odjechał mechanicznym fotelem do tyłu. Dalej niż na odległość ramienia.

– A, tak, honor dżentelmena – skwitowała. – Ja wszakże nie jestem dżentelmenem. Muszę postępować praktycznie.

Nie chciał, żeby była praktyczna. Sam nie znajdował w sobie nic praktycznego. Nadal wirowało mu w głowie po tym, co między nimi zaszło.

Co prawda nie było tego przecież aż tak wiele. Żarliwe objęcia, trochę świntuszenia, zgoda. Ale tylko popieścił, nie dotarł nawet do najlepszych części… i najwyższy czas przestać o tym myśleć.

– Faktem jest, że nie robię się coraz młodsza – mówiła właśnie.

– Podobnie jak Mends.

– Nie wspominałam o nim.

– Wiem, że trzymasz go w rezerwie. Kolejne praktyczne rozwiązanie, na wypadek gdyby opcja książęca nie wypaliła.

– Nie pojmuję, dlaczego ciągle przywołujesz lorda Mendsa – stwierdziła.

– Widziałem go z tobą. Sposób, w jaki na ciebie patrzy. Odrażające, w jego wieku.

W przeszłości Ripleya więcej niż raz korciło, żeby przejść przez salę balową, podnieść typa i wyekspediować na ulicę, z dala od niej.

Uzmysłowił sobie, że gdyby Mends był młodszy, może istotnie posunąłby się do czegoś w tym rodzaju, tyle że z większą brutalnością. Dlaczego nigdy do niej nie podszedł? Czy zakładał, że ona zawsze tam będzie, czekając, aż Ripley dojrzeje do związku z szanującą się dziewczyną?

Zwlekał zbyt długo i Ashmont dotarł do celu pierwszy, i już nic nie dało się zrobić.

– Zadurzył się w moich teoriach na temat katalogowania i perspektywie nieodpłatnego uporządkowania księgozbioru – mówiła tymczasem ona.

– Rzeczami, których nie wiesz o mężczyznach, można by zapełnić bibliotekę – skwitował Ripley. – Obiecaj mi, że za niego nie wyjdziesz. Jeśli usłyszę o planach dotyczących takiej potworności…

– Ufam, że nie będę zmuszona ratować się lordem Mendsem, ale niczego nie obiecuję. Na tym etapie byłoby zadziwiające, gdyby nadal mnie chciał.

– Nie byłoby w tym absolutnie nic zadziwiającego.

Aczkolwiek Ripley nigdy do tego nie dopuści. Ona nigdy nie będzie zmuszona szukać ratunku w osobie lorda Mendsa czy kogokolwiek innego.

– Jeżeli tak twierdzisz. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Skoro ty jesteś zbyt honorowy, nakłonię Ashmonta, żeby mnie poślubił. W liście napisałam mu wprawdzie, że może uznać nasze zaręczyny za niebyłe…

– Nie zrobi tego. – *Niech go piekło pochłonie!*

– Zapewne masz rację. Zamierzałam właśnie powiedzieć, że moim zdaniem jest zbyt zaborczy i uparty, żeby zrezygnować. Jeśli jednak okaże

się, że ma wątpliwości, sądzę, że zdołam go przekonać. Teraz, kiedy przekazałeś mi tyle użytecznych informacji o mężczyznach, nasuwają mi się konkretne pomysły, jak się do tego zabrać.

Tak, w istocie, Ripley dostarczył jej mnóstwa pomysłów, jego też niech piekło pochłonie.

– Nie będzie miał wątpliwości – orzekł zwięźle. – Nic nie rozumiesz. Ta noc przed ślubem? Ashmont mówił wyłącznie o tobie i tym, że się żeni. Nikomu nie dawał dojść do słowa. Nigdy nie widziałem go w takim stanie z powodu kobiety.

Jej oczy, w tej chwili szare, napełniły się łzami. Zamrugała gwałtownie.

– Wobec tego stanowi dla mnie zagadkę – powiedziała zdławionym głosem – dlaczego w dniu ślubu tak bardzo się upił.

Nie wspominając o wieczorze przed tym dniem.

– Może zżerały go nerwy – podsunął Ripley. – Może nie byłaś wyjątkiem. Niemniej to nie on uciekł, zgadza się?

Przez chwilę wyglądała, jakby ją uderzył. Chciałby, żeby to ona go uderzyła, najlepiej jednym z ciężkich tomów na podorędziu.

Później w jej oczach zamigotały iskry. Wysunęła brodę.

– Co on miał do stracenia? – zapytała. – Kiedy kobieta wychodzi za mąż, staje się własnością męża. On sprawuje nad nią kontrolę. On dzierży całą władzę. Jeśli ją unieszczęśliwi, gdzie taka żona ma szukać pomocy? Ale Ashmont? Ty? Blackwood? To całkiem inna historia. Wy trzej możecie dalej postępować tak samo jak przed ślubem i nikogo to nie obejdzie. W przypadku mężczyzn małżeństwo w zasadzie niczego nie zmienia. Dla kobiety może być końcem świata.

Władza i kontrola. Ripley wiedział, jak się czuje osoba pozbawiona jednego i drugiego. Wiedział, jak to jest być zdanym na łaskę nieprzewidywalnego człowieka. A kobiety miały pod tym względem jeszcze gorzej.

Tyle że Ashmont nawet w przybliżeniu nie przypominał zmarłego szalonego szóstego księcia Ripleya.

– Będziesz księżną – rzekł. – Do diabła, Olympio, dasz sobie radę z Ashmontem. Przez ciebie zapominam o nakazach lojalności, czy więc doprawdy sądzisz, że nie owiniesz go sobie wokół palca?

– Kiedy ja nie… – Urwała, marszcząc brwi. Następnie poprawiła okulary. – Masz rację.

– No pewnie.

– Skoro ty tak łatwo tracisz kontrolę, to on także. Nawet łatwiej, jak podejrzewam, gdyż moje dotychczasowe obserwacje wskazują, że szybko wpada w gniew i wdaje się w bójki, przy czym do sprowokowania go wystarczy najmniejszy drobiazg. Zapewne poniekąd wiąże się to z ilościami spożywanego przezeń alkoholu. No cóż, przekonamy się. Będę musiała poszukać sposobów na to, żeby skierować jego energię ku bardziej pożytecznym zajęciom. – Pokiwała głową. – Tak, brzmi obiecująco. Wiedziałam, że znajdzie się jasna strona. Zawsze jakaś jest. – Opromieniła go uśmiechem. – Dziękuję, Ripleyu.

Uzmysłowił sobie, że ściska korby mechanicznego fotela tak mocno, iż koła walczą z blokującym je drążkiem. Poluzował uchwyt.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł. – Ogromnie się cieszę, że ci pomogłem. Zostawię cię teraz z książkami. Chyba przejadę się po ogrodzie.

***

Olympia utrzymywała uśmiech na twarzy, gdy przechodziła do drzwi, żeby je przed Ripleyem otworzyć. Uśmiechała się nadal, kiedy manewrował fotelem, by wyjechać z biblioteki i potem na żwirową ścieżkę. Zamknęła drzwi.

Dopiero wtedy jej uśmiech zgasł. Dopiero wtedy ścisnęło jej się gardło, wargi zadrżały, a oczy napełniły się łzami. Tym razem dała łzom popłynąć. Ale niezbyt długo.

– Nie bądź mazgajem – poleciła sobie.

Znalazła chusteczkę i osuszyła oczy.

Użalanie się nad sobą nie wchodziło w rachubę. Nie żywiła złudzeń w kwestii mężczyzn. Zawsze – a w każdym razie po pierwszych kilku sezonach – wiedziała, że jej małżeństwo, jeśli jakimś cudem uda jej się takie zawrzeć, nie będzie romantyczne.

Mimo że pojmowała, iż ma marne szanse na sukces, przed chwilą usiłowała osiągnąć coś ponad praktyczny układ biznesowy. Przynajmniej próbowała.

Niemniej Ripley miał rację. Mężczyźni nieustannie przyprawiają rogi innym mężczyznom, a wytworne towarzystwo kwituje to wzruszeniem ramion, podśmiewając się z rogacza.

Jednakże wykradnięcie najlepszemu przyjacielowi narzeczonej to zupełnie inna sprawa. Niehonorowy postępek. Niemal równie fatalny jak oszukiwanie przy grze w karty.

Co więcej, nie chciała być tą, która zniszczy wieloletnią przyjaźń, odbierze Ashmontowi jednego z dwóch jego prawdziwych przyjaciół. Nie życzyła mu źle. Nie chciała go ranić.

Niemniej to nie on uciekł, zgadza się?

Skrzywiła się. To ona uciekła. Zachowała się w sposób nieżyczliwy. Wstydziła się tego.

Mimo to nie potrafiła zabić w sobie nadziei na inne zakończenie tej historii.

– Powinnaś być mądrzejsza – wymamrotała. – Wiesz, co się dzieje: zadurzyłaś się w rozpustniku.

Jak tysiące kobiet przed nią. Nawet te bystre. Pisano na ten temat książki i sztuki. Od stuleci. Nie wątpiła, że badacze odkryją w Egipcie hieroglify snujące tę samą opowieść.

No dobrze. Uległa tej chorobie. Po prostu będzie musiała się z niej wyleczyć. Znała jeden sprawdzony sposób na to, jak mierzyć się z życiowymi komplikacjami.

Wyprostowała się i podeszła do sterty książek. Zaczęła je sortować. Tu historia. Tu filozofia. O proszę, poezja dramatyczna, Congreve, Dekker, Middleton, Schiller, Sheridan. No i Szekspir, oczywiście, który pisał o tym, co Olympia obecnie czuła, jak również o nieskończenie wielu innych uczuciach i zachowaniach ludzi.

Wzięła tom. *Romeo i Julia*. Doskonały przykład. Czyż swego czasu nie uznała tej historii za żenującą? Dwoje bardzo młodych ludzi, nieznających świata, uwierzyło, że znaleźli miłość życia. W konsekwencji zabili się oboje w wyjątkowo głupi sposób.

Owszem, Olympia miała niemal dwadzieścia sześć lat, nie czternaście, lecz jej doświadczenie z mężczyznami innymi niż bracia odpowiadało temu czternastolatki.

Odłożyła Szekspira i sięgnęła po kolejną pozycję. *Don Kichot.* Kilka wydań tego wspaniałego przykładu życia złudzeniami. Na szczycie kolejnego stosu spoczywało *Zamczysko w Otranto*. Coś dla Ripleya, bez wątpienia. Gigantyczne hełmy spadające z nieba i uśmiercające ludzi, różne

mniej nadprzyrodzone formy usiłujące pozabijać się nawzajem, damy w opałach…

Prędko odłożyła książkę i omiotła wzrokiem całą kolekcję.

I wtedy je zobaczyła. Trzy wielkie woluminy, welin. Przez chwilę tylko się gapiła.

– Tutaj – szepnęła. – *Recueil des Romans des Chevaliers de la Table Ronde.* Tutaj. Właśnie w Camberley Place.

Z nabożeństwem przewracała strony. Czytała o tym dziele. Komplet na pewno pochodził ze sprzedaży biblioteki księcia Devonshire, prawie piętnaście lat temu. Lord Mends próbował go zdobyć, ale bez sukcesu.

Piękny. Setki ilustracji, w złoceniach i kolorze, dla zobrazowania opowieści o Rycerzach Okrągłego Stołu.

Nieproszone, powróciły słowa Ripleya.

Czy nie powiedziała mi pani, że jest damą w opałach? Ja jestem pani rycerzem w lśniącej zbroi.

Zamknęła książkę, nie umiała jednak odciąć się od głosu Ripleya ani tego, co czuła, kiedy był blisko, kiedy jej dotykał.

Podeszła do okna.

Chociaż ogród od frontu po wschodniej stronie był dosyć zarośnięty, dobrze widziała Ripleya. Zatrzymał się w połowie ścieżki i patrzył w kierunku przeciwnym do domu. Kiedy go obserwowała, podbiegł doń Katon, powęszył chwilę, po czym usiłował polizać mu stopę. Ripley wykonał jakiś gest. Pies cofnął się o krok i usiadł przy fotelu inwalidzkim, grzeczny jak marzenie, a przynajmniej udający niewiniątko. Moment później w ślad za Katonem nadeszła lady Charles.

Olympia odwróciła się od okna. Rycerze w lśniących zbrojach należeli do świata romansów, świata bajek. Lady Olympia Hightower musiała żyć tu i teraz. Jeśli już mają nawiedzać ją głosy, niech to będzie głos mądrości: *Nie powinna pani nie doceniać Ashmonta… gdy on wreszcie zasłuży sobie na pani szacunek i miłość, będzie pani szczęśliwa, że za niego wyszła.*

Głos doświadczenia, trzeźwy i praktyczny. Głos, którego rozsądna i praktyczna dziewczyna powinna posłuchać.

– I tak zrobię – szepnęła Olympia. – Tak zrobię.

Wróciła do nieskatalogowanych książek lorda Charlesa.

***

W głowie Ripleya nadal rozbrzmiewał śmiech Olympii. Nadal czuł jej krągłości i ciepło ciała. Słyszał jej słowa: *Wobec tego może to ty powinieneś się ze mną ożenić*.

No cóż, nie mógł, i nie było sensu przypuszczać inaczej. Należała do Ashmonta. Dowolny inny mężczyzna mógłby spróbować mu ją wykraść. Ale nie Ripley, psiakrew, ponieważ był przyjacielem Ashmonta. Ponieważ było za późno.

Pogrążał się tak stopniowo w czarnej rozpaczy, kiedy usłyszał szczeknięcie i dopadł doń Katon.

– Siad! – polecił Ripley, zanim pies na niego skoczył.

Jednakże Katon tylko truchtał wokół niego i węszył. Dłuższą chwilę spędził, obwąchując uda Ripleya… na których wcześniej siedziała Olympia. Następnie spróbował polizać mu chorą stopę. Ripley strzelił palcami.

– Wynocha, niedorzeczny zwierzu.

Pies usiadł, mierząc stopę wzrokiem.

– Chce się bawić – rozległ się za plecami Ripleya głos cioci Julii. – Ale ty chyba dość się już dziś nabawiłeś.

– Tak?

Splotła ręce za plecami i przespacerowała się w tę i z powrotem.

– Nie radzę ci wykorzystywać tej młodej damy pod moim dachem.

Widziała lub opowiedziała jej służba. Ripley milczał.

– Usłyszałam zamieszanie w bibliotece – wyjaśniła. – Na twój honor, mam nadzieję, że te wygłupy do niczego nie doprowadziły.

Nawet nie mrugnął. „Wygłupy” do niczego nie doprowadziły, prawie do niczego, i tak było najlepiej.

– Na litość boską, Hugh, powiedz mi, czy muszę zabrać stąd tę dziewczynę.

Chciał, żeby Olympia wyjechała. Nie, nieprawda. Powinna wyjechać dla jego dobra.

Problem polegał na tym, że potrzebowała czasu na osobności – z dala od rodziny, którą usiłowała ocalić, tak, lecz zwłaszcza z dala od Ashmonta. Potrzebowała czasu, żeby pomyśleć i zdecydować, co będzie najlepsze, najmądrzejsze i najbardziej słuszne nie po prostu dla jej rodziny, ale także dla niej. Niemałe wyzwanie – dopasować elementy, które nijak do siebie nie pasują.

Ripley o tym wiedział. Wiedział również, że trudno o lepsze miejsce niż Camberley Place, kiedy człowiek usiłuje dojść do ładu z życiowymi trudnościami.

– To skomplikowane – powiedział.

– Życie jest skomplikowane.

– Tak.

– Dostrzegałam, że sprawa nie jest prosta, a teraz widzę to jeszcze wyraźniej – stwierdziła. – Ty… wy trzej… – Urwała. – Mniejsza o dwóch pozostałych. To ty jesteś tutaj i to ty musisz stawić czoło sytuacji. Niektórych problemów nie załatwi się za pomocą pieniędzy. Z niektórymi trzeba się zmierzyć.

– Doprawdy? A z czym ty się mierzysz, ukrywając się tutaj?

Na moment znieruchomiała. Później zaśmiała się krótko.

– Dobra robota. Twoja siostra próbowała, ale ty przeniknąłeś głębiej.

– Niż żmii zęby?

– Nigdy nie byłeś niewdzięczny[2]. I nigdy nie wzdragałeś się przed pojedynkami ze mną. Upłynęło niemało czasu i z braku godnych przeciwników mój dowcip nieco się przytępił. Nie na tyle jednak, żebym nie rozpoznała, kiedy ktoś usiłuje odwrócić moją uwagę.

– Twój dowcip ma się wyśmienicie – zapewnił. – Żałuję, że nie było mi dane obserwować z ukrycia, kiedy przyjechali tu Ashmont i Blackwood.

Pokręciła głową.

– Nadal omijasz temat. W porządku. Moje dziewczęta dorosły, zajmują się mężami i dziećmi. Ja sama też nie jestem już dziewczyną. Nie jestem już żoną. Sama nie wiem, kim jestem. Brak mi kierunku, celu.

– I to z tego powodu tu tkwisz? Ponieważ brak ci przeklętego celu?

– Proponujesz, żebym stała się taka jak ty, bez jakichkolwiek bliższych i dalszych celów w życiu innych niż zabawa?

– Jeśli cię to pocieszy, ciociu, w tej chwili bynajmniej nie bawię się dobrze.

– I nie możesz uciec. – Uśmiechnęła się. – Jaka szkoda.

– A ty uciekasz od lat. – Również się uśmiechnął. – Jaka szkoda.

– Nie, kochany, szkoda, że tracisz szansę życia.

– To nie jest moja szansa.

– Ponieważ Ashmont był pierwszy? Ponieważ jest twoim przyjacielem?

Ripley nie odpowiedział. Ciocia Julia dostrzegła stanowczo zbyt wiele. Jak zawsze zresztą.

– Zastanawiam się, co będziesz czuł za rok – ciągnęła. – Albo za pięć lat, widząc szczęście, które mogło być twoje. Zastanawiam się, jakim pocieszeniem będzie wówczas dla ciebie twój honor.

Pod wpływem jakiejś nuty w jej głosie pomyślał o matce i czymś, co powiedziała niegdyś na temat cioci Julii, czymś zaskakującym. Miłosny zawód. W jego głowie panował jednak zbyt wielki zamęt, a to mgliste wspomnienie kotłowało się wraz z innymi, znacznie świeższymi, oraz zbyt wielkim natłokiem przeklętych uczuć. Próbował je wyłowić – łatwiej myślało mu się o cioci Julii niż o sobie, pamiętając, że tak czy owak nie znosił myśleć – kiedy popatrzyła w kierunku domu, najpewniej zwabiona jakimś hałasem, który jemu umknął.

Ripley odwrócił fotel w stronę budynku, spodziewając się Olympii.

Ale to tylko lokaj spieszył do swojej pani.

Milady była potrzebna w domu, powiedział. Przybył lord Frederick Beckingham.

***

Jego Lordowską Mość zaprowadzono spiesznie do salonu i posłano po lady Olympię.

Słowa powitania były w miarę ciepłe, lecz postawy sugerowały napięcie.

Podczas gdy Ripley rozumiał sztywność Olympii w obecności stryja jej narzeczonego, a i sam nie czuł się w pełni swobodnie za sprawą zgrzybiałego sumienia, które wybrało sobie akurat ten moment, by odzyskać nagle wigor, dziwne zachowanie dwojga pozostałych go skonfundowało.

– Przepraszam, że przybywam bez uprzedzenia – mówił właśnie lord Frederick – i, co gorsza, staję przed państwem okurzony pyłem z drogi. Jednakże mój bratanek znajdował się w stanie tak wielkiego poruszenia, że uznałem, iż lepiej nie tracić czasu. W rzeczy samej, był tak poruszony, że doradziłem mu, by napisał list, zamiast ponownie najeżdżać ten dom, oraz by pozwolił mi pełnić rolę jego emisariusza.

Mówiąc krótko, stryj Fred doradził Ashmontowi, żeby trzymał się z dala, a mówienie zostawił jemu. Z pewnością nie był to zły plan. Stryj Fred

uchodził za pochlebcę na tyle zręcznego, że cieszył się przychylnością zarówno króla, jak i jego wroga numer jeden, królewskiej szwagierki, księżnej Kentu. Matka księżniczki Wiktorii, aktualnej następczyni tronu, nie cierpiała Jego Królewskiej Mości. Uczucie było wzajemne.

– Poruszony? – powtórzyła ciocia Julia. – Tak pan to nazywa? Ponieważ ja wczoraj zobaczyłam Luciusa, który wypił więcej, niż mogłoby mu wyjść na zdrowie, co skądinąd wydaje się od pewnego czasu normą. Uczestniczył w bójce, którą, w co nie wątpię, sam zainicjował, gdyż zawsze tak robi. Kolejny zgubny nawyk. I przyznam, że to doprawdy zabawne, iż mówi pan o pyle z drogi, wiedząc, że nie ma na sobie ani jednej plamki…

Umilkła na chwilę, by omieść lorda Fredericka szybkim spojrzeniem, a jego niebieskie oczy rozbłysły – z gniewu czy rozbawienia, czy wskutek innej emocji, tego Ripley nie potrafił stwierdzić.

– Naturalnie towarzyszył panu osobisty lokaj – podjęła ciocia Julia. – I z pewnością zatrzymał się pan, żeby się odświeżyć, zanim pan tu dotarł.

Usiadła na najmniej wygodnym krześle w pokoju i zaprosiła gościa, by również zajął miejsce. Lord Frederick przeszedł jednak tylko do kominka i stanął plecami do niego, jakby był środek zimy, on zaś koniecznie chciał ogrzać sobie plecy.

Lady Olympia także pozostała na stojąco, przy oknie najbardziej oddalonym od zebranych w pokoju. Ripley zastanowił się, czy spróbuje znowu tej drogi ucieczki.

– Chciałabym móc powiedzieć to samo o pańskim bratanku – ciągnęła ciocia Julia. – Niestety, przybył w stanie bardziej niż odrażającym, będącym zniewagą dla każdej damy, a już szczególnie dla jego narzeczonej.

– Tak, no cóż, jest to jeden z powodów, dla których doradziłem mu, aby pozostał w Londynie – rzekł lord Frederick, jak zwykle niewzruszenie opanowany, jeśli nie liczyć dziwnego blasku w oczach. – Niemniej Lucius naprawdę był poruszony, ogromnie. Aczkolwiek, jak sądzę, powinienem był również dodać, że odrażająco.

Pojawił się lokaj Joseph, z tacą z napojami i przekąskami zamówionymi przez ciocię Julię, gdy wracała do domu.

Nikt się nie odzywał, dopóki służący nie wyszedł.

Olympia pociągnęła łyk i odstawiła kieliszek na pobliski stolik.

Lord Frederick pił zaskakująco długo. Z drugiej strony, spędził kilka godzin w podróży, dzień był ciepły, toteż na pewno dokuczało mu

pragnienie.

Ciocia Julia również nie ograniczyła się do typowego łyczka czy dwóch.

Informacja, którą Ripley usiłował sobie przypomnieć, nie dawała mu spokoju, lecz ciągle znajdowała się poza zasięgiem.

– Bardzo przyjemne – pochwalił lord Frederick, ruchem głowy wskazując kieliszek. – Zawsze miała pani dobrze zaopatrzoną piwnicę, zarówno w Camberley Place, jak i w Londynie. Niemniej ostatnimi czasy nieczęsto bawiła pani w Londynie.

– W ogóle nie bawiłam – odparła ciocia Julia. – Zastanawiam się jednak nad zmianą zwyczajów.

W szczęce stryja Freda drgnął mięsień. Stryj odstawił kieliszek na pobliski stolik.

– Jakkolwiek napitek jest wyśmienity, lady Charles – rzekł – muszę pamiętać o mojej misji. Pilna sprawa, która mnie tu przywiodła, wymaga ode mnie, bym zachował trzeźwość umysłu. Otrzymałem zadanie przekazania lady Olympii listu od mojego bratanka.

Z wewnętrznej kieszeni surduta, na którym istotnie nie znać było najmniejszego pyłku, wyjął zaskakująco gruby list. Zaskakująco, gdyż listy Ashmonta nie zwykły składać się z więcej niż jednej kartki.

– Za pani pozwoleniem, lady Charles – mówił dalej stryj Fred. – Czy życzy pani sobie najpierw go przeczytać?

– Skądże. Nie jestem matką lady Olympii. Poza tym lady Olympia jest dorosła, a list przysyła jej narzeczony.

Lord Frederick skinął głową. Podszedł do lady Olympii.

– Polecono mi przekazać go pani z najszczerszymi przeprosinami. Ashmont przyjechałby tu osobiście, gdybym mu tego nie odradził. Żałuje, że zaprezentował się lady Charles tak niegodnie. – Ukłonił się w kierunku cioci Julii. – Jednakowoż ostatecznie zgodził się ze mną, że jeśli chce naprawić owo niefortunne wrażenie, powinien uszanować wrażliwość damy i nie pokazywać się tutaj, dopóki nie odzyska należytej prezencji. Tymczasem pragnie, by nie miała pani najmniejszych wątpliwości w kwestii jego uczuć.

Lady Olympia przyjęła list z rąk lorda. Wydawała się spokojna, jeśli nie liczyć delikatnego rumieńca na kościach policzkowych. Poprawiła okulary, choć nie mogłyby tkwić na jej nosie bardziej prosto, i rozłożyła list. Przysunęła się bliżej okna, żeby go przeczytać, a Ripley przyłapał się na

tym, że mierzy wzrokiem zasuwkę, zastanawiając się, czy byłby z nią taki sam kłopot, jak z tamtą w Newland House… gdyby lady Olympia postanowiła czmychnąć.

Czemu jednak miałaby to zrobić? Nie miała przed czym uciekać. Ashmont znajdował się bezpiecznie daleko, w Londynie, a stryj Fred, jakkolwiek bywał diaboliczny pod tą gładką powierzchnią ujmujących manier, nie proponował, że zabierze ją z powrotem do miasta.

No tak, Jego Lordowska Mość nie mógłby się do tego posunąć, nieprawdaż? W takiej podróży lady Olympii musi towarzyszyć ciocia Julia lub inna szacowna dama – albo matka. W każdym razie, jeśli lady Olympia zechce wrócić do Londynu, to wróci, jeśli zaś nie zechce, nie wróci, przy czym nijak nie zależało to od Ripleya, zgadza się?

W takim razie może to ty powinieneś się ze mną ożenić?

Co będziesz czuł za rok, za pięć lat?

Ripley w rozkojarzeniu zarejestrował, że lord Frederick podchodzi i zajmuje fotel obok cioci Julii, po czym mówi coś cicho, a ona mu odpowiada. Rozgrywało się to jednak w tle, niewiele się różniąc od obrazów na ścianie.

Tak naprawdę Ripley widział wyłącznie Olympię, z głową pochyloną nad listem, raz po raz poprawiającą okulary. Choć zasadniczo włosy się jej nie rozsypywały, nie były ani w połowie tak schludnie ułożone, jak kiedy przyszła do biblioteki, zanim… zanim…

Nie tak schludne jak przed tym, gdy ją pocałował i posunął się dalej, niż miał prawo, niż honor mu pozwalał, nawet jeśli było tego tak mało, żadną miarą nie dosyć…

…mógłbyś się ze mną ożenić.

Co będziesz czuł…

W końcu lady Olympia na powrót złożyła list. Najwidoczniej ciocia Julia i lord Frederick przez cały czas obserwowali ją niepostrzeżenie, ponieważ natychmiast zamilkli.

Lady Olympia położyła list na stole w pobliżu drzwi.

I wyszła z pokoju.

Rozdział 13

Przez, jak się zdawało, całą wieczność nikt się nie odzywał.

Ripley zamrugał, zastanawiając się, czy niedawne zdarzenia mu się nie przyśniły. Kiedy otworzył oczy, spodziewał się zobaczyć lady Olympię, nadal z listem w ręku lub podnoszącą wzrok i poprawiającą okulary, nim zabierze głos. Ale ona wyszła. Słyszał jej szybkie kroki, oddalające się korytarzem do głównego holu. Trzasnęły zamykane drzwi.

Ruszył ku drzwiom, przez które wyszła, ale drogę zagrodziła mu ciocia Julia. W mechanicznym fotelu, nie tak giętkim jak ciało, nie zdołał przecisnąć się obok niej.

Chwyciła list i otworzyła go.

– Co on, na Boga, do niej napisał?

Zbliżył się lord Frederick, jeszcze bardziej utrudniając Ripleyowi dostęp do wyjścia.

– Tylko to, co powinien – rzekł.

– Tylko to, co powinien! – powtórzyła ciocia Julia. – A cóż to takiego było, jeśli będzie pan łaskaw mi wyjawić, i jak wiele wiadomo panu na ten temat? Czy to pańskie dzieło?

– Czy mogę prosić o usunięcie się z drogi? – odezwał się Ripley. – Nie interesuje mnie list. Muszę…

Przypuszczasz, że moje uczucia uległy zmianie – przeczytała ciocia Julia *– i masz rację, inaczej wszakże, aniżeli zakładasz. Moje uczucia do Ciebie jedynie się wzmocniły, podobnie jak przerażenie na myśl o tym, że mógłbym Cię utracić.*

– Muszę… – spróbował znowu Ripley, ale ciocia Julia czytała dalej, a kiedy starał się ominąć ją i stryja Freda, siłą rzeczy wszystko słyszał.

…zburzyło mój spokój i nakłoniło mnie, bym przeanalizował moje zachowanie, co, przyznaję, winienem był uczynić już dawno, zanim

poprosiłem Cię, żebyś wykonała ów wielki krok i powierzyła mi swoją przyszłość. Minionych kilka dni dało mi do myślenia, a myśli te rozciągnęły się na moje wady i karygodne postępki. Zrozumiałem, że nie były one aż tak błahe, inaczej bowiem nie obudziłyby w Tobie wątpliwości i obaw na tyle znaczących, że pchnęły Cię do desperackiego kroku. Piszesz o sobie bardzo surowo, lecz moje uczucia wobec Ciebie z pewnością takie nie są. Szczerze podziwiam Twoją odwagę i śmiałość i błagam, abyś mi wybaczyła, że z mojego powodu podjęłaś ryzyko, które nie powinno być konieczne.

Nie był to styl Ashmonta, jednakże jego odczucia – i owszem. Co do tego Ripley nie miał wątpliwości, podobnie jak nie wątpił, że stryj Fred nadał tym odczuciom formę bardziej elokwentną niż niedbała, prawie że niezrozumiała pisanina Ashmonta.

Tamtego wieczoru przed ślubem… to, co Ashmont o niej mówił. Ów miękki, pełen zdumienia ton, jakim powiedział: *Była miła*.

Mówił jednak wówczas znacznie więcej: o jej wdzięku i inteligencji, żywości i charakterze, i że kryje swoje światło pod korcem. Jaka jest bystra, a także ładniejsza, niż wszyscy wkoło zdają sobie sprawę – tak jakby okulary przemieniały piękną kobietę w brzydulę. Ale tym lepiej, że trwali w nieświadomości, inaczej bowiem do tej pory inny mężczyzna już zagarnąłby ją dla siebie.

Ciocia Julia czytała dalej, a list stawał się coraz bardziej namiętny i zniewalający, jednak do Ripleya, gdy zdążał ku drzwiom, ledwie cokolwiek z tego docierało przez jazgot w głowie, gdzie toczyła się bitwa między tym, co słuszne, a tym, co złe, między honorem a pożądaniem, między Musisz Pozwolić Jej Odejść a Nie Możesz Pozwolić Jej Odejść.

– To potwornie niesprawiedliwe – obwieściła ciocia Julia.

– Wobec kogo? – zapytał lord Frederick.

Było to ostatnie, co usłyszał Ripley, kiedy toczył się korytarzem i do głównego holu, gdzie warknął na lokaja Toma, który w pośpiechu otworzył dlań drzwi.

– Którędy poszła? – zapytał Ripley.

Tom wskazał kierunek.

– Ścieżką w prawo, Wasza Książęca Wysokość.

Ścieżka była żwirowa, nie najwygodniejsza powierzchnia, by atakować ją w mechanicznym fotelu, o czym Ripley przekonał się wcześniej.

Niemniej skoro jego babka sobie radziła, on również podoła. Ta świadomość bynajmniej nie uczyniła doświadczenia mniej frustrującym. Pieszo – to znaczy, mając obie stopy sprawne – zapewne dogoniłby Olympię z łatwością, choć nigdzie jej nie dostrzegał. Mimo to nie mogła odejść daleko w ciągu tych kilku minut przewagi, jaką nad nim uzyskała.

Parł naprzód i dotarł do kolejnej plątaniny ścieżek, tym razem po prostu z ubitej ziemi. Niedaleko zauważył jednego z tutejszych ogrodników i zawołał do niego.

Mężczyzna, jeden ze starszych służących – Hill, tak się nazywał – pospieszył ku niemu z czapką w dłoni.

– Wasza Książęca Wysokość.

– Dama, Hill – rzucił Ripley. – Którędy poszła?

Hill podrapał się w głowę i rozejrzał, marszcząc brwi.

– Trudno rzec dokładnie, Wasza Książęca Wysokość, ale jakby szła na południe, w stronę rzeki.

Ripley potoczył się ogrodową ścieżką, która wiła się między nasadzeniami i posągami, ograniczającymi pole widzenia do zaledwie kilku metrów. Czasami przestrzeń się otwierała, trwało jednak dłuższą chwilę, nim w końcu wytropił Olympię, maleńką figurkę w oddali.

Kiedy opuścił duże formalne ogrody, względnie płaski teren wokół dworu przeszedł w łagodnie opadające grunty parku. Mignęła mu, zmierzając w kierunku domku rybackiego, gdzie Ripley, jego przyjaciele i siostra spędzali niegdyś tak wiele czasu.

Posuwał się naprzód w wolnym tempie. Teren był tu bardziej nierówny i zarośnięty. Drzewa i krzewy wzdłuż krętej ścieżki przesłaniały widok. Raz po raz dostrzegał Olympię, już nie tak maleńką figurkę jak wcześniej, i przypomniał sobie tamto przedpołudnie w ogrodach Newlandów – czy od tamtej pory upłynęło zaledwie kilka dni? – kiedy podążał za przebłyskami bieli w zaroślach. Odnosił w tej chwili wrażenie, że ściga ją całe życie.

Powinien był ścigać ją wcześniej, lata wcześniej. Wiedział, że tam jest, między podpierającymi ściany, rozgdakanymi babskami i wątłymi staruszkami. Nigdy się nie zastanawiał, z czego to wynika. Uznał za pewnik, że ona zawsze tam będzie. Nie poświęcił tej kwestii ani jednej myśli. Czyżby jakimś sposobem zakładał, że dzieje się tak dla jego wygody? Zakładał, że ona czeka, dama na zamku, aż Ripley, rycerz z

romansu, nadjedzie, żeby powieźć ją w siną dal? Kiedy poczuje się gotowy?

– Myślenie – wymamrotał Ripley. – Daj sobie spokój.

Moment później perspektywa otworzyła się przed nim i zobaczył ją, teraz już bliżej, w zasięgu głosu.

– Olympio! – krzyknął.

Drgnęła i się odwróciła.

– Idź sobie! – odkrzyknęła i ruszyła dalej, bynajmniej nie wolno.

Potoczył się za nią, dwukrotnie wpadając na drzewo. Niebo, rankiem w miarę pogodne, zdążyło zaciągnąć się chmurami, a upał stał się przytłaczający. Spocone dłonie ślizgały mu się na gałkach korb fotela, przez co zjechał ze ścieżki.

– Do diabła, Olympio!

– Idź sobie!

– Musimy porozmawiać!

– Nie!

Z furią parła przed siebie.

Zmagał się z fotelem, który coraz bardziej protestował przeciw nierównościom terenu, koła nie w pełni współpracowały z korbami, tak że Ripley co rusz wtaczał się w krzaki. Podskakiwał na większych kamieniach, a choć zbocze opadało łagodnie, fotel mimo wszystko przyspieszał, podczas gdy Ripley walczył, by pozostać na ścieżce.

Olympia szła dalej, a chociaż podążanie za nią powinno być w miarę łatwe, ścieżka robiła się coraz bardziej wyboista. Wdzierały się na nią drzewa i krzewy, ewidentnie nieprzycinane co najmniej od roku. Nikt też nie zadbał o uprzątnięcie kamyków, orzechów i innych śmieci, które wtoczyły się lub zostały naniesione na ścieżkę podczas ulew.

Jakkolwiek w domniemaniu fotel działał sprawnie na każdym podłożu, nie zaprojektowano go do wycieczek po dzikich ostępach. Ripley usiłował nim kierować, zarazem hamując jego zapędy, by ulec siłom grawitacji i pomknąć prosto do rzeki. Do tego celu przydałyby mu się trzy ręce. Ponieważ miał tylko tradycyjną parę, lewą korbą operował normalnie, podczas gdy korbę po prawej stronie poruszał łokciem, dłoń zaciskając na drążku blokującym koła, który skądinąd nie do końca spełniał swoje zadanie.

Od zwierzyny dzieliło Ripleya może ze dwadzieścia metrów, kiedy zdrętwiała, spocona dłoń ześlizgnęła mu się z uchwytu hamulca. Nim zdążył odzyskać kontrolę, fotel potoczył się naprzód. Ripley zakręcił korbą, żeby zjechać ze ścieżki tam, gdzie spowolniłoby go podszycie, ale fotel podskoczył na dużym kamieniu. Prawa korba została mu w dłoni, fotel przez chwilę chwiał się na boki, po czym pomknął ścieżką, prosto do wody.

Ripley spojrzał na bezużyteczny kawałek metalu w swojej dłoni.

Odrzucił go na bok.

Puścił drugą korbę.

Usłyszał krzyk Olympii.

***

Olympia z przerażeniem przyglądała się, jak fotel podskakuje, mknąc w dół ku ścieżce wiodącej wzdłuż rzeki, przecina ją i stacza się z brzegu do wody. W wodzie o coś uderzył, z szarpnięciem na tyle mocnym, że głowa Ripleya odskoczyła do tyłu. Fotel przewrócił się na bok.

Pobiegła z powrotem i weszła do rzeki, płytkiej tutaj, ale o kamienistym dnie. Rozchlapując wodę, podeszła do miejsca, gdzie leżał fotel.

Ukazała się ciemna, ociekającą wodą głowa. Ripley popatrzył na nią i się roześmiał.

Jej serce, które wcześniej jakby się zatrzymało, podjęło pracę w takim tempie, że Olympii zakręciło się w głowie, robiło jej się na przemian zimno i gorąco.

Myślała… myślała…

Ale nie, oto i on, ten bałwan, roześmiany. Cały w jednym kawałku. Żadnej krwi. Żywy. Chętnie by go zabiła.

– Ty lekkomyślny człowieku! – krzyknęła. – Mogłeś skręcić kark.

– Jesteś mokra – stwierdził.

W oddali rozległo się niskie dudnienie. Odchylił w tył głowę i spojrzał w niebo.

– I zaraz zmokniesz jeszcze bardziej.

Popatrzyła w górę. Do niedawna błękitne niebo znikało szybko za gromadzącymi się szarymi chmurami. Usłyszała kolejny grzmot, głośniejszy i bliższy.

Chwyciła fotel i postawiła prosto. Ręce jej drżały.

– Wstawaj! – poleciła. – Wstawaj!

Wspierając się o fotel, podciągnął się do pionu.

Olympia była już mokra. Nie martwiło jej, że zmoknie bardziej. Wolałaby jednak nie tkwić na otwartej przestrzeni, kiedy wokół szaleją pioruny.

– Siadaj – poleciła.

– Zepsuł się, a ty nie dasz rady wepchnąć mnie na nim pod górkę, nawet tak łagodną. Poza tym nie palę się, żeby znów dosiadać tego wynalazku. Sama zobacz, co nawyrabiał. Pilnowałem własnych spraw, kiedy postanowił popływać.

– Puściłeś go! Widziałam!

– Zmęczyła mnie walka.

– Mogłeś skręcić kark, tępaku!

Chciałaby, żeby jego los nic a nic jej nie obchodził. Chciałaby, żeby ktoś inny, ktokolwiek, podążył za nią tamtego dnia – to się działo ledwie trzy dni temu? – kiedy uciekała z Newland House, i odstawił z powrotem, zanim miała okazję zadurzyć się w niewłaściwym mężczyźnie.

– Nie pamiętałem, że w tym miejscu dno jest tak kamieniste – powiedział Niewłaściwy Mężczyzna. – Dalej w dół rzeki się wygładza.

Miała pełną świadomość, jak bardzo kamieniste jest tutaj dno. Wolała nie myśleć, co mogło się stać. Chciała już wyjść z tej rzeki, w której o mały włos byłby się zabił.

– Mniejsza z tym. – Grzmoty rozbrzmiewały coraz głośniej. Świat pociemniał od kłębiących się chmur. – Musimy wracać.

Spróbowała wepchnąć fotel na brzeg, co okazało się trudniejsze, niż się zdawało na pierwszy rzut oka.

– Co robisz? – spytał. – Zostaw go.

Pchała dalej. Musiała z czymś walczyć. Równie dobrze mógł to być ten przeklęty mebel.

Westchnął i dołączył do niej, tak że każde trzymało jeden róg oparcia. Miała nadzieję, że Ripley wykorzystuje fotel jako podparcie dla chorej kostki. Później powiedziała sobie, że martwienie się o niego to nie jej zadanie. Nie był jej problemem. Miała dosyć własnych. Będzie musiała nauczyć się kochać innego mężczyznę, ponieważ ten mężczyzna nadal ją chciał, ona zaś była dziewczyną praktyczną i rozsądną, a ślub z nim stanowił praktyczne i rozsądne rozwiązanie.

– Za najbliższym zakrętem jest domek rybacki – powiedział Ripley, machając ręką. – Płasko, nie pod górkę, i bliżej niż do dworu.

Spojrzała we wskazanym kierunku, a potem w górę, skąd przyszła. Nie miała pewności, gdzie jest dwór. Nie orientowała się, jak daleko dotarła, idąc na oślep przez park. Słowa Ashmonta zadały jej ból, dotkliwy, mimo świadomości, że były to niezupełnie jego słowa. Zasadniczo jednak list brzmiał jak to, co on mógłby powiedzieć, i Olympia z chęcią by uciekła. Tyle że nie wiedziała dokąd. Nie wiedziała nawet, przed czym chce uciekać, ani też tak naprawdę nie widziała sensu w ucieczce. Gdyby tylko nie uciekła za pierwszym razem.

Nie mogła teraz o tym myśleć. Ciemność się pogłębiała, grzmoty narastały. Kątem oka uchwyciła błyskawicę.

Nie spierała się, kiedy Ripley obrał kurs na domek rybacki.

***

Ripley kazał jej pobiec przodem, podczas gdy sam podążyłby za nią z fotelem, odmówiła jednak. Oznajmiła, że jeśli go zostawi, żeby sam pchał fotel, będzie zanadto obciążał niesprawną stopę.

Na szczęście do pokonania mieli jedynie niewielką odległość. Domek rybacki stał w pobliżu zakola rzeki od stu pięćdziesięciu lat. Ripley liczył na to, że nie zniknął.

Burza nadciągała w miarowym tempie i kiedy dotarli do zakrętu, niebo przecięła błyskawica. Grzmot nadszedł tuż po niej, o wiele za prędko. Krople deszczu z pluskiem spadały na ścieżkę, fotel i ich głowy.

Pchnął fotel szybciej, nie zważając na szarpiący ból w nodze, kiedy prawą stopą trafił niespodzianie na wybój. Nasunęło mu się, że trzeba poświęcić tym ziemiom nieco uwagi, zaraz jednak odsunął tę myśl na inną okazję.

Krajobraz tonął w coraz głębszych cieniach. Przetoczył się grzmot, między chmurami migały błyskawice.

Gdy tylko minęli zakręt, ich oczom ukazał się domek.

W opinii większości osób nie bardzo zasługiwał on na miano domku rybackiego. Ani trochę nie przypominał wytwornych, liczących wiele izb i kondygnacji świątyń rybackich w stylu klasycznym, gotyckim i chińskim, jakie spotykało się w tak wielu wspaniałych posiadłościach. Ten tutaj był

zaledwie kamienną konstrukcją na planie kwadratu, z paroma detalami architektonicznymi nawiązującymi do świątyni. Jeden z przodków Ripleya wybudował go pod koniec XVII wieku. Od tamtej pory domku ani nie powiększano, ani nie upiększano, składał się więc z pojedynczego pomieszczenia z oknami w każdej ścianie. Trzy niskie stopnie wiodły na wąski portyk, osłaniający dwuskrzydłowe drzwi.

Kiedy spieszyli w stronę budynku, oświetliła go błyskawica. Moment później nad ich głowami przetoczył się grzmot.

Ripley zostawił fotel przed schodkami i pokuśtykał po nich w ślad za Olympią. Kiedy znaleźli się na portyku, deszcz zintensywniał. Ripley pociągnął za gałki. Drzwi nie ustąpiły. Zamknięte na klucz. Oczywiście.

– Nieważne – powiedziała. – Mamy osłonę przed najgorszą ulewą, a prawdopodobnie zaraz będzie po wszystkim.

– Wątpię – odparł, patrząc wokół. – Nie wygląda mi to na tego rodzaju burzę. Ta sprawia wrażenie, jakby planowała zabawić dłużej.

Zostawił Olympię i pokuśtykał za róg budynku, sprawdzając okna.

– Ripleyu!

Na tyłach trafił na okno z zepsutą zasuwką.

– Znalazłem wejście! – zawołał. – Zostań tam, gdzie jesteś.

Chwilę mocował się z oknem, żeby je otworzyć, po czym wrócił po fotel.

– Przytrzymam fotel, a ty staniesz na nim, przeciśniesz się przez okno do środka i otworzysz drzwi od wewnątrz – poinstruował.

Przychodziło mu na myśl mnóstwo kobiet, które spojrzałyby nań w tym momencie jak na szaleńca.

Olympia skinęła głową.

Pomogła mu przepchnąć fotel na miejsce, a on nie protestował, choć obszedłby się bez asysty. Kiedy przejął fotel i przytrzymał go nieruchomo, szybko wspięła się na niego i dalej przez okno, z furkotem spódnic i półhalek, do wtóru różnych wygibasów, roztaczając wokół znajomy zapach. Chociaż miała na sobie ubrania cioci Julii, woń, którą wychwycił, unosiła się z jej skóry i włosów.

Przypomniał sobie, jak wspinała się na mur na tyłach ogrodu w Newland House. Przypomniał sobie, jak jej suknia i półhalki ocierały mu się o twarz…

Otrząsnął się z tych wizji, cofnął do drzwi i czekał. I czekał. Wielkie krople deszczu spadały coraz szybciej. Wiał porywisty wiatr.

– Zamierzasz otworzyć te drzwi?! – zawołał. – Czy mam odpierać pioruny za pomocą fotela?

– Jest ciemno! – odkrzyknęła. – Nie mogę znaleźć… o, jest.

Drzwi się otworzyły i Ripley wpadł do środka.

– Fotel – powiedziała. – Zostawiłeś go…

– Do diabła z fotelem!

Rozejrzał się. Kiedy oczy przywykły mu do półmroku, wypatrzył na kominku pudełko z hubką i krzesiwem, obok prostych utensyliów trzymanych tu zawsze przez rodzinę: garnków, kilku talerzy i kubków, dzbana i miski. Na stole stał koszyk z bielizną stołową. Przy kominku ułożono drewno na opał.

Rozpalił ogień. Dzięki temu miał zajęcie, gdy usiłował zdecydować, co zrobić. Czy też, przede wszystkim, co powiedzieć.

Pozostawał świadom napiętej ciszy w pomieszczeniu, podczas gdy na zewnątrz ciemność raz po raz przecinały błyskawice, a stare okna brzęczały, wstrząsane dudniącymi grzmotami.

– Ktoś niedawno tu był – skomentował, obserwując, jak polana zajmują się ogniem. – Cały park określiłbym jako… może nie zaniedbany, ale niezbyt starannie doglądany. A jednak niedawno do domku naniesiono drewna na opał. To na pewno sprawka Alice. Bawiliśmy się tutaj jako dzieci.

Trzy łóżka polowe, z których korzystał on i jego przyjaciele, nadal tu stały. Na dwóch nie było pościeli. Na trzecim i owszem. Najwyraźniej Alice spędziła tu ostatnio trochę czasu. Dlaczego? Miał nadzieję, że nie rozmyśliła się w kwestii swego małżeństwa, bo na to było piekielnie za późno. Nie wspominając o tym, że wystarczyło mu komplikacji w życiu bez dodawania do tej listy Blackwooda.

Podmuch wiatru otworzył drzwi, niosąc do środka deszcz.

Pospieszyli do nich oboje i zatrzasnęli je z hukiem. Ripley zasunął rygiel, odcinając ich od świata. Od rzeczywistości. Na moment.

Odstąpiła prędko, ocierając wilgoć z rąk.

– Jak ty wyglądasz – powiedziała. – Przemokłeś do suchej nitki.

– Jest lato.

– Nie jest aż tak ciepło.

– Mamy ogień.

– W budynkach z kamienia utrzymuje się wilgoć. A ten stoi tuż przy rzece. Nie tylko zmokłeś, ale też się poobijałeś. Nigdy nie wyleczysz tej kostki, jeśli będziesz tak podle ją traktował.

– Ma się coraz lepiej – zapewnił. – Robisz wokół niej takie zamieszanie, że człowiek mógłby pomyśleć, że zależy ci… na nim.

Wpatrywała się w niego przez długą chwilę.

– No mógłby – powtórzył.

– Mógłby? – Pomaszerowała do kominka, stamtąd do okna i z powrotem, aż wreszcie stanęła przed nim z rękami wspartymi na biodrach. – Mógłby?! Jakie są granice twojej tępoty? Praktycznie ci się oświadczyłam!

– Tak, cóż, nie powinnaś wyskakiwać na faceta z czymś takim bez uprzedzenia.

– Prawie że zerwałam z siebie ubranie, krzycząc: „Weź mnie!”. Jakiego więcej uprzedzania potrzebujesz?

– To było dla mnie raczej zbyt subtelne, bo w gruncie rzeczy się nie rozebrałaś. No i jeszcze to wszystko, co trzeba przemyśleć. Mnóstwo skomplikowanych kwestii.

– Nie są aż tak skomplikowane.

– No to powiedzmy, że… brzemienne w skutki. To dobre określenie.

– Głupie.

– Zamierzasz wszystko utrudniać?

– Niczego nie utrudniam. Wszystko rozumiem. Doskonale rozumiem. O wiele za dobrze. Dlatego nie ma potrzeby, żebyśmy znów przerabiali temat przyjaźni, lojalności i honoru. Zbiera mi się od tego na krzyk, a bynajmniej nie jestem osobą nerwową. Nie jestem osobą nadmiernie emocjonalną. Jestem praktyczna i rozsądna. Wiem, że niekoniecznie dane ci było poznać mnie od tej strony…

– Poznałem cię od kilku stron – wszedł jej w słowo.

Co będziesz czuł za rok… za pięć lat?

Wiedział, co będzie czuł. Czuł to w tej chwili.

– Poznałem cię od bardzo wielu stron – ciągnął. – Co oznacza, że rozumiem lepiej niż kiedykolwiek, dlaczego Ashmont z ciebie nie zrezygnuje.

– Ponieważ jest zaborczy i uparty.

– Tak odebrałaś jego list? Bo ja usłyszałem co innego. Aczkolwiek zastrzegam, że dotarły do mnie jedynie fragmenty, a i to wbrew woli, gdyż

ciocia Julia i ten jego nikczemny stryj zagrodzili mi drogę do drzwi, kiedy spierali się o treść listu. W przeciwnym razie dogoniłbym cię prędzej.

– Nie powinieneś był za mną iść. Ani dzisiaj, ani tamtego dnia.

– Nie, powinien to zrobić Ashmont, ale nie zrobił.

– Nie zrobił, ponieważ był zbyt pijany w dniu własnego ślubu, w tym dniu, który, jak twierdzisz, wzbudzał w nim taki zachwyt.

– Tak, cóż, niekiedy bywa trochę dupkiem.

– Trochę! Niekiedy!

– Nie mnie pierwszemu rzucać kamieniem. Rzecz w tym… powód, dla którego za tobą poszedłem… tym razem…

– Nie napisał nawet tego listu sam! To znaczy trzymał pióro, ale słowa nie były jego. On tak nie pisze ani tak nie mówi. I prawie nie było kleksów. I zapisał dwie kartki, po obu stronach!

– Kleksy robi, gdy przerywa, żeby pomyśleć.

– Nie musiał myśleć. Ktoś go w tym wyręczył.

– Nie do końca. Zasadniczo wolałbym go w tej chwili nie bronić, ale trzeba przedstawić sytuację sprawiedliwie.

– Niczego nie trzeba mi przedstawiać. Nie jestem głupia.

– List pokazuje, jak szczerze on pragnie cię odzyskać – rzekł. Zamierzał być sprawiedliwy. Zamierzał grać uczciwie. Wymagały tego honor i przyjaźń. – Fakt, że Ashmont zniósł tak wielkie poniżenie, jak stryj dyktujący mu list miłosny… no, moim zdaniem to dowodzi afektu. A chociaż słowa nie były Ashmonta, uczucia tak. Wiem to. Słyszałem go w noc przed ślubem.

Z kamienną twarzą splotła ramiona. Jednak jej oczy o zmiennym kolorze przybrały odcień szarości i wyczytał w nich ból.

Wokół szalała burza. Świat na przemian tonął w czerni i oślepiał jaskrawą bielą, grzmoty podkreślały ich słowa i ich milczenie.

W domku było względnie cicho, nie licząc trzaskania ognia, lecz cisza ta zdawała się tak ciężka, że Ripley czuł się, jakby brnął przez sięgające mu do piersi błoto.

Lub na przykład ruchome piaski.

Zastanowił się.

– To dlatego dzisiaj uciekłaś? – spytał, starannie dobierając słowa. – Z powodu uczuć Ashmonta, które stryj pomógł mu ubrać w słowa?

– Tak. – Rozplotła ramiona i podeszła do kominka, a stamtąd do okna. – Zebrało mi się na płacz. Ale kiedy wyszłam, z dala od wszystkich, nie potrafiłam się rozpłakać. I nie mogłam wrócić, żeby dla uspokojenia poukładać książki, ponieważ zaraz ktoś by mnie odnalazł, a wtedy na pewno bym się rozpłakała. Dlatego poszłam.

– Jeśli nie chcesz za niego wychodzić, nie wychodź.

– Nie chcę. Ale muszę. Ale nie mogę. Jakżebym mogła? Jakżebym mogła, skoro…

Przerwał jej huk na zewnątrz. Za oknami znów pojaśniało. Kolejny huk, rezonujący echem.

Oślepiony, Ripley dopiero po chwili spostrzegł, że ból zniknął z jej twarzy niczym zdmuchnięty błyskawicą. Przez chwilę wyglądała, jakby coś zabiło jej ćwieka. Później odetchnęła głęboko. Obserwował, jak jej biust wznosi się i opada. Nakazał sobie tam nie patrzeć. Jak zwykle nie posłuchał.

– Nieważne – powiedziała.

Odwinęła z szyi białą apaszkę.

Od początku nie rozumiał, na co jej ona, chyba że jako ozdoba dla bardzo prostej sukni. I tak, zdjęcie jej wydawało się sensowne. W domku zrobiło się raczej ciepło, przy zamkniętych oknach i ogniu płonącym nieco bardziej żywiołowo, niż można by tego oczekiwać w wilgotny czerwcowy dzień. Ponieważ, myśląc zbyt intensywnie, nie zwracał uwagi na to, co robi, napalił w kominku o wiele za mocno jak na potrzeby tak małego pomieszczenia.

Później zaczęła rozpinać suknię.

***

Ripleya ogarnęło to samo wrażenie, co nie tak dawno – wieki temu – w bibliotece, kiedy odłożyła list i wyszła. Zamknął oczy i otworzył je ponownie, lecz nie była to fantazja ani sen.

– Co robisz? – zapytał.

– Przestaję być subtelna.

Suknię uszyto jak płaszcz, z guzikami na całej długości. Olympia dotarła już do połowy stanika, choć musiało tam być ponad dwadzieścia guziczków. Do tego kolejne dwa lub trzy tysiące na spódnicy.

Podczas gdy ona niepokojąco sprawnie rozpinała guziki, umysł Ripleya potrzebował chwili, żeby pojąć sens owego „Przestaję być subtelna”.

Później sobie przypomniał.

– Olympio.

Dalej rozpinała guziki, bardzo na tej czynności skoncentrowana, gdyż przygryzła dolną wargę, a między jej brwiami zarysowała się delikatna zmarszczka, dokładnie nad mostkiem okularów.

– Do diabła, Olympio!

– Wszyscy tak mówią – wymamrotała. – „Do diabła, Olympio!”. Sam idź do diabła.

– Przestań.

– Nie wydaje mi się. Sytuacja stała się nie do zniesienia i gorzej już nie będzie.

Tymczasem rozpięła suknię do pasa. Widział jej gładką szyję, całą. Mignął mu fragment skóry poniżej i skrawek białej bielizny.

Powiedział sobie, że jest od niej większy i silniejszy, więc z łatwością ją powstrzyma. Tyle że nie mógł tego zrobić. Musiałby jej dotknąć.

Nie wolno mu było jej dotykać.

Nie, jeśli… dopóki. Nie teraz.

– Może być znacznie gorzej – przestrzegł głosem niższym o oktawę.

Burza wciąż szalała, błyskając i grzmiąc wokół maleńkiego domku rybackiego.

Ripley przełknął ślinę.

– Tak, cóż, w sumie to nie taki zły pomysł. Przemokłaś.

Podobnie jak on. A mimo to nie pozbywał się mokrego stroju.

Nie odpowiedziała. Rozpięła pas i rzuciła na krzesło.

W izbie zrobiło się niemożliwie gorąco.

Kontynuowała rozpinanie guzików. W tym celu musiała się teraz pochylić, przez co widział krągłości jej biustu ponad prostym dekoltem halki. Oraz koronkowe wykończenie zaraz poniżej. Koronka gorsetu. Tego, który jej kupił. Dobry Boże! Różowe wstążki i koronka, i niegrzeczne szwy, wokół i nad… no… tam. Przy czym „tam” były dojrzałe, pełne i mlecznobiałe.

– Olympio – rzucił ochryple.

Rozpinała dalej i przód sukni otworzył się, ukazując gorset w całej jego ponętnej grzeszności, jak również otuloną nim elegancką talię… i

rozkoszne wygięcie w miejscu, gdzie podążał za doskonałymi krągłościami jej bioder.

Odejdź, polecił sobie. Musiał jedynie otworzyć drzwi i wyjść. Drobna burza z piorunami nie wyrządzi mu szkody, a gdyby nawet, to tym lepiej.

Próbował się odwrócić, lecz ona tymczasem minęła biodra i miarowo, nieodwołalnie rozpinała suknię aż do kolan. Widział cały frywolny gorset i część półhalki, białej, o wiele prostszej niż ten pierwszy, tak niewinnej, że mogłaby ją nosić zakonnica. Tyle że ona nie była zakonnicą, no i miała na sobie fikuśny francuski gorset… a jej piersi prawie się z niego wylewały.

Tkwił w miejscu, niezdolny wykonać żadnego ruchu poza zaciskaniem i rozwieraniem pięści, podczas gdy robiło mu się coraz goręcej i puls mu przyspieszał. Tkwił tam jak głupiec, którym był, i przyglądał się jej, gdy rozpinała guziki, z łatwością pochylając się nisko i jeszcze niżej, aż do samego skraju sukni. Kiedy zaś wreszcie odpięła ostatni guzik, uwolniła ręce z ciasnych rękawów, wyginając się na wszystkie strony, zdjęła suknię i rzuciła ją na krzesło.

Popatrzyła na niego z zaróżowioną twarzą, blaskiem w oczach i miękkimi wargami wygiętymi w triumfalnym uśmieszku.

Miała prawo triumfować. Oto stała przed nim, jakże kształtna i nieprzewidywalna. Ognista wojowniczka, która zmasakrowała tyrana. Oto miał ją przed sobą, w morzu białej bielizny i fikuśnym gorsecie, najbardziej rozkosznie nieodpartą pokusę, jaką kiedykolwiek oglądał.

Ripley nie zwykł opierać się pokusom. Nie wiedział nawet, jak to się robi.

Nie potrafił odwrócić wzroku ani uciec, ani postąpić tak, jak należy. Nigdy nie był święty i na pewno nie zacznie się zmieniać akurat teraz.

– Czy to dla ciebie zbyt subtelne? – zapytała.

– Nie – wykrztusił. – Do diabła, Olympio!

Dwa kuśtykające kroki i znalazł się przy niej. Dwa kolejne i oparł ją plecami o ścianę.

Rozdział 14

Olympia podniosła nań wzrok. Stał tak blisko, że czuła żar jego ciała. Oczy zwęził w niebezpieczne zielone szparki.

Serce biło jej w takim tempie, że ledwie potrafiła oddychać, a rozsądny, praktyczny głos w jej głowie mówił: *Uciekaj*.

Rada była jednak nonsensowna, nie wspominając o tym, że zdecydowanie spóźniona. Gdyby ucieczka mogła cokolwiek rozwiązać, Olympia uciekłaby szybciej i dalej tamtego dnia, kiedy porzuciła pijanego pana młodego, czekającego z pastorem.

Określała samą siebie damą w opałach, ale nie była nią. Damy w opałach to nieodmiennie cnotliwe niewiasty, które znalazły się w tarapatach nie ze swojej winy. Olympia znalazła się w tarapatach, bo sama je na siebie sprowadziła. Żadnych smoków. Żadnych złych czarnoksiężników. Żadnych czarnych charakterów podkręcających wąsiska. Żadnych bezdusznych rodziców, macoch bądź ojczymów.

Nie, do diabła! Za wszystko odpowiadała ona sama.

A teraz właśnie, do diabła, stała półnaga, spoglądając w wilczą twarz Ripleya, i uśmiechała się do niego, podczas gdy jego zielone oczy miotały iskry gorące jak smocze płomienie.

Prawdziwa dama w opałach przynajmniej próbowałaby uciec.

Ucieczka była ostatnim, czego pragnęła Olympia.

Pachniał lasem, burzowym letnim dniem, mokrą wełną i dymem. Gdzieś pod tymi nutami krył się, przenikał przez nie, wiedziała, choć na razie nie zdołała go uchwycić, zapach jego skóry. Wzięła głęboki oddech, niczym palacz opium, wciągający do płuc upragniony narkotyk.

Zaczął coś mówić, gdy jednak nabrała powietrza, jego spojrzenie ześlizgnęło się na jej usta, a potem na piersi, wyeksponowane aż nazbyt wyraźnie.

Ujął od tyłu jej głowę, nachylił się i pocałował ją, mocno. Odpowiedziała w ten sam sposób. Żadnych słodkich, dziewiczych pocałunków, ponieważ nie była słodka, zgadza się? Była Olympią, do diabła, i chciała więcej,

więcej i więcej tego, czego wcześniej zaledwie posmakowała: grzechu i żaru, i dzikich uczuć. Uczuć, co do których przestała już wierzyć, że kiedykolwiek ich doświadczy.

Miała mglistą świadomość deszczu bębniącego o drewniany dach i zacinającego w okna. Miała mglistą świadomość grzmotów i trzasków na zewnątrz. Ale te rzeczy znajdowały się daleko, odległe niczym sen.

Centrum jej świata mieściło się tutaj, w niepoprawnej, niedopuszczalnej tęsknocie, z którą nie miała sił dłużej walczyć. Tego właśnie chciała, niewykluczone, że od momentu, gdy wraz z przyjaciółmi wparował wówczas do biblioteki. Bez względu na to, czy zaczęło się to wtedy, czy dużo wcześniej, w tej chwili pragnęła właśnie jego.

Pragnęła, by dociskał ją do swego potężnego ciała, otaczał ramionami. Nawet jeśli nie uzmysławiała sobie tego przedtem, teraz pojęła, że przez cały ten czas pragnęła poczuć, jak jego pierś unosi się i opada, wsparta o jej własną, poczuć podniecenie zupełnie obce cnotliwej dziewicy. Przez cały ten czas czekała, sama nie wiedząc na co, aż do tej pory: żeby doświadczyć żaru kotłującego się wokół niej i w niej. Niczym roztopiona lawa, pełzał po jej skórze i pod nią, wkradał się do mózgu. Po drodze topił i palił, cokolwiek napotkał, przede wszystkim rozsądek i praktyczność. Świat nabrał miękkości, zasnuł się mgłą i zawirował wokół niej. Była zgubiona i cieszyła się z tego.

Gdyby mogła wybrać mężczyznę, dla którego straci głowę, nie byłby pierwszy na liście. Prędzej ostatni. Ale miała pecha. Bo to on był tym jedynym.

Tylko raz.

Tylko ten jeden raz.

Namiętność. Ten jeden raz, z mężczyzną, którego pragnę, nawet jeśli to złe i może mnie zrujnować.

Całował ją i całował, i całował. Wszędzie. W bok twarzy i w ucho, i za uchem, i w szyję. Liczyły się wyłącznie jego usta na jej skórze, wywierające nacisk tak delikatny, że nie powinien posiadać aż takiej mocy. Jednak wskutek owych muśnięć pragnęła więcej. Wystarczyły, by się zatraciła, by zapomniała, czego uczono ją na temat tego, co dobre, a co złe. Wszystko w niej, co wcześniej zdawało się tak pewne i mocne – umysł i siła woli praktycznej i rozsądnej Olympii – ustąpiło, poddając mu się,

ulegając mocy jego ust i dotyku, zapachowi skóry, ciepłu i sile potężnego ciała.

Och, i jego dłoniom.

Wędrowały po niej, kiedy całował jej szyję, a potem górne partie biustu. Wyrywały jej się zwierzęce kwilenia, ciche jęki.

I pośród tych pocałunków miała świadomość – odległą, jakby rozgrywało się to w innym miejscu – że poluzowuje na niej gorset, gładko i sprawnie. I niemal natychmiast poczuła, jak sznurówki ustępują, a gorset ześlizguje się w dół. Instynkt nakazał jej go przytrzymać. Ale ręce Ripleya zagrodziły jej drogę, gdy zaś zepchnął gorset niżej i równie fachowo rozwiązał tasiemki halki, zapomniała, co zamierzała zrobić i skąd w niej w ogóle taka chęć.

Zsunął halkę w dół, a później jego nagie dłonie znalazły się na jej piersiach… nakrywały je, ściskały…

Głęboki, rozkoszny ból połączył się z gwałtowną falą przyjemności, tak nagłą i potężną, że Olympia z trudem utrzymała się na nogach. Tego właśnie chciała, choć wcześniej nie miała pojęcia, czym owo „to” jest, i nigdy by sobie tego nie wyobraziła, nawet w najdzikszych snach.

Przywarł ustami tam, gdzie dopiero co znajdowały się jego dłonie, i ssał. Żar rozlał się gwałtownie w jej brzuchu. Nie czuła kolan, tak że gdyby jej nie przytrzymywał, ześlizgnęłaby się na podłogę.

– Och – powiedziała. – Och.

Jej jakże sprawny umysł nie zaproponował niczego więcej.

Ripley otoczył ją ramionami, poderwał z podłogi i przeniósł kawałek. Położył ją na czymś miękkim. Nachylił się nad nią i delikatnie zdjął jej okulary, które odłożył… gdzieś, nieważne, ponieważ znowu ją całował, zaczynając od czoła.

Całował jej brwi i oczy, nos i policzki, i brodę, i sunął dalej. Te pocałunki były jeszcze żarliwsze, parzyły jej skórę i wlewały pod nią ogień, aż wszystko stało się gorące i zamglone, i mroczne.

Szybko sunął w dół, ona zaś, wijąc się z rozkoszy i innych, ostrzejszych doznań, usiłowała również dobrać się dłońmi do jego nagiej skóry. Czuła potrzebę, by całować go tak samo jak on ją, zawłaszczając go, na ile tylko się da. *To jest moje, i to moje, i to także, i to też moje*.

Przypominali dwie armie ścierające się o terytorium. Tyle że ich walka stanowiła poniekąd przeciwieństwo walki. Czymkolwiek to było, musiało się dokonać. Musiała dotykać jego skóry i czuć na sobie jego dłonie.

Potrzebowała pocałunków, kolejnych, branych i dawanych. Kiedy zaś brała, jak najwięcej, czuła, że traci osłonę – ubrania, tak, ale i coś jeszcze. Przez długie lata ukrywała swoje marzenia i pragnienia, a później, kawałek po kawałku, inne części siebie.

Jednakże w chwili, gdy zaczęła rozpinać suknię, ona – kimkolwiek była – wyszła z ukrycia. Wyłoniła się ze świata, który próbowała uczynić bezpiecznym i pozbawionym bólu, a osiągnęła tyle, że ów świat stał się ciasny i nudny. Z Ripleyem życie w tak ciasnym miejscu nie było możliwe. Z nim nie mogła grać według zasad – i wcale tego nie chciała.

Pragnęła jedynie więcej i więcej, i więcej jego i tego, co jej robił. Szarpnęła na nim koszulę, podciągnęła ją w górę, żeby przyłożyć dłonie do jego piersi, tak ciepłej i twardej. Roześmiała się w duchu, przepełniona triumfem, kiedy jęknął, choć jednocześnie odczuwała bolesną potrzebę, jakże głęboką. Triumfowała w poczuciu słuszności, niezdolna zarazem powstrzymać okrzyków „Och!” i „Och!”, kiedy wyginała się pod nim, niecierpliwie domagając się czegoś innego, czegoś ponadto.

– Olympio – powiedział ochryple w jej szyję.

– Tak – odparła. I znowu, i zawsze. – Tak. Tak.

***

Powiedziała „tak”.

Owo „tak” grzmiało w głowie Ripleya równie głośno jak burza na zewnątrz. Lub może to jedno słowo składało się na burzę.

Zdecydował, mniej więcej, co jej powie.

Ale tego tutaj nie zamierzał robić.

To znaczy nie tak prędko.

Jednakże sposób, w jaki nań spojrzała, kiedy rozpięła guziki… Jej wygląd w tym momencie – wszystkie te ponętne krągłości i biała bielizna, i niegrzeczne różowe wstążki.

Był mężczyzną, bynajmniej nie cnotliwym.

Toteż kiedy powinien był powiedzieć: „Nie, zaczekaj”, dodając coś rozsądnego i poprawnego… nie uczynił tego.

Przeciwnie, wkroczył prosto w kłopoty, jak zawsze. Pokonał tych kilka kroków, które dzieliły go od postąpienia w sposób niewłaściwy. A później

znalazła się w jego ramionach, miękka i chętna, ucząc się o wiele za szybko, jak go podniecić.

A teraz.

Powiedziała „tak”.

Tak, oczywiście. Jakiż istniał wybór?

Popatrzył na nią, ułożoną na łóżku, na te kremowe miękkości, rozbiegany wzrok, biel i róż, i jedyna prawdziwa myśl w jego głowie zrodziła się bardziej z instynktu niż rozumu, jak u wilka, który spostrzegł swoją waderę: *moja*.

Ostatecznie był księciem. W jego żyłach płynęły stulecia dzierżenia władzy i wielkopańskiego przymusu posiadania.

Powiedziała „tak”, a on powiódł dłonią w górę po jej nodze, podciągając półhalkę. Prześlizgnął się po jej kolanie, potem nad podwiązką i sunął dalej po gładkiej skórze uda, i wyżej, do otwarcia pantalonów, do jedwabistego miejsca między jej nogami.

W tym momencie należało zarządzić koniec. Gdzieś w mrokach umysłu o tym wiedział. Lecz ona jedynie zatchnęła się cichutko, zaskoczona, nim padło kolejne „tak”, gdy nadal ocierała się o jego rękę. I tak, była mokra i gotowa.

I nie, nie myślał. Nie nawykł do myślenia, a zmiana zdania przydarzała się innym.

Gładził ją i czuł, jak spazmuje wokół jego palców. Tego pragnął. Tak właśnie powinno być. Zarazem wyrastało to ponad jego oczekiwania i dotychczasowe doświadczenia.

Jej rozkosz pulsowała w nim niczym letnia burza, mroczna, z rozbłyskami światła. Olympia była ciemnością i światłem, niebezpieczeństwem i podnieceniem, lecz także słodyczą. Widział i odczuwał wyłącznie ją, wypełniała jego myśli: ona, w jego ramionach, pod jego dłońmi, namiętna i otwarta, ufna i dzika. Krzyknęła cicho, a potem zachichotała.

Także się roześmiał, lecz głównie z szoku.

Uczucia. Tak silne.

Cofnął dłoń i odsunął się nieznacznie, by ustalić kurs, zaprotestowała jednak: „Nie, jeszcze nie!”. Dotknęła go, raczej niecelowo, dokładnie w miejsce, gdzie pragnął jej boleśnie, tak twardy. Dotknęła go tam i mimo półmroku zobaczył, jak oczy jej się zaokrąglają. Nie cofnęła jednak dłoni i

spojrzała na niego z tym samym co wcześniej uśmieszkiem. Uśmieszkiem wyzwania.

– Tak – powiedziała.

Był zgubiony, niewykluczone, że od samego początku, od chwili gdy zobaczył ją w chmurze bieli i haftowanych pończoch w bibliotece Newlandów. Lub na długo przed tym. Lata wcześniej. Tyle straconego czasu.

Prędko rozpiął guziki u spodni, moment później znalazł się między jej nogami i już się w nią wdzierał. Wydała z siebie zduszony okrzyk, na co się zatrzymał, chociaż myślał, że umrze. Niemniej ledwie jedno czy dwa uderzenia serca później, lub tysiąc szaleńczych uderzeń serca później, poczuł, jak rozluźnia się wokół niego.

– Och! – powiedziała. – Wielkie nie… och, mój Boże, jak… nie, nie przerywaj. Och, Ripleyu! Och, mój Boże! Zaraz zemdleję.

Nie zemdlała, on również nie. Z początku poruszał się wolno. Choć obawiał się, że go to zabije, dał jej czas, żeby przywykła i nauczyła się, uczyła się wszakże tak szybko i była tak hojna, że zakręciło mu się w głowie z radości wywołanej jej szczerym zapałem.

Miał wrażenie, że zanurza się głęboko, głęboko pod wodę, w ukrytą krainę szczęśliwości. Z nich dwojga to on znał się na rzeczy, on był tym doświadczonym, lecz w całej swej niewinności i gorliwości do nauki zabrała go w miejsce, dokąd nigdy jeszcze nie zawitał. Patrzył na nią i zdumiewał się, wchodząc w nią głęboko, a ona zamknęła się na nim i przytrzymała go w sobie. Po chwili znów przejął dowodzenie, w domniemaniu, prowadząc w tym tańcu kochanków, który, jak mu się zdawało, znał tak dobrze.

Tyle że z nią nie był to znany mu taniec, lecz coś całkowicie odmiennego. Nie znajdował słów, żadnych spójnych myśli, jedynie to uczucie, wypełniające go, przynoszące spełnienie.

To nowe uczucie było tam, kiedy wstrząsnęło nią ostatnie rozkoszne doznanie, kiedy jej ciało pulsowało wokół niego. Było tam, kiedy został porwany w górę, na własny szczyt rozkoszy. I było tam, kiedy opadał bezwładnie w dół, do rzeczywistości, kiedy ich ciała zaczęły się wyciszać, kiedy odzyskał zdolność rozumowania i po pierwsze pojął, że ona jest jego. Druga myśl brzmiała, że nie ma odwrotu. A trzecia, że jeszcze nigdy nie znalazł się w tak wielkich kłopotach.

***

Ripley stał się znów świadom burzy, tłukącej się wokół starego domku rybackiego, choć nie tak gwałtownie jak wcześniej.

Wcisnął się na wąskie łóżko obok Olympii i wziął ją w ramiona. Oparł policzek na jej głowie. Z zapachami dogasającego ognia i ich miłości mieszała się jej osobista woń, świeża jak ten skrawek lasu, gdzie bawił się jako chłopiec. Pomyślał, w jak znikomym stopniu obecna chwila przypomina wyobrażenia owego chłopca na temat rycerzy w lśniących zbrojach i dam w opałach, i smoków, którym rycerz stawiał czoło dla takiej damy. Nijak by nie przewidział, że w jego przypadku smokiem okaże się przyjaźń, o której sądził – niebezpodstawnie – że jest dlań cenniejsza niż wszystko inne.

Ashmont, jego przyjaciel.

Ripley go zdradził.

Postępował w sposób kompromitujący od lat, lecz do takiej podłości dotąd się nie posunął.

Zarazem wydawało się, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił.

– Dopięłaś swego – odezwał się. – Musisz mnie poślubić.

– Tak.

– Żadnego uciekania.

– Nie.

Wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia. Na skórze czuł jej oddech. Nie chciał się poruszać. Nie chciał, by ten moment dobiegł końca. Potrzebował czasu, żeby to wszystko przyswoić i ogarnąć.

Nie mieli czasu.

– Musimy zająć się tym natychmiast – oznajmił. – Ani chwili do stracenia. Musimy znaleźć się w drodze do Londynu, zanim stryj Fred się zorientuje, że zniknęliśmy. Sprawy są dostatecznie skomplikowane i bez utarczek z nim.

Odsunęła się od niego i usiadła. Jej włosy, ciemny miód ze złotymi rozbłyskami tam, gdzie igrał na nich blask ognia, wpadały jej teraz do oczu i spływały na plecy. Piersi wylewały się z halki. Gorset zwisał na wysokości talii. Ripley zacisnął w dłoni jedną doskonałą pierś.

– No dobrze, może nie w tej konkretnej chwili – mruknął.

Pociągnął ją w dół, pocałował jej pierś i zagłębienie u nasady szyi. Pocałował ją w usta, a ona natychmiast rozchyliła dlań wargi. Pocałunek pogłębił się, przez Ripleya przetoczyła się burza żaru i stracił wolę do walki. Po chwili serce znów biło mu w szaleńczym tempie i owijał się wokół niej, sunąc dłońmi po gładkich krągłościach jej ciała.

Przed momentem stygł. Odzyskiwał zdolność myślenia. Teraz pragnął tylko więcej Olympii. Całował jej szyję i kark, wytyczał szlak z pocałunków na piersiach. Chwycił ją za pośladki i przyciągnął do siebie.

Zachichotała.

– Może nie w tej konkretnej chwili – zgodziła się niewyraźnie.

Nie mieli czasu na leniwe uprawianie miłości, toteż nie bawił się w finezję. Ujął w dłoń jej najbardziej kobiece części i gładził. Nie zrobił wiele więcej, a już napierała na jego dłoń, mokra i chętna. I zaraz był w niej znowu, a ona oplotła go nogami w biodrach i wypełniła cały jego umysł, ona i połączenie z nią, oraz związany z tym szok, że odczuwa tak głęboko, doświadcza tak wielkiego szczęścia.

Otulił go miękki nacisk, poczuł skurcze jej mięśni, które wciągały go głębiej, przytrzymywały na miejscu. Powróciło cudowne szaleństwo. Świat zniknął, nie pozostało nic poza sposobem, w jaki jej doświadczał, doznaniem ich dwojga razem. Było to nowe, nadal, i zadziwiało go.

Był w niej i starał się, żeby to trwało, nie chciał, by się skończyło.

Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Ale wszystko przypominało szaleńczy wyścig, szybko, szybko, za szybko. Szczyt nadszedł zbyt wcześnie i nie dało się mu oprzeć lub go spowolnić. Zjawił się w nagłym wybuchu radości. A potem Ripley długo toczył się w dół, w ciche miejsce.

***

Tym razem trwało dłużej, zanim oddech Ripleya spowolnił i rozproszyła się mgła zasnuwająca mu umysł.

Nie chciał, żeby się rozpraszała. Nie chciał myśleć. Pragnął pławić się w tysiącu i jednej rozkoszy Olympii.

Nie mógł się pławić.

Musiał ochłonąć, zastanowić się. Ułożyć plan.

Ashmont. Co z nim począć. Jeśli w ogóle cokolwiek da się zrobić.

Jeśli nie, sprawy potoczą się bardzo źle.

– Dobrze, że nie miałam pojęcia, jak to jest – odezwała się drżącym głosem. – Skończyłabym pierwszy sezon zrujnowana.

A gdyby Ripley miał choć cień pojęcia, tak wiele lat temu, gdy spotkał ją po raz pierwszy, zrujnowałby ją niezwłocznie. Tyle straconego czasu. Ale nie. Gdyby zdeprawował ją przed laty, nie uzmysłowiłby sobie, co znalazł.

Dwa dni temu nie zdawał sobie z tego sprawy. Przez cały ten czas, gdy ją ścigał i próbował nakłonić do powrotu, powtarzał sobie, że jest idealna dla Ashmonta.

Ślepiec.

– Ze mną inaczej nie bywa – zapewnił.

Podobnie jak z tobą.

Ta świadomość nagle w nim była, tak po prostu. Początkowo sądził, że to, co do niej czuje, jest zwyczajną żądzą, nawet jeśli potężną, skutkiem zbyt długiego trwania w celibacie. Dopiero wczoraj zdał sobie sprawę, że nie ma w tym nic zwyczajnego. Obecnie nie znajdował w sobie choćby jednej wątpliwości. To musiała być ona. Nikt inny, nigdy.

– Obiecuję nadrobić te stracone lata – ciągnął. – Z chęcią zacząłbym natychmiast, wynagradzając ci zmarnowane możliwości. Problem w tym, że już zacząłem, bardzo nie w porę.

Czy znalazłby się gorszy moment? Niewiele ponad czterdzieści osiem godzin po tym, jak miała wyjść za jego najlepszego przyjaciela – z którym, formalnie rzecz biorąc, pozostawała zaręczona. Który znienawidzi Ripleya. I dołoży starań, żeby go zabić. I którego nikt nie będzie za to winił.

Nie było czasu martwić się tym w tej chwili. Jedna rzecz naraz.

Po pierwsze należało zatroszczyć się o Olympię.

– Zaraz wstanę – powiedział. – Trzeba się zająć paroma sprawami. Ale ty tu zostań.

Wymamrotała odpowiedź, którą uznał za potwierdzenie.

Delikatnie uwolnił ją z objęć i usiadł. Czuł się roztrzęsiony. Jadł cokolwiek dziś rano? Nie pamiętał. Nieważne.

Wstał i zaskoczyło go ukłucie bólu, dopóki nie przypomniał sobie o chorej kostce. Tak czy owak, było to tylko ukłucie. Znalazł chusteczkę i wytarł się szybko. Nie widział krwi. W każdym razie nic, co rzucałoby się w oczy w blasku ognia w pochmurny dzień. Zachował się zbyt niecierpliwie – doprawdy, pierwszy lepszy uczniak okazałby więcej

delikatności. Mimo to nie zranił jej tak bardzo, jak się obawiał. Nie krzyczała, nie płakała. To dobrze. Mechanicznie wciągnął spodnie i upchnął w nich koszulę.

– Poczekaj chwilę – rzekł. – Zaraz wrócę.

Złapał niewielki dzbanek z kolekcji utensyliów na kominku i wyszedł.

Ciągle padało, choć nie tak wściekle jak wcześniej. Bez znaczenia. Od rzeki dzieliła go niewielka odległość, którą pokonał w większej części pod osłoną drzew. Napełnił dzban i pokuśtykał z powrotem do domku rybackiego.

Kiedy otworzył drzwi, nadal leżała tam, gdzie ją zostawił. Wpatrywała się w sufit, lecz zaraz przeniosła spojrzenie na niego.

– Nie ma czasu na porządną kąpiel – powiedział. – Ale znajdzie się trochę bielizny stołowej… najwyraźniej Alice niedawno tu obozowała… a woda jest czysta.

Mówiąc, postawił dzban w jej zasięgu. Z kosza z bielizną wziął kilka szmatek i położył na dzbanie.

Usiadła, rumieniąc się, kolor rozlewał się na jej szyję i niżej, na piersi. Przełknąwszy jęk, Ripley sięgnął nad nią, by z okiennego gzymsu wziąć jej okulary. Podał je Olympii, po czym zajął się gaszeniem ognia, w myślach dokonując przeglądu jej idealnej skóry i krągłości zlokalizowanych dokładnie tam, gdzie trzeba.

Istny cud, że nikt nie capnął jej wieki temu.

Jestem nudna i pedantyczna, powiedziała mu.

Myliła się dokumentnie, cieszył się jednak, że powszechnie wierzono w tę bzdurę. Cieszył się chyba także, że tyle czasu zajęło mu odkrycie, iż ona różni się od innych szanujących się dziewcząt. Teraz przynajmniej dorósł na tyle, żeby docenić jej wyjątkowość.

Choć nie zaszkodziłoby, gdyby nie zajęło mu to aż tyle czasu.

Odwrócił się znów ku niej. Ściągała właśnie tasiemki u halki. Zawiązała je i wzięła się do zakładania gorsetu.

– Lepiej ci pomogę – zaproponował.

Ześlizgnęła się z pryczy i wstała.

– Na stojąco jest łatwiej – stwierdziła. – Chociaż wątpię, czy tobie robi to różnicę. Nawet moja pokojówka nie uwalnia mnie z gorsetu tak szybko jak ty.

– Lata praktyki. Aczkolwiek sprawniej idzie mi ich zdejmowanie niż zakładanie. – Z tym że potrzeba zdejmowania gorsetów nie zachodziła zbyt często. Przy ukradkowych zbliżeniach nie pozbywano się wielu ubrań, on zaś takie lubił najbardziej. Ze względu na ryzyko. – Tak czy owak, na pewno poradzę sobie z nim łatwiej niż ty.

Wcześniej poluzował jedynie sznurówki gorsetu na tyle, by dobrać się do jej piersi, całe zadanie sprowadzało się więc do tego, by na powrót je ściągnąć i zawiązać. Podniósł suknię i pomógł Olympii ją założyć.

Popatrzył na długi ciąg guzików i przypomniał sobie, jak je rozpinała, i jak spojrzała na niego, kiedy skończyła, przez co zapragnął znów zdjąć z niej tę suknię i rzucić Olympię z powrotem na pryczę.

Ale nie.

Śmierć czekała.

Jeśli nie pewna śmierć, to oczywista i w pełni zasłużona groźba takowej.

– Zacznij od góry – powiedział. – Ja zajmę się dołem.

Ukląkł i zaczął zapinać guziki.

***

Ku sporemu zaskoczeniu Olympii, kolana jakimś cudem utrzymały ją w pionie.

Oddychała mniej więcej normalnie.

Co do reszty, już nigdy nie będzie taka sama.

Nic dziwnego, że mama do tego stopnia nie umiała się wysłowić.

Popatrzyła na jego ciemną głowę. Miała chęć przeciągnąć palcami przez jego włosy, uklęknąć obok niego na podłodze, pocałować go i…

…nakłonić, żeby zrobił to ponownie. I jeszcze raz.

Musisz mnie poślubić, powiedział.

Cóż, oczywiście. Trudno, żeby wróciła do…

– Ashmont – powiedziała.

– Nie ten książę – odparł Ripley, podnosząc wzrok. – Skutek szoku. Pogubiłaś się. Jestem Ripley. Ten drugi z Ich Łajdackich Mości. Ten, za którego wyjdziesz. Tym razem bez ucieczek.

– Nie, chodzi mi o to, że Ashmont…

– Nie ucieszy się z takiego obrotu spraw, oj, nie.

Nie przemyślała tego należycie. W ogóle nie myślała. Przypomniała sobie teraz. Wszystkie te walki. Pojedynki. Choćby ten, w którym, najwyraźniej, Ashmontowi prawie odstrzelono ucho. Mogła to być jego głowa. Obecnie jednak… Co takiego powiedział Ripley tamtego dnia w ogrodzie? Coś o miłosnych figlach, i *ponieważ jestem jedynym osobnikiem płci męskiej w pobliżu, to mnie wyzwie na pojedynek.*

Nadal była zaręczona z Ashmontem. Przez tchórzostwo nie zerwała tych zaręczyn. A przed momentem straciła dziewictwo z jego przyjacielem. Chętnie waliłaby głową o ścianę. Co za głupota. Co za lekkomyślność. A nawet nie była pijana! Co się z nią działo?

– Jesteś jego przyjacielem – powiedziała spokojnie. – Ashmont nie wyzwie cię na pojedynek. Nie może.

– Racja. Nie ma powodów do zmartwienia. Trzasnę go w twarz, on mi odda i nie będzie mógł się uznać za stronę poszkodowaną. Żywię pewne wątpliwości, czy ten plan się sprawdzi.

– Wobec tego lepiej, żebym ja mu powiedziała. Mnie nie wyzwie.

Ripley wrócił do zapinania guzików.

– Możesz mu powiedzieć, cokolwiek zechcesz – stwierdził. – Niczego to nie zmieni. Jest moim przyjacielem, a ja zdradziłem jego zaufanie. Aha, i jeszcze go upokorzyłem.

– To ja go zdradziłam. Nie zerwałam z nim, choć powinnam była. Asekurowałam się.

– Nie zrobiłaś niczego podobnego.

– Zrobiłam. Pozostawiłam decyzję jemu, wiedząc, że jest zbyt uparty, by dać mi odejść.

Pokonał już połowę długości spódnicy.

– Jesteś kobietą – rzekł. – Nie masz luksusu postępowania w sposób przyzwoity lub honorowy. Jak wytknęłaś mi niedawno w bibliotece, małżeństwo jest dla kobiety czym innym niż dla mężczyzny. Postąpiłaś inteligentnie.

– Praktycznie i rozsądnie – skorygowała.

– To także. Nie mając pewności, czy przebijesz się do mojego zakutego łba, bardzo mądrze postanowiłaś nie palić za sobą mostów. Idę również o zakład, że w liście byłaś nazbyt subtelna i taktowna. Nie chciałaś ranić jego uczuć. Nie pojmuję, czemu ludzie tak się tego obawiają. Musi chodzić o tę

jego minę zagubionego psiaka. Mnie się taka sztuczka nie udaje. Próbowałem. Wyglądam jak gargulec.

Dotarł do jej talii.

– Chciałam być miła – wyjaśniła. – To nie była jego wina.

– Miła. – Ripley wstał. – On nie jest aż tak kruchy, a poza tym, owszem, była.

Znalazł pas i jej podał. Sprawnie owinęła się nim w talii i zapięła.

– Bardzo jesteś dobry, że mnie bronisz. To pomyślnie wróży naszemu małżeństwu. Tak czy owak, nie ma znaczenia, na ile jest kruchy lub kto tu ponosi winę. Nie masz pojęcia, jak bardzo się starałam. Postąpić właściwie. Być dobrą dziewczyną. Zadowolić wszystkich.

– Tak, no cóż, nie jesteś dobrą dziewczyną.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Dobre dziewczyny nie upijają się ani nie uciekają z własnego ślubu – wyjaśnił. – Dobre dziewczyny nie rozbierają się przed występnymi mężczyznami. Dobre dziewczyny nie droczą się z takimi mężczyznami, usiłując nakłonić ich, żeby je wychędożyli. Dobre dziewczyny nie wywołują w mężczyznach żalu, że nie zrobili tego wcześniej. Dobre dziewczyny są nudne. Wygrywałaś nagrody za nudziarstwo, ponieważ próbujesz być dobrą dziewczyną. Nie jesteś nią. Jesteś złą dziewczyną i gdybyś była chłopakiem, może zostałabyś jednym z moich serdecznych przyjaciół. Cieszę się, że nie jesteś chłopakiem. A teraz, czy możemy dać sobie spokój z gadaniem i myśleniem i wynieść się stąd? Czas nagli.

***

Tymczasem w salonie Camberley Place

Lord Frederick stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz.

– Burza ustała. Powinni już być z powrotem. – Odwrócił się do lady Charles. – Nie podoba mi się to.

Dolała sobie wina.

– Nie ma pan na to wpływu.

– Ktoś musi mieć.

– Ashmont nie jest dzieckiem. Pora, żeby wziął odpowiedzialność za własne życie. Nie może pan wiecznie go chronić.

– A pani? Ukryła pani przed Ashmontem jego narzeczoną, kiedy tutaj przybył.

– W żadnym razie. Nie było jej tu wtedy.

– Nie powiedziała mu pani całej prawdy. Kogo pani chroniła?

– Olympię. Przed ślubem z niewłaściwym mężczyzną. Ponieważ ten właściwy okazał się zbyt ociężały umysłowo, żeby dostrzec, co ma pod nosem.

Nastała krótka, pełna napięcia cisza. Coś zaszło między nimi. Niewidoczne, niewypowiedziane. Ale wyczuwalne.

Żadne z nich nie dało tego po sobie poznać. Oboje byli starymi wygami w sztuce dyskrecji.

Jeśli w oczach damy pojawił się błysk, mogło chodzić po prostu o grę światła. Jeśli na kościach policzkowych dżentelmena zagościł lekki rumieniec, to z tego samego powodu.

– I pomyślała pani, że da mu trochę czasu, żeby się opamiętał – podsumował w miarę spokojnie lord Frederick.

– Tak.

– A jeżeli potrwa to całe lata?

Niewykluczone, że w krótkiej chwili milczenia zawisły słowa „jak w moim przypadku”. Albo i nie.

Lady Charles się roześmiała.

– Aż będzie za późno? – spytała. – Wówczas znajdę pociechę w świadomości, że próbowałam.

– Że nieproszona dorzuciła pani swoje trzy grosze, chce pani powiedzieć.

Gdyby tylko wtedy ktoś tak postąpił…

– Taki nawyk – odparła. – Robiłam to przez większą część życia. Pan i ja mamy tę cechę wspólną.

– Tak, przy czym jestem zbyt stary, żeby teraz ów nawyk porzucać. To ostatnia, najlepsza szansa, jaką dostał ten mój nieszczęsny bratanek. Nie dopuszczę, żeby popełnił ten sam błąd… co wielu innych.

– Jeśli nie będzie popełniał błędów, jak czegokolwiek się nauczy?

– Nie zamierzam ryzykować. Czekam już chyba dostatecznie długo. Według mnie wyjechali.

– Dlaczego mieliby wyjeżdżać? – zdziwiła się. – Po prostu schronili się przed burzą, możliwe, że każde z osobna. Wyciąga pan pochopne wnioski. To do pana niepodobne.

– Nie zna mnie pani. Oboje natomiast znamy Ripleya. I chyba wiem, co planuje zrobić.

To, co sam powinienem był zrobić, kiedy miałem szansę.

– To bez znaczenia – stwierdziła. – Przybywa pan za późno, żeby cokolwiek zmienić. Było za późno, zanim się pan zjawił.

– Zobaczymy. – Ukłonił się. – Życzę miłego dnia, milady.

Nie dygnęła w odpowiedzi, lecz przeszła szybko do drzwi, zagradzając mu drogę. Uśmiechnęła się.

– Ach, nie tak prędko, szanowny panie.

– Hau! – zaszczekał za jej plecami Katon.

Rozdział 15

Kiedy szli do stajni, piekielna kostka dokuczała Ripleyowi bardziej, niż miałby chęć przyznać. Przeklinał ją w myślach, gdy nagle Olympia zboczyła ze ścieżki i podniosła solidną gałąź.

Podała mu ją.

– Laska – powiedziała. – Podeprzyj się nią.

– Obejdę się bez przeklętej kuli.

– Istnieje taka możliwość czy proszę o zbyt wiele, żebyś na chwilę odłożył na bok męską dumę i podszedł do sprawy w sposób spokojny i logiczny?

– Jestem całkowicie spokojny – skłamał.

– Przeanalizujmy zagadnienie krok po kroku – zaproponowała bardzo podobnie, jak zwracał się do niej Ripley, kiedy była pijana. – Spieszymy się do stajni, ponieważ, jak twierdzisz, musimy jak najprędzej dostać się do Londynu.

– Żeby jak najprędzej się pobrać – naśladował jej cierpliwy ton. – Potrzebujemy do tego specjalnej licencji. Co oznacza, że muszę złożyć wizytę u prawników w Doctors Commons. I mieć nadzieję, że nie przetrzymają mnie tam przez wiele godzin, podczas gdy okolicę obiegać będzie wieść, że księciu Ripleyowi szalenie pilno poślubić lady Olympię Hightower, aż sam arcybiskup Canterbury wezwie mnie na dywanik. Ponieważ, rozumiesz, może się zdarzyć, że będzie pamiętał, iż całkiem niedawno udzielał księciu Ashmontowi specjalnej licencji na poślubienie tejże właśnie damy.

– Rozumiem. Życzyłabym sobie natomiast, żebyś nie skręcił karku, zanim się pobierzemy. Ponieważ, widzisz, jeśli umrzesz, nie będziesz mógł mnie poślubić, przez co wpadnę jak śliwka w kompot, zgodzisz się?

– Wpadniesz? – Roześmiał się.

– Mam całkiem niezłe pojęcie, skąd się biorą dzieci – odparła, a wtedy przestał się śmiać. – Dzięki tobie orientuję się teraz w tym jeszcze lepiej. Nie wiem, jakie są szanse, że daliśmy początek nowemu życiu. Wiem

natomiast, że praktycznie i rozsądnie jest poślubić ojca dziecka, zanim ono się narodzi.

Jakby kopnięto go w brzuch. A przecież dziwne, że czuł się wstrząśnięty. Wiedział, jak robi się dzieci. Powinien był okazać się na tyle uprzejmy, żeby się wycofać, którą to uprzejmość wyświadczył jak wielu innym kobietom?

– Nie skręcę karku – powiedział z płonącymi policzkami.

Wyciągnęła ku niemu kij. Na jej twarzy pojawił się wyraz, który rozpoznawał.

Tę samą minę miała na dziedzińcu Białego Lwa w Putney. W starciu z krzykaczem, który uparcie obstawał przy niedorzecznym stanowisku.

Ripley wziął kij i oparł się na nim.

Kiedy dotarli do stajni, postąpił praktycznie i rozsądnie, każąc uszykować lando zamiast kariolki. Oznaczało to całe wieki czekania na zaprzężenie koni i sprawdzenie wszystkiego, nim wreszcie stangret John usadowi się na swoim tronie.

Niemniej zastosowana przez nią terapia wstrząsowa w cudowny sposób rozjaśniła Ripleyowi umysł.

Tylko lekkomyślny półgłówek podróżowałby z Olympią małym, sportowym powozem przy tak zmiennej pogodzie. Buda kariolki nie zapewniała pełnej ochrony przed wilgocią. A wilgoć i wstrząsy mniej komfortowego pojazdu doprowadziłyby do utyskiwań Olympii, że powinien oprzeć kostkę na wygodnym siedzeniu. Wykazałby się samobójczą głupotą, gdyby nie dał kostce jak najwięcej odpocząć, biorąc pod uwagę, co go czekało. Co ważniejsze, w landzie, przy postawionej budzie, będzie się cieszył dodatkową korzyścią w postaci czterech lub pięciu godzin prywatności z Olympią, kiedy powozić będzie kto inny.

Chociaż trwało to wieczność, w końcu wyruszyli, niezatrzymywani.

Koń lorda Fredericka cały czas stał w stajni. Widocznie lord nadal spierał się z ciocią Julią, istniała zatem rozsądna szansa, że nie wyruszy zaraz za nimi. Spotkanie wypadłoby niezręcznie, a Ripley nie miał nastroju do tłumaczenia sytuacji intryganckiemu wysłannikowi Ashmonta. Wyjaśnienia musiały nastąpić twarzą w twarz, przyjaciel naprzeciw fałszywego, zdradzieckiego przyjaciela.

Ripley polecił stajennym milczeć, dopóki nie zapyta się ich wprost. Przy odrobinie szczęścia wieści nie przewędrują ze stajni do domu zbyt szybko.

Przy odrobinie szczęścia minie trochę czasu, nim ktoś zacznie zadawać pytania. Przy odrobinie szczęścia wszyscy założą, że on i Olympia, osobno lub razem, schronili się gdzieś przed burzą. Jako że niebo jeszcze się nie rozjaśniło, może nieco potrwać, nim ktokolwiek postanowi ich poszukać.

Nie chcąc jednak całkowicie zdawać się na szczęście, Ripley polecił stajennym, żeby się nie spieszyli, kiedy lord Frederick poprosi o swojego konia.

***

W podróży szczęście im sprzyjało.

Chociaż padało od czasu do czasu, burza nie podążyła za nimi.

Do Londynu dotarli przed zapadnięciem nocy.

Skierowali się do Gonerby House.

Tam napotkali tłum krewnych, z Newlandami włącznie, przy czym wszyscy zaroili się w holu niedługo po tym, jak Olympia i Ripley przekroczyli próg.

Kiedy pierwsze okrzyki nieco przycichły, rój poniósł podróżników do salonu, gdzie unosiła się silna woń świeżej farby, a drzwi zablokowano schodkami. Innymi słowy, remont trwał w najlepsze.

W salonie wrzawa znowu zaczęła narastać.

– Dosyć – zarządził Ripley.

Był księciem. Fala hałasu opadła.

– Dziękuję za ekscytujące powitanie – przemówił. – Rzecz w tym, że niedobrze się rozmawia ze wszystkimi naraz. Wystarczy lord Gonerby. Ach, i lord Newland. Byłbym bardzo wdzięczny, mogąc skorzystać z porady panów. – W przeciwieństwie do szwagra, markiz Newland twardo stąpał po ziemi. – Gdybyśmy tak przeszli we trzech do innego pokoju. Chodzi o interesy.

Wszędzie wokół Ripleya robiono wielkie oczy. Spojrzenia wędrowały z niego na Olympię i z powrotem. Przez chwilę nikt nic nie rozumiał. Potem przynajmniej dwie starsze damy najwyraźniej powoli odmalowały sobie obraz sytuacji. Wnosząc z ich min, ów obraz wprawił je w osłupienie.

– Pański gabinet, hrabio? – zasugerował Ripley. – Biblioteka? Nie tutaj, inaczej mówiąc. Sprawy dżentelmenów. Trzeba się nimi zająć jak najszybciej.

– Tak, tak – odparł lord Gonerby. – Ale…

– Papo, książę umiera z głodu – weszła mu w słowo Olympia. – Spędziliśmy w podróży kilka godzin, urządzając tylko króciutkie postoje. Ponadto, jak wspomniałam w liście, jest kontuzjowany. Dobrze, gdyby mógł oprzeć na czymś nogę. Może zatem „ale” poczekają, aż przejdziecie do jakiegoś spokojnego pomieszczenia, gdzie książę otrzyma poczęstunek i da odpocząć kostce.

Nie posłużyła się władczym tonem, który zastosowała wobec oprawcy w Białym Lwie. Niemniej tego rodzaju głos załatwiał sprawy i zadziwiająco ujarzmiał słuchaczy.

Ripley dorastał w bardzo małej rodzinie, a w dodatku większą część młodości spędził w szkole, z dala od rodziców i siostry, albo w zaciszu Camberley Place. Nie przywykł do takiego natężenia… krewnych. Głosów. Chaosu. W Gonerby House każdy miał coś do powiedzenia. Nawet mali chłopcy.

Dotarło do niego, że Olympia niewątpliwie to właśnie robiła przez większą część życia: zaprowadzała porządek w chaosie. Nic dziwnego, że grupowała książki w kategorie i podkategorie. Łatwiej uporządkować książki niż ludzi.

Aczkolwiek dało się to osiągnąć także z ludźmi. Do pewnego stopnia. Co właśnie zademonstrowała.

Jeśli lord Frederick nakłonił Ashmonta, żeby się do niej zalecał, Ripley bez trudu dostrzegał powód. Jaka inna dziewczyna by nad nim zapanowała?

Lord Frederick nie będzie uszczęśliwiony zmianą pana młodego. Lepiej, żeby małżeństwo zostało zawarte, nim wieści dotrą do jego uszu.

Na szczęście Newland przejął pałeczkę od swego mało konkretnego szwagra i niezwykle szybko, biorąc pod uwagę stan domu, który po części jakby się walił, a po części dopiero wyrastał z ziemi, trzej mężczyźni znaleźli się w gabinecie Gonerby’ego.

Ripley nie skorzystał z zaproponowanego mu fotela. Oparł się o obudowę kominka. Świadom czekającej go długiej nocy, jak i tego, co nastąpi później, przeszedł od razu do sedna.

– Lady Olympia i ja chcemy wziąć ślub.

– Ze sobą? – zapytał Gonerby.

– Ze sobą, hrabio, tak.

– Ehm… ale ona jest zaręczona z księciem Ashmontem. Mieli się wtedy pobrać.

– Tak, to było wtedy, a dzisiaj jest dzisiaj. Dama zmieniła zdanie. Kobiecy przywilej. Chcemy się pobrać.

– A książę Ashmont? – zapytał Newland. – Jest świadom tej zmiany planów?

– Będzie.

– W takim razie może powinniśmy zaczekać do tego momentu…

– Ponieważ ślub Ashmonta z Olympią przestał być możliwy – rzekł Ripley – jako że ona nie wyraża dłużej chęci poślubienia go, i ponieważ dosyć nam się spieszy, dobrze, żebyśmy spisali uzgodnienia jak najszybciej. Przyślę jutro do panów moich prawników.

Kiedy już wprowadzą pewne zmiany do jego testamentu.

– Ślub odbędzie się najpóźniej jutro wieczorem – dodał.

– Jutro – powtórzył lord Gonerby. – No cóż, z pewnością wielce to satysfakcjonujące. Dwóch pretendentów do ręki mojej córki Olympii. Nie żebym czuł się zaskoczony. Olympia…

– Nie ma sobie równych i wielu mężczyzn z chęcią zabiegałoby o jej rękę – wszedł mu w słowo Ripley. – Gdy wszakże chodzi o lady Olympię, liczy się tylko jeden kandydat, mianowicie ja. Uciekła od Ashmonta. Ja ją złapałem. Nie miała nic przeciw byciu złapaną. W rzeczy samej, z wielką chęcią wyjdzie za mąż. Za mnie. Nie za Ashmonta. Ufam, że to jasne.

Wnosząc z miny lorda Gonerby’ego, nic nie było dlań jasne.

Co innego dla jego szwagra. Ponury wyraz twarzy markiza wyjawił Ripleyowi, że Newland dodał dwa do dwóch – na przykład, że Ashmont plus wybuchowe usposobienie Ashmonta równa się pojedynek – i szybko zrozumiał powody pośpiechu.

– Cóż – zaczął Gonerby – nie jestem taki pewien, czy powinniśmy…

– Najzupełniej jasne, książę – oświadczył Newland. – Olympia miała wyjść za mąż kilka dni temu – zwrócił się do szwagra. – Im prędzej załatwi się sprawy, tym prędzej rozwieją się skandaliczne plotki. Ponieważ czas wydaje się tu kwestią podstawową – ciągnął, nie dając Gonerby’emu szansy na odpowiedź – zapewne do przyjęcia będą ustalenia takie, jak poczynione wcześniej z księciem Ashmontem.

– Będzie to punkt wyjścia – rzekł Ripley. Dobrze płacił swoim prawnikom, więc ci zajmą się dopieszczaniem szczegółów. – Zamierzam

jednakże polecić moim prawnikom, by dodali kilka warunków związanych z biblioteką w Gonerby Hall. Na pewno nie uznają ich panowie za uciążliwe. A teraz muszę już panów pożegnać.

W tejże chwili pojawił się służący z tacą z jedzeniem i napojami.

Ripley zostawił dwóch mężczyzn, by się posilili.

Na korytarzu natknął się na spacerującą Olympię.

– Myślałem, że będziesz z matką, decydując, co założyć na ślub – powiedział.

– Nie obchodzi mnie, co założę. I mocno wątpię, czy ciebie obejdzie.

– Coś, co łatwo zdjąć. Bez mnóstwa guzików, jeśli można. – Oczyma wyobraźni ujrzał Olympię, gdy rozpinała niekończący się ciąg guzików… ten wyraz jej twarzy, kiedy skończyła. – Po namyśle, z mnóstwem guzików. Setkami guzików. – Ale nie, nie mógł teraz myśleć o guzikach. Musiał zachować trzeźwą głowę. – Masz rację. Nie obchodzi mnie, co założysz. Z wyjątkiem ślubnej obrączki.

– Rzecz w tym, że przede wszystkim marzy mi się ślub.

– Będziesz go miała.

– I małżeństwo – dodała.

Ach, cóż, to była już całkiem inna bajka.

***

Olympia znała ten wyraz twarzy. Widywała go przy różnych okazjach u każdego mężczyzny ze swojej rodziny.

Ripley zamierzał zachować się jak mężczyzna.

Oczywiście, że tak. Był mężczyzną.

Ukryła rozpacz, napomniała się, że zasada brzmi „dominować lub zostać zdominowaną” i stanowczym tonem oznajmiła:

– Wiem, że absurdem jest prosić cię, żebyś nie robił niczego głupiego lub lekkomyślnego. Nie wspominając o tym, że bez tych dwóch cech byłbyś całkiem innym mężczyzną. Poproszę cię jednak… nie, polecę ci… żebyś przekazał ode mnie Ashmontowi ten liścik.

Wyciągnęła list. Elegancko złożone kartki nieco się wygniotły, kiedy spacerowała, czekając, aż Ripley wyłoni się z gabinetu papy. Podejrzewała, że spróbuje wyślizgnąć się bez pożegnania.

Spojrzał na list.

– Ripleyu.

Pokręcił głową.

– Zobaczę się z nim dziś wieczorem. Twarzą w twarz. Na pewno nie będę się krył za twoimi spódnicami.

Nie przewróciła oczami. Nie chwyciła go za gardło, żeby nim potrząsnąć. Nie cofnęła ręki.

Patrzyła na niego tak, jak zwykła patrzeć na braci, kiedy jeden czy drugi wyjątkowo głupio popisywał się uporem.

Westchnął i wziął liścik.

– Nie spalisz go – zastrzegła.

– Ani by mi się śniło.

– Ani w inny sposób nie zniszczysz. Dasz go Ashmontowi.

– Olympio, rozmawialiśmy o tym.

Tak naprawdę to się kłócili przez sporą część drogi do Londynu. Wreszcie Ripley dał sobie spokój z kłótnią i przerzucił się na całowanie, i od tamtego momentu sprawy przybrały pouczający obrót.

– To nie była rozmowa – stwierdziła. – Oznajmiłeś mi, że pisanie listów nie jest moim obowiązkiem. Jesteś mężczyzną i załatwisz sprawy ze swoim przyjacielem jak mężczyzna z mężczyzną. Myliłeś się jednak i gdybyś nie zastosował nieuczciwej taktyki…

– W miłości i na wojnie wszystkie chwyty są dozwolone.

Miłość.

Żadne z nich nie wypowiedziało dotąd tego słowa. Olympia nadal przyjmowała, że chodzi o zadurzenie, być może zgubne. Z drugiej strony, niekoniecznie użył słowa „miłość” w ścisłym znaczeniu.

– Poręczna fraza – skomentowała. – Użyteczna, lecz nie do końca prawdziwa. Faktem jest, że złamałam przyrzeczenie złożone Ashmontowi. Zaręczyny to przecież święta obietnica. W dawnych czasach…

– Wiesz, prawdę mówiąc, trochę nie pora teraz dzielić na czworo historyczne i prawnicze włosy. Mnóstwo rzeczy do zrobienia, a czas nagli.

– Ashmont zasługuje na przeprosiny. Ode mnie. Źle zrobiłam, zachęcając go, żeby zwolnił mnie z zaręczyn, zamiast mu powiedzieć, że to koniec i nie wyjdę za niego. Źle zrobiłam, że uciekłam, zamiast pokazać trochę charakteru… lub swoje prawdziwe oblicze… i oznajmić mu, że nie chcę go poślubić.

– Ale gdybyś nie zrobiła wszystkich tych rzeczy, byłabyś dobrą dziewczyną – zauważył Ripley.

Nadal nie przywykła do koncepcji, że jest złą dziewczyną. Na początku ta myśl potwornie ją zszokowała. Obecnie mnóstwo spraw, które wydawały się w jej życiu pozbawione sensu, zaczęło przedstawiać się nader sensownie.

– Mężczyźni mogą zachować się źle, lecz później postąpić honorowo i przeprosić – stwierdziła. – Ja również mogę być złą dziewczyną, która postępuje honorowo. Co też zrobiłam. Napisałam list, który przekażesz Ashmontowi.

– Zakładasz, że będzie na tyle trzeźwy, by go przeczytać.

Zbierało jej się na płacz. Nie pozwoli sobie na to.

– Nie wiem – odparła. – Nie wiem, czy ten list na cokolwiek się przyda. Wiem tylko, że jestem mu to winna. – Urwała i ponownie zakazała sobie płakać. – I nie chcę, żebyście walczyli.

Udało jej się powiedzieć to tak, by głos jej się nie załamał.

– Niewykluczone, że z ulgą otrze czoło, poklepie mnie po plecach i stwierdzi: „Co za szczęście, że padło na ciebie” – rzekł Ripley.

– Jeśli ma choć trochę rozsądku, tak zrobi.

– Żaden z nas nie ma ani krzty rozsądku, kochana. Wiesz o tym.

– Och, Ripleyu! – Zarzuciła mu ramiona na szyję. – Nie możesz z nim walczyć – powiedziała, z policzkiem przy jego piersi. – Nie zgadzam się na to. Usiłowałeś postąpić właściwie. Ja ci to uniemożliwiłam.

– Cieszę się, że to zrobiłaś.

Uniósł jej brodę i pocałował ją. Nie łagodnie, miło ani nawet czule. Był to silny, zdecydowany pocałunek, miażdżący jej skrupuły i wstyd. Odpowiedziała z ogniem, wtapiając się w niego.

A później było po wszystkim i już się od niej odsuwał.

– No tak, jakiż mężczyzna nie pragnąłby wrócić pędem po więcej takich doznań? – zapytał z krzywym uśmiechem, od którego bolało ją serce. – Lub, w moim przypadku, przykuśtykać. Idź pokłócić się z matką na temat drugiej sukni ślubnej, a resztę spraw zostaw mnie. Wszystko dobrze się skończy, obiecuję.

***

W drodze do domu książę Ripley skonstatował, że minęło bardzo wiele czasu, odkąd ktokolwiek tak się troszczył o jego dobrostan.

Przypomniał sobie, że w drodze na Battersea Bridge Olympia spytała, czy wystarczy mu pieniędzy na opłacenie łódkarzy.

No tak, miała braci. Istną hordę. Troska przychodziła jej w sposób naturalny. Podobnie jak rozstawianie mężczyzn po kątach. Wspaniale byłoby spędzić resztę życia jako obiekt jej troski, postępując wbrew jej rozkazom.

Wspaniale byłoby, gdyby nie okazało się, że jego życie będzie bardzo krótkie.

W domu kazał przygotować dla siebie lekki obiad i napisał kilka listów, które przez służących posłał do swoich prawników i paru innych osób. Następnie oddał się w ręce osobistego lokaja, wykąpał się i ogolił. Włożył świeżą bieliznę, kamizelkę i spodnie, na wierzch narzucając szlafrok.

Zjadł w prywatnych pokojach zamiast w jadalni, starając się oddać sprawiedliwość genialnemu posiłkowi, jaki Chardot przygotował dlań w tak ograniczonym czasie. Po raz pierwszy od dni spartańskiego chłopięctwa Ripley nie miał apetytu. Musiał jednak postępować praktycznie i rozsądnie. Mężczyzna nie myśli należycie o pustym żołądku. On zaś powinien myśleć i działać ostrożnie, czyli zachowywać się inaczej, niż przywykł.

Tak czy owak, bez względu na to, jak wielu przemyśleniom się odda lub jak ostrożnie będzie działać, wkrótce przyjdzie mu się zmierzyć z człowiekiem, któremu ostrożność w obu tych kwestiach była obca.

Co oznaczało, że ten obiad mógł być jednym z ostatnich, jeśli nie wręcz ostatnim posiłkiem księcia Ripleya. Mimo to Ripley postara się go docenić. Takie podejście dyktowały praktyczność i rozsądek, jeśli nie chciał zrazić do siebie najlepszego kucharza w Londynie.

Wyobraził sobie, że Olympia siedzi po jego prawicy przy stole w jadalni, a przed nimi wyłożono jedną z uczt Chardota. Uśmiechnął się i jadł, choć nie czuł smaku.

Wrócił do garderoby, dokończył toaletę na wieczór, wybrał najsolidniejszą laskę i wyszedł.

***

Za późno.

Wskutek dokuczliwych pytań lady Charles i jego własnej wrodzonej niechęci do stosowania przemocy wobec kobiet, bez względu na ciężar prowokacji, minęło stanowczo zbyt dużo czasu, nim lord Frederick opuścił Camberley Place. Kiedy wreszcie minął konno bramę, na poły pragnął zawrócić i kontynuować spór. Owo niezwykłe – jak na niego – niezdecydowanie zapewne dodatkowo go opóźniło.

No i jeszcze ten deszcz.

Tłukł w niego raz po raz, kiedy lord Frederick jechał wierzchem do gospody, gdzie urządził postój rankiem, żeby doprowadzić się do porządku, i tłukł w dach powozu w drodze powrotnej do Londynu.

Niemniej wrócił, a wszystko na darmo. Zanim dotarł do Gonerby House, Ripley już się stamtąd oddalił. Lordowi Frederickowi pozostało jedynie powiedzieć, że zajrzał, by się upewnić, czy lady Olympia dotarła bezpiecznie. Następnie obwieszczono mu radosne wieści i musiał udawać, że nie ma nic przeciw i nie należą mu się jakiekolwiek przeprosiny. Ostatecznie, jak rzekł z uśmiechem, to przecież nie jemu Ripley ukradł damę.

Nie widział już sposobu naprawy sytuacji. Wizyta u Ashmonta byłaby stratą czasu. Prawda, mogły się zdarzyć straszne rzeczy. W przypadku Ashmonta należało to uznać za pewnik. Jednakowoż straszne rzeczy dzieją się nieustannie. Mężczyźni, nie wyłączając lorda Fredericka, popełniają błędy, które na zawsze odmieniają ich życie. Lady Charles twierdziła, że on nie ma to wpływu. Nie zgadzał się z nią. Chwilowo wszakże, w obecnym stanie rozdrażnienia, ogarniało go zniechęcenie na myśl o tym, by dalej pomagać młodemu mężczyźnie, który z uporem rujnował sobie życie. W rzeczy samej, możliwe, że lord Frederik powinien był od początku trzymać się z dala od tej sprawy. Gdyby się nie wmieszał, jego bratanek zapomniałby o istnieniu damy przed upływem dnia.

Ale była dla niego idealna, pomyślał lord Frederick. Miała szansę go ocalić.

Niewykluczone, że Ashmont zaszedł zbyt daleko, by zostać ocalonym.

I niewykluczone, że lord Frederick mógł równie dobrze zabawić dłużej w Camberley Place, gdzie nerwy szargałaby mu lady Charles. Ona przynajmniej nie była pijanym durniem jak jego krewniak. Niewątpliwie też przyjemniej się na nią patrzyło.

***

Niewiele przed północą Ripley dopadł Ashmonta w klubie Crockforda.

Zdawało się, że minęły wieki, odkąd Ripley wyszedł z tego przybytku hazardu na krótko przed świtem. Zdawało się, że minęły wieki, odkąd Ashmont wyznaczył go, by czuwał nad przebiegiem ślubu.

Nawet nie trzy dni.

Znalazł Ashmonta w sali gier, z Blackwoodem.

Jeden rzut oka wyjawił Ripleyowi, że mimo wczesnej pory Ashmont jest pijany w sztok.

To tyle, jeśli chodzi o nadzieję na zastanie go w umiarkowanie racjonalnym nastroju.

– Ripley, ty łajzo! Nareszcie jesteś! – Ashmont odepchnął się od stołu i wstał. – Czas najwyższy, psiakrew. Umierałem z nudów.

– Wasza Książęca Wysokość, pańska wygrana – odezwał się krupier.

– Rozdziel ją między wszystkich, rozdziel – odparł Ashmont. – Niech inni też mają szansę.

Radośnie podążył za Ripleyem na korytarz, a Blackwood zamykał pochód.

Kiedy opuścili salę i znaleźli się poza zasięgiem ciekawskich uszu, Ripley powiedział:

– Przyszedłem zabrać cię do domu.

– Cha, cha. Aż tak źle ci się widzę? Nic mi nie dolega. Wygląda gorzej, niż jest. Tylko to czekanie, no wiesz. Odstawiłeś Olympię bezpiecznie z powrotem? Czy nadal z ciotką? Stryj Fred cholernie się pieklił. Twierdził, że nie jestem w formie, żeby się z nią widzieć.

Skórę miał szarą i ściągniętą. Oczy podbiegłe krwią, podkreślone głębokimi cieniami.

– Zdarzało ci się wyglądać lepiej – stwierdził Ripley. – Odrobinkę sfatygowany? Wracajmy do ciebie, gdzie będziemy mogli porozmawiać bez konieczności przekrzykiwania innych.

Za plecami Ashmonta Blackwood uniósł brew.

– Do mnie? – Ashmont parsknął śmiechem. – Za wcześnie, żeby kłaść mnie do łóżka. Jeszcze się trzymam na nogach, nie widzisz? Ale jakie wieści? Odpisała na mój list? Przysłała przez ciebie odpowiedź?

– Tak – odparł Ripley. – Pomyślałem jednak, że wolałbyś przeczytać ją w mniej publicznym miejscu.

Ashmont rozejrzał się, z opóźnieniem rejestrując grupki mijających ich mężczyzn, którzy udawali, że nie obserwują ani nie próbują podsłuchiwać Ich Łajdackich Mości. Gdy idzie o plotki, mężczyźni z łatwością dorównują kobietom.

– Ach, oni – stwierdził Ashmont, pochmurniejąc gwałtownie, jak często mu się zdarzało. – Cholerna racja. Nie tutaj.

Ruszył chwiejnie przed siebie, z Ripleyem u boku i Blackwoodem podążającym za nimi. Kiedy szli przez klub, Ashmont cały czas mówił.

– Śmieją się za moimi plecami. Nikt nie odważy się powiedzieć mi czegokolwiek w twarz. Sądzą, że jestem głuchy, ślepy i głupi. Jakby nie dotarło do mnie, co wypisują w księdze zakładów u White’a. Zakłady przeciw mnie, a na rzecz zgadnij kogo? Nie, nie wysilaj się. Nigdy nie wpadniesz. Mendsa! Uwierzysz? Sześćdziesiątka na karku jak nic. I każdy wie, że nie ma już własnych zębów. Te w jego zaślinionej gębie pochodzą z pól Waterloo, od jakiegoś biedaczyny, który dał się zabić, broniąc króla i kraju. A to nawet nie ułamek zabawy. „Poranne Zwierciadło” Foxe’a stawia mnie pod pręgierzem dzień w dzień i w wydaniach specjalnych.

– Trzeba przyznać, że przeszli samych siebie – wtrącił Blackwood.

– Żadna dziewczyna przy zdrowych zmysłach by mnie nie zechciała, piszą – ciągnął Ashmont. – Satyryczne rysunki ze mną jako śliniącym się ogrem i Olympią, która wieje, ile sił w nogach. Nie żeby mieli jaja i wydrukowali moje inicjały, a co dopiero nazwisko. Tchórze. Zawsze tylko „niesławny par”, „arystokrata o złej reputacji” i „utytułowany rozpustnik”. Jakbym miał tracić czas na pozywanie tych zadowolonych z siebie drani. A wczoraj wieczorem…

Urwał, gdyż niedaleko przeszła grupka mężczyzn.

– Ripleyu, jak rozumiem, ciebie też spotkały pewne przykrości – odezwał się Blackwood, nim Ashmont zdążył podjąć swoje żale. – Jakieś zamieszanie w Białym Lwie.

– Z powodu psa – wyjaśnił Ripley.

Pokrótce opisał rozrywki w Putney, kiedy odbierali kapelusze i porzucali gwar klubu Crockforda na rzecz gwaru ulicy St. James.

Ulicę zasnuwała mgła.

Ashmont zatrzymał się u stóp schodów.

– Natarła na brutala – podsumował ze śmiechem. – Nie wiedziałem.

– No, trudno, żeby się tym chwalił – rzekł Ripley. – Zażądała, żeby oddał jej bat. A on posłuchał.

Jego przyjaciele się roześmiali.

– Wiedziałem, że jest inna niż wszystkie – obwieścił Ashmont. – Oczywiste po pięciu minutach w jej towarzystwie. Ale dałem łajdakowi nauczkę.

– Ta ode mnie mu nie wystarczyła? – spytał Ripley.

– Drań zaczepił nas, piekląc się o psa – powiedział Blackwood. – Teraz rozumiem, czemu był taki rozwścieczony. Pokonała go dziewczyna.

– Rzucił parę uwag na temat Olympii – dodał Ashmont. – Nie mogłem puścić ich mimo uszu.

– Stąd ta śliwa – skomentował Ripley.

Ashmont dotknął podbitego oka.

– Nie, to było później. Spadłem ze schodów. Ale ponoć nie ja jeden ucierpiałem za sprawę Olympii. Pisała coś o twojej kostce.

Pochylił się chwiejnie, żeby przyjrzeć się kostce Ripleya. Nie tej. Następnie chwiejnie się wyprostował i zmierzył wzrokiem laskę.

– Zwichnięcie – wyjaśnił Ripley. – Nic wielkiego, ale kobiety zrobiły zamieszanie, a gdy próbowałem uciec… Ach, ale to długa historia. Opowiem wam, kiedy znajdziemy jakieś spokojne miejsce.

Na ulicach Londynu przeważnie panował hałas, a okolice St. James, krótko przed północą, nie stanowiły wyjątku. Jeźdźcy, powozy toczące się na rauty lub bale, przechodnie rozmawiający podniesionymi głosami, żeby przebić się przez stukot kopyt i turkot kół na bruku.

Ripley był świadom spojrzeń pasażerów mijających ich powozów. Był również świadom mężczyzn, którzy gromadzili się przy oknach klubu Crockforda w oczekiwaniu jakiegoś rodzaju rozrywki, na co zwykle można było liczyć, kiedy w pobliżu przebywali Ich Łajdackie Mości. Wkrótce, jak zdarzało się to nader często, wieść magicznym sposobem dotrze do White’a po drugiej stronie ulicy i w słynnych wykuszach pojawi się kolejne morze twarzy.

Zaczęło padać, krople rozpryskiwały się tu i ówdzie, od niechcenia, jakby po namyśle.

Odwróciwszy spojrzenie od okien, Ripley odkrył, że Ashmont wpatruje się weń zwężonymi oczami.

– Na co patrzysz? – zapytał Ashmont.

– Na cholerną widownię – odrzekł Ripley.

Ashmont się rozejrzał.

– Szydzą i drwią za moimi plecami. Myślą, że nie wiem.

Deszcz się wzmógł.

– Weźmy dorożkę – zaproponował Ripley.

– Dobry pomysł – poparł go Blackwood. – Dawno nie padało.

– Do diabła z nimi – obwieścił Ashmont. – Do diabła z deszczem. Dawaj list.

Tak, oczywiście. To musi być teraz.

– Teraz? – zapytał Ripley. – Chcesz czytać list od lady Olympii po ciemku? W deszczu? Kiedy ci idioci będą patrzeć i spekulować, co zawiera?

– Czy możemy przynajmniej zejść z tego deszczu? – zawtórował mu Blackwood. – I pójść gdzieś, gdzie można się napić? Nie zamierzasz chyba czytać listów miłosnych na środku ulicy?

Och, lecz Ashmont zamierzał.

Ripley widocznie oszalał, skoro obiecał Olympii, że dostarczy list, podczas gdy nie miał najmniejszej pewności, że uda mu się nakłonić Ashmonta, by przeczytał go w racjonalnym stanie umysłu – albo chociaż na osobności, jak normalna osoba.

– Weź dorożkę, jeśli się boisz, że rozpuścisz się w mżawce – rzucił Ashmont. – Chcę list.

Oczywiście. Nie dało się inaczej. Na ulicy, w deszczu, z widownią. Ponieważ taki właśnie był Ashmont. Nieprzewidywalny. Wybuchowy. Zawsze tak piekielnie ekscytujący.

– Deszcz to jedno – rzekł Ripley. – Ale chcę zejść z ulicy, z tego tumultu, w miejsce, gdzie nie będę służył wszystkim za wieczorną rozrywkę.

– Dawaj ten przeklęty list!

– Czy możemy się schować przed deszczem? – powtórzył Blackwood.

– Sam się chowaj przed deszczem – poradził mu Ashmont. – Wezwij sobie dorożkę. Dawaj wreszcie ten cholerny list!

– Chryste… Daj mu go, Ripleyu.

Ripley wyjął zza pazuchy list Olympii i podał przyjacielowi. Ashmont wziął go i przeszedł do najbliższej latarni ulicznej. Rozłożył list i czytał, mrużąc oczy. Krople deszczu spadały na papier, rozmazując linijki pisma.

Nie było ich wiele, w każdym razie jak na standardy Olympii.

Upłynęła wieczność, nim wreszcie Ashmont podniósł wzrok na Ripleya.

– To jakiś żart?

– Nie wiem, co jest w liście – odparł Ripley.

– Wiesz – stwierdził Ashmont, cicho i twardo. – Wiesz cholernie dobrze.

– Wiem, że to nie żart. Ani trochę. Pisała go bardzo podenerwowana.

– Podenerwowana? Podenerwowana?! Tak to nazywasz? I miałeś czelność patrzeć mi w twarz, uśmiechać się i opowiadać historyjki, wiedząc…

– Nie planowałem przecież załatwiać tej sprawy na środku cholernej ulicy! Przyszedłem, żeby zabrać cię do domu i…

– Co, u diabła? – zapytał Blackwood. Wyrwał Ashmontowi list i przeczytał. – Na litość boską, Ripleyu!

– Ty draniu – powiedział Ashmont. – Ty bydlaku. Ty zdradziecka, kłamliwa kupo gówna! Ufałem ci.

Rzucił się na Ripleya, tak że ten wyrżnął plecami o kamienny murek przed klubem Crockforda.

Ripley odbił się od przeszkody i natarł.

Z klubów zaczęli się wylewać mężczyźni.

Ashmont się zamachnął, Ripley zrobił unik. Przy akompaniamencie przekleństw Ashmont usiłował chwycić go za gardło. Ripley go zablokował.

Nim zdążył cisnąć go na ulicę, Blackwood odciągnął Ashmonta.

– Nie tutaj, niech was obu piekło pochłonie.

Tak, tutaj. Teraz. Ripleya zaślepiała furia. Ledwie się powstrzymał przed wyrwaniem Ashmonta Blackwoodowi, żeby stłuc go do nieprzytomności.

– Tutaj będzie dobrze – warknął Ashmont. – Tu na ulicy, gdzie każdy może zobaczyć, jakim plugawym, oszukańczym, tchórzliwym gadem jest ten mój tak zwany przyjaciel!

– Plugawym! A kto był zbyt pijany, żeby pobiec za własną…?

– Nie tutaj, niech was szlag – przerwał mu cicho Blackwood. – Chcecie, żeby obrzucono ją błotem razem z wami?

Ten argument do nich przemówił. Z wielkim trudem. Ripley zmusił się, żeby rozewrzeć pięści. Ashmont pokręcił głową.

– Nie, nie tutaj. Wobec tego wiesz gdzie. I kiedy. O świcie. Pistolety dla dwóch, śniadanie dla jednego, Ripleyu. Widzimy się jutro o świcie. Putney

Heath.

– Nie, do diaska! – warknął Blackwood. – Weź się w garść. Ripley nie jest święty. Żaden z nas nie jest święty. Zrobiłbyś to samo.

– Przyjacielowi?! – zapytał Ashmont.

Przyjaciel. Nie, to się skończyło, umarło. Czyny, których się nie odwróci. Słowa, których się nie cofnie: oszukańczy, tchórzliwy. Słowa i czyny kotłujące się w szaleńczej, nieposkromionej furii, zaślepiającej, odbierającej zdolność myślenia. Jednakże była tu też ona. Gdzieś pośród tego morderczego zamętu była Olympia… jej wyraz twarzy dzisiaj, zanim Ripley ją opuścił. I przy całej rozszalałej wściekłości przypomniał sobie, że to on ponosi winę.

Zbałamucił kobietę, którą Ashmont chciał poślubić.

Tylko jedno, pojął Ripley, wyprostuje sprawy między nimi. Tylko jedna, nieodwołalna rzecz. Olympia nie zrozumie. Nie może zrozumieć. Jest kobietą.

Przepraszam, kochana.

– Będziesz mnie reprezentować – zwrócił się Ashmont do Blackwooda.

– Na pewno nie, psiakrew – odparł Blackwood. – On jest moim szwagrem, pamiętasz? Alice dowiedziałaby się o wszystkim. Wiesz, że tak. Zabiłaby mnie. Dlatego: nie. Załatw to w inny sposób. Nie będę stał i patrzył, jak do siebie strzelacie.

– W takim razie idź do diabła! – rzucił Ashmont. – Przyślę kogoś do ciebie, Ripleyu.

– Przypuszczałem, że tak zrobisz – powiedział Ripley. – Ale jutro nie będę walczył. Biorę ślub.

Głowa Ashmonta odskoczyła do tyłu, jakby Ripley go uderzył, co zresztą ten nadal miał wielką ochotę zrobić, mimo wszystko, ponieważ jego przyjaciel był cholernym głupcem i wrakiem człowieka, i przydałby mu się kopniak w tyłek.

Ashmont ruszył na niego, ale Blackwood go szybko odciągnął.

– Daj spokój – polecił. – Rusz głową. Muszą pobrać się teraz. Wyciszyć skandal. Wszyscy widzieli ich razem, a ty się spóźniłeś. To koniec, chłopie. Odpuść.

– Nie – odrzekł Ashmont. – To nie koniec.

Nie było możliwości, żeby na tym się skończyło. Zdarzenia rozegrały się zbyt publicznie. Duma Ashmonta by tego nie zniosła. Chciał zabić Ripleya i

miał ku temu dobry powód. Ripley ukradł dziewczynę, oszukał przyjaciela i wystawił go na pośmiewisko.

Istniał tylko jeden sposób zaradzenia sporowi. Tylko jeden sposób, dzięki któremu Ashmont będzie mógł znów nosić głowę wysoko.

Pistolety o świcie.

– Wiem – powiedział Ripley. – Ale najwcześniej pojutrze.

Wspierając się na lasce, pokuśtykał w kierunku Piccadilly.

Słyszał, jak Ashmont krzyczy:

– Na co się gapicie? Idźcie do diabła!

Rozdział 16

Następnego dnia

Poznaczony zaciekami po deszczu list leżał otwarty na toaletce księcia.

Ashmont trzymał w dłoni kieliszek z winem. Jasne włosy, które co rusz przeczesywał palcami, stały mu na sztorc.

Czytał, po raz dziesiąty lub dwudziesty:

Drogi Książę

Ten list powinnam była napisać poprzednim razem, okazałam się jednak zbyt wielkim tchórzem. Najlepszy sposób naprawy tego, jaki obecnie mi się nasuwa, to postawienie sprawy jasno: nie mogę za Ciebie wyjść.

Ogromnie mi przykro, że potraktowałam Cię tak nieuprzejmie i niesprawiedliwie. Źle postąpiłam, że w ogóle obiecałam, iż za Ciebie wyjdę, kiedy moje serce nie należało do Ciebie w stopniu, w jakim powinno. I postąpiłam źle po raz wtóry, nie zrywając wyraźnie zaręczyn po mojej ucieczce. Nie ponosisz winy za to, że nie znałam własnego serca. Nigdy nie było moim zamiarem oddać je Ripleyowi, wiem też, że on żadną miarą nie chciał mi go kraść, niemniej teraz należy do niego.

Zasługujesz na odpowiedzialną i oddaną damę, która sprosta honorowi bycia Twoją żoną. Niestety, mnie cechują: upór, krnąbrność i samolubstwo. Błagam, byś nie winił Ripleya za to, co się stało. Usiłował stawiać Waszą przyjaźń na pierwszym miejscu, tak w myślach, jak i w sercu. Usiłował zrobić to, co słuszne, przyszło mu wszakże zmierzyć się z moją niesforną naturą. To z nim chciałam być i kiedy próbował uciec, uniemożliwiłam mu to.

Teraz widzę jasno – co powinno było nastąpić wcześniej – że nigdy nie zdołałabym Cię uszczęśliwić. Choć żałuję, że nie uzmysłowiłam sobie tego, zanim sprawiłam Ci ból, pokrzepia mnie świadomość, że Cię oszczędziłam, jakkolwiek być może w tej chwili tego nie docenisz. A wiedza, że

wyświadczyłam Ci przysługę, daje mi odwagę – choć lepszym słowem będzie śmiałość – by prosić Cię o wyświadczenie mi tej wielkiej uprzejmości i udzielenie Ripleyowi i mnie Twego błogosławieństwa. On nadal jest Twoim przyjacielem i kocha Cię całym sercem, wiem o tym. Proszę, nie pozwól, aby moje błędy zniszczyły wieloletnią, prawdziwą przyjaźń.

Z serdecznymi życzeniami szczęścia,
Wierz mi, że szczerze ci oddana,
Olympia

– Błogosławieństwo – wymamrotał Ashmont. – Chce mojego błogosławieństwa. Ma większe jaja niż oni wszyscy razem wzięci. Do diabła, Olympio, nie mogę.

Do pokoju wparował Blackwood.

– Czyś ty ostatecznie postradał rozum? Nie możesz na poważnie proponować walki z Ripleyem. Dama cię nie chce. Pogódź się z tym i nie bądź przeklętym głupcem.

– Kto cię wpuścił?

– Mam zakaz wstępu? Mnie także dopisałeś do listy zdrajców?

Ashmont się napił.

– Zostaw mnie w spokoju. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Jestem twoim przyjacielem, bałwanie.

– Nie na tyle, żeby zostać moim sekundantem.

– I dlatego wybrałeś tego drania Morrisa? Natknąłem się na niego, kiedy wychodził, powiedział mi.

Syn hrabiego Barthama skwapliwie skorzystał z okazji i przyjął rolę sekundanta Ashmonta, ani chybi w nadziei na to, że zajmie miejsce Ripleya w sercu Ashmonta, cokolwiek by to znaczyło.

– Odwalił dobrą robotę – stwierdził Ashmont. – Wymiana czterech listów i wszystko uzgodnione. – Złożył list od Olympii. – Jutro o świcie. Putney Heath.

– Liczysz na to, że zrobisz z niej wdowę dzień po ślubie? Twoim zdaniem po tym spojrzy na ciebie przychylniej? Co jest z tobą nie tak?

– Nigdy nie przestaną się ze mnie śmiać, jeśli odpuszczę. – Ashmont znów napełnił sobie kieliszek. – Będą opowiadać tę historię latami. Nie zamierzam stać się pośmiewiskiem. – Napił się.

– Dlaczego raptem tak się przejmujesz, co ktokolwiek o tobie myśli czy mówi?

– To co innego. Sprawa między Ripleyem a mną. Ufałem mu. Bezgranicznie. Zrobił ze mnie głupca. Okłamał mnie. „Przyjeżdżaj tu po nią”, napisał. A moment później jest z powrotem w Londynie, planując ślub. Własny.

– Nie dałeś mu szansy, żeby się wytłumaczył.

– Ripley się nie tłumaczy.

Blackwood pokręcił głową.

– Po co tu przyszedłem? Dlaczego pomyślałem, że mogę przemówić ci do rozsądku?

– Ponieważ boisz się żony?

Zapanowała niebezpieczna cisza.

Potem Blackwood się roześmiał.

– Rozumiem. Ze mną też chcesz walczyć. Chcesz walczyć z każdym. Przykro mi, ale nie wyświadczę ci tej przysługi. Muszę wziąć udział w ślubie. O siódmej. Święty Jerzy, Hanover Square. Z jakiegoś powodu Ripley chce wziąć ślub w kościele.

Rzucił liścik na toaletkę Ashmonta.

– Twoje zaproszenie. Po to przyszedłem, mając nadzieję, że nie okażesz się aż takim dupkiem. Wiem, że na niewiele się to zda, ale powiem to tak czy inaczej: jeżeli została ci choć krztyna rozumu, pojawisz się tam. Będziesz się śmiał i traktował sprawę jak żart, i będziesz im życzył pomyślności.

Wyszedł.

Ashmont zmiął zaproszenie, nawet go nie otworzywszy, i wrzucił do pustego kominka.

***

Plotkarskie kolumny popołudniówek doniosły o bójce między książętami Ashmontem i Ripleyem na ulicy St. James. Ponieważ żaden ze świadków nie odważył się zapuścić dostatecznie blisko dostatecznie wcześnie, z samej wymiany zdań nie dało się wiele zrelacjonować, aczkolwiek wszyscy za powód przyjmowali zniknięcie Jego Książęcej Wysokości R. z Newland House z narzeczoną Jego Książęcej Wysokości A. w dniu ślubu.

Ponieważ jednak Ich Książęce Wysokości znani byli z tego, że uciekali się do rękoczynów, gdy konkurowali o kobiety, i ponieważ trzej książęta opuścili klub Crockforda w przyjacielskim nastroju, większość osób założyła, że Jego Książęca Wysokość A., jak zwykle mocno wstawiony, poczuł się po prostu dotknięty jakimś komentarzem Jego Wysokości R. po wyjściu z klubu. Takie wyjaśnienie podał w każdym razie paru gapiom Blackwood.

Jeśli któryś z dżentelmenów podejrzewał, że krótka walka na pięści nie załatwiła sprawy, wątpliwe, by wygłaszał takie oświadczenia publicznie.

Jako że pojedynki były nielegalne, utrzymywano je w ścisłym sekrecie. W przeciwnym wypadku policja zwęszyłaby pismo nosem i pojawiła się na miejscu, wszystko psując.

Niemniej w towarzystwie panowała opinia, że nawet Ashmont nie jest na tyle popędliwy, by rozstrzygać spór w starciu na śmierć i życie z najlepszym przyjacielem.

Ripley pozwolił ludziom w to wierzyć. Niemalże sam zaczął w to wierzyć, kiedy uzyskiwał specjalną licencję i decydował, co włożyć na ślub.

Było to skromne wydarzenie.

Mniejsze niż przy pierwszym podejściu lady Olympii do zamążpójścia grono uczestników obejmowało przede wszystkim Newlandów i Gonerbych, ich potomstwo oraz niewielką grupkę innych krewnych.

Ze strony Ripleya reprezentacja była nieliczna.

Wczoraj, w drodze do Londynu, posłał wiadomość do cioci Julii. Ale tylko po to, żeby ją poinformować. Nie oczekiwał, że przygna do Londynu na ślub. Napisał również do Alice, w tym samym celu. Wiedział, że żadną miarą nie zdążyłaby na czas.

Za to Blackwood się pojawił. Ku zaskoczeniu Ripleya, zaproponował, że będzie jego drużbą.

– Wyobraź sobie reakcję Alice, gdybym tego nie zrobił – powiedział Blackwood.

– Kobiety nie rozumieją tych spraw – stwierdził Ripley. – Mężczyzn i honoru.

– Nie wydaje mi się, żeby Ashmont tak naprawdę rozumiał – ocenił Blackwood. – Ale ja chyba rozumiem.

Ripley zadowolił się tą enigmatyczną uwagą. Nie miał czasu ani chęci zagłębiać się w przemyślenia dotyczące wyobrażeń Blackwooda na temat kobiet, małżeństwa czy o co tam mu chodziło. Cieszył się, że ma przyjaciela u boku.

Jedyną potencjalną łyżkę dziegciu stanowiło ryzyko pojawienia się lorda Fredericka Beckinghama – na przykład przy słowach pastora: *Jeśli ktoś zna powód, dla którego ci dwoje nie mogą połączyć się węzłem małżeńskim, niech powie teraz.* W takim przypadku istniały spore szanse, że ów dżentelmen bynajmniej nie *zamilknie na wieki*.

Jednakże ceremonia się rozpoczęła, a jeżeli stryj Fred przyczaił się gdzieś w kościele, nie objawił się znienacka niczym anioł zemsty. Nie byłoby to zresztą w jego stylu. Jego styl obejmował podstępne działania na drugim planie, inaczej mówiąc, stanowił przeciwieństwo stylu jego bratanka.

I tak pastor minął niebezpieczny moment, po czym przeszedł do części *Czy ty*.

Ripley popatrzył na rozpromienioną twarz narzeczonej i złożył przysięgę.

W tejże chwili zniknęły wszystkie problemy ostatnich dni, ostatnich godzin, a świat znieruchomiał. Po raz pierwszy, odkąd rozpoczął swoją podróż z Olympią, Ripley poczuł spokój. Jakby brał udział w długim, desperackim wyścigu i wygrał.

Wszystko zdawało się takie jasne i nieuniknione, i słuszne, kiedy ujął jej dłoń i wypowiedział słowa przysięgi. I kiedy ona ujęła jego dłoń i również wyrzekła odpowiednie słowa.

A kiedy wreszcie Ripley wsunął jej na palec obrączkę, coś przemieściło mu się w głowie. Cały świat się zmienił.

Był twardym, lekkomyślnym mężczyzną, którego przykre doświadczenia nauczyły pogardy dla uczuć. A mimo to serce w nim nabrzmiało. Uczuciami właśnie. Zbyt wieloma, zbyt niespodziewanymi, żeby je nazwać. Czymkolwiek były, okazały się za silne, żeby stawić im opór. Oczy mu zwilgotniały. Zajrzał w jej oczy – tak teraz niebieskie za okularami – i w nich również zobaczył łzy, odpędzone prędko mruganiem, zanim uśmiechnęła się do niego, napełniając kościół słonecznym blaskiem.

Kochał ją. Tak proste. Tak ogromne.

Resztę ceremonii spowiła mgiełka oszałamiającego szczęścia. Inni stanowili tło. Mogliby uchodzić za obrazy, drzewa lub chmury. Widział ją i

tak naprawdę nic poza nią: odważną dziewczynę, która zmusiła go do szaleńczego pościgu… z którą brał udział w gonitwie na fotelu inwalidzkim… za którą potoczył się przez park w Camberley Place… i z którą się kochał, szaleńczo i głupio, w swym ulubionym miejscu na ziemi.

Ta dziewczyna da mu popalić, a jemu się to spodoba.

Ripley sądził niegdyś, że stwierdzenie dotyczy Ashmonta, że Olympia jest idealna dla Ashmonta.

Jakże był ślepy. To jemu się to podobało, to on nie potrafił się temu oprzeć, nie potrafił oprzeć się jej, tej pełnej animuszu, namiętnej, kochającej dziewczynie, która obecnie była jego. Na zawsze.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Czuł się jednak zbyt szczęśliwy, żeby zatrzymywać się przy tej myśli na dłużej.

Teraz pławił się w blasku uśmiechu Olympii.

Teraz cieszył się mieszaniną radości i konfuzji na twarzach obecnych.

Mimo to, kiedy opuszczali kościół, rozejrzał się, przeczesując wzrokiem skromną grupkę gości. Popatrzył również w górę, na galerię.

Ashmont nie przyszedł.

***

Później tego wieczoru

Biblioteka w Ripley House ani trochę nie przypominała długiego kanionu o ścianach z książek w Camberley Place. Nie była również podobna do wyrafinowanej, dwupiętrowej biblioteki, którą raz po raz plądrował ojciec Olympii.

Jej zdaniem była jednak piękniejsza od nich obu. Olympia wiedziała, że mężczyzna, który ją zbudował, nie zrobił tego na pokaz ani po prostu żeby pomieścić gdzieś swój obszerny księgozbiór. Człowiek, który naprawdę kochał czytać, stworzył świątynię literatury. I jak należało tego oczekiwać po świątyni, pełniła zarazem rolę schronienia.

Tłoczyło się tutaj więcej mebli niż w bibliotece w Camberley Place. Wygodnych mebli, pomyślanych dla osób, które pragną zatracić się w książkach na wiele godzin. A choć pomieszczenie nie ciągnęło się na trzydzieści metrów, gwarantowało dostatecznie dużo tomów, by

wystarczyło ich na zatracenie trwające całe życie. Regały z książkami zakrywały ściany do wysokości drzwi. Ponad nimi sunęły rzędem portrety najznamienitszych przedstawicieli literatury angielskiej w stiukowych ramach.

Olympia stała na środku pokoju z rękami zaplecionymi na piersi i okręcała się powoli, chłonąc wszystko.

– Och, Ripleyu – odezwała się. – Gdybym wiedziała, że masz tak piękną bibliotekę, brutalnie odepchnęłabym lady Nunsthorpe z drogi, zaciągnęła cię za kotary i całowała, aż błagałbyś o litość.

– Zakonnicę? – Podszedł do regału przy ścianie z kominkiem. – Co ona ma do rzeczy?

– Przyjęcie. Tańczyłeś z nią. – Wzruszyła ramionami. – Kilka lat temu.

Odwrócił się ku niej i oparł plecami o regał, zaplatając ramiona.

– I pamiętasz to?

– Wywarłeś silne wrażenie.

– Dobrze. Jeżeli tylko dzięki temu wrażeniu bardziej pragniesz mnie pocałować. Teraz byłoby całkiem w porę.

– To ty położyłeś kres pocałunkom w powozie – wytknęła mu. – „Nie tutaj”, powiedziałeś. „Za dużo ubrań”.

Choć nie tak prosta jak suknia lady Charles, w której Olympia doświadczyła jakże cudownego zrujnowania, dzisiejsza suknia ślubna nie dorównywała wyszukaniem swej poprzedniczce. Była biała, owszem. Ten aspekt nie nastręczył trudności. Ponieważ białe suknie były aktualnie w modzie, Olympia miała ich w ślubnej wyprawie kilka. Tej kreacji brakowało jednak wymyślnych kokard i kaskad koronki, jakimi chlubiła się pierwsza wersja. Pod nadzorem matki i ciotki Olympii dwie bardziej zręczne pokojówki skomponowały welon z fragmentów kreacji, w której bawiła w ubiegłym roku na dworze.

Owa najbardziej wyrafinowana część ślubnego stroju, welon, wylądowała na siedzeniu powozu podczas jazdy do domu, zanim Ripley zarządził koniec pocałunków i pieszczot.

– To nasza noc poślubna – rzekł. – Nie zaplanowałem jej jako pospiesznego zbliżenia w powozie.

Olympii po skórze przebiegły dreszcze.

– A co zaplanowałeś, Wasza Książęca Wysokość?

– Pomyślałem, że najpierw osłabię twój opór, księżno.

Nadal nie przywykła do tego tytułu. Powątpiewała, czy kiedykolwiek przywyknie do sposobu, w jaki on go wypowiadał, tak cichym i sugestywnym tonem.

– Jakbym choć trochę się opierała.

– Nie wiesz, co sobie umyśliłem. Jestem niesławnym rozpustnikiem, przypominam. Robiłem szokujące rzeczy. Będę robił je nadal.

Zastanawiała się, co może być bardziej szokujące od ich poczynań w domku rybackim. I tego, co zaszło w powozie, w drodze do Londynu.

Chociaż ich zabawy w powozie nie niosły aż takiego… takiego… spełnienia. Przypuszczała, że były wyjątkowo niegrzeczne, aczkolwiek na pewno brakowało jej kwalifikacji, by to ocenić, i nie, nie miałaby nic przeciw, gdyby kontynuowali aż do logicznego finału. Ale Ripley powiedział, że stangret się domyśli, co byłoby wielce niewskazane, toteż poprzestała na umoszczeniu się w jego ramionach. W której to pozycji zasypiała, budziła się i zasypiała znowu.

Najwyraźniej wkrótce jej wiedza zostanie poszerzona.

– Różnica polega na tym, że będę robił je wszystkie z tobą – ciągnął. – Ślubowałem, czyż nie? Miłość, wierność i uczciwość małżeńską.

– Ja także.

– W rzeczy samej. Pora więc zacząć, miła pani. Od pocałunków. Usytuowałem się tutaj, na tle licznych rzadkich tomów, po części zżartych przez robactwo, żeby wydać ci się bardziej kuszącym.

– Och, Ripleyu. – Podeszła do niego i przyłożyła mu dłoń do policzka.

– Mój plan chyba działa.

Odwrócił głowę, by pocałować wnętrze jej dłoni. Potem zaczął kreślić tam kółeczka językiem. Mrowienie przebiegło wzdłuż kręgosłupa i rozlało się po ciele Olympii.

Puścił jej rękę i ujął w dłonie twarz, tak delikatnie, jakby tulił w nich ptaka.

– Niebieskie – powiedział. – W tej chwili twoje oczy są niebieskie. Lubię twoje oczy we wszystkich ich kolorach.

– Moje krótkowzroczne oczy.

– Mnie zobaczyłaś dostatecznie dobrze. Zobaczyłaś we mnie coś, co oceniłaś jako warte posiadania.

– Zobaczyłam cię stojącego nago w miednicy. Nie jestem pewna, czy po tym było mnie stać na jakąkolwiek ocenę.

Roześmiał się i ją pocałował, ale nie tak jak w powozie, z ową wielką, tłumioną… namiętnością. Tak to wówczas odebrała. Na pewno. To samo potężne uczucie zmiażdżyło jej mózg w domku rybackim.

To ich łączyło. Pożądanie. Dawali sobie nawzajem rozkosz.

Obecnie znalazła coś więcej. Tym razem pocałował ją z czułością tak szokującą, że wywołała w niej wewnętrzne drżenie.

A także ból serca.

Odpowiedziała czule, przesunęła ręce wyżej i zacisnęła na jego ramionach, tak silnych, a zarazem tak delikatnych. Widziała, jak podniósł z ziemi dorosłego mężczyznę. Widziała gwałtowność, którą trzymał na uwięzi.

Mężczyzna bynajmniej nie potulny.

A jednak potrafił być czuły. Wobec niej.

Przypomniała sobie, jak uśmiechał się do niej, kiedy składali przysięgę małżeńską. Patrząc na ten uśmiech przez mgiełkę łez, poczuła, że cokolwiek zrobili złego, jakimś sposobem przekształciło się w coś bezwzględnie dobrego.

Całowała go, podążając za jego przewodnictwem, ucząc się, że pocałunek może być namiętny, a zarazem czuły, że doznanie jego ust i jego smak mogą wywoływać potężną mieszaninę emocji, jakby całe jej wnętrze śmiało się i płakało jednocześnie.

Kiedy się cofnął, nadal kręciło jej się w głowie.

– Nie przypuszczałam, że całowanie kryje w sobie tak wiele – skomentowała.

– Nie przypuszczałem, że całowanie ciebie kryje w sobie tak wiele – odparł. – Dobrze, że wcześniej trochę praktykowałem.

– Więcej, niżby wypadało, wedle moich szacunków.

– Ach, ale cała reszta jest dla ciebie, księżno. – W jego zielonych oczach gościło owo spojrzenie sennego wilka. – Każdy sprośny pomysł… każdy diabelski plan… – Zniżył głos do szeptu. – Te rzeczy, które sobie wyobrażam… Prawdopodobnie niedozwolone.

Popatrzyła mu w oczy i chociaż nadal nie potrafiła w nich czytać, nie do końca, ujrzała coś, co rozgrzało ją i podnieciło.

– Zapewne już za późno na ucieczkę.

– Zdecydowanie za późno.

– Sama tak sobie pościeliłam. Teraz muszę…

– Tak. Pościel. Łóżko. Na tę noc to lepszy pomysł. Bibliotekę zachowamy na inną okazję.

Podał jej rękę. Przyjęła ją. Zamknął długie palce wokół jej własnych. Dłoń miał ciepłą, było to jednak coś więcej niż proste fizyczne ciepło. Otuliło jej serce.

I pomyślała, że wpadła po uszy.

A potem, gdy wyprowadzał ją z biblioteki, pomyślała, że cieszy się z tego.

Lepiej odczuwać w ten sposób, odczuwać tak mocno i mieć nadzieję.

Poszła za nim w górę po wspaniałych schodach, i jeszcze wyżej, na drugie piętro, gdzie mieściły się prywatne pokoje.

I wśród wszystkich burzliwych uczuć tym jednym, którego w sobie nie znajdowała, była najmniejsza choćby chęć ucieczki.

***

Ripley dał jej czas, żeby się przygotowała. Wykąpie się, a jej pokojówka dopieści szczegóły, dokładnie tak, jak trzeba.

Tego zbliżenia nie należało przyspieszać. Utrata dziewictwa Olympii, choć nasycona namiętnością i na tyle łagodna, na ile leżało to w zakresie jego możliwości, nie przebiegła tak, jak powinna. Dzisiejszej nocy zamierzał jej to wynagrodzić.

Sam również potrzebował nieco czasu.

Musiał napisać do niej list.

Rankiem już go tutaj nie będzie, na długo przed tym, nim ona się obudzi.

Zwykle gryzmolił swoje listy w pośpiechu, a cierpliwości wystarczało mu góra na jedną stronę. Tym razem nie zrobi wyjątku. Nie był poetą. Poza tym gdyby się rozpisał, na pewno stałby się nazbyt sentymentalny, a tego absolutnie nie chciał.

Nie, absolutnie nie chciał, żeby w ogóle zachodziła konieczność pisania tego listu. Zakrawałoby na szczególnie mało zabawną ironię losu, gdyby książę Ripley miał wreszcie znaleźć to, za czym tęsknił przez całe dorosłe życie, i nie pożyć dostatecznie długo, żeby się tym nacieszyć.

Jeśli tak się stanie, będzie mógł winić wyłącznie siebie.

Nie zachował się uczciwie ani wobec Olympii, ani wobec Ashmonta.

Wyjął otrzymane od Ashmonta wiadomości. Zostały sformułowane w sposób uprzejmy, jak nakazywała etykieta. Ashmont otrzymał i wysłał dostatecznie dużo takich listów, żeby nie nadwerężać sobie głowy przy ich pisaniu, przy czym nawet on nie zniżyłby się do grubiaństwa, a cóż dopiero obelg, w wyzwaniu na pojedynek.

Była to jedna z tych rzeczy, których dżentelmen, nawet jeden z Ich Łajdackich Mości, nie robi. Jak oszukiwanie w kartach… albo zagrabianie narzeczonej przyjaciela.

Ponieważ Blackwood mądrze odmówił sekundowania któremukolwiek z nich, Ripley zwerbował lorda Pershore'a, od którego kupił niejednego świetnego konia i którego dyskrecji mógł ufać. Odpowiedział na wyzwanie Ashmonta w równie uprzejmy sposób.

Sekundanci spotkali się i próbowali zapobiec pojedynkowi. Zgodnie z oczekiwaniami Ripleya, bez sukcesu. Nie istniał inny sposób na zmycie tego publicznego upokorzenia. Żadne przeprosiny, jakie Ripley mógłby uczciwie wygłosić, by nie wystarczyły.

Żałował, że skrzywdził przyjaciela. Żałował, że oszukiwał. Nie żałował, że odebrał Olympię Ashmontowi. Żałowałby, szczerze i nieodwracalnie, gdyby tego nie zrobił.

Jako że spotkanie ustalono na szóstą nazajutrz rano, Ripley zamówił powozik, który zabierze jego i Pershore'a na miejsce pojedynku. Skontaktował się ze swoim medykiem, który miał dołączyć do nich na miejscu. Wszystkie szczegóły zostały dopięte.

Teraz czekało go jedynie ułożenie listu, być może ostatniego, jaki kiedykolwiek napisze do swojej…

Żony.

Potrząsnął głową, żeby odegnać uczucia, które lada moment by go przytłoczyły.

Zanurzył pióro w kałamarzu.

Moja Najdroższa Dziewczyno, zaczął.

***

W wielkich domach Londynu pokoje na parterze i niższych piętrach były wspaniałe, urządzone na pokaz. Te na wyższych prezentowały się zwykle skromniej, jako że mało kto poza rodziną i służbą do nich zachodził.

Ripley House wyłamywał się z tej reguły. Zajmujące niemal całe skrzydło z widokiem na rozległy ogród, apartamenty księżnej okazały się równie przestronne i bogato urządzone jak pokoje reprezentacyjne. Choć nie urządzono ich w sposób nowoczesny – część mebli była wiekowa i cenna – wszystkie elementy wystroju znajdowały się w doskonałym stanie, czyste i z miłością pielęgnowane.

Olympia wykąpała się i przebrała w komfortowym otoczeniu. Jej pokojówka, naburmuszona Jenkins, która przybyła z nią z Gonerby House, wpadła w taki zachwyt, że niebezpiecznie mało brakowało, by się uśmiechnęła.

Naturalnie Jenkins założyła, jak postąpiłby każdy na jej miejscu, że ucieczka Olympii sprzed ołtarza uczyni z niej towarzyskiego wyrzutka. W takim wypadku osobista pokojówka musiałaby dokonać wyboru, czy pozostać lojalną wobec swej pani, czy zadbać o własną przyszłość i poszukać nowej pracodawczyni. Jeśli rodzinę dotykał skandal, rozciągał się także na służbę. Nawet najwierniejsi służący mogli uznać taką sytuację za nie do zniesienia.

Była to jeszcze jedna pozycja z długiej listy konsekwencji, których Olympia nie wzięła pod uwagę, kiedy uciekała ze swego pierwszego ślubu.

Niemniej gdyby nie uciekła, nie siedziałaby teraz przy toaletce w Ripley House, zastanawiając się, co też mąż szykuje dla niej na tę noc, a Jenkins nie robiłaby tyle radosnego zamieszania wokół jej włosów i precyzyjnego ułożenia koronkowego kołnierzyka peniuaru.

Niski męski głos rozproszył wszelkie myśli o włosach i sypialnianych strojach.

– Wystarczy, Jenkins – powiedział Ripley.

Jenkins, czerwona na twarzy, odłożyła szczotkę do włosów i w pośpiechu opuściła pokój.

Powód jej rumieńca stał się oczywisty, kiedy Olympia odwróciła się od toaletki w stronę drzwi. Ripley miał na sobie szlafrok i chyba nic ponadto. Poniżej odsłoniętej szyi wąskie rozcięcie szlafroka ujawniało złotą skórę, oprószoną elegancko ciemnymi włosami. Prześlizgnęła się spojrzeniem po szlafroku. Z haftowanej ciemnozielonej satyny na purpurowej podszewce, dorównywał wykwintnością temu domowi.

Jej mąż ewidentnie lubił życiowe przyjemności. Znalazłby wspólny język z paszami w imperium osmańskim. Jak sam wyznał, nie cenił wyrzeczeń.

Ten mężczyzna kochał luksus, uwielbiał sobie dogadzać i nie grał według reguł.

Zastanawiała się, jakie reguły planował złamać tego wieczoru.

Przeszył ją dreszcz, nie umiała jednak orzec – zdenerwowania czy niecierpliwości.

– Przyszedłem w ostatniej chwili – stwierdził. – Jenkins prawie ujarzmiła ci włosy, a ja lubię je w nieładzie. Takie jak wtedy, gdy rozbroiłem twój ślubny welon. To znaczy ten pierwszy.

– Och, Ripleyu.

Zaczęła się podnosić. Chciała paść mu w ramiona. Nie wiedziała, czemu tak rozpaczliwie pragnie to zrobić, ale tak właśnie było.

– Nie, zaczekaj chwilę – powstrzymał ją. – Chcę jeszcze trochę popsuć ci fryzurę… a potem zbezcześcić inne rejony.

Usiadła znowu i wbiła wzrok w lustro na toaletce. Nadal była Olympią, tą samą damą o bezbarwnym wyglądzie co kilka dni temu, kiedy spoglądała w lustrze na siebie całą w ślubnym przepychu. Wewnątrz jednak nie była taka sama. W ciągu kilku dni przeżyła całe życie. Życie z jednym mężczyzną, jak sobie uzmysłowiła. Długie godziny, w trakcie których najwyraźniej zakochała się bezpowrotnie.

Podszedł do niej i rozwiązał schludny warkocz zapleciony przez Jenkins. Potem wsunął długie palce w jej włosy, poluzowując sploty. Była świadoma jego dłoni w sposób zupełnie inny niż dłoni pokojówki. Była świadoma jego bliskości i ciepła mocnego ciała.

Pragnęła odwrócić się od toaletki i nakłonić go, żeby wziął ją w ramiona.

– Uzmysłowiłam sobie – odezwała się – że spędziliśmy razem więcej czasu niż przeważnie pary spędzają przed ślubem. Niewątpliwie więc znamy się lepiej niż większość nowożeńców.

– Znam cię na pewno lepiej, niż powinienem w naszą noc poślubną. Ale to moja wina, byłem zbyt niecierpliwy. Należało ci się przyzwoite wprowadzenie. Podaruję ci je z opóźnieniem.

– Nie jesteśmy przyzwoitymi ludźmi. Dlaczego nasza noc poślubna miałaby przypominać te innych par? I od kiedy przejmujesz się tym, co należy?

– Odkąd nastałaś. – Uklęknął obok niej.

Ujął jej lewą dłoń i przez chwilę przyglądał się ślubnej obrączce, która zdawała się jarzyć na jej palcu. Pocałował ją w rękę.

– Twoja noc poślubna powinna być wyjątkowa. Idealna.

– Ogromnie to miłe z twojej strony – zapewniła. – Pamiętaj jednak, że jeśli nie okaże się idealna, możesz podjąć kolejną próbę. I następną. Praktyka, rozumiesz.

Roześmiał się, ale wychwyciła w jego śmiechu dziwną nutę, tak że szybko podniosła wzrok, zaglądając mu w oczy. Nie ujawniały niczego. Zobaczyła jedynie sennego wilka.

Pochylił się znów nad jej dłonią, całując knykcie i opuszki palców. Odwróciwszy ją, pocałował wnętrze i nadgarstek. Sięgnął po drugą i potraktował ją podobnie. Tym razem, kiedy całował wewnętrzną stronę, Olympia przesunęła dłoń i zwinęła w pięść pod jego brodą. Uniosła mu twarz i popatrzyła na niego, ujrzała jednak tylko uczucie… i grzeszną obietnicę, tak.

Uśmiechnął się, odsunął jej rękę i pocałował ją w brodę, policzek, górną część kości policzkowej. Potem nakrył jej usta swoimi i delikatna pieszczota momentalnie nabrała głębi. Była delikatna i zarazem taka nie była. Przypominała letnią burzę, którą wspólnie przeżyli, lecz ta nie kojarzyła się aż tak bardzo z wojną. Tym razem chodziło o zawłaszczanie siebie nawzajem i połączenie dwóch dzikich dusz.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo dziki duch w niej drzemie, dopóki nie uciekła z Ripleyem i nie poczuła, jak budzi się do życia, choć wówczas nie rozumiała, co to za uczucie. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była zablokowana i stłamszona, dopóki nie oznajmił jej, że jest złą dziewczyną.

Nie uświadamiała sobie, jak bardzo dławiła samą siebie, choć teraz jasno widziała tego powody. Nie mogła zachowywać się tak, jak skłaniała się ku temu jej natura. Młode damy nie mogą prowadzić się równie źle jak młodzi dżentelmeni. Młodym damom nie wolno mieć burzliwej młodości. Gdyby taka im się przydarzyła, oznaczałoby to ruinę dla nich i wstyd dla ich rodzin. Młode damy muszą przestrzegać zasad.

Przy nim te zasady traciły moc.

Wolna, nareszcie, budziła się do życia, chłonąc jego pocałunek niczym uzdrawiający eliksir. Jej ciało się rozgrzewało, a to ciepło wlewało się także do jej serca, koiło je. Nazbyt czynny umysł uspokoił się i wyciszył.

Było to jak upojenie brandy, ale lepsze, o wiele lepsze.

Nie przerywając pocałunku, dźwignął ją z krzesła i przeniósł z garderoby do sypialni, gdzie postawił ją na podłodze przy łóżku.

– Chcę cię zobaczyć – rzekł. – Całą ciebie. I wielbić cię swym ciałem, jak to ślubowałem w kościele.

– Ja także chcę cię zobaczyć. Ilekroć pojawiałeś się na jakimś wydarzeniu towarzyskim, obserwowałam cię. Łatwo było to robić, nie zwracając niczyjej uwagi, ponieważ wszyscy obserwowali waszą trójkę, ciekawi kolejnego waszego oburzającego postępku. – Słowa wylewały się z niej, nieostrożne, domagały się jednak, by je wypowiedzieć. – Niemniej ja przez cały ten czas cię obserwowałam: jak się poruszałeś, jak tańczyłeś. Chciałam być tą szykowną damą w tańcu z tobą. Nie uzmysławiałam sobie nawet, że spoglądam na ciebie w ten sposób ani że myślę takie rzeczy, ani z czego to wynika. Albo jeśli wiedziałam, nie chciałam przyznać tego sama przed sobą.

– Ja także cię obserwowałem. I myślałem, jaka to cholerna szkoda, że jesteś szanującą się damą.

– Ale nią nie jestem.

– Teraz to wiem. Zajęło mi to zaledwie… ile? Sześć, siedem lat, odkąd zadebiutowałaś? Jak tępy może być mężczyzna?

– Na szczęście zostało mi jeszcze parę dobrych lat.

– To prawda.

Przeciągnął palcami po jej włosach, tak delikatnie, że zadrżała.

Pocałował ją w czoło i czubek nosa. Zdjął jej okulary i odłożył na stolik nocny.

– Nie będę mogła należycie ci się przyjrzeć – zaprotestowała.

– Zostanę blisko – obiecał.

Jej peniuar nie miał guzików ani haftek. Na miejscu trzymał go jedynie sznurek z pomponami. Ripley rozwiązał go i szlafroczek się otworzył. Pod spodem nosiła białą koszulę nocną z haftowanego muślinu. Sięgnął do jej twarzy, pieścił policzki i szyję. Przesunął dłonie na jej ramiona. Nachylił się i całował jej szyję, barki, zagłębienie nad obojczykami. Skóra wibrowała jej z rozkoszy, choć zarazem słodycz tej pieszczoty, jego dotyk, pocałunki wywoływały ból.

Rozwiązał tasiemkę przy dekolcie i zsunął jej koszulę nocną z ramion. Nocne powietrze pieściło jej skórę.

Przeciągnął palcami w dół, od jej szyi do biustu, spychając dekolt koszuli coraz niżej, aż w pełni obnażył jej piersi. Ale była złą dziewczyną i nie poczuła cienia wstydu czy nieśmiałości. Poza tym widział je już, w domku

rybackim. Chciała, żeby patrzył na nią tak samo jak wtedy, jakby była najpiękniejszym stworzeniem, jakie zdarzyło mu się oglądać.

Na jego twarzy zaszła zmiana i ujrzała ów zapamiętany przez siebie wyraz. Ale mignęło tam coś jeszcze, coś nieoczekiwanego. Ból?

Nachylił głowę i musnął ją ustami, wargi wędrowały po jej piersiach w najdelikatniejszej pieszczocie. Choć delikatna, rezonowała głęboko w jej wnętrzu, poruszając serce i sięgając niżej, o, tak, i teraz rozpoznawała to uczucie, to pragnienie.

Pragnęła go i pojęła, że czekała nań latami, bez nadziei, nie miała bowiem śmiałości zrozumieć samej siebie. Uformowała siebie taką, jaką być powinna, co przypominało niedopasowaną suknię. Nic dziwnego, że nieznośna kuzynka z niej pokpiwała.

Wziął jej sutek w usta i ssał, i zapomniała o przeszłości, kuzynce, krewnych, wszystkim. Kurczowo uchwyciła się jego ramion, doznania omywały ją i przepływały przez nią, aż poczuła się pijana, tak cudownie pijana.

Nauczyła się wierzyć, że żaden mężczyzna jej nie zapragnie, nie tak naprawdę, takiej, jaką była.

On jej pragnął.

Drażnił i ssał drugą pierś, po czym ruszył w dół, po drodze zsuwając z niej koszulę nocną, dręcząc skórę ustami i nazbyt biegłymi dłońmi. Polizał jej pępek, kręcąc wiry językiem, jej zaś wyrwał się cichy, dziki okrzyk.

Przemieścił się jeszcze niżej, a koszula nocna ześlizgnęła jej się z bioder, opadając na dywan.

Następnie przywarł ustami tam, do miejsca między jej nogami, i jej ciało się napięło. Przeszywały ją spazmy, żaru, rozkoszy, rosnącej potrzeby.

– Och – wydyszała. – Och, wielkie nieba. Och, Ripleyu.

Nie przestawał, a uczucia narastały, tak intensywne, że wręcz nie do zniesienia. Wsunęła dłonie w jego włosy, jej ciało pulsowało i pulsowało, poza jej kontrolą, aż wstrząsnęło nią dzikie doznanie i puściła go, osuwając się.

Ujął ją w talii, dźwignął i położył na łóżku.

Podczas gdy łapała oddech i usiłowała odzyskać zdolność myślenia, zrzucił z siebie szlafrok.

Wtedy ponownie zabrakło jej tchu. Przez chwilę po prostu leżała, wpatrzona w niego, z walącym sercem, haustami chwytając powietrze.

Później przesunęła się w górę, by podeprzeć się na poduszkach, i syciła się jego widokiem. Był jej mężem. Mogła patrzeć. A widok od przodu okazał się równie piękny jak od tyłu, tamtego dnia, kiedy stał nagi w miednicy.

Nie widziała za wiele jego ciała w domku rybackim. Zachowali wówczas na sobie większość ubrań. Teraz…

W blasku świec jego skóra połyskiwała brązowo, może po części za sprawą słońca Włoch, gdzie bawił do niedawna. Światło oprószało złotem włoski na jego torsie. Potężne barki, umięśnione ramiona, klatka piersiowa i brzuch – był równie piękny, zwarty i mocny jak greckie lub rzymskie posągi. Z pewną różnicą. Widywała klasyczne posągi, niekoniecznie z figowymi liśćmi. Widywała ilustracje w książkach. On…

– Wielkie nieba – powiedziała poruszonym głosem, w którym ledwie rozpoznała własny.

Opuścił wzrok tam, gdzie jego męski organ prężył się… cokolwiek onieśmielająco.

– Tak właśnie się dzieje – wyjaśnił – kiedy mężczyzna szaleje za swoją żoną. Ale nie martw się. To rzadko bywa śmiertelne, jak może wspomniałem parę dni temu.

Roześmiała się.

– Och, Ripleyu, mówisz tak szalenie romantyczne rzeczy.

– Chciałbym to potrafić. W moim przypadku lepiej jednak, gdy czyny przemówią głośniej.

Wspiął się na łóżko i ukląkł nad nią.

– Ale ty lubisz słowa – podjął. – Ofiaruję ci parę. Jesteś cudowna.

Łzy zapiekły ją w oczy.

– Byłaś cudowna pijana, kiedy uciekałaś. Byłaś cudowna, wydając rozkazy. Kiedy kazałaś, żebym pomógł ci przejść przez mur, komenderowałaś mną i dawałaś mi do wiwatu, gdy próbowałem nad tobą zapanować. Żałuję, że nie zacząłem cię ścigać lata temu. Ominęło mnie tyle zabawy.

– Nadrobimy to – powiedziała drżącym głosem. Potarła knykciem oko.

– Żadnych łkań.

– Nie płaczę. To tylko… Niosą tyle emocji. Stosunki małżeńskie.

– Kiedy robi się wszystko właściwie, tak.

– Kiedy robi się wszystko z tym właściwym. – Zdobyła się na uśmiech. – Lub z tym właściwym niewłaściwym. – Wyciągnęła ramiona. – Pocałuj mnie.

– Jak moja pani rozkaże.

Nachylił się, tak że oplotła go ramionami, i pocałował ją. Tym razem nie tak delikatnie. Czułość pozostała, ale gwałtowniejsza, bardziej mroczna. Jakby przeszli z wiosennej mgły w letnią burzę.

Tym razem ona także go dotykała, poznawała jego kształty, uczyła się ich, doświadczała go, tak jak ją nauczył. Wytyczała szlak z pocałunków na jego barkach i ramionach, sunęła dłońmi po ciele, jak daleko sięgnęła. Poczuła napór jego członka, chwyciła go za pośladki i usłyszała jego zduszony śmiech, gdy trącał miejsce między jej nogami, gdzie wcześniej ją całował i robił inne szalenie lubieżne, rozkoszne rzeczy, i gdzie w tej chwili boleśnie go pragnęła. Potem, nareszcie, wszedł w nią, wydając dźwięk na pograniczu jęku i śmiechu.

Tym razem jej ciało wpuściło go z łatwością. I wypełniło ją uczucie: doznanie połączenia i dopełnienia, i szczęścia z tego powodu. Chłonęła żar i zapach jego skóry, zmieszane wonie ich ciał i, ponad tym wszystkim, niezwykłe doznanie jego w sobie. Oplotła go nogami i wszedł głębiej, a wtedy krzyknęła: żadnych słów, jedynie dźwięki, wyraz zaskoczenia i rozkoszy.

Tym razem trwało to znacznie dłużej niż gorączkowe chwile w domku rybackim. Tym razem kochali się niespiesznie, ponieważ mieli do dyspozycji cały czas świata. Kochanie się to była dogłębna intymność, skóra przy skórze, żar i tyle radości. Poruszała się wraz z nim, posłuszna ustalonemu przezeń rytmowi – leniwemu z początku, stopniowo nabierającemu tempa, niczym szaleńczy walc, aż wir porwał ją w górę, do samego nieba. Tam była gwiazdą, błyszczącą jasno, wybuchającą szczęściem. Potem nadeszły mniejsze eksplozje i, wreszcie, dryfowała po nocnym niebie, opadała wolno w dół, aż bezpiecznie wylądowała w jego oczekujących ramionach.

Rozdział 17

Tyle nie wystarczyło.

Jedynie tyle Ripley miał.

Trzymał ją mocno, nie mógł bowiem wykluczyć, że to ich ostatnia noc.

– No, teraz poszło lepiej – odezwał się.

– Rozumiem – powiedziała jego księżna. – Stosunki małżeńskie nie sięgną ideału, dopóki dama nie zemdleje.

– Albo krzyczy. Najlepiej jedno i drugie.

Odwróciła się nieznacznie w jego ramionach, żeby nań spojrzeć.

– Nie dziw, że nie udało mi się nic znaleźć w książkach w Newland House. Ani że mamie zabrakło słów.

– Och, istnieją książki. Posiadam bogatą kolekcję sprośnych dzieł. Niektóre są całkiem wiekowe, choć żadna nie mogłaby się równać z Biblią Mazarina z połowy XV wieku wykonaną za pomocą czcionki ruchomej.

– Pierwszą wykonaną za pomocą czcionki ruchomej – poprawiła.

Roześmiał się.

– Jestem również dumnym właścicielem pokaźnej kolekcji niegrzecznych rysunków, w tym wspaniałego zestawu obscenicznych dzieł Thomasa Rowlandsona. Nawiasem mówiąc, gdzie w swoim systemie skatalogowałabyś niegrzeczne książki?

– Filozofia przyrody. Lub w jednej z kategorii literatury, to zależy.

Popatrzył na nią zwężonymi oczami.

– Coś mi się zdaje, że pod tym względem nie jesteś aż tak niewinna. Powinienem był się domyślić.

– Boccaccio. Owidiusz. Chaucer. Ale kiedy nic się nie wie, tego rodzaju dzieła niewiele znaczą. Teraz przestudiuję je z większą znajomością rzeczy.

– Gdybyś natknęła się kiedykolwiek na *Szkołę Wenus*, zyskałabyś lepsze pojęcie. Chyba z czasów króla Karola II. Opisuje w uczciwych szczegółach rzeczy, do których dochodzi między parami. Zawiera też ilustracje.

Oczy jej się zaokrągliły. W migotliwym blasku świecy nie potrafił określić ich aktualnego koloru.

– Naprawdę? Zdaje się, że rozglądałam się dokładnie za czymś takim, kiedy poszukiwałam informacji w bibliotece wuja. Tyle że nie bardzo wiedziałam, gdzie patrzeć.

– Jeśli ma takie książki, bez wątpienia trzyma je w ukryciu. Podobnie jak twój ojciec.

– Nie jestem pewna, czy papa zna zawartość swojej biblioteki. A skoro ona przechodzi do nas, już jej nie pozna. Mam nadzieję, że zastanowiłeś się, gdzie je umieścić.

W zamian za szczodre uzgodnienia finansowe, Olympia wnosiła do małżeństwa między innymi księgozbiór hrabiego Gonerby'ego. Był to jeden z warunków dodanych przez Ripleya.

– Możesz umieścić te książki, gdzie tylko zechcesz – rzekł. – Możemy powiększyć bibliotekę tutaj albo przewieźć je do domu w Lincolnshire. Lub dowolnego z pozostałych domów. Poprzestawiaj tomy wedle uznania. Znajdzie się też trochę bezwartościowych pozycji, które pewnie przeznaczysz do odstrzału. Będziesz miała co robić, choć przypuszczalnie nie mogę zaofiarować ci w tym zakresie aż tyle co Mends.

Podparła się na łokciu.

– Nie planowałam spędzać całego czasu jako pańska bibliotekarka, książę.

– Z ulgą to słyszę. Ponieważ mam pewne fantazje.

Pomyślał o wszystkim, co go ominęło wtedy, gdy nie miał żony. Ale nie, żadną miarą nie byłoby tak z jakąkolwiek żoną. To musiała być Olympia. I to musiało być teraz. Niewłaściwy czas, niewłaściwe okoliczności… Mniejsza z tym. Żadnego rozckliwiania się. Miał chwilę obecną.

– No cóż, skoro przyjdzie mi spędzać większość czasu w łóżku…

– Łóżko nie stanowi wymogu – wszedł jej w słowo.

– Jeśli mam spędzać większość czasu, angażując się w stosunki małżeńskie, dobrze wiedzieć, że posiadasz żywą wyobraźnię. Fantazję.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A jakże, kochana. Szokujące. Wyobrażam sobie ciebie jako moją gospodynię…

– Gospodynię?!

– Widzę cię, jak wydajesz najwspanialsze bale i najbardziej kuszące proszone kolacje w Londynie – wyjaśnił. – Wyobrażam sobie nasze

przejażdżki po parku, powozem lub konno. Odmalowuję sobie szykowne stroje, jakie będziesz nosić jako ikona mody.

– Jestem doprawdy zszokowana.

– Książę-kawaler to jedno. Żonaty książę ma jednak obowiązki towarzyskie. A ja, o czym świetnie wiesz, uwielbiam dostarczać innym rozrywki. Tyle że od tej pory moje wieczorne przyjęcia znajdą się na ustach wszystkich z zupełnie odmiennych powodów. Wyobraź sobie te opadające szczęki, kiedy wytworne towarzystwo przeczyta w „Porannym Zwierciadle", jak zabawialiśmy króla i królową.

– Widzę już tych dżentelmenów w klubach, jak spadają z foteli pod wpływem szoku. Szczerze mówiąc, sama spadłabym z łóżka, gdybyś nie zagradzał mi drogi.

Nachyliła się i przeczesała mu palcami włosy.

Jej dotyk, jej dotyk.

Jej głos.

Doznanie jej skóry i ciepłych krągłości, sposób, w jaki uśmiechała się i śmiała, i marszczyła brwi. Sposób, w jaki na niego patrzyła, jakby był dla niej całym światem. Dlaczego czekał tak długo? Dlaczego był tak głupi i ślepy?

– A czy w końcu zatańczymy? – spytała cicho.

– Zatańczymy.

Pomyślał o wszystkich obietnicach, które być może złamie, wbrew sobie, w zależności od tego, co przyniesie jutro.

– W rzeczy samej, zacznijmy od razu – dodał.

– Chodzi ci o to, że będziemy udawać, że tańczymy.

– Nie.

Usiadł i pocałował ją w czubek głowy. I w nos.

Potem zgramolił się z łóżka. Znalazł jej koszulę nocną i skinął na nią palcem.

– Frywolniej byłoby zatańczyć *au naturel* – powiedział. – Jednakże moje liche zdolności do wyrzeczeń nie podołałyby takiemu wyzwaniu.

Ześlizgnęła się z łóżka, a wtedy zarzucił jej koszulę nocną na głowę. Ze śmiechem przepchnęła ramiona przez rękawy i zawiązała tasiemki.

Założył szlafrok i ściągnął go paskiem.

– Stań przy kominku – polecił. – Udawaj, że rozmawiasz ze swym drogim Mendsem i bądź jak najbardziej pedantyczna.

– Potrzebuję okularów.

Porwała je z nocnego stolika, założyła i podeszła do kominka tak samo, jak szłaby przez salę w trakcie balu. Ta nęcąca sugestia zniecierpliwienia. Królowa Saby ani chybi chodziła w ten sposób. I Kleopatra.

Z bardzo poważną miną rozpoczęła rozmowę z jedną z ozdób na kominku – porcelanowym dżentelmenem w stroju z epoki dziadka Ripleya, który siedział za biurkiem, pisząc list.

– Sądzę, że jest pan w błędzie, milordzie. Na ile rozumiem, to *Monte Santo di Dio* Antonia da Sieny, z trzema rzadkimi rycinami Baldiniego na podstawie projektów Sandra Botticellego, uznaje się za najwcześniejszą książkę z miedziorytami.

Ripley przeciął pokój, zbliżając się do niej. Poczuł ukłucie bólu w prawej kostce, ale zabronił sobie utykać.

– Lady Olympio – odezwał się. – Przychodzę po mój taniec.

Popatrzyła na niego, na jej twarzy malował się nieznaczny grymas irytacji.

– Nie przypominam sobie, żeby pan o taki prosił, książę, ani żebym wyraziła zgodę.

– Nie prosiłem. Chcę z panią zatańczyć. A jestem księciem, przypominam.

Otaksowała go wzrokiem z góry na dół i z powrotem spod na pół opuszczonych powiek, a jemu natychmiast zrobiło się gorąco. To spojrzenie. Te oczy.

– Rzeczywiście – powiedziała. Westchnęła i odwróciła się do porcelanowego dżentelmena. – Proszę o wybaczenie, milordzie, lecz, jak pan widzi, to książę, a sam pan wie, jacy oni są.

Ripley ujął ją za rękę i poprowadził na środek pokoju. Pokłonił się. Dygnęła. Zaczął nucić walca ze *Sroki złodziejki* Rossiniego, porwał ją w ramiona i zatańczyli.

Chora kostka momentami protestowała, ale bez przekonania. Tylko nieznaczny ból.

Ignorował go i tańczyli z taką samą łatwością i naturalnością, z jaką się kochali. Z taką samą łatwością, z jaką razem uciekli.

Żałował, że nie tańczył z nią wcześniej.

Tyle straconych szans.

Ale tańczyli teraz, boso, wirując po jej sypialni do jego nucenia i zapamiętanych przezeń włoskich fraz, które wyśpiewywał od czasu do czasu – przypuszczalnie niewłaściwe frazy w niewłaściwych miejscach, lecz nie grało to roli. Przewędrowali w tańcu z jednego krańca przestronnego pokoju na drugi. Do garderoby i z powrotem, przy chichocie Olympii. Wpadli do buduaru i obtańczyli go wkoło, nim przenieśli się znów do jej sypialni. Nie chciał, żeby to się kończyło, ale noc była krótka, zbyt krótka, jak to latem, a jemu pozostało niewiele czasu.

Wreszcie zarządził koniec. Przespacerował się z nią wokół pokoju, jakby to była sala balowa, ale zamiast odprowadzić do dżentelmena na kominku, przywiódł ją do łóżka.

Pokłonił się.

Dygnęła.

Roześmiali się, zdyszani.

Ujął w dłonie jej twarz.

– Kocham cię do szaleństwa – powiedział.

– Kocham cię do szaleństwa – powiedziała.

Serce mu łomotało, bynajmniej nie wskutek walca. Obawiał się, że wyrwie mu się z piersi. Obawiał się, że się rozpłacze. Ale nie mógł sobie pofolgować. Nie mógł wzbudzić w niej podejrzeń, dlatego się nie rozklei. Musiał pokonać smoka, to wszystko. Żaden powód, żeby psuć jej tę noc, ich pierwszą noc jako małżeństwa.

– Dobrze – powiedział. – Skoro to już ustaliliśmy…

Prędko odwiązał pasek, zdjął szlafrok i odrzucił na bok. Ona rozwiązała tasiemki koszuli nocnej i ściągnęła ją przez głowę.

Podniósł ją i ulokował na łóżku.

Kochali się znowu, tak słodko i czule, jak tylko potrafił.

Tym razem po wszystkim zasnęli.

Jednakże wiedza o tym, co czeka go nazajutrz, nie opuściła Ripleya ani na moment. Tykała w nim miarowo niczym zegar i obudził się, gdy niebo zaczęło się rozjaśniać. Olympia nadal twardo spała i prawie się nie poruszyła, kiedy odsuwał się ostrożnie.

Nadal oddychała miarowo, kiedy wyślizgnął się z łóżka i znalazł swój szlafrok. Wyjął z kieszeni napisany przez siebie list i zostawił na stoliku nocnym. Bezszelestnie pokonał korytarzyk łączący ich apartamenty i wszedł do swoich pokoi.

Jego osobisty lokaj, Snow, jeden z garstki wtajemniczonych w temat porannego spotkania, przyniósł mu kawę i biskwit.

Ripley wypił kawę i zjadł biskwit, choć nie miał na nie ochoty. Niemniej robił to już wcześniej. Kawa i coś lekkiego na ząb są konieczne. Należy być rozbudzonym, czujnym i, przede wszystkim, nie dygotać z głodu lub zmęczenia.

Ubrał się na czarno. Mądry pojedynkowicz zawsze nosi ciemne kolory, żeby stać się trudniejszym celem, szczególnie w typowy, pochmurny londyński poranek.

O uzgodnionej porze opuścił dom w towarzystwie Snowa. Wyszli na ulicę South Audley, stamtąd podążyli dalej Stanhope i skręcili w Park Lane, gdzie czekał powozik. Pershore siedział w środku. Pozostawiwszy Snowa, który miał podążyć za nimi innym pojazdem, Ripley wspiął się do wnętrza.

Powozik ruszył w kierunku Putney Heath.

***

Olympia tańczyła w Almacku.

Na galerii orkiestra Weipperta grała walca ze *Sroki złodziejki* Rossiniego. Olympia, odziana w koszulę nocną, tańczyła z Ripleyem. On był ubrany jak turecki pasza, z sumiastym wąsem, w turbanie przyozdobionym klejnotami i piórami, szarawarach i butach z zawiniętymi czubkami. Jedynie oni dwoje tańczyli. Wszyscy inni obserwowali ich i ze śmiechem wytykali palcami. Nagle ktoś krzyknął:

– Zatrzymać ich! Zatrzymać ich! Uciekają!

Sceneria uległa zmianie, Olympia i Ripley biegli teraz przez Battersea Bridge, ścigani przez gigantycznego psa, z którego długich kłów skapywała piana. Wskoczyli do dorożki i zatrzasnęli drzwi. Pies rzucił się na nie, wściekle ujadając. W dorożce zastali Ashmonta, z pistoletem w dłoni. Na oczach Olympii, niezdolnej się odezwać ani poruszyć, Ashmont uniósł broń i wymierzył w serce Ripleya. Na zewnątrz pies drapał drzwi pazurami, wyjąc niczym demon. Ashmont pociągnął za spust.

Olympia obudziła się z sercem walącym tak, jakby rzeczywiście dopiero co uciekała przed demonami i znalazła się w pułapce z byłym narzeczonym o morderczych zamiarach.

Przez chwilę nie potrafiła otrząsnąć się z koszmaru i nie wiedziała, gdzie się znajduje. Później uzmysłowiła sobie, że w pokoju nie jest ciemno, lecz wypełnia go perłowy blask wczesnego poranka. Omiotła spojrzeniem kosztowne zasłony łóżka i przypomniała sobie.

Zamknęła oczy. Miniona noc. Ripley, tak namiętny i czuły. To było niczym sen, niczym fantazje z jej dziewczęcych lat. Dzięki niemu poczuła się jak księżniczka z bajki. Ofiarował jej idealną noc poślubną, tak jak obiecał. I…

…nie było go tutaj.

Usiadła, przeszył ją nagły chłód. Widziała, że go nie ma, lecz i tak wyciągnęła rękę, żeby dotknąć poduszki w miejscu, gdzie spoczywała wcześniej jego głowa. Poduszka była zimna.

Tak, naturalnie, małżonkowie mają osobne sypialnie. Dzielą łoże tylko wtedy, gdy uprawiają miłość. Oczywiście. Ale czy rozstają się w noc poślubną?

Był taki czuły.

Kocham cię do szaleństwa.

To jej się nie przyśniło.

Nie przyśniło jej się, że tańczyli boso ani że Ripley nucił walca, wirując z nią po jej pokojach. Nie przyśniło jej się, że się kochali. Ciało pobolewało ją w zupełnie nietypowych miejscach. Nie przyśniło jej się, że zasnęła w jego ramionach.

Wszystko to zdarzyło się naprawdę. Obecna sytuacja także. Jejku, ależ z niej idiotka! Niewykluczone, że Ripley po prostu wyszedł do toalety. A jeśli udał się do swoich pokoi, może jedynie nie chciał zakłócać jej wypoczynku… co wydawało się całkowicie normalne i rozsądne, a nawet świadczyło o trosce. Gdyby nie zły sen, nadal by spała.

Dzięki oddaleniu od ruchliwych ulic wokół, zapewnianemu przez rozległy ogród, główna część Ripley House była nasłoneczniona bardziej niż wiele innych londyńskich rezydencji. Chociaż o tej porze roku słońce wschodziło o czwartej, a przy tym tego ranka nie świeciło zbyt jasno, na podstawie kąta padania światła i panującej w domu ciszy Olympia wywnioskowała, że obudziła się wiele godzin wcześniej niż zwykle. Jej noc poślubna przeciągnęła się do długo po północy, to na pewno.

Jeśli Olympia nie chciała prezentować światu podkrążonych oczu, powinna na powrót zasnąć.

Pozostała w aktualnej pozycji, wyprostowana, wpatrzona w kominek, gdzie porcelanowy dżentelmen, udający poprzedniego wieczoru lorda Mendsa, siedział przy swoim biureczku.

Powiedziała sobie, że nie dzieje się nic złego.

Jednak działo się coś złego.

Przesunęła się na skraj łóżka i właśnie miała wstać, kiedy na stoliku nocnym spostrzegła złożoną kartkę grubego papieru.

Moja Najdroższa Dziewczyno

Kiedy będziesz to czytać, sprawy już się rozstrzygną, na dobre lub złe. Wpadniesz w furię, wiem, i nazwiesz mnie idiotą na sto różnych sposobów. Wierz mi, zachowałbym się inteligentniej, gdybym tylko potrafił. Ale ten mój mózg, sama wiesz. „Jak jego, mniej więcej… chociaż mniej trudno sobie wyobrazić”. Powiedziałaś to do mnie we wtorek. Pamiętasz? Ja pamiętam doskonale. Słyszę Cię, gdy to mówisz, z tymi Twoimi oczami o zmiennych kolorach zmętnionymi brandy, i szczerzę się w uśmiechu jak półgłówek.

Gdyby dało się uniknąć dzisiejszego porannego idiotyzmu, przysięgam, że bym to zrobił. Nie mogłem wszakże odmówić przyjacielowi satysfakcji, której żądał. Żałuję, że zawiodłem jego zaufanie. Żałuję doznanego przezeń upokorzenia. Za te rzeczy gotów byłbym przeprosić. Nie żałuję jednak tego, że zakochałem się w Tobie bezgranicznie. Całkiem możliwe, że stało się to lata temu, lecz byłem zbyt głupi, żeby to sobie uświadomić. Tak czy inaczej, teraz to wiem i nie zamierzam przepraszać, że mu Ciebie nie zwróciłem. Kiedy myślę, jak niewiele brakowało, żebym to zrobił, i wyobrażam sobie, że jesteś jego żoną zamiast moją… ale nie. Dość tych wizji. Jesteś moja, uniknąłem katastrofy dosłownie o włos.

Utrata przyjaźni z pewnością nie jest ceną zbyt wysoką, kiedy rad oddałbym za Ciebie życie. Zważ wszak, że nie jest to moim zamiarem! Jeśli jednak sprawy potoczą się w sposób dla mnie niekorzystny, pamiętaj zawsze, że nie żałuję niczego poza bólem, jaki wydarzenia dzisiejszego dnia mogą Ci sprawić. Musisz wierzyć, że nie oddałbym ani jednej minuty z

ostatnich czterech dni, za nic w świecie. Musisz wierzyć, że Cię kocham, serdecznie, z całego serca.

Uwierz mi, kochana Olympio, Moja Droga
Księżno,
Wielbiący Cię idiota,
Ripley

– Ty idioto! – wrzasnęła Olympia.

Zgramoliła się z łóżka i zadzwoniła po służbę. Kiedy nikt nie pojawił się od razu, przebiegła przez pokój, szarpnięciem otworzyła drzwi i krzyknęła do drzemiącego w korytarzu lokaja:

– Kiedy wyszedł?!

Lokaj, Joseph, poderwał się chwiejnie z krzesła, mrugając.

– Przepraszam, Wasza Książęca Wysokość?

– Książę. Kiedy wyszedł?

Joseph strzelił spojrzeniem w obie strony, jakby się spodziewał, że Ripley wyskoczy spod którejś z konsoli w korytarzu.

– Nie wiem, Wasza Książęca Wysokość.

– Dowiedz się – poleciła. – I niech ktoś obudzi moją pokojówkę i Wrensona. Natychmiast.

Wrenson był kamerdynerem. Do jego zadań należało wiedzieć wszystko o wszystkich w każdej minucie.

Joseph wpadł w panikę.

– Natychmiast – powtórzyła. – Jeśli ktokolwiek będzie wiedział, to właśnie Wrenson. A jeśli nie będzie wiedział albo uda, że nie wie, wydobądź informacje od odźwiernego. I powiedz mu, żeby wezwał dorożkę, kabriolet, ma czekać pod drzwiami za dziesięć minut. Nic mnie nie obchodzi, jeśli postawisz na nogi cały dom. Nie ma chwili do stracenia.

Użyła tonu, który, jak nauczyło ją doświadczenie, poskramiał mężczyzn bez względu na wiek i pozycję. Lokaj oddalił się biegiem.

Pospieszyła z powrotem do sypialni, a stamtąd do garderoby. Gwałtownie otwierała szuflady i na chybił trafił porywała z nich różne elementy stroju.

– Jenkins! – zawołała. – Gdzie jesteś, do diaska? Jak mam tu cokolwiek znaleźć? Jenkins! Na litość boską, szybciej!

Wyciągała z szuflad zawiniątka z sukniami i rzucała je kolejno na podłogę, kiedy pospiesznie nadeszła Jenkins, jeszcze zawiązując szlafrok, w przekrzywionym nocnym czepku na głowie.

Pokojówka zrobiła wielkie oczy na widok dokonanych przez panią zniszczeń.

– Potrzebuję czegoś, co da się szybko założyć – powiedziała Olympia. – Żadnych jasnych kolorów. – Jeśli ubierze się na jasno, zobaczą ją z daleka i jej nadejście może stać się przyczyną śmiertelnego rozproszenia uwagi. – Dziesięć minut, nie więcej… a i tak możliwe, że przybędę za późno.

– Wasza Książęca Wysokość?

– Potem ci wytłumaczę. Teraz nie ma czasu. – Olympia wyjrzała przez okno garderoby. – Jest szansa, że dotrzemy tam, nim będzie za późno. Latem nie zaczęliby przed szóstą. Która godzina, Jenkins?

– Dochodzi wpół do piątej, Wasza Książęca Wysokość.

– To dosyć czasu – orzekła Olympia. – Ale muszę być ubrana w dziesięć minut… i lepiej, żeby dorożka czekała już wtedy pod drzwiami.

– Wasza Książęca Wysokość wie przecież, że to niemożliwe…

– Zrób tak, żeby było możliwe, Jenkins. To sprawa życia i śmierci. Pójdę w halce, jeśli nie ubierzesz mnie dostatecznie szybko.

Wizja Jej Książęcej Wysokości księżnej Ripley występującej publicznie w halce zmotywowała Jenkins, by dokonała niemożliwego.

Zajęło to kwadrans, niemniej Olympia powiedziała w sumie dwadzieścia minut na dorożkę i ubiór. Jenkins zdołała błyskawicznie przyodziać tak swoją panią, jak i siebie, nalegała bowiem, by towarzyszyć Olympii, a ta zapowiedziała, że nie będzie na nią czekać.

Tak oto księżna Ripley i jej pokojówka opuściły dom w dobrym czasie – na tyle dobrym, na ile leżało to w granicach ludzkich możliwości – być może, wedle zapewnień odźwiernego, z nie większym niż półgodzinne opóźnieniem względem jej męża.

Sekundanci będą musieli wyznaczyć i odmierzyć teren, wyjaśniła pokojówce Olympia, kiedy dorożka toczyła się londyńskimi ulicami. Mogło to trochę potrwać, ponieważ każdy z nich zechce umieścić swoją stronę na jak najlepszej pozycji. Należało też uwzględnić ostatnią próbę pogodzenia przeciwników. Jakkolwiek spotkanie prawdopodobnie wyznaczono na szóstą – tradycyjna pora latem – istniała możliwość, że odbędzie się dopiero o siódmej. Tak czy inaczej, faktyczna walka rozpocznie się nie wcześniej

niż po dopełnieniu wszystkich formalności oraz sprawdzeniu i uzgodnieniu każdego szczegółu.

Olympia koncentrowała się na technicznych aspektach pojedynku, żeby nie myśleć o rzeczywistości pistoletów miotających zabójcze kule ku dwóm tępakom, którzy ponoć byli najlepszymi w świecie przyjaciółmi.

Szczęśliwie dla jej nerwów, dorożka posuwała się naprzód w dobrym tempie. Ponieważ Ripley House stał niedaleko Park Lane, podróżowali szerszymi ulicami Londynu. Do miasta ciągnęły na targ wozy, niemniej kabriolet Olympii dotarł do Hyde Park Corner bez przeszkód. Wkrótce toczył się już Fulham Road, zmierzając w stronę Putney Heath.

***

W drodze na miejsce spotkania Pershore zaproponował Ripleyowi wodę sodową zaprawioną niewielką ilością brandy.

Ripley przyjął butelkę ze śmiechem.

– Ach, dla dodania animuszu.

– Może tobie tego nie potrzeba – stwierdził Pershore. – Mnie i owszem.

– Potrzebny czy nie, to przyjemny środek na pobudzenie o tak wczesnej porze. – Ripley się napił. – Z chęcią pospałbym jeszcze godzinę lub dwie.

Z żoną w ramionach… Ale przynajmniej miał swój ślub i noc poślubną. I cóż to była za noc!

– Pojedynek w dzień po ślubie – skomentował Pershore. – Ashmontowi brak wyczucia.

– Uważa, że to mnie brak wyczucia, bo poślubiłem jego narzeczoną.

– Gdyby trochę poczekał, zdążyłby ochłonąć.

– A potem? – zapytał Ripley. – Znalazł się na językach całego Londynu, co nie jest niczym nowym, lecz tym razem ucierpiała ta najwrażliwsza część każdego mężczyzny, jego duma. Potrzebuje tego spotkania… i wyznam, że ja także. Nie da się załatwić tej sprawy inaczej.

Musieli walczyć. W przeciwnym razie zawsze już byłaby między nimi zła krew. Zaradzą temu jedynie wówczas, gdy jeden z nich lub obaj wpakują kulkę w tego drugiego.

Barbarzyństwo, orzekłaby Olympia. Ale mężczyźni są barbarzyńcami.

Gdyby sekundanci znaleźli sposób, żeby ich pogodzić, Ripley przyjąłby to ze zdumieniem, choć i z zadowoleniem. Tak jak przypuszczał, zadanie

okazało się niewykonalne. Ponieważ nie udało im się zawrzeć pokoju, musiał skoncentrować się na walce i zwycięstwie.

Nie wolno mu podejść do sprawy bez przekonania. Ashmont tak nie zrobi.

Ripley nie mógł rozmyślać nad wszystkim, co razem przeszli, on, Ashmont i Blackwood, ani nad tym, jak ratowali sobie nawzajem skórę przy różnych okazjach, zwłaszcza jednak wtedy, gdy byli trzema głęboko nieszczęśliwymi chłopcami podczas tych pierwszych ponurych dni w Eton. Jakby pojedynkował się z własnym bratem. Ale nie powinien myśleć w ten sposób.

Chodziło o sprawę honorową.

Honor domagał się od niego, by dołożył starań, żeby zabić przyjaciela, i od jego przyjaciela, by dołożył starań, żeby zabić Ripleya.

Do Putney Heath dotarli ze sporym zapasem czasu. Poszukali osłoniętego miejsca, gdzie powozik mógłby czekać, żeby szybko zabrać rannego lub martwego. Byłoby niewskazane, gdyby przyciągnął uwagę policjantów, którzy wypatrywali konkretnie tego rodzaju nielegalnych potyczek o poranku.

Wyjąwszy skrzynkę z pistoletami, Pershore i Ripley pokonali niewielką odległość do uzgodnionego miejsca.

Przybyli jako pierwsi, na co Ripley liczył.

Ze spokojem przechadzał się po terenie pojedynku, niczym gość, który zjawił się na przyjęciu przed innymi. Kostka nadal trochę mu dokuczała, ale nie zamierzał kuśtykać ani wspierać się na lasce.

Chirurg i lokaj Ripleya, którzy nadciągnęli niedługo potem, nie zakłócali jego samotności ani nie wchodzili w paradę Pershore’owi. Ten ostatni wypatrywał akurat przeszkód na linii wzroku, kiedy z jednej ze ścieżek wyłonili się Ashmont i jego sekundant, Morris, a za nimi chirurg i służący.

***

Dorożka Olympii zatrzymała się przy rogatce przed Putney Bridge, gdzie uiszczenie opłaty i otwarcie bramki zdawały się trwać wieki. Z turkotem potoczyli się po zwichrowanym starym moście i dalej główną ulicą, mijając Białego Lwa.

W jej głowie pojawiły się obrazy: ona wpadająca do wody… Ripley niosący ją do gospody wśród pohukiwań i wiwatów gapiów… krawcowa i jej pomocnice, i ich sprośny gorset… Ripley stojący nago w miednicy… scena z Bullardem na dziedzińcu…

Tak wiele w ciągu jednego, niezapomnianego dnia, przy czym czas spędzony w Putney stanowił zaledwie jego fragment.

To nie może się skończyć tak szybko.

Wykluczone, żeby odnaleźli się nawzajem jedynie po to, by zaraz się utracić.

Wykluczone, żeby padł martwy na błotniste pole w letni poranek, nazajutrz po ich ślubie.

– Zabiję cię – wymamrotała. – Nie możesz mi tego zrobić, Ripleyu.

– Wasza Książęca Wysokość?

– Która godzina? – zapytała Olympia.

***

Ostatnia próba pogodzenia stron zawiodła, jak należało tego oczekiwać.

Ripley z kamienną twarzą przeszedł na swoją pozycję i popatrzył twardo na Ashmonta, który wydawał się równie spokojny i opanowany.

Pershore podał Ripleyowi pistolet.

Pistolety pojedynkowe Ripleya były utrzymywane w nieskazitelnym stanie. W lufach nie znalazłoby się choćby drobinki rdzy. Zamki i przyspieszniki były sprawne. Ripley dokładnie znał zasięg swoich pistoletów. Mimo to sprawdził je dziś z samego rana, zanim opuścił dom, a następnie wraz z Pershore’em zrobili to ponownie przy ładowaniu. Zostały załadowane prawidłowo. Nie obawiał się niewypałów i tym podobnych wypadków.

On, Blackwood i Ashmont wprawiali się od chłopięcych lat, ale nie po prostu w strzelaniu do celu. Dzięki skomplikowanemu manekinowi, którym manewrowało się za pomocą drutów i który wypalał z pistoletu – bez kul, oczywiście – natychmiast po ich strzale, nauczyli się zachowywać spokój pod ostrzałem. Nabycie tej umiejętności wymusił na nich rygorystyczny ojciec Blackwooda. Chociaż poprzedni książę Blackwood żywił wstręt do pojedynków, rozumiał, że czasami nie da się ich uniknąć. A skoro tak, mężczyzna powinien umieć skutecznie sobie z nimi radzić.

Ponieważ Ripley sekundował Ashmontowi w aż nazbyt wielu sprawach honorowych, znał jego metody równie dobrze jak własne. Nie poważyłby się go nie doceniać, pijanego czy trzeźwego. Dzisiaj wydawał się trzeźwy. Nawet Ashmont nie byłby takim głupcem, żeby noc przed pojedynkiem spędzić na piciu.

Ripley ustawił się bokiem, dokładnie w linii z przeciwnikiem, z pistoletem w prawej dłoni, skierowanym wylotem lufy w ziemię. Przestąpił z nogi na nogę, żeby zyskać solidne oparcie. Stanął sztywno wyprostowany i uniósł prawe ramię, utkwiwszy wzrok nie w Ashmoncie, ale w guziku jego surduta. Wiedział, że Ashmont robi to samo: obiera sobie mały cel i koncentruje się na nim.

Znali się nawzajem nazbyt dobrze. Robili to nazbyt wiele razy, choć w tej chwili po raz pierwszy mierzyli do siebie nawzajem.

Szanse na to, że się pozabijają, rysowały się wyśmienicie.

Przepraszam, Olympio.

Ale to była jedyna chwila, kiedy Ripley dopuścił do siebie sentymenty. Na terenie pojedynku nie było miejsca na emocje.

Sekundanci wycofali się na bezpieczną odległość za stronami.

Chirurdzy zajęli pozycje kilka kroków za nimi.

Służący przeszli za chirurgów.

Ripley odciągnął kurek i uniósł pistolet.

Wszystkie jego myśli, całe jestestwo, koncentrowały się na trafieniu Ashmonta. Wiedział, że Ashmont robi to samo, odcinając wszelkie myśli, żale, wspomnienia.

– Gotowi, panowie?

– Gotowi – odparli jednocześnie Ripley i Ashmont.

***

Kiedy Olympia spostrzegła powozik, niemal ukryty między drzewami, poleciła dorożkarzowi stanąć i nim jeszcze pojazd się zatrzymał, pchała w dół wiekowe okno i sięgała do klamki u drzwi.

Zeskoczyła na drogę i pobiegła do powoziku, a Jenkins za nią.

– Gdzie? – rzuciła do forysia. – Gdzie oni są?

– Nie wim – odparł.

– Wiesz. Są…

Urwała, słysząc głosy.

– Paniusia to się tam nie pakuje tak z pędu – przestrzegł foryś. – Nie wiadomo, w co paniusia wlizie. Trochu już tu pobawili.

Miał rację. Nie wiedziała, co zaszło do tej pory, a ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, to spowodować zamieszanie, w wyniku którego ktoś zostanie przez przepadek zabity.

W odróżnieniu od bycia zabitym z rozmysłem, niech ich piekło pochłonie!

Ale, och, cóż by dała, żeby nadal mitrężyli przy wyznaczaniu odległości.

Jak najciszej szła ścieżką, którą bez wątpienia pokonali wcześniej mężczyźni… i zatrzymała się gwałtownie, zszokowana, gdy otworzył się przed nią widok na polankę.

Znajdowali się już na pozycjach, unosili pistolety.

Przypominało to niedawny koszmar senny, w którym, zmrożona, nie była w stanie się poruszyć ani przemówić. Teraz nie śmiała tego zrobić. Mogła jedynie trwać w całkowitym bezruchu, w nadziei na to, że Ripley nie dostrzegł jej kątem oka. Było za późno, żeby go powstrzymać. Nie wolno jej rozproszyć jego uwagi, przez co chybiłby celu.

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w jednej krótkiej chwili, która zdawała się wiecznością, kiedy Olympia bezsilnie wpatrywała się w ów żywy obraz: ręka Ripleya z pistoletem wymierzonym w jego przyjaciela. Pistolet Ashmonta wymierzony w Ripleya. Obaj mężczyźni stali tak sztywno. Z jej miejsca wyglądali jak wykuci w kamieniu.

Ktoś zawołał: „Gotowi, panowie?”.

Obaj mężczyźni jednocześnie odpowiedzieli: „Gotowi”, a Olympia zakryła sobie usta, powstrzymując wzbierający w niej krzyk: „Nieeeee!”.

Widziała opadającą chusteczkę. Jakże wolno spadała, unosząc się w powietrzu, z trzepotem zmierzając w dół, w dół, w dół. Ciszę poranka rozdarły dwa wybuchy, jeden tuż po drugim.

W tej samej niekończącej się chwili zobaczyła, że ramię Ripleya wędruje w górę, a jego pistolet wypala w powietrze. Ptaki z wrzaskiem zerwały się z drzew, podczas gdy Olympia patrzyła bezradnie, jak Ripley okręca się i upada na ziemię.

Rozdział 18

Olympia pozostała nieruchomo, niezdolna uwierzyć w to, co mówiły jej oczy.

Wokół zapanowała cisza, jeśli nie liczyć drących się nadal ptaków.

W otępieniu przyglądała się, jak Ashmont oddaje swój pistolet stojącemu w pobliżu mężczyźnie i biegnie do Ripleya. Inny mężczyzna także doń zmierzał, lecz Ashmont go odepchnął.

Ruszyła wtedy, na sztywnych nogach.

Widziała, jak Ashmont klęka na ziemi i unosi głowę Ripleya. Coś ciemnego pociekło jej mężowi po twarzy i na szyję.

Widziała, jak ciałem Ripleya wstrząsają konwulsje. Ashmont także dygotał, pochylony nad przyjacielem.

Otępienie minęło i pobiegła przez polanę.

Rzuciła się na Ashmonta, popychając go tak mocno, że się przewrócił.

– Wynoś się! – krzyknęła. – Zostaw go w spokoju!

Uklękła obok męża, którego ciałem, leżącym na boku, targały spazmy. Krew. Tyle krwi. Zrobiło jej się niedobrze.

Uświadamiała sobie obecność innego mężczyzny, otwierającego czarną torbę, ale on po prostu tam był, podobnie jak oburzone ptaki. Hałas. Tło.

Zarejestrowała kolejny dźwięk, zupełnie niepasujący do sytuacji.

Trwało chwilę, nim go zidentyfikowała.

Śmiech. Potężne salwy śmiechu. Spojrzała na zalaną krwią głowę swego męża. Zwijał się ze śmiechu.

Popatrzyła na Ashmonta, który tymczasem przetoczył się na kolana. Trzymał się za brzuch i także się śmiał.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła. – Nienawidzę was obu!

Zacisnęła pięści i uderzyła Ripleya w ramię.

– Ty idioto! Co jest z tobą nie tak?

Uderzała go raz za razem, niezdolna przestać. Płakała i nienawidziła tego, ale nie umiała powstrzymać łez.

W końcu Ripley chwycił ją za rękę.

– Wszystko w porządku – wykrztusił na bezdechu.

– Wcale nie. Nic nie jest w porządku. Spójrz na siebie. Co jest z tobą nie tak?

Ripley uśmiechał się szeroko. Strużki krwi spływały mu po twarzy.

– Ripleyu!

– P-przepraszam, kochana. – Parsknął. Ashmont również.

– Jakże ja was obu nienawidzę – powiedziała Olympia.

– Gdyby Wasza Książęca Wysokość była tak łaskawa i pozwoliła mi zbadać Jego Książęcą Wysokość – odezwał się mężczyzna z czarną torbą.

Odsunęła się na bok. Podciągnęła kolana i oplotła je rękami. Wsparła czoło o ramiona i usiłowała odzyskać oddech. Serce nadal waliło jej szaleńczo.

– Do diabła, Olympio – powiedział Ripley. – Powinnaś jeszcze spać.

Podniosła wzrok.

– Nie odzywaj się do mnie.

Usiadł, krzywiąc się przy tym. Dotknął głowy.

– Trochę piecze.

Cofnął dłoń. Lepiła się od krwi. Krew sączyła mu się z okolic skroni i zalewała pół twarzy.

Olympia na powrót ukryła głowę w ramionach.

– Załatamy to w mgnieniu oka, Wasza Książęca Wysokość – zapewnił mężczyzna z czarną torbą. – To tylko draśnięcie. Natomiast Jej Książęca Wysokość, jak mniemam, wymaga soli trzeźwiących.

– Nie – powiedziała Olympia. – Nigdy nie mdleję. – Ile to już razy widziała, jak krwawią jej młodsi bracia? Nieustannie wypadali z okien, spadali z drzew, wpadali do jezior albo na skały. Albo wdawali się w bójki. Jednak tym razem było inaczej. – Wygląda na to, że nie umarł.

– Najwyraźniej nie – przyznał Ripley. – Nie czuję się martwy.

Odwróciła głowę. Była jednocześnie wściekła i przerażona. Ripley się śmiał, ale to dla niego typowe. Chirurg sugerował, że chodzi o drobnostkę, lecz cóż innego miałby mówić. Mężczyźni traktują lekko większość potwornych spraw, a dramatyzują z powodu błahostek.

Ale było tyle krwi. Pamiętała zachowanie Ripleya przy okazji zwichniętej kostki. Mężczyźni uważają, że odnoszenie ran im nie przystoi. Udają, że coś takiego się nie dzieje. Udawaliby, nawet znalazłszy się o krok od śmierci.

Odsunęła się. Nie musiała wisieć nad tym bałwanem, którego wzięła sobie za męża, kiedy zajmował się nim lekarz. Ripley nie znajdował się o krok od śmierci. Po prostu sytuacja wyczerpała ją nerwowo. Ręce jej drżały. Nakazała sobie spokój.

– Tak, lepiej niech zajmie się tym chirurg – powiedział Ashmont. – Nie chcemy, żeby drań wykrwawił się na śmierć z powodu trywialnej dziury w głowie.

– Trywialnej? – powtórzył Ripley. – Do cholery, prawie mnie zabiłeś. Coś ty sobie myślał, u czorta?

– Strzeliłeś w powietrze! – obruszył się Ashmont. – Miałeś strzelić do mnie, ty oszuście.

– Oszuście? Myślałeś, że co niby zrobię? Prawie mnie zabiłeś, półgłówku.

– Co jest z tobą nie tak? Nawet nie próbowałeś mnie zabić.

– Sądziłeś, że spróbuję?

– Dlaczego nie?

Podczas gdy ta wymiana zdań toczyła się dalej, chirurg ze spokojem kontynuował swoją pracę. Raz w życiu Olympia nie miała chęci patrzeć. Tak czy owak, orientowała się, co należy zrobić. Sama oczyściłaby ranę i ucisnęła ją, żeby zatamować krwawienie. Jeśli istotnie chodziło o drobnostkę, jak twierdził lekarz, powinno ustać w miarę szybko. Jak szybko, tego nie wiedziała.

Niemniej żaden z mężczyzn nie sprawiał wrażenia choć trochę zaniepokojonego. Wyczułaby napięcie, nawet gdyby niczego nie okazywali. Wyczuwała… ulgę?

Mężczyźni.

– Dziura w głowie – wymamrotała. – Mamy pewność, że nie było jej tam wcześniej?

Chirurg uśmiechnął się do niej nieznacznie.

– Kula minimalnie drasnęła ucho i skórę głowy Jego Książęcej Wysokości. Wygląda to na znacznie poważniejsze, niż jest w istocie, ponieważ rany głowy obficie krwawią – wyjaśnił, zakładając Ripleyowi bandaż. – Rana nie jest śmiertelna, miło mi poinformować. Bardzo ładna. Bardzo czysta.

– Będzie żył? – upewniła się.

– Jeśli mi pozwolisz – rzekł Ripley.

– Ty! – rzuciła. – Nie rozmawiam z tobą. – Spiorunowała wzrokiem Ashmonta. – Ani z tobą.

– Ze mną? – obruszył się Ashmont. – Miał do mnie strzelić. Nie strzelił nawet w moim kierunku.

– Nie mogłem zastrzelić przyjaciela – powiedział Ripley. – Wmawiałem sobie, że mogę, ale nie mogłem.

– Liczyłem na to, że strzelisz! Chybiłbym o włos. Ale uniosłeś to przeklęte ramię i zepsułeś mi cel, niech cię diabli.

– Skąd miałem wiedzieć?

– A czegoś się spodziewał?

Olympia z niedowierzaniem przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego.

– Nie mówcie mi, że to wszystko było na pokaz.

– Honor – odparł Ripley.

– Honor – zawtórował mu Ashmont.

– Jego – wyjaśnił Ripley. – Mój. – Przez chwilę lustrował twarz Ashmonta, a później spojrzał na Olympię. – Twój także, księżno.

– Zwłaszcza twój – uzupełnił Ashmont.

Zagapiła się na niego.

– Mój! Jakbym chciała, żeby w moim imieniu popełniano taką głupotę.

– Do diabła, Olympio – powiedział Ashmont. – Nie mogłem dać ci odejść bez walki.

– Poważnej walki – dodał Ripley. – Trzaśnięcie w twarz nie wystarczyło.

– Wyglądałoby lepiej, gdybyś faktycznie do mnie strzelił – stwierdził Ashmont.

– Zapewne.

– Wyglądałoby lepiej! – Olympia nie wierzyła własnym uszom. A powinna. Miała sześciu braci.

I dokładnie tak, jak zrobiliby to jej bracia, dwaj mężczyźni popatrzyli na nią wielce zdziwieni.

Chirurg cicho spakował torbę i się oddalił.

– Nie rozumiesz? – odezwał się Ripley. – Gdyby Ashmont nie walczył z twojego powodu, wyglądałoby to tak, jakby uważał, że nie byłaś tego warta.

– A przecież jesteś – powiedział Ashmont. – Musiałem walczyć.

– Niebiosa, dajcie mi siłę! – Olympia wyrzuciła w górę ręce i odeszła.

***

Ripley i Ashmont odprowadzali ją wzrokiem. W jej chodzie wyczuwało się więcej niż sugestię zniecierpliwienia.

– Trudno oczekiwać, żeby kobiety to rozumiały – stwierdził Ashmont. – Ale ty rozumiesz.

– Tak. Zajęło mi chwilę. Ciut skomplikowane.

– No raczej.

– Pomóż nam obu wstać, co?

Ashmont pomógł mu dźwignąć się z ziemi.

– Zasadniczo chciałem cię zabić – powiedział. – Albo co najmniej poważnie zranić. Tak w każdym razie myślałem.

– Wiem. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Dlaczego. Ripley poprosił o wytłumaczenie, a tego się nie robiło.

Ashmont ściągnął brwi i upłynęła długa chwila, zanim ponownie się uśmiechnął, tym razem nieco krzywo, wzruszając ramionami.

– Ten list, który napisała. Był… miły. – Skierował spojrzenie niebieskich oczu na Olympię, z furią zmierzającą ku ścieżce. – Lepiej za nią idź. Niezręcznie, gdyby uciekła. Znowu.

Zaśmiał się i odszedł, żeby dołączyć do mężczyzn, którzy z nim przybyli.

Ripley podążył za żoną.

***

Odnalazł swoją żonę czekającą przy powoziku. Z zaplecionymi ramionami przyglądała się, jak Ripley się zbliża. Pilnował się, żeby nie utykać. Bolała go głowa i rana piekła, ale nie zamierzał tego przyznawać.

– Zapewne będę musiała zmienić bandaże – powiedziała. – I przyłożyć lód.

– Wykluczone – odparł. – Snow to zrobi. Chcesz zranić jego uczucia?

Popatrzyła na lokaja.

– Wrócisz do Ripley House z Jenkins. Książę i ja pojedziemy powozikiem.

Snow zaczął wypełniać jej polecenie – mężczyźni najwyraźniej nie potrafili się przed tym powstrzymać – ale się opamiętał i spojrzał na Ripleya.

– Jak każe Jej Książęca Wysokość – rzekł Ripley. – Na pewno planuje natrzeć mi uszu. Idź, idź. Nie pierwszy raz pojedziesz dorożką, a Jenkins cię nie ugryzie. W każdym razie nie mocno. Niewielkie ryzyko zakażenia.

Snow odszedł.

Pershore już wcześniej miał dość rozsądku, żeby się ulotnić.

Na jego miejscu, widząc szturmującą Olympię, Ripley także by czmychnął.

Pomógł jej wsiąść do powoziku i wspiął się w ślad za nią.

Cisza i zdecydowanie mroźna atmosfera królowały, dopóki nie zbliżyli się do zajazdu Zielony Człowiek, na szczycie Putney Hill.

– Możemy urządzić tu przystanek, jeśli chcesz – odezwała się. – Wiem, że to tradycja po pojedynku.

Aha. Odwilż postępowała.

– Nie dzisiaj – odparł. – Łyknąłem już coś na wzmocnienie. Brandy z wodą sodową. To także tradycja.

– Szkoda, że nie wiedziałam. Takiej mikstury mogłam się napić przed ślubem. Tym pierwszym. Brandy mi pasuje. Herbata mi pasuje. W połączeniu jednak bynajmniej nie są pyszne. Cieszę się, że potrzebowałeś wzmocnienia. To sugeruje pewne minimum rozsądku.

– Nie byłem nierozsądny. Ale nie bałem się Ashmonta. Wiedziałem, iż istnieje ryzyko, że mnie trafi. Mimo to są małe szanse, no wiesz, że rana będzie śmiertelna. Jeden do czternastu. Zaledwie jeden do sześciu, że odniesie się ranę.

Popatrzyła na niego znad okularów.

– Zaledwie.

– To ty tu jesteś praktyczna i rozsądna – stwierdził. – Podejdźmy do zagadnienia w sposób praktyczny i rozsądny. Podzielmy ciało pojedynkowicza na dziewięć segmentów. Jeśli mężczyzna odpowiednio się ustawi, kula go nie zabije, o ile nie trafi w jeden z trzech takich segmentów.

– Odpowiednio się ustawi. Na przykład w sąsiedniej wiosce?

– Rzecz w tym, że nie stajesz do przeciwnika przodem. To niedorzeczne. Jeśli jednak stoisz w takiej pozycji jak my, szanse na to, że nie oberwiesz, wynoszą pięć do jednego, a trzy do jednego, że takie trafienie cię nie załatwi.

– Jak widzę, te szanse nie są zerowe.

– Kochana dziewczyno, jak oceniasz szanse na to, że mogłaś zginąć, gnając do Putney w kabriolecie? Tym tak zwanym woźnicom roi się, że są dżokejami na torze Goodwood. Te dorożki stanowią śmiertelne pułapki. Wiesz równie dobrze jak ja, że ich pasażerowie co rusz kończą wyrzuceni na ulicę. To ja powinienem wściekać się na ciebie, że tak ryzykowałaś, nie robię tego jednak, gdyż jestem człowiekiem wielkodusznym, no i wiem, że postąpiłaś tak z troski o mnie. Do czego by nie doszło, gdybyś spała tak, jak powinnaś. Czy nie dość cię wymęczyłem ostatniej nocy?

Oczy jej się zaokrągliły.

– Czy to dlatego… zrobiłeś to wszystko? Żeby mnie zmęczyć?

– Niech to szlag, uważasz mnie za do tego stopnia wyrachowanego? Pragnąłem wyłącznie ciebie, chciałem jak najlepiej wykorzystać naszą noc poślubną, zagwarantować, że nigdy jej nie zapomnisz. Zdecydowanie planowałem nie zostać zabity. Wypada jednak brać poprawkę na taką ewentualność, nawet jeśli ryzyko jest minimalne.

Przez chwilę przyglądała się jego zabandażowanej głowie.

– Przypuszczam, że skoro już musimy podchodzić do tematu w sposób logiczny, dowodzisz tych szans. Centymetr czy dwa sprawiłyby ogromną różnicę.

– Wolałbym, żeby kula minęła mi ucho o centymetr. To było o włos za blisko.

– Dosłownie.

– Tak czy owak, trzeba oddać Ashmontowi sprawiedliwość. Wymierzył najdokładniej, jak można. Wszyscy strzelamy zadziwiająco dobrze. Ojciec Blackwooda tego dopilnował. Kazał mu ćwiczyć w nieskończoność. Naturalnie nie dopuścilibyśmy, żeby stał się lepszy od nas, więc także ćwiczyliśmy i ćwiczyli. Niemniej bez względu na to, jak jesteś dobry, nie przewidzisz, co zrobi ten drugi. Nie wiesz, co myśli, nawet jeśli znasz go całe wieki i jest dla ciebie jak brat. Zepsułem przebiegły plan Ashmonta. Głupio zrobiłem. Nie zamierzałem. Planowałem strzelić, jak należy. Ale sama widzisz.

Koniec końców, postąpił niewłaściwie wobec przyjaciela, który był dla niego jak brat, i jedyne honorowe rozwiązanie stanowił strzał w powietrze. Ripley nie powiedziałby nawet, że przemyślał to posunięcie. Decyzja zapadła pod wpływem chwili. Celował w Ashmonta, a potem już nie.

– Och, Ripleyu – powiedziała.

Atmosfera się ociepliła, bez wątpienia.

– Chodź tutaj – rzekł. Nie czekał, aż posłucha, tylko pociągnął ją w ramiona i posadził sobie na kolana. – Tak lepiej.

Wsparła głowę na jego ramieniu.

– To była najgorsza, najkoszmarniejsza minuta czy dwie, czy ile to trwało, w całym moim życiu.

– Przepraszam.

– Ale myślałeś, że będę spała, i zakładałeś, że wrócisz do domu żywy, zanim się obudzę i przeczytam twój list. Nie zamierzałeś doprowadzić do tego, by najgorsza chwila w moim życiu nastąpiła nazajutrz po ślubie. Moim prawdziwym ślubie.

– Piekielnie niesportowo z twojej strony, że obudziłaś się tak wcześnie.

– Miałam zły sen. – Opowiedziała mu.

– Ja w turbanie? Ależ pomysł.

Odchyliła się do tyłu, żeby na niego spojrzeć.

– Ten bandaż wygląda całkiem jak turban. Nie wierzę w znaki, ale myślę, że mogłam coś wyczuć. Kiedy człowiek ma tylu braci, staje się bardzo wyczulony na sytuacje, kiedy planują jakieś łotrostwo. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że czeka cię piekielny ból głowy.

Już go czuł, a jego nerwom nie zaszkodziłaby brandy, bez wody sodowej. Dwie lub trzy kolejki. Ale trzymał Olympię w ramionach i najwyraźniej zostało mu wybaczone, i chciał znaleźć się już w domu, gdzie żona będzie skakać wokół niego, podczas gdy on będzie udawać, że nie życzy sobie takiego zamieszania.

– Zdaję sobie sprawę – odparł. – Przechodziłem przez to z Ashmontem. Dawno temu.

– Wtedy, kiedy niemal stracił ucho? W pojedynku z lordem Stewkleyem?

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Słyszałaś o tym?

Na powrót umościła głowę na jego ramieniu.

– Wiem tylko, że odbył się pojedynek. Co najmniej dziesięć lat temu, według pani Thorne. Opowiadały o nim szwaczki, ale nie pozwoliła im zagłębić się w szczegóły.

– Chłopięcy figiel – wyjaśnił Ripley. – Stewkley widział to inaczej.

– Jest od was sporo starszy. Musieliście zrobić coś potwornego, skoro stanął do walki z młodzikiem świeżo po szkole.

– Utrzymywał, że obraziliśmy jego żonę, a pojedynkował się z Ashmontem, bo figiel był jego pomysłem i Ashmont zadbał o to, żeby zebrać zasługi.

– To był pierwszy pojedynek Ashmonta?

– Tak. Niemniej jedynie czekał na okazję, zresztą my wszyscy, żeby się sprawdzić, jak to młodzi mężczyźni. Kłótnia na pewno ożywiła nudne spotkanie. Jakaś uroczystość, na ile pamiętam. Były na niej te… no, jak też się nazywają…

– Nie mam pojęcia, jak je nazywasz.

– Szarady czy żywe obrazy, coś w tym rodzaju. Potworne nudy. Należało pokazać zabytkowe ruiny. Ashmont wybrał Fountains Abbey[3]. Kazał przynieść dużą miednicę i ustawić na podłodze. A potem we trzech zrobiliśmy fontannę.

Przez chwilę na niego patrzyła. Potem jej oczy stały się bardzo niebieskie i zamigotały niczym gwiazdy. I roześmiała się. Śmiała się i śmiała.

Cudowny dźwięk. Dzięki niej zapomniał o bólu głowy. Dzięki niej zapomniał również o bólu serca, wywołanym możliwością, że ją zasmuci. Dzięki niej zapomniał o wszystkich innych uczuciach, które odepchnął od siebie, żeby zrobić to, co należało.

Rozwiązał jej czepek i zdjął go. Zanurzył twarz w jej włosach i wciągnął w nozdrza naturalny zapach, który tak uwielbiał.

Tulił ją i przez resztę drogi nie rozmawiali wiele, niemniej Olympia raz po raz wybuchała śmiechem.

– Nigdy już nie zdołam powiedzieć „Fountains Abbey”, zachowując powagę.

Uśmiechnął się do niej szeroko, jak przystało na zakochanego do szaleństwa imbecyla.

Skonstatował, że małżeństwo z niegrzeczną dziewczyną ma całe mnóstwo zalet.

***

Nie upłynął tydzień od ślubu, kiedy księżę Ripley wydał przyjęcie. Nim jeszcze zdjęto mu bandaże, zamknął się z żoną na osobności, by ułożyć plan. Jak powiedział jej wcześniej, lubił dostarczać innym rozrywki. W

zwykłych okolicznościach do tej pory zorganizowałby już jakiegoś rodzaju spotkanie dla uczczenia swego powrotu z kontynentu.

Aktualne wydarzenie towarzyskie wyróżniało się tym, że zyskał gospodynię: księżną, mówiąc ściśle. Kolejna różnica dotyczyła gości: nie tylko mnóstwo mężczyzn nastawionych na hulanki i ciekawych kolejnego praktycznego żartu Ich Łajdackich Mości, ale znaczny wycinek eleganckiego świata.

Pojawiła się między innymi kuzynka Olympii, Edwina, z bardzo kwaśną miną. Jednakże za nic by tego nie przepuściła. Podobnie jak większość zaproszonych. W rzeczy samej, za kulisami prowadzono rozmaite gierki, żeby zdobyć upragnione zaproszenia. Było to wydarzenie towarzyskie sezonu: *Straszliwy książę w skandalicznych okolicznościach poślubia uciekinierkę sprzed ołtarza.*

Jeśli wytworne towarzystwo zaskoczył ślub księcia Blackwooda z lady Alice Ancaster w ubiegłym roku, obecny związek dogłębnie wszystkich skonfundował.

– Ale ona jest taka nudna! – powiedziała kuzynka Edwina do przyjaciółki, kiedy obserwowały rzeczoną parę w tańcu.

Księżna patrzyła w górę, mówiąc coś do księcia, po czym roześmiali się oboje.

– On ma inne zdanie – skomentowała przyjaciółka.

Stosownie do oczekiwań zebranych wkrótce pojawiła się kolejna atrakcja.

Kiedy książę Ashmont poprowadził panią domu do tańca, na sali zapadła cisza i atmosfera zrobiła się napięta.

***

– Musiałeś wybrać walca – powiedziała Olympia, kiedy Ashmont porwał ją w tany.

– Lepiej wygląda – odparł. – Więcej ekscytacji. Oto Ripley usiłuje zamordować mnie wzrokiem, kiedy zagarniam i unoszę w ramionach jego żonę, która przypadkiem jest zarazem moją byłą narzeczoną.

– Wy trzej osiągnęliście mistrzostwo w urządzaniu przedstawień.

– To świetna zabawa wywoływać zamieszanie. Zawsze tak było. Przełamuje nudę.

Tańczyli przez chwilę, zanim odezwał się znowu:

– Po tym, jak przez tyle lat burzyłem plany paniom domu i wywracałem na nice ich bale i przyjęcia, w powszechnej opinii zasłużyłem sobie na to, że mój ślub stał się katastrofą. Sprawiedliwości stało się zadość, mówią. Może się nie mylą.

– Przykro mi. Z powodu tego, że zrujnowałam ci ślub. – Zachichotała. – Ale nie tak naprawdę.

Popatrzył na nią.

– Ale napisałaś…

– Och, pisałam szczerze. Wtedy.

Po krótkiej chwili na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech, który bez wątpienia przywiódł do zguby mrowie kobiet.

– Prosiłaś w tym liście, żebym mu wybaczył, ale i tak musiałem się z nim strzelać. Musiałem, rozumiesz.

– Obaj tak twierdziliście. Żeby pokazać, że byłam warta, by o mnie walczyć.

– To też, tak. Ale chodzi o coś więcej. Skomplikowane, jak ujął to Ripley. Gdybym go nie postrzelił, byłoby ci naprawdę przykro. Czułabyś się winna z powodu tego, co zrobiłaś, i litowałabyś się nade mną, bo okazałem się tak szlachetny i zdolny do poświęceń. Co za przerażająca perspektywa! Dobrze więc, że go postrzeliłem.

– Nie powiedziałabym, że to dobrze, choć istotnie oszczędziłeś mi mnóstwa żalu za grzechy.

– A sobie przyprawiającej o mdłości plamy na nieskazitelnie czarnej reputacji.

– Gdybyś zranił go minimalnie mocniej, już bym zadbała o to, żebyś cierpiał znacznie więcej niż na mdłości.

– Wiem. Czy wiesz, że kiedy odepchnęłaś mnie od niego tamtego dnia, to był pierwszy raz, gdy powaliła mnie kobieta?

– Żywię szczerą nadzieję, że nie ostatni.

– Nikczemna dziewczyna.

– Tak – odparła i się roześmiała.

Ashmont także się roześmiał. Jeśli zaś czuł żal i jeśli ten żal wrastał głęboko, ulokował go w miejscu, gdzie nie będzie mu dokuczał.

***

Ripley, tańcząc z siostrą, spoglądał w tym samym kierunku, co większość gości: na Ashmonta śmiejącego się z księżną Ripley.

– Masz diabelskie szczęście – skomentowała Alice. – Gdybyś wrócił z kontynentu dzień później…

– Nie mów tego. Przez ciebie będą mnie dręczyć koszmary. Wiem, że dopisywało mi szczęście, na każdym kroku. Kiedy cała ta sprawa się zaczęła, przeklinałem cię, że pojechałaś do cioci Julii.

– Mnie? A co ja miałam z tym wspólnego?

– Kalkulowałem, że gdybyś uczestniczyła w ślubie, w mgnieniu oka odstawiłabyś pannę młodą z powrotem do pana młodego i pastora.

– Albo pomogłabym jej uciec.

– Ta myśl nie przyszła mi do głowy.

– Wątpię, czy wiele myśli przyszło ci do głowy.

– Tak czy owak, szczęście znów mi sprzyjało. Byłaś daleko. Ale nie u cioci Julii.

– Byłam u niej. Przez pewien czas.

– A potem u Drakeleyów? Poważnie? – Spojrzał na Blackwooda, który tańczył z lady Charles po drugiej stronie sali. – Masz mi coś do powiedzenia?

– Nie.

***

Taniec dobiegał końca, a lady Charles mówiła do Blackwooda:

– Sądziłabym, że tamtego dnia pojedziesz do Drakeleyów po swoją zbłąkaną żonę.

– Nie wiedziałem, że potrzebowała transportu.

– Nie dziwi mnie to. Mężczyźni przeważnie nic nie wiedzą. Zalecam ci, żebyś z nią zatańczył.

– Taniec z własną żoną? Cóż za szokująca propozycja.

– Myślałam, że lubisz szokować. Ach, a oto i lord Frederick.

Jasnowłosy dżentelmen się pokłonił.

– Lady Charles.

– Lordzie Fredericku – odparła żywo. – Co pan sądzi o mężczyznach tańczących z własnymi żonami?

– Dziwniejsze rzeczy się widywało. Zatańczy pani, lady Charles?

Brwi lady Charles powędrowały w górę.

– Z panem?

Rozejrzał się.

– Nie byłem świadom, że pytam w imieniu innego dżentelmena.

– Wielkie nieba. Doprawdy, same dziwy.

Niemniej dała mu się poprowadzić.

***

Kilka godzin później, po wyjściu gości, książę i księżna Ripley stali na niewielkim balkonie z widokiem na ogród i przyglądali się, jak niebo rozjaśnia się do szarości, która w Londynie tak często uchodzi za świt.

Byli już przebrani do snu, ale popijali szampana.

– Dobrze poszło, jak na mój pierwszy raz, tak sobie pomyślałam – odezwała się Olympia. – Aczkolwiek niewielka w tym moja zasługa. Jakże się cieszę, że okazałam się na tyle praktyczna i rozsądna, by poślubić mężczyznę, który lubi zabawiać innych, dzięki czemu ja mogę oddawać się sianiu spustoszenia w jego bibliotece. – Podniosła nań wzrok. – Choć obawiam się, że jak na twój gust przyjęcie było trochę mdłe.

– Teraz, kiedy jestem starym, żonatym człowiekiem, moje gusta wysubtelniały – odparł. – Napawam się faktem, że wywołaliśmy poruszenie w towarzystwie. A ty i Ashmont daliście wspaniały pokaz flirtu, mamiąc zebranych obietnicami komplikacji, potencjalnie śmiertelnych.

– Wyglądało, jakbyśmy flirtowali? – zdziwiła się. – Nie miałam pojęcia. Muszę się tak wiele nauczyć.

– Wolałbym, żebyś nie zostawała ekspertką, obawiam się jednak, że to nieuniknione. W każdym razie daliście dobre przedstawienie. Zresztą nie wy jedni. Choćby Blackwood i Alice, sztyletujący się nawzajem wzrokiem. – Napił się szampana. – Nie było mnie rok. Nie mam pojęcia, czy to świeża sprawa, czy ciągnie się od jakiegoś czasu. Chciałbym wiedzieć, o co chodzi, ale ona mi mówi, że to nie mój przeklęty interes.

– A Blackwooda nie możesz spytać.

Ripley popatrzył na nią zszokowany.

– Oczywiście, że nie.

– Jeszcze nie jest po wszystkim – stwierdziła, kręcąc głową.

Również odnotowała sposób, w jaki Blackwood i Alice obserwowali się nawzajem, jak i fakt, że wybierali momenty, kiedy to drugie nie patrzyło. Ją także ogromnie ciekawiła ich historia, czuła jednak, że jej małżeństwo trwa na razie zbyt krótko, żeby mieszała się do prywatnych spraw szwagierki. Nie znaczyło to, że nigdy tego nie zrobi. Miała nadzieję, że staną się jak siostry i będą się dogadywać co najmniej tak dobrze jak jej matka i ciotki, oraz że jeśli Alice będzie chciała porozmawiać albo poprosić o pomoc, zwróci się do Olympii. I na odwrót.

Ale to była kwestia przyszłości.

– No więc Alice – powiedział. – Co jeszcze? Ach, tak. Ciocia Julia i stryj Ashmonta, Fred. Skoro mowa o sztyletowaniu się wzrokiem.

– Tak, coś między nimi jest – zgodziła się Olympia. – Wyczuwało się to, kiedy przyjechał do Camberley Place.

– Wiem, że coś kiedyś słyszałem. Jakąś starą historię. Chyba od matki. Ale niech mnie licho, jeśli pamiętam szczegóły.

Olympia przypomniała sobie, co powiedziała jej swego czasu lady Charles: *Charles nie był moim pierwszym wyborem… Poślubiłam go z rezygnacji, jeśli nie wręcz desperacji.*

– Chyba istotnie kryje się za tym jakaś historia – przyznała. – Twoja ciocia napomknęła mi o niej. Ale nie wdawała się w szczegóły. Wiem tylko, że działo się to, zanim wyszła za twojego stryja.

– Czyli dwadzieścia pięć lat temu.

– O jakąkolwiek historię chodzi, w tańcu dobrze się prezentowali pomimo sztyletów w oczach.

– Nic dziwnego – stwierdził Ripley. – To dyplomaci pierwszej wody. Choć może nie rzucało się to w oczy, kiedy natarli na siebie tamtego dnia, po tym, jak przeczytałaś list od Ashmonta i wyszłaś.

– Feralny dzień. Feralny list. – Olympia oparła się o poręcz i zamknęła oczy. – Wyszłam z domu ku uroczemu zrujnowaniu. Jaka szkoda, że zrujnowaną można zostać tylko raz.

– Niekoniecznie.

Odwróciła się i spojrzała nań pytająco, zapominając o trzymanym w ręku kieliszku. Szampan wylał się za poręcz.

Wziął od niej kieliszek.

– Za mało wypiłaś – stwierdził. – Wracajmy do środka i napijmy się jeszcze, a ja wyłożę ci mój plan. To jedna z tych… no, jak też się

nazywają…

– Nie mam pojęcia, jak je nazywasz.

Wskazał otwarte drzwi, prowadzące do jej pokoi. Poszła przodem.

Odstawił ich kieliszki.

– Jak szarady bądź żywe obrazy, ale… nie, jak scenka rodzajowa. Albo sztuka. W tej nie zostałaś dotąd zrujnowana.

Poprawiła okulary.

– Nie?

– Nie. W tej jestem zepsutym do szpiku kości uwodzicielem. Osaczam cię w mrocznej części ogrodu. – Poprowadził ją w kąt buduaru. – Podkręcam wąsiska i mówię: „Oto wreszcie, nadobna dziewico, dorwałem cię w moje szpony”, ty zaś mówisz… – Czekał.

Zasłoniła się dłońmi w teatralnym geście przerażenia.

– Och, nie, ratunku!

– Nikt cię nie uratuje. Za późno. Jesteś moja.

Pociągnął ją w ramiona. Udawała, że z nim walczy.

– Nie, nie, po tysiąckroć nie!

– Nie dasz mi rady. Jestem zbyt silny.

– Ojej, to prawda. – Chwyciła górną część jego ramienia. – Rzeczywiście jesteś. Za wielki i za silny. Takie… mięśnie. – Pogładziła jego tors. – Jakże męski. Niegodziwy, ale męski.

– Lepiej się poddaj.

– Muszę?

– Oczywiście, że musisz. To praktyczne i rozsądne posunięcie.

Pocałował ją, a ona, jako dziewczyna praktyczna i rozsądna, postąpiła praktycznie i rozsądnie i dała mu się zrujnować. Ponownie. I jeszcze raz, tej nocy i przy wielu, wielu innych późniejszych okazjach.

Od Autorki

Funty, szylingi, pensy i inne dawne pieniądze

Przeliczniki pieniędzy: Do 1971 roku angielski system pieniężny nie był oparty na układzie dziesiętnym. Wyglądało to tak:

Dwanaście pensów to szyling (potocznie bob).
Dwadzieścia szylingów to funt lub suweren.
Dwadzieścia jeden szylingów to gwinea.

Istniały liczne mniejsze i większe nominały, na przykład:

Dziesięć szylingów to pół suwerena.
Pięć szylingów to korona.

Po więcej informacji zajrzyjcie do angielskiego artykułu w Wikipedii *Coins of the Pound Sterling, podtytuł Pre-Decimal Coinage*[4].

Stroje

Strój mojej bohaterki zaczerpnęłam głównie z dostępnych w sieci magazynów dla pań z początków dziewiętnastego wieku (przy wsparciu modystek, krawcowych damskich i krawców męskich z Colonial Williamsburg). Pierwsza suknia ślubna Olympii ukazała się w kilku publikacjach z 1833 roku, między innymi w „Magazine of the Beau Monde", gdzie pokolorowano ją na żółto i podpisano jako suknię wieczorową, mimo że nosząca ją dama trzyma modlitewnik. Jednakowoż magazyny powszechnie dopuszczały się plagiatów. W tym przypadku suknię skopiowano z „Petit Courrier des Dames". Powielił ją również magazyn „Ladies' Cabinet". Zarówno oryginał, jak i „Ladies' Cabinet" prezentują ją białą, opisaną jako suknia ślubna. Biorąc pod uwagę, w jak wielu różnych angielskich publikacjach się ukazała, musiała być hitem.

Wbrew powszechnemu przekonaniu, które przypisuje zapoczątkowanie mody na białe suknie ślubne królowej Wiktorii, biel stanowiła zwyczajowy kolor na długo przed jej ślubem z księciem Albertem w 1840 roku. Panny młode nosiły biel co najmniej od 1820 roku, czego dowodzą rysunki w magazynach mody i inne źródła.

Specjalna licencja

Niektóre brytyjskie czytelniczki napisały do mnie w kwestii tego, że moi bohaterowie często pobierają się w domach o bardzo różnych porach. Jak zauważyła jedna z nich, śluby w Anglii i Walii mogą odbywać się tylko w miejscach posiadających stosowne upoważnienie lub licencję, a zatem nie można brać ślubu we własnym domu. W następstwie ustawy o małżeństwie z 1836 roku śluby można było zawierać także w licencjonowanych „Urzędach Stanu Cywilnego", jednak przed tą datą mogły się odbywać wyłącznie w miejscach kultu.

To prawda, chyba że ktoś zawierał małżeństwo na specjalnej licencji. Pozwalała ona parom pobierać się w dowolnym miejscu, o dowolnej porze. Specjalna licencja była bardzo kosztowna i należało ją uzyskać w Doctors Commons, stowarzyszeniu prawników od spraw cywilnych. Brało w ten sposób ślub bardzo wielu arystokratów: w rubrykach na temat zawartych małżeństw w rozmaitych periodykach natykamy się na informacje, że córka lub syn lorda takiego czy owego wzięli ślub w rodzinnym domu.

W *Słowniku prawa* (*The Law Dictionary*, wydanie 1810 i późniejsze), czytamy:

Jednakże dzięki specjalnej licencji lub dyspensie od arcybiskupa Canterbury, małżeństwa, zwłaszcza osób szlachetnie urodzonych, odbywają się niejednokrotnie w ich własnych domach, poza godzinami kanonicznymi, wieczorem, i często są celebrowane przez innych w kościołach niezwiązanych z miejscem zamieszkania żadnej ze stron i poza godzinami nabożeństw etc.

Specjalną licencję z 1852 roku zobaczycie w wydawnictwie *The Etiquette of Courtship and Matrimony: with a Complete Guide to the Forms of a Wedding*[5], które można znaleźć w sieci na stronie Google Books, gdzie stanowi część archiwum Biblioteki Brytyjskiej.

Na stronie mojego blogu (http://www.lorettachase.com/blog), jak również na stronie dwóch specjalistek od historii dla dziwaków (http://twonerdyhistorygirls.blogspot.com), gdzie Susan Holloway Scott i ja prowadzimy blog na temat historycznej mody i innych zagadnień z zakresu historii społecznej, znajdziecie posty wyjaśniające wiele historycznych odniesień w moich opowieściach.

Kiedy jednak w grę wchodzą historyczne szczegóły, obraz bywa wart więcej niż tysiąc słów. Dlatego niewykluczone, że zechcecie zajrzeć na moją stronę na Pintereście (https://www.pinterest.com/lorettachase), gdzie znajdziecie ilustracje przedstawiające stroje i inne detale z moich książek. Jeśli chcecie zobaczyć, jak wyglądały kryte i otwarte dorożki lub czym się różni lando od kariolki, poszukajcie właśnie tam.

Jeżeli natkniecie się w mojej opowieści na inne historyczne zagadki, bardzo proszę, skontaktujcie się ze mną za pośrednictwem mojej strony internetowej, www.LorettaChase.com. Choć zdarza się, że odpowiadam z obrzydliwym opóźnieniem, zwłaszcza gdy akurat cierpię męki nadzwyczaj powolnej pracy twórczej, zawsze w końcu to robię, a niektóre pytania czytelniczek stanowiły inspirację do postów na blogu i/lub wniosły wkład w przyszłe historie.

[1] Leitch Ritchie, *Schinderhannes, the Robber of the Rhine.*

[2] Patrz: William Szekspir, *Król Lear*, Akt I scena IV, „Że głębiej dziecka przenika niewdzięczność / Niż żmii zęby!”, tł. Leon Ulrich.

[3] Opactwo Fontanny

[4] W polskiej Wikipedii pod hasłem *Pieniądze brytyjskie*, podtytuł *Dawny system*

[5] *Etykieta zalotów i małżeństwa: z kompletnym przewodnikiem po formach ślubu*

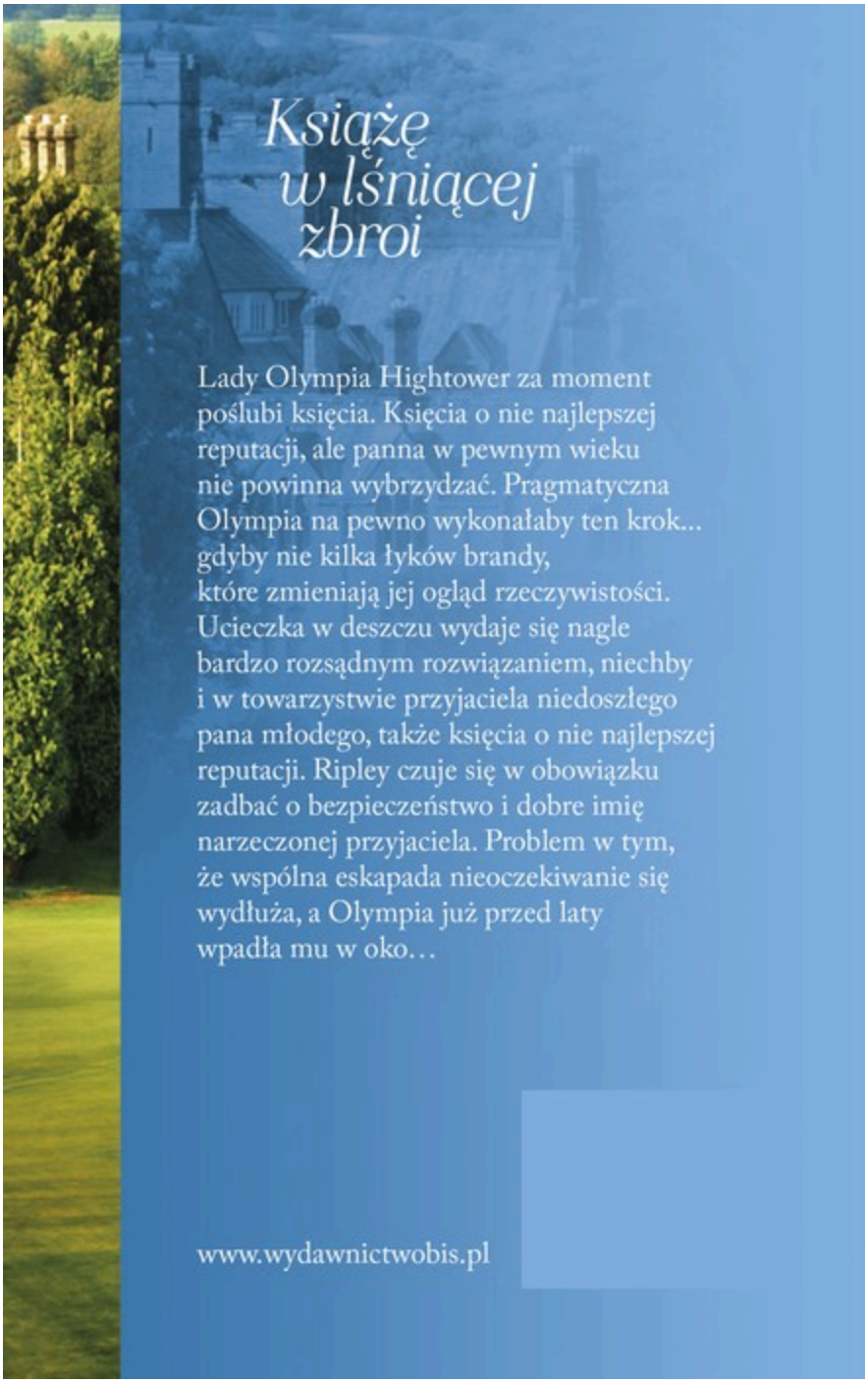

Książę w lśniącej zbroi

Lady Olympia Hightower za moment poślubi księcia. Księcia o nie najlepszej reputacji, ale panna w pewnym wieku nie powinna wybrzydzać. Pragmatyczna Olympia na pewno wykonałaby ten krok... gdyby nie kilka łyków brandy, które zmieniają jej ogląd rzeczywistości. Ucieczka w deszczu wydaje się nagle bardzo rozsądnym rozwiązaniem, niechby i w towarzystwie przyjaciela niedoszłego pana młodego, także księcia o nie najlepszej reputacji. Ripley czuje się w obowiązku zadbać o bezpieczeństwo i dobre imię narzeczonej przyjaciela. Problem w tym, że wspólna eskapada nieoczekiwanie się wydłuża, a Olympia już przed laty wpadła mu w oko…

www.wydawnictwobis.pl